

David Morrell
Desperackie kroki

Przekład: Marek Ławacz
Amber 1994

Część Pierwsza

1.

Półautomatyczny kolt 45 mógł pomieścić w swoim magazynku siedem naboji. W tej chwili miał tylko jeden, który Pittman wprowadził do komory nabojoyej odciągając maksymalnie zamek. Dobrze naoliwiony metal wydał cichy szcęk.

Bohaterem pierwszego raportu Pittmana, napisanego czternaście lat temu, był emerytowany policjant, który popełnił samobójstwo. Pittman nigdy nie mógł zapomnieć podsłuchanej rozmowy dwóch policjantów przy automacie do kawy na posterunku, którzy mówili o śmierci swojego kolegi z nutką szacunku w głosie:

— Biedny sukinsyn, nie mógł znieść odejścia na emeryturę.

— Tęgo sobie popijał.

— Ale odszedł z klasą. Użył służbowej spluwy, półautomatycznej czterdziestkapiątki z jednym tylko nabojem.

Treść rozmowy była dla Pittmana niezrozumiała, dopóki po bliższym zapoznaniu się ze sprawą nie dowiedział się, że pistolet półautomatyczny po oddaniu strzału wyrzuca łuskę i jednocześnie ładuje nowy nabój, a iglica naciąga się samoczynnie. Ten sposób dawał możliwość szybkiego strzelania w razie potrzeby. Emerytowany policjant, który się zastrzelił, uważał jednak za nieetyczne pozostawienie naładowanej broni przy swoim ciele; nie można było przecież przewidzieć, kto ją znajdzie. Może gospodyni albo jej dziesięcioletni syn, który mógł bez zastanowienia podnieść broń. Tak więc, aby uniknąć niebezpieczeństwa przypadkowego strzału, policjant załadował tylko jeden nabój. Wiedział, że kiedy wystrzeli, zamek wróci na miejsce, ale komora nabojoya będzie pusta, a broń całkowicie bezpieczna.

— Odszedł z klasą...

Zatem Pittman również załadował tylko jeden nabój. Parę tygodni wcześniej wystąpił o pozwolenie na

broń. Po stwierdzeniu przez władze, że nie jest przestępcą, nie zdradza objawów niezrównoważenia

psychicznego i tak dalej, tego właśnie popołudnia otrzymał pozwolenie na zakup broni i stał się posiadaczem czterdziestkapiątki, takiej samej jak tamten emerytowany glina. Sprzedawca zapytał, ile

pudełek amunicji potrzebuje, a Pittman odrzekł, że jedno zupełnie mu wystarczy.

— Zamierza pan trzymać go dla obrony?

— Tak, dla obrony. — Przed sennymi koszmarami — dodał w myśli.

Siedział teraz za zamkniętymi drzwiami w swoim małym mieszkaniu na drugim piętrze, przy kuchennym stole i wpatrywał się w załadowany pistolet, słuchając wieczornych odgłosów ulicy.

Zegar

na kominku tyknął mechanicznie — przeskoczyła kolejna minuta. Zza ściany dochodziły śmiechy i niezrozumiałe dialogi jakiejś komedii telewizyjnej. Czuł zapach smażonej cebuli, wciskający się z sąsiedniego mieszkania przez szparę pod drzwiami. Podniósł pistolet.

Nigdy dotąd nie posługiwał się bronią, ale zdobył trochę wiadomości na ten temat. Przeczytał także o

budowie ludzkiej czaszki, o jej czułych miejscach. Najbardziej wrażliwe były skronie, zagłębienia za

uszami i podniebienie. Czytał wiele o niedoszłych samobójcach, którzy strzelali sobie w głowę,

powodując w efekcie lobotomię. Nie zdarzało się to często, jednak kiedy lufa była wycelowana w czoło, pociągnięcie za spust przesunęło ją nieco i kula ześlizgiwała się po grubym płacie kości czołowej nad brwiami. Niedoszły samobójca zamieniał się w ludzkie warzywo.

Ze mną tak nie będzie — pomyślał Pittman. Zamierzał zrobić to solidnie. Idąc za przykładem emerytowanego policjanta postanowił włożyć lufę do ust, tak by kula nie zboczyła z celu, i wybrał do

tego najbardziej skuteczną broń: czterdziestkępiątkę.

Zanim poszedł do sklepu z artykułami sportowymi, wypił drinka w barze, a dwa następne w drodze do

domu. W szafce obok lodówki trzymał butelkę jacka danielsa, ale odkąd zamknął za sobą drzwi, nie wypił ani kropli. Nie chciał, żeby z raportu koronera wynikało, że samobójca znajdował się pod wpływem alkoholu. Chciał zachować jasny umysł i dokonać swego ostatniego dzieła będąc całkowicie

przytomnym.

Powstała jednak pewna kwestia techniczna. Co począć z tym całym nieuniknionym bałaganem?

Kolejno eliminując różne sposoby, postanowił zadać sobie śmierć za pomocą broni palnej. Ale tutaj, przy kuchennym stole? A rozbryzgi krwi na podłodze, ścianach, lodówce, a może nawet na suficie?

Pittman potrząsnął głową, wstał, ostrożnie ujął pistolet i poszedł do łazienki. Pełen determinacji wszedł do zimnej białej wanny, zaciągnął zasłonkę od prysznica i usiadł na dnio. Teraz był już całkowicie gotów.

Kiedy zbliżył broń do warg, poczuł jej słodkawy zapach. Otworzył usta, przez moment poczuł, jak krew odpływa mu z mózgu, i wsunął do ust twardą śliską lufę. Była grubsza, niż myślał, i musiał wepchnąć ją w usta. Gorzkawy metal zazgrzytał o zęby, aż przeszył go dreszcz.

Już.

Odkąd wystąpił o pozwolenie na broń, nie myślał o niczym innym tylko o samobójstwie. Czas oczekiwania pozwolił mu na umocnienie się w podjętej decyzji. Rozważył każdy argument za i przeciw. Czuł takie napięcie, że każda cząstka jego umysłu wołała o wyzwolenie, przerwanie cierpienia.

Przyłożył palec do spustu, ale opór był większy, niż się spodziewał. Musiał nacisnąć mocniej.

Wtedy zadzwonił telefon.

Pittman zmarszczył brwi.

Telefon zadzwonił ponownie.

Spróbował się skoncentrować.

Telefon zadzwonił po raz trzeci.

Pittman desperacko próbował go zignorować, ale ponieważ telefon dzwonił uparcie, uznał niechętnie,

że musi go odebrać. Decyzja ta nie miała nie wspólnego z jego drugą myślą — możliwością zyskania

na czasie dla zmiany decyzji. Nie, poczuł raczej potrzebę skrupulatności. Uważał się za człowieka z zasadami, takiego, który nie pozostawia za sobą nie załatwionych spraw — nie spłaconych długów, nie odwzajemnionych przysług, należnych przeprosin. Testament był przygotowany, niewielkie oszczędności przekazane byłej żonie, razem ze słowami wyjaśnienia. Zobowiązania służbowe wypełnił poprzedniego dnia, wypowiedzenie złożył swemu pracodawcy z dwutygodniowym wyprzedzeniem. Wydał nawet odpowiednie rozporządzenia co do swojego pogrzebu.

Kto zatem mógł do niego dzwonić? Może to pomyłka? A może jakiś akwizytor? Czyżby jeszcze czegoś zaniedbał? Przecież zrobił, co mógł, żeby bez komplikacji przerwać swoje życie.

Telefon wciąż dzwonił. Pittman wyszedł z wanny, udał się do pokoju i z ociąganiem podniósł słuchawkę.

— Słucham — powiedział z wysiłkiem.

— Mówi Burt.

Burt nie musiał się dalej przedstawiać. Papierosy sprawiły, że miał charakterystyczny ochryply niski

głos.

— Tak długo nie odbierałeś, że już myślałem, że nie ma cię w domu.

— To dlaczego czekałeś tyle czasu przy telefonie?

— Automatyeczna sekretarka nie była włączona — odparł Burt.

— Czasem jest włączona, nawet kiedy jestem w domu.

— Skąd mam wiedzieć, jeśli nigdy nie odbierasz?

Pittman doznał uczucia nieobecności, jakby pod wpływem narkotyku.

— Czego chcesz, Burt?

— Przysługi.

— Przykro mi, nic z tego.

— Nie odmawiaj, dopóki nie dowiesz się, o co chodzi.

— To bez znaczenia, Burt, jesteśmy kwita. Nic nie jesteśmy sobie winni i niech to już tak zostanie.

— To brzmi tak, jakbyś się gdzieś wybierał i nigdy nie mielibyśmy się zobaczyć. W końcu zawdzięczamy sobie coś niecoś. Wczoraj byłeś w redakcji po raz ostatni i pewnie nic nie wiesz.

Dziś

rano otrzymaliśmy wiadomość, że za tydzień od piątku zamykają „The Chronicle”.

Głos Burtu zdawał się dochodzić z daleka. Pittman poczuł zamęt w głowie.

— Co?

— Gazeta jest w fatalnej kondycji finansowej. Bankrutuje. Nie mogą znaleźć chętnego na kupno.

Nasze reportaże nie są konkurencyjne w porównaniu z telewizją czy „USA Today”... Właściciele likwidują interes. Za dziewięć dni, po stu trzydziestu ośmiu latach, wychodzi ostatnie wydanie.

— Nie rozumiem, co to ma ze mną...

— Chce, żebyś wrócił do pracy, Matt. Jest nas za mało. posłuchaj, poświęciłem „Chronicie” trzydzieści lat życia. Nie chcę, żeby potraktowano ją jak jakiegoś szmatławca. Wróc i pomóż mi. To tylko dziewięć dni, Matt. Dział nekrologów jest dla nas bardzo ważny. Obok komiksów i sportu, większość czytelników zaczyna lekturę właśnie od niego. Brak czasu, żeby wciągać do pracy kogoś nowego, zresztą kogo szukać, kiedy i tak za parę dni wypadamy z gry — większość olewa robotę rozglądając się za nową. Jeśli nie dla mnie, zrób to dla pisma. Do diabła, przecież przepracowałeś tutaj

czternaście lat. Chyba został ci chociaż cień przywiązania.

Pittman wpatrzył się w podłogę.

— Matt?

Jego mięśnie napięły się aż do bólu.

— Matt, odezwij się. Pittman spojrział na pistolet.

— Wybrałeś zły moment, Burt.

— Więc jak, zrobisz to?

— Nie wiesz, o co prosisz.

— Wiem dobrze. I to, że jesteś moim przyjacielem.

— Niech cię szlag, Burt.

Odłożył słuchawkę. Udręczony czekał, żeby telefon znów zadzwonił, lecz ten milczał. Odłożył pistolet, podszedł do butelki bourbona stojącej przy lodówce i nalał sobie. Bez lodu i bez wody. Szybko wypił i nalał znowu.

2

Biorąc pod uwagę okoliczności, Pittman uznał pracę w dziale „Zgonów” padającej gazety za ironię losu. Jego biurko, odgrrodzone od innych niewysoką ścianką, mieściło się na trzecim piętrze, w połowie drogi między windą a męską toaletą. Chociaż „Chronicie” brakowało pracowników, Pittmana

otaczał ruch i hałas. Ludzie biegali, telefony dzwoniły, reporterzy prowadzili rozmowy, stukwały klawiatury komputerów. Działy „Sztuki” i „Rozrywki” mieściły się za nim, „Porady domowe” po lewej, a „Usługi miejskie” po prawej stronie. Pittman czuł, jakby od tego wszystkiego oddzielała go

szara zasłona mgły.

— Parszywie wyglądasz, Matt. Pittman wrzucił ramionami.

— Chorowałeś?

— Trochę.

— Poczujesz się jeszcze gorzej, kiedy dowiesz się, co jest z „Chronicie”.

— Wiem.

Przysadzisty człowiek z rubryki „Biznes” położył obie dłonie na biurku Pittmana.

— I to, że mogą być kłopoty z wypłatą? Skąd zresztą mógłbyś wiedzieć. Zapomniałem, że odszedłeś

dwa dni temu. Widać wiedziałeś, co się szykuje. Wierzę ci. Pewnie dogadałeś się z nimi w zamian za

kilkutygodniową ekstra zapłatę, a może...

— Nie. — Pittman odchrząknął. — Naprawdę nic o tym nie wiedziałem.

— Więc dlaczego?

— Poczulem się zmęczony. Mężczyzna spojrzął zmieszany.

— Zmęczony. To co tutaj w ogóle robisz? Pittman usiłował się skoncentrować.

— Wróciłem, żeby pomóc. Tylko na tydzień. Kiedy już będzie po wszystkim.

Miał wrażenie, jakby czas stał się wiecznością.

— Gdybym był tobą i miał odłożoną forszę, zresztą myślę, że masz, bo inaczej byś nie odchodził, nie

traciłbym tutaj czasu i rozejrzał się za inną robotą.

Pittman nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

Przysadzisty facet przysunął się tak blisko biurka, że jego rozpięta kurtka zasłoniła aparat telefoniczny, który nagle zadzwonił. Zaskoczony wpatrywał się w ukryte źródło dźwięku. Pittman podniósł słuchawkę.

Dzwoniła kobieta w średnim wieku (sądząc po głosie), mocno zdenerwowana. Chodziło o zgon siedemdziesięcioletniego mężczyzny, który zmarł w swoim domu. Pittman przypuszczał, że był

to ojciec tej kobiety.

Wziął formularz i wpisał imię i nazwisko zmarłego.

— Czy mamy sprecyzować przyczynę śmierci?

— Słucham?

Kobieta oddychała z trudem, jakby powstrzymując się od płaczu.

— To wszystko jest takie straszne... Co to znaczy „sprecyzować”?

— Czy chciałaby pani podać przyczynę śmierci? Na przykład: „po przewlekłej chorobie”. A może nie

chce pani tego robić?

— Umarł na raka.

To suche stwierdzenie przeszło Pittmana jak lodowate ostrze. Nagle stanął mu przed oczami Jeremy.

Silny, o gęstej rozwianej czuprynie, kopiący piłkę. Potem słaby, bezwłosy, umierający w szpitalu na oddziale intensywnej opieki.

— Przykro mi.

— Słucham?

Pittman poczuł skurcz w gardle.

— Mój syn również zmarł na raka. Nastąpiła pauza. Na linii słychać było szum.

— Niech będzie: „przewlekła choroba” — powiedziała kobieta. — Proszę nie pisać, że umarł na raka.

Nastąpiły niezbędne szczegóły, krewni, dawne miejsce pracy, czas i miejsce pogrzebu.

— Jakies darowizny?

— Na co? Nie rozumiem?

— Czasem rodzina zmarłego prosi, by zamiast kwiatów wpłacić pieniądze na cele dobroczynne. W

tym przypadku może na Towarzystwo do Walki z Rakiem?

— Ale to znaczyłoby, że umarł na raka?

— Chyba tak.

— Więc „przewlekła choroba”. Mój ojciec zmarł po przewlekłej chorobie. Tylko tyle. Gdybym wspomniała o tym Towarzystwie, zaczęliby dzwonić do mnie różni z dobroczynności. Nie chcę tego.

Proszę za to wspomnieć, że ojciec należał do drużyny kręglarskiej seniorów na East Side.

— Oczywiście. Proszę jeszcze o podanie pani adresu.

— Przecież już powiedziałam, gdzie mieszkał ojciec.

— Potrzebujemy także pani adresu, żeby „Chronicie” mogła przesłać zawiadomienie o druku nekrologu.

— Zawiadomienie?

— Tak, proszę pani.

— Ma pan na myśli rachunek?

— Tak.

— Czy gazeta nie zamieszcza nekrologów w ramach bezpłatnych usług dla ludności?

— Nie, proszę pani.

— A niech was cholera...!

To był błąd — pomyślał Pittman. Nie wyobrażał sobie wcześniej, ile wysiłku będzie go kosztowało zmuszenie się, by choćby udawać, że pracuje. Nawet najprostszy gest, podniesienie słuchawki czy zrobienie notatki wymagało takiej siły woli, że czuł się wyczerpany jak po maratońskich biegach, jakie uprawiał przed chorobą Jeremy'ego.

Odebrał następne cztery telefony, coraz bardziej wyczerpany. Wypadek samochodowy, utonięcie, powieszenie i śmierć ze starości. Nad powieszeniem Pittman także się zastanawiał. Kiedy przygotowywał jeden ze swoich reportaży, dowiedział się, że w przypadku mężczyzn powieszenie się daje pewne uboczne efekty erotyczne. U samobójcy występuje erekcja. Wprawdzie pętla ma tę przewagę,

że nie pozostawia po sobie takiego nieporządku jak strzał z pistoletu, problem jednak w tym, że śmierć

nie następuje od razu. Ponadto sposób nie jest całkiem pewny. Mógłby zerwać się sznur, samobójcę mógłby ktoś odratować. Trzeba by przechodzić przez to wszystko raz jeszcze.

Ktoś kaszlnął.

Pittman podniósł wzrok i zobaczył krępego człowieka po pięćdziesiątce, o nieprzeniknionej twarzy,

z włosami na jeża i krzaczastymi brwiami. Miał zarzucony na plecy granatowy sweter, muskularne ramiona rozpychały podwinięte rękawy koszuli. Krawat ^ paski był rozluźniony, a rozpięty pod szyją

guzik odsłaniał byczy kark. Sprawiał wrażenie, jakby właśnie opuścił koszary. Jednak, podobnie jak Pittman, Burt Forsyth nigdy nie służył w wojsku. Pracował dla „Chronicie” od czasu ukończenia college'u, zostając w końcu jej naczelnym redaktorem.

— Cieszę się, że się zgodziłeś.

Głos Burta brzmiał jeszcze poważniej niż ubiegłej nocy. Pittman wzruszył ramionami.

— Wyglądasz jak zbity pies.

— Wszyscy mi to mówią — powiedział Pittman.

— Myślałem, że po wolnym dniu będziesz bardziej wypoczęty.

— Miałem mnóstwo roboty.

— Ja myślę — wzrok Burta był przenikliwy. Czyżby coś podejrzewał? — zastanawiał się Pittman.

— Biorąc pod uwagę, jak bardzo jesteś zajęty, doceniam to, co zrobiłeś dla „Chronicie”.

— Dla ciebie.

— Na jedno wychodzi.

Kiedy Jeremy zachorował, a później umierał, Pittman przez; kryzys, ale Burt Forsyth był

zawsze obok, dodając mu siłę. „Chce odwiedzić syna? Weź sobie wolne. Potrzebny jesteś w szpitalu? Nie ma sprawy. Praca? Nie martw się, twoje biurko zawsze będzie na ciebie czekać”.

Burt odwiedzał Jeremy'ego i to on sprawił, że jeden z najlepszych! piłkarzy ligi zadzwonił do szpitala. Burt towarzyszył Pittmanowi do domu pogrzebowego i pił razem z nim. Choć Pittman przekonywał sam siebie, że nie jest nikomu nic winien, prawda była taka, że ten dług nigdy nie zostanie spłacony. Spośród wszystkich ludzi, którzy mogliby do niego zadzwonić poprzedniej nocy, Burt był jedynym, któremu Pittman nie mógłby odmówić.

Burt Forsyth wpatrywał się w niego.

— Masz wolną chwilę?

— Jestem do twojej dyspozycji.

— To chodź do mnie.

Co teraz? — zastanawiał się Pittman. — Czy chce zrobić mi wykład?

W „Chronicie” obowiązywała zasada niepalenia. Pittman nigdy nie mógł zrozumieć, skąd brał się u Burta zapach dopiero co wypalonego papierosa. W jego gabinecie utrzymywał się odór dymu, chociaż nie było popielniczek ani śladu niedopałków. Zresztą ściany w pokoju Burta były oszklone i gdyby łamał zasadę i palił, któryś z reporterów na pewno by to zauważył.

Burt rozsiadł się za biurkiem w obrotowym fotelu, aż zaskrzypiało. Pittman usiadł naprzeciwko. Burt wpatrywał się w niego.

— Pijesz?

Pittman odwrócił wzrok.

— Zadałem ci pytanie — powiedział Burt.

— Gdybyś był kim innym...

— Powiedziałbyś, że to nie moja sprawa. Ale ponieważ to ja pytam... wypiełeś za dużo?

— To zależy — odparł Pittman.

— Od czego?

— Co znaczy: za dużo? Burt westchnął.

— Widzę, że nie zanosisz się na konstruktywną rozmowę.

— Prosiłeś o dziewięć dni. Daję ci je. Ale nie znaczy to, żebyś decydował o moim życiu.

— Raczej o tym, co ci z niego zostało. Jeśli tyle pijesz, to "wkrótce się wykończysz.

— To jest pomysł — odpowiedział Pittman.

— Zapijanie się nie wskrzesi Jeremy'ego.

— Trafna uwaga.

— Twoje samobójstwo też niczego nie zmieni. Pittman ponownie uchylił się od spojrzenia mu w oczy.

— Nawiasem mówiąc — powiedział Burt — nie zamierzam kierować twoim życiem, lecz pracą. Mam dla ciebie coś innego niż zwykle. Pewien rodzaj nekrologu. I chcę się upewnić, że dasz sobie

z tym radę. Jeśli nie, powiedz od razu. Będziesz nadal siedział za biurkiem, przyjmował zgłoszenia i wypełniał formularze.

— Jak sobie życzysz.

— Nie dosłyszałem...

— Wróciłem do pracy, ponieważ mnie o to prosiłeś. Jeśli potrzebujesz czegoś, oczywiście pomogę ci.

Co to za szczególny nekrolog?

— Delikwent jeszcze nie umarł.

Pittman poprawił się na krześle. Sama propozycja nie była aż tak zaskakująca. Część nekrologów pisano jeszcze przed śmiercią niektórych osób. Dotyczyło to głównie ludzi, których Pittman nazywał

„osobistościami”, na przykład starzejących się gwiazd filmowych czy innych znanych osób w podeszłym wieku lub śmiertelnie chorych. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że skoro i tak mają wkrótce

umrzeć, dlaczego nie przygotować wspomnienia pośmiertnego zawczasu. Bywało jednak, że delikwenci okazywali nadzwyczajną odporność fizyczną. Pittman znał przypadek, kiedy obszerne wspomnienie o pewnym aktorze przeleżało się prawie dwadzieścia lat, a aktor, już ponad dziewięćdziesięcioletni, wciąż trzymał się nieźle.

Zasepiony wygląd Burta sugerował, że w tym przypadku nie chodziło o coś tak efemerycznego jak nekrolog żyjącej jeszcze gwiazdy filmowej. W jego ciemnych oczach, niemal ukrytych pod krzaczastymi brwiami, malowało się napięcie.

— W porządku. — Pittman machnął ręką. — Delikwent jeszcze nie umarł.

Burt skinął głową.

— Ale jesteś pewny, że umrze w ciągu dziewięciu dni. Wyraz twarzy Burta nie zmienił się.

— Oczywiście, pisanie nekrologu nie miałoby sensu - powiedział Pittman. — „Chronicie” zamykają

za tydzień

— Potraktuj to jako prezent.

— Doprawdy, cóż za łaskawość.

— Mnie nie wyrolujesz — odparł Burt. — Sądysz, że nie domyśliłem się, co kombinujesz?

Pittman nie zareagował.

— Wczoraj zadzwoniła do mnie Ellen — powiedział Burt. Na wzmiankę o byłej żonie Pittman poczuł

nagły skurcz żołądka, ale nie dał niczego po sobie poznać.

— Powiedziała, że zachowujesz się dziwnie. Zresztą nie musiała nic mówić. Nie jestem ślepy.

Każdy,

kto uważa się za twojego przyjaciela, musiał to zauważyć. Nagle zaczynasz oddawać przysługi, rewanzować się, zwracać pożyczone pieniądze i tak dalej. Przepraszasz za wszystkie przykrości, jakie

kiedyś wyrządziłeś, a ponieważ pijesz, nie porządkujesz swoich spraw tylko dlatego, by przyłączyć się

do klubu Anonimowych Alkoholików. A ten wypadek samochodowy trzy tygodnie temu. O trzeciej nad ranem walnąć w filar mostu na pustej drodze do Jersey. Po kiego diabła tam jechałeś? I nawet jeśli

byłeś podпиты, to jak można było nie zauważyć takiej przeszkody? Po prostu chciałeś się zabić, a jedyne wytłumaczenie tego, że ci się nie udało, to że wyrzuciło cię z wozu jak bezwładną szmacianą

kukłę.

Pittman dotknął świeżej szramy na ręku, ale nic nie odpowiedział.

— Chcesz wiedzieć, po co dzwoniła Ellen? — zapytał Burt. Pittman wbił wzrok w podłogę.

— Daj spokój — odezwał się Burt. — Nie zachowuj się tak, jakbyś już był trupem.

— Zrobiłem błąd wracając do pracy. — Pittman podniósł się z krzesła.

— Daj mi skończyć.

W drzwiach pojawił się jeden z dziennikarzy.

— Za chwilę — powiedział Burt.

Reporter spojrzął na obu mężczyzn, skinął głową z powagą i odszedł. Inni dziennikarze siedzący za swoimi biurkami patrzyli w stronę oszklonych ścian gabinetu Burta. Dzwoniły telefony.

— Ellen chciała ci powiedzieć, że jest jej przykro — powiedział Burt. — I chciałaby, żebyś do niej zadzwonił.

— Lepiej powiedz mi, co z tym nekrologiem.

— Czemu nie dasz jej szansy?

— Nasz syn umarł. Podobnie jak nasze małżeństwo. Żałuję tego. Ale nie chcę o tym mówić.

Skończyłem z tym. Mam dość. Dziewięć, nie, już osiem dni zgodnie z tym, co ci obiecałem. To wszystko, na co możesz liczyć. A teraz powiedz, co z tym nekrologiem.

Burt nawet nie mrugnął okiem. Po chwili wzruszył ramionami, westchnął i podniósł teczkę leżącą na

biurku. — Jonathan Millgate. Pittman poczuł, jakby przeszył go prąd.

— To nazwisko powinno ci być znajome jeszcze z czasów, kiedy pracowałeś w dziale krajowym, zanim... Burt celowo zawiesił głos.

— Chcesz powiedzieć, zanim się załamałem? Albo rozsypałem... czy jak tam się to eufemistycznie określa.

— Potrzebowałeś odpoczynku.

— Ale nie mam jeszcze takiej sklerozy, żeby zapomnieć nazwisko jednego z najważniejszych doradców.

Burt uniósł krzaczaste brwi.

Od lat czterdziestych, od początku „zimnej wojny”, istniała grupa pięciu wybitnych osobistości ze Wschodniego Wybrzeża, którzy mieli znaczny wpływ na politykę rządu amerykańskiego, sprawując funkcję doradców kolejnych prezydentów.

Początkowo byli oni członkami rządów i ambasadorami, później prywatnymi konsultantami prezydentów, przeważnie republikańskich, ale nie tylko. W czasie rządów demokratów w końcu lat siedemdziesiątych Carter przypuszczalnie konsultował się z nimi w sprawie zakładników w Iranie. Krążyły pogłoski, że to właśnie pod ich wpływem podjął nieudaną próbę odbicia zakładników i w efekcie utorował Ronaldowi Reaganowi drogę do Białego Domu. Z upływem czasu działalność tych

ludzi obrosła w legendę, a oni sami stali się znani jako „superdoradcy”.

— Jonathan Millgate powinien mieć teraz około osiemdziesiątki — powiedział Pittman. — Jego matka była znaną erudytką w kręgach towarzyskich w Bostonie. Ojciec został miliarderem dzięki inwestycjom w systemach łączności i na kolei. Młody Millgate skończył z wyróżnieniem prawo na uniwersytecie Yale w 1938 roku. Specjalizował się w prawie międzynarodowym, co przydało mu się

podczas drugiej wojny światowej. Pracował dla Departamentu Stanu i szybko awansował. Otrzymał nominację na ambasadora w ZSRR oraz przy ONZ. Brano pod uwagę jego kandydaturę na doradcę do

spraw bezpieczeństwa narodowego. Mocno związany z Trumanem. Potem przeniósł się do republikańców i stał się niezastąpiony dla Eisenhowera. Był z Kennedym, ale niezbyt blisko.

Chociaż

należeli do różnych partii, Johnson korzystał z pomocy Millgate'a przy formułowaniu polityki wobec

Wietnamu. Kiedy republikanie powrócili do władzy, Nixon obdarzył go jeszcze większym zaufaniem.

I nagle Millgate wycofał się z życia publicznego. Zaszył się w swojej posiadłości w Massachusetts. Co

ciekawe, mimo tego odosobnienia nadal ma duże wpływy... Dziś rano miał atak serca.

Pittman czekał.

— W naszym mieście — dodał Burt.

— Ale nie umarł, skoro powiedziałaś, że obiekt naszego zainteresowania jeszcze żyje.

— „Chronicie” i tak jest skończona, więc możemy pozwolić sobie na eksperymenty. Chcę, żeby nekrolog był długi i treściwy. Pełen faktów, inteligentny i z wyczuciem. Coś między wiadomością z pierwszej strony a wstępniakiem. Kiedyś się w tym specjalizowałaś.

— Liczysz, że Millgate nie wytrzyma najbliższego tygodnia i umrze, zanim spotka to „Chronicie”?

— Liczę, że ta robota na tyle cię zainteresuje, że będziesz mógł dalej pracować, otrząśniesz się z nieszczęścia i nie umrzesz razem z gazetą.

— Na to może liczyć tylko frajer.

— Natomiast zbyt długa praca w dziale nekrologów może doprowadzić człowieka do choroby.

25

Racja - głos Pittmana zabrzmiał sucho - - od pisania o sprawach krajowych z pewnością, trudno się rozchorować. Odwrócił się do wyjścia. — Zaczekaj, Matt. Jest jeszcze coś.

Pittman odwrócił się i spostrzegł szarą kopertę, którą Burt trzymał w ręku. Poczul chłód w piersi.

— Facet, który cię wczoraj zastępował, znalazł ją w szufladzie biurka.

Burt otworzył kopertę.

— Była zaadresowana do mnie, więc i ją oddał. Położył kartkę papieru na biurko.

— Myślę, że otrzymałem ją wcześniej, niż chciałeś. Biorąc pod uwagę to, co razem przeszliśmy, jest nieco bezosobowa, nie sądzisz?

Pittman nie musiał się przyglądać tekstowi napisanemu na maszynie, żeby wiedzieć, co zawierał. Matthew Pittman, lat 38, zamieszkały przy Zachodniej Dwunastej Ulicy, zastrzelił się w środę wieczorem. Msza

żałobna odbędzie się w sobotę o godzinie 12 w Donovan's Tower przy Zachodniej Dziesiątej.

Uprasza się o

nieskładanie kwiatów, zamiast tego można dokonywać dobrowolnych wpłat na fundusz dzieci chorych na raka w

Sloan Kettering w imieniu Jeremy'ego Pittmana.

— To wszystko, co byłem w stanie wymyślić.

— Zwięzłość to duża zaleta. — Burt stuknął palcem w papier. — Ale należy też być dokładnym. Nie wspomniałeś, że pracowałeś w „Chronicie”!

— Nie chciałem was do tego mieszać.

— A także nie wspomniałeś, że zostawiasz swoją byłą żonę. Pittman wzruszył ramionami.

— Jej także nie chciałeś w to wplątywać? — zapytał Burt. Pittman ponownie wzruszył ramionami.

— Zacięła mi się maszyna, kiedy doszła do nowego nazwiska Ellen. Uznałem, że mam to gdzieś.

— Chciałbym, żebyś inne swoje problemy potraktował równie gładko. Osiem dni, Matt. Obiecałeś mi

osiem dni.

— Zgadza się.

— Jesteś mi to winien — powiedział Burt.

— Wiem — odpowiedział z wysiłkiem Pittman. — Nie zapomniałem, co zrobiłeś dla...

Spojrzał na zegarek, by przerwać dalszą rozmowę.

— Już prawie południe. Zacznę pisać o Millgacie po lunchu.

8

Tawerna miała trzy zalety — leżała na uboczu, nie było w niej zbyt dużego ruchu, a przypadkowi klienci nie pracowali w „Chronicie”. Pittman mógł popijać w spokoju, wiedząc, że nikt mu nie przeszkodzi. Większość klientów stanowili okoliczni amatorzy biegania i kiedy Pittman wszedł i poprosił o drinka, barman był wyraźnie zaskoczony takim niezwykle gościem.

Po dwóch szklaneczkach jacka danielsa z lodem Pittman wciąż siedział nad gazetową krzyżówką. Chciał zająć czymś myśli, podobnie jak próbował zrobić to z nim Burt w redakcji. Jego taktyka sprawdziła się. Natomiast rozwiązywanie krzyżówki nic nie dało. Jedyne hasło, jakie Pittmanowi przychodziło do głowy, brzmiało — „Jonathan Millgate”.

Kiedyś przygotowywał artykuł o Millgacie, kiedy jeszcze pracował w dziale spraw krajowych.

Przed

śmiercią Jeremy'ego. Siedem lat temu krążyły pogłoski, że Jonathan Millgate działał jako pośrednik w

zakulisowej operacji Białego Domu związanej z nielegalną dostawą broni dla prawicowego rządu w Ameryce Południowej, w zamian za współpracę tego rządu w zwalczaniu handlarzy narkotyków.

Mówiono także, że Millgate otrzymywał pokaźne kwoty od rządów i producentów broni w Ameryce

Południowej, pośrednicząc w potajemnej wymianie.

Pittman nie był jednak w stanie znaleźć na to wszystko dowodów. Millgate, tak widoczny niegdyś na

scenie politycznej,

29

w życiu prywatnym był osobą dobrze strzeżoną. Ostatniego wywiadu udzielił w 1968 roku, po

ofensywie Tet przeciwko armii amerykańskiej w Wietnamie. Rozmawiał z poważnym reporterem z „Washington Post”, wyrażając zdecydowaną sympatię dla polityki administracji Nixona, znacznie zwiększającej liczebność żołnierzy amerykańskich w Wietnamie. Ponieważ Millgate był osobą ogólnie szanowaną, uznano, że jego wypowiedź reprezentuje opinie także innych konserwatywnych politologów, a zwłaszcza pozostałych superdoradców. Rzeczywiście, intensyfikacja zaangażowania USA w Wietnamie wskazywała, że Millgate istotnie wspierał politykę, którą sformułował wspólnie z czterema innymi superdoradcami, i na przyjęcie której nalegał na Nixona różnymi prywatnymi kanałami.

W czasie kiedy Pittman zaczął się interesować Millgate'em z powodu rzekomego skandalu z bronią, jego wpływ na decyzje prezydenta, jakkolwiek bardzo duży, nie był ujawniany, a jego talenty dyplomatyczne stały się wręcz mityczne. W rezultacie żadne źródła rządowe nie mogły, a może nie chciały udzielić o nim żadnej informacji. Pittman, będąc u szczytu kariery, pełen energii i zaangażowania, zwrócił się do Burta Forsytha o pozwolenie na zbadanie tej żywej legendy. Odbył około setki rozmów telefonicznych próbując skontaktować się z kolegami Millgate'a z kręgów rządowych i biznesu. Żaden z nich nie chciał udzielić wywiadu. Pittman zwrócił się również do biura prawnego Millgate'a, próbując zasięgnąć wiadomości. Wszędzie go zbywano, odsyłając od sekretarki do sekretarki, podając nieistniejące numery telefoniczne. Pittman dzwonił nawet do Departamentu Sprawiedliwości w nadziei, że urzędnicy prowadzący śledztwo w sprawie afery z bronią zdradzą się, w jaki sposób uzyskali z nim kontakt. Niestety, odpowiedź brzmiała, że Departament nie widzi potrzeby kontaktowania się z Millgate'em i że pogłoski o kopniaku, który jakoby oberwał z powodu rzekomego udziału w skandalu z bronią, okazały się pozbawione podstaw, a śledztwo zostało zamknięte w początkowej fazie.

— Czy mógłbym wiedzieć, który prawnik reprezentował pana Millgate'a we wstępnych przesłuchaniach?

Po dłuższej pauzie odpowiedziano mu:

— Niestety, nie.

30

— Nie dosłyszałem pańskiego nazwiska. Czy mógłbym wiedzieć, z kim rozmawiam?

Słuchawka została odłożona.

Pittman skontaktował się z pewnym hackerem komputerowym, o którym kiedyś pisał. Artykuł, który spodobał się włamywaczowi, mówił o motywach, dla których wkradł się on do ściśle tajnych zbiorów informacji w Departamencie Obrony.

— Chciałem pokazać, jak łatwo można to zrobić, ponieważ dostęp do danych nie jest zabezpieczony — przekonywał włamywacz.

Mimo zapewnień, że powodował się lojalnością wobec rządu, poszedł jednak do pudła na trzy lata. Niedawno zwolniony, był jeszcze pełen goryczy z powodu odsiadki i z entuzjazmem zgodził się na prośbę Pittmana. Posługując się modemem dostał się do danych komputerowych spółki telefonicznej w Massachusetts.

— Nie figuruje w spisie numerów? Drobiazg. Sprawdź te numery: facet ma ich aż cztery.

Pittman spojrział na świecący ekran monitora i zaczął zapisywać.

— Daj spokój z tą bazgraniną, wydrukuję ci wszystkie dane. W ten sposób zdobył nie tylko prywatny numer Millgate'a, lecz

także adres jego rezydencji w Bostonie i posiadłości w Martha's Vineyard. Uparcie dzwonił pod każdy numer. Wszyscy rozmówcy traktowali go z szacunkiem, ale tylko do momentu, kiedy zaskoczeni dowiadywali się celu rozmowy.

— Żądam, aby podał pan, skąd ma ten numer.

— Powiem, jeśli pozwoli mi pan mówić z panem Millgate'em.

— Dla której gazety pan pracuje?

Piętnaście minut po ostatniej rozmowie Pittman został wezwany do gabinetu Burta Forsytha.

— Koniec z pisaniem o Millgacie.

— Chyba żartujesz?

— Chciałbym, żeby tak było. Właśnie miałem telefon od wydawcy „Chronicie”, do którego

dzwonił ktoś cholernie wpływowy. Dostałem wyraźnie polecenie, by ci kategorycznie wyperswadować ten reportaż.

— I rzeczywiście masz zamiar to zrobić?

Burt zmrużył oczy od dymu z papierosa. W tamtych czasach palenie w budynku nie było zabronione.

31

•
— Powinieneś wiedzieć, kiedy należy być twardym, a kiedy należy się ugiąć. Teraz właśnie trzeba tak zrobić. Gdybyś chociaż miał coś konkretnego, a ty na razie tylko wężysz, mając nadzieję, że na coś trafisz. I, prawdę mówiąc, zajmuje ci to więcej czasu, niż się spodziewałem. Musisz też wziąć pod uwagę coś jeszcze. Sugerowano mi, że uzyskałeś numery Millgate'a z naruszeniem prawa. Co ty na to?

Pittman nie odpowiedział.

— Zostaw to i weź się za coś innego.

Pittman był wściekły na Burta przez kilka dni, ale obiekt jego złości wkrótce się zmienił. Wiązało się

to w pewien sposób z przydzielonym mu tematem, dotyczącym brutalnego działania policji, oraz z tym, co stało się później. W wolnym czasie pojechał do Bostonu z zamiarem czatowania na Millgate'a,

kiedy będzie wychodził z rezydencji. Miał zamiar jechać za jego limuzyną, dopóki nie znajdzie się w

odpowiednim miejscu, aby mógł mu zadać kilka pytań. W minutę po zaparkowaniu na trzypasmowej

drodze przy rezydencji, pojawił się wóz policyjny. Godzinę później, w areszcie, dwóch więźniów wszczeło z nim bójkę i tak go pobili, że musiał potem wydać tysiąc dolarów na dentystę.

Odwiedzając go w szpitalu Burt pokręcił głową.

— Uparciuch.

Zdrutowana szczeka Pittmana nie pozwoliła mu na odpowiedź.

Pittman wysączył resztki jacka danielsa i rzucił spojrzenie w kierunku barmana, który wciąż jeszcze,

jak się wydawało, był zdziwiony widokiem klienta z prawdziwego zdarzenia. Do środka wszedł mężczyzna z wypchaną papierową torbą, rozejrzał się po ciemnym wnętrzu i uniósł brwi na widok

Pittmana. Odnotował lekkie wzruszenie ramion i skiniecie głowy barmana, po czym skierował się do

pomieszczenia na zapleczu.

Pittman pomyślał właśnie, czy nie zamówić jeszcze jednego bourbona, kiedy zerknął na zegarek i zobaczył, że jest prawie wpół do drugiej. Zasiedział się. Nie myślał o Millgacie od dawna, na długo przed chorobą Jeremy'ego. Szczeka zagoiła się. Pracował nad innymi tematami. Millgate pozostał niewidoczny, zapomniany. Co z oczu, to i z serca. Po całym wydarzeniu pozostała regularnie boląca podczas chłódów szczeka. Przesuwając palcami po miejscu złamania, przypominał sobie, jak próbował ustalić, kim byli dwaj więźniowie, którzy wtedy go tak zmasakrowali. Zostali zamknięci

w tej samej celi pół godziny po nim. Podobno oskarżono ich

o pijaństwo w miejscu publicznym, jednak kiedy go bili, Pittman nie czuł w ich oddechu alkoholu.

W

wyniku bałaganu w papierach, wkrótce po bójce zostali zwolnieni. Nosili pospolite nazwiska, mieli tymczasowe adresy i nigdy nie udało mu się do nich dotrzeć

1 dowiedzieć, kim naprawdę byli i czy Millgate był za to wszystko odpowiedzialny.

Kiedy wyszedł z mrocznego baru na rażące aż do bólu popołu-

32

dniowe słońce, poczuł, jak zamiast zimnej rozpaczki opanowuje go wściekłość. Nigdy nie znosił arystokratów i ich przekonania, że pieniądze i status społeczny czyni ich równymi królom.

Nienawidził pogardy, z jaką traktowali innych, uważając się za nietykalnych. U szczytu kariery, jako

reporter działu krajowego, Pittman w swoich artykułach ujawniał działania przestępcze wysokich sfer,

a Jonathan Millgate był najpoważniejszym celem, jaki kiedykolwiek sobie postawił.

— Powinienem być bardziej wytrwały.

Złość ogarniająca Pittmana nagle opadła. Przed sobą, na ruchliwym skrzyżowaniu, gdzie piesi zatrzymali się na czerwonym świetle, zauważył wysokiego chudego chłopca z długimi włosami, szczupłymi ramionami i wąskimi biodrami, poruszającego się lekko w takt wyimaginowanej muzyki.

Wyglądał na piętnaście lat. Miał na sobie pomiętą drelichową kurtkę z wizerunkiem jakiejś gwiazdy rocka. Jego džinsy były wypłowiałe. Nosił sportowe buty z wysoką cholewką, ufarbowane na zielono i

upstrzone napisami. Od tyłu chłopiec tak bardzo przypominał Jeremy'ego, że Pittmana aż ścisnęło w

sercu. Po chwili chłopiec odwrócił głowę, żeby powiedzieć coś do kolegi i okazało się, że wcale nie był taki podobny. Szczeka Jeremy'ego nie była tak mocno zarysowana, cera nie taka jasna, zęby zaś potrzebowały aparatu. Fizycznie nie był doskonały, ale był wspaniałym synem. Nie tylko dlatego, że

Jeremy nigdy nie sprawiał kłopotów, miał znakomite stopnie i odnosił się do wszystkich z szacunkiem. Wszystko to było ważne, ale Pittman najbardziej tęsknił za jego ujmującą osobowością.

Chłopiec obdarzony był cudownym poczuciem humoru. Zawsze roztaczał wokół siebie tyle radości.

Pittman nigdy nie wątpił, że jego życie jest lepsze dzięki synowi.

Wszystko się skończyło — pomyślał.

Chwilowy wybuch złości, jaki poczuł myśląc o Millgacie, zgasł. Wiązał się z innym czasem, innym życiem — zanim jeszcze Jeremy zachorował. Pittman z niechęcią pomyślał o podstępie Burta, który chciał go zająć sprawami Jonathana Millgate'a i w ten sposób pomóc przyjacielowi. Ten pomysł był znieważeniem pamięci Jeremy'ego.

Powinienem mu być powiedzieć, żeby się wypchał.

Nie. Dotrzymaj słowa. Kiedy skończysz, będziesz czysty. Nic nikomu nie będziesz winien.

10

Dawniej Pittman poszedłby do pomieszczenia w podziemiu, gdzie przechowywano stare numery gazety na mikrofilmach. Główny indeks zawierał hasła „Millgate” i „super-doradcy”. Pittman mógłby

się z nich dowiedzieć, które wydania i strony gazety wyświetlić na mikrofilmach. Dział gazety, gdzie

przechowywano mikrofilmy, tradycyjnie nazywany był „kostnicą”. Choć taśma filmowa została zastąpiona przez pliki komputerowe, śmierć tak mocno wryła się w umysł Pittmana, że kiedy usiadł za

biurkiem, włączył komputer i nacisnął klawisze, znów pomyślał, że wchodzi do kostnicy.

Biorąc pod uwagę tajemniczy styl życia Millgate'a, nie zaskoczyło go, że nie znalazł zbyt wielu informacji. Od czasu kiedy Pittman zajmował się tą sprawą, siedem lat temu, przybyło zaledwie kilka

drobnych pozycji. Millgate'a i pozostałych czterech super-doradców, zachowujących silną władzę polityczną nawet kiedy nie byli bezpośrednio związani z rządem, fetowano na obiedzie w Białym

Domu, gdzie prezydent odznaczył Millgate'a Medalem Wolności, najwyższym cywilnym odznaczeniem amerykańskim. To on towarzyszył prezydentowi na pokładzie Air Force One w drodze do Genewy na międzynarodową konferencję na temat gospodarki światowej. On także założył instytut do badań nad postkomunistyczną odbudową Rosji. Przed komisją senacką Millgate przekonywał o swoim wielkim uznaniu dla kandydata do Sądu Najwyższego, który przypadkowo był synem jednego z superdoradców.

35

Zadzwoił telefon.

Pittman podniósł słuchawkę.

— Nekrologi.

Dowiedział się, że pięćdziesięciodwuletnia kobieta zginęła w pożarze. Była niezamężna, bezdzietna,

nie pracująca, nie należała do żadnej organizacji. Z wyjątkiem brata, z którym Pittman właśnie rozmawiał, nie miała żadnych krewnych. Nekrolog był więc z konieczności niezwykle lakoniczny, tym bardziej że brat nie chciał, by zamieszczono jego nazwisko z obawy przed ludźmi, którym siostra

była winna pieniądze.

Bezbarwność życia tej kobiety wprawiła Pittmana w przygnębienie. Kręcąc głową, zdeprimowany zakończył rozmowę i spojrział na zegarek. Była prawie trzecia. Szara mgła, w której stale się poruszał,

wydawała się gęstnieć. Telefon zadzwonił ponownie. Tym razem był to Burt Forsyth, który spytał żalobnym głosem:

— Jak tam nekrolog Millgate'a?

— Czy to już?...

— Wciąż jest na intensywnej terapii.

— Nie ma tego zbyt wiele. Skończę przed pójściem do domu.

— Nie wciskaj mi kitu — powiedział Burt. — Obaj dobrze o tym wiemy. Materiał ma być wypełniony treścią. Siedem lat temu nie poddałbyś się tak łatwo. Szukaj. Kiedyś skarżyłeś się, że nie

możesz znaleźć dojścia do Millgate'a. Teraz się tak łatwo nie wywinie. W szpitalu będą krewni lub znajomi, którzy czekają na wiadomość. Pogadaj z nimi. Do diabła, wymyśl coś, jak dostać się do jego

pokoju i pogadać z nim samym.

11

Stał dobrą chwilę przed szarym budynkiem szpitala. Kwietniowy dzień był ciepły, ale kiedy słońce skryło się za wieżowcami, chłodny cień sprawił, że wtulił głowę w ramiona, wywijając rękami dla rozgrzewki.

Był to ten sam szpital, w którym zmarł Jeremy. Pittman podszedł do rogu, naprzeciw wejścia dla nagłych wypadków, tego samego, gdzie często wystawał do późna w noc po wizycie u syna. Mógł widzieć stąd okno jego pokoju na dziewiątym piętrze. Wpatrując się w nie w ciemności długimi godzinami, modlił się, żeby Jeremy'ego nie obudziły nagle torsje wywołane chemioterapią. Pośród odgłosów ulicy Pittman usłyszał wycie syreny. Karetka ostro skręciła i wjechała na podjazd. Wskoczyła z niej obsługa i szybko umieściła pacjenta na ruchomych noszach. Piesi popatrzyli przez

chwilę na zamieszanie i nie zatrzymując się podążali swoją drogą.

Pittman przełknął ślinę, rzucił okiem w kierunku okna Jeremy'ego — tak wciąż nazywał je w myślach

— po czym odwrócił się. Jonathan Millgate przebywał w tym samym szpitalu, na oddziale intensywnej opieki dla dorosłych, na tym samym piątym piętrze w pobliżu oddziału dziecięcego,

gdzie

zmarł Jeremy. Pokręcił głową. Nie mógł zmusić się do wejścia do szpitala, wjechania na to samo piętro, nie mógł stawić czoła cierpieniu widocznemu na twarzach ludzi czekających na wiadomości

o

swoich najbliższych. Jedyne, co mógł zrobić, to przestać wyobrazać sobie, że jest jednym z nich, nie

siedzieć razem z nimi, jakby czekał na wieści o synu.

37

Nie mógłby tego znieść.

Wrócił do domu. Zamiast wziąć taksówkę, poszedł piechotą. Chciał zabić czas. Robiło się coraz chłodniej, zatrzymał się więc na kilka drinków — żeby zabić czas. Winda w czasie jazdy do jego mieszkania na drugim piętrze skrzypiała i zgrzytała. Zamknął się w mieszkaniu, słysząc jak śmiech

z

telewizyjnego show przenika cienkie ściany mieszkania obok, i wypił kolejnego drinka.

Zabić czas.

Siedział w ciemności. Wyobrażał sobie, jak mogłoby być, gdyby syn żył. W związku ze zbliżającymi

się rozgrywkami koszykówki, spędziłby najbliższe sobotnie popołudnie grając z Jeremym jeden na jednego. Potem mogliby pójść na pizzę i do kina albo do Tower Records, dokądkolwiek by chcieli. Przyszłość należałaby do nich.

Zaszlochał.

Zapalił światło w kuchni, otworzył szufladę, gdzie trzymał czterdziestkępiątkę, i wyjął broń.

Na wpół świadom, że minęła godzina ósma i że za ścianą zaczął się następny program, wpatrywał się

w pistolet. Jak w powiększeniu mikroskopowym widział lśniący błękitny metal, spust, kurek, otwór lufy, z którego kula mogłaby...

Następną rzeczą, którą sobie uświadomił, był nowy dźwięk: głęboki głos mężczyzny mówiącego urzędowym tonem. Dochodził z mieszkania obok.

Głos należał do prezentera wiadomości telewizyjnych. Marszcząc czoło Pittman odwrócił wzrok od broni i spojrzął na zegar kominkowy. Cyfry przeskoczyły z dziesiątej zero trzy na dziesiątą zero cztery. Zmarszczył mocniej czoło. Pistolet tak go zahipnotyzował, że nie zdawał sobie sprawy, ile czasu minęło. Drżącą ręką odłożył go. Za ścianą spiker mówił coś o Jonathanie Millgacie.

12

Nie widuję cię ostatnio, Matt. Postawny Włoch miał siwe włosy wymykające się spod czapki baseballowej, nosił także golf drużyny Jankesów. Kiedy Pittman wszedł do jadalni, mieszal właśnie

chochlą w dużym parującym garze, z którego dochodził zapach rosółu.

Pomieszczenie było wąskie. Stoliki, których blaty pokryte były płytą drewnopodobną, umieszczono pod jedną ścianą, lada stała po drugiej stronie. Jarzeniówki u sufitu oślepiły Pittmana, gdy z ciemności

ulicy wszedł do środka. Była prawie jedenasta. Usiadł przy barze i skinął głową w kierunku jedyne

klienta, czarnoskórego mężczyzny pijącego kawę przy stoliku.

— Chorowałeś? — zapytał kucharz. — Dlaczego nie zagładałeś?

— Czy wyglądam na chorego?

— Wyglądasz, jakbyś miał nieprzerwanego kaca. Ubranie wisi na tobie jak worek. Straciłeś na wadze

przynajmniej piętnaście funtów. A sądząc z sińców pod oczami, chyba nie sypiasz zbyt wiele.

Pittman nie odezwał się.

— Co dzisiaj zamawiasz?

— Na początek chciałbym cię prosić o przysługę. Kucharz mieszal zupę udając, że nie słyszy.

— Czy mógłbyś to dla mnie przechować?

— Co? — kucharz spojrział na ladę i powiedział jakby z ulgą: — To pudło?

Pittman kiwnął głową. Pudełko po papierze do drukarki komputerowej skrywało pistolet i paczkę naboju. Aby broń nie grzechotała przy obracaniu pudełka, wypchał je pogniecionymi gazetami, a na koniec pooklejał taśmą.

— Muszę to gdzieś przechować — powiedział Pittman, — Mogę ci zapłacić...

— Nie trzeba — odparł kucharz. — Co w nim jest? Dlaczego nie możesz go trzymać u siebie?

Mam nadzieję, że to nic podejrzanego?

— Nie, to tylko pistolet.

— Pistolet?

Pittman uśmiechnął się jak z dobrego żartu.

— Pracuję na książkę. To jest wydruk i dyskietki. Mam fioła na punkcie pożaru. Chciałem poprosić o to swoją przyjaciółkę, ale właśnie się pokłóciliśmy. Nie chciałem przechować kopii we własnym mieszkaniu.

— Mówisz, książka? O czym?

— O samobójstwie. Należ mi talerz rosołu.

Pittman zabrał się do jedzenia pierwszego posiłku od trzydziestu sześciu godzin.

13

Zapakował pistolet i zostawił go kucharzowi, ponieważ wpatrując się wciąż w broń i tracąc poczucie upływu czasu uznał, że istnieje duża możliwość, że skorzysta z niej, zanim spełni daną Burtowi Forsythe'owi obietnicę pracy w „Chronicie” aż do samego końca. Wysilek, wymagający przeżycia każdego dnia, gorycz i pustka, jakie odczuwał, były tak silne, że nie był pewien, czy przetrzyma jeszcze osiem dni. W ten sposób, jeśli ogarnie go nowa fala rozpacz, będzie miał szansę odzyskania panowania nad sobą w czasie koniecznym na dotarcie do jadłodajni, odebranie pudła i powrót do domu.

Teraz musiał zrobić to, czego wymagał od niego Burt — zająć się czymś innym. Jonathan Millgate nic już dla niego nie znaczył. Tak jak jego własna kariera, tak jak „Chronicie”. Ale Burt Forsythe to coś innego. Przez szacunek dla Jeremy'ego Pittman czuł, że musi dotrzymać obietnicy. Jeszcze tylko przez osiem dni.

Niechętnie wracał do szpitala. Tym razem wziął taksówkę. Nie dlatego, że się spieszył. Czasu miał dużo i nawet wolałby się przespacerować, ale droga do szpitala wiodła przez okolice o tej porze niebezpieczne. Było gorzką ironią, że starając się odwlec swoją śmierć o osiem dni, musiał tak bardzo uważać, żeby nie zginąć przypadkowo wcześniej.

Wrócił do szpitala z powodu wzmianki w telewizji. Gdy przez cienkie ściany usłyszał doniesienia reportera, w pierwszej chwili pomyślał, że Millgate zmarł i podają krótki komentarz na temat

41

jego kariery w służbie publicznej. Burt Forsythe byłby niezadowolony, że polityk pospieszył się, zanim Pittman zdążył przygotować nekrolog do porannego wydania. Z informacji w telewizji nie wynikało jednak, że superdoradca zmarł. Wprost przeciwnie, Millgate znajdował się wciąż pod intensywną opieką, co podkreślał komentator.

Wiadomość dotyczyła kolejnego domniemanego skandalu w otoczeniu polityka. Tego wieczoru przeniknęła do prasy kopia specjalnego raportu prokuratora z Departamentu Sprawiedliwości, wywołując konsternację rządu. Był to pierwszy projekt, absolutnie nie przeznaczony do publikacji, który wskazywał na Millgate'a jako negocjatora w potajemnej próbie zakupu broni atomowej od znajdujących się w chaosie rządów pewnych państw dawnego Związku Radzieckiego, próbie nie uzgodnionej z Kongresem. Oskarżenie to nie było poparte dowodami. Były to jedynie sugestie, w jakim kierunku Departament Sprawiedliwości mógłby ewentualnie prowadzić śledztwo. Ton głosu spikera brzmiał jednak tak, jakby oskarżenia były ustalonymi faktami. Winny — przed ogłoszeniem wyroku. Po raz drugi w ciągu siedmiu lat wymieniło się Jonathana Millgate'a jako pośrednika w wielkiej aferze z bronią. Pittman wiedział, że jeśli i tym razem nie uda mu się zbadać sprawy, jeśli nie uda mu się nawet wydobyć oświadczenia od ludzi Millgate'a, Burt Forsythe będzie miał mu za złe, że nie zrobił wszystkiego dla „Chronicie”.

Pittman czuł się zobowiązany ze względu na to, co Burt uczynił dla Jeremy'ego.

14

Zatrzymał się na rogu, na wprost szpitalnego wejścia. Było już po dwunastej i mżawka potęgowała chłód kwietniowej nocy. Zapiął szczelniej swój wymięty angielski prochowiec, czując, jak wilgoć przenika nawet przez podeszwy butów. Mżawka odbijała się aureolą wokół palących się latarni i wejścia do szpitala. Natomiast światła w niektórych oknach były ledwo widoczne, sprawiając, że Pittman poczuł się dziwnie samotny. Wpatrywał się w okno Jeremy'ego na dziewiątym piętrze, ale było ono ciemne. Czując rosnące osamotnienie przeszedł na drugą stronę ulicy.

O tej porze ruch uliczny był bardzo mały, a podjazd do szpitala prawie pusty. Usłyszał daleki odgłos syreny. Mżawka nasiliła się, wilgoć przedostała mu się za kołnierz. Podczas choroby Jeremy'ego Pittman poznał wszystkie zakątki w szpitalu: rozmieszczenie różnych oddziałów, najspokojniejsze korytarze, miejsca gdzie stały automaty do kawy i można było kupić kanapkę, gdy główny bufet był nieczynny. Kiedy przywoził Jeremy'ego na chemioterapię, największy niepokój budziło w nim przebrnięcie przez główne wejście i hol. Rak tak osłabił jego syna, że Pittman obawiał się, że w tłumie ktoś niechcący może go potrącić. Jeremy miał niski poziom czerwonych krwinek i przypadkowy uraz wymagałby długiego leczenia. W dodatku spojrzenia ludzi, zaszokowanych widokiem łysego piętnastolatka z wymizerowaną twarzą i czaszką siną od naczyń krwionośnych widocznych tuż pod skórą, były dla Pittmana nieznośne. Niezwykle uczulony na reakcje syna, wybierał boczną drogę, po lewej stronie

43

od wejścia dla nagłych przypadków. Używane było głównie przez pielęgniarki i praktykantów. Pittman odkrył, że windy były tu szybsze, może dlatego że korzystało z nich mniej użytkowników. Przemierzając tę drogę, minął prywatny ambulans zaparkowany obok wejścia. Niemal fizycznie odczuwał, że Jeremy idzie obok niego. Ambulans był szary i nie miał szpitalnych oznaczeń. Przez szparę w zasłoncek tylnego okna widać było światło, aparat tlenowy, różnego rodzaju monitory. Człowiek w białym kitlu sprawdzał działanie jakiegoś urządzenia.

Silnik ambulansu pracował, chociaż światła były wygaszone. Pittman zauważył masywnego mężczyznę w ciemnym ubraniu, który na jego widok rzucił niedopałek papierosa do kałuży i wyprostował się.

Chyba bardzo chciało się mu palić — pomyślał Pittman — skoro wystaje tu na deszczu.

Skinął mężczyźnie głową — bez reakcji z jego strony — i sięgnął do klamki. Zauważył, że nad wejściem nie paliło się światło. Wszedł do środka, wspiał się po czterech stopniach na odpowiadający

betonowym echem podest i wtedy zauważył innego krępego mężczyznę w ciemnym garniturze, opartego o ścianę w miejscu, gdzie schody prowadziły na górę. Człowiek miał twardy wyraz twarzy i

przymrużone taksujące oczy.

Pittman nie musiał korzystać ze schodów. Przez drzwi po drugiej stronie podestu wszedł do jasno oświetlonego korytarza, gdzie ogarnął go znajomy drażniący zapach jedzenia, środków antyseptycznych i lekarstw. Kiedy odwiedzał Jeremy'ego, zawsze czuł ten zapach, na każdym piętrze,

w dzień i w nocy. Był wszechogarniający. Nawet kilka tygodni po śmierci syna dawał się wyczuć na

marynarkach, koszulach, spodniach.

Bolesne wspomnienia wytrąciły Pittmana z równowagi.

Czy rzeczywiście warto się angażować? Znów wraca do szpitala. Czy warto przechodzić takie tortury,

by zadowolić Burta?

Drzwi windy znajdowały się na wprost wejścia do korytarza. Obawiał się, że gdyby poszedł przed siebie, nie oparłby się pokusie wjechania na dziewiąte piętro, gdzie dawniej znajdował się pokój Jeremy'ego, zamiast na piąte, gdzie zmarł syn i gdzie teraz przebywał Millgate.

Nagły ruch po prawej stronie zatrzymał Pittmana. Oparty o ścianę barczysty mężczyzna zrobił krok do

przodu. Stał w takim miejscu, że Pittman nie zauważył go, kiedy zmierzał do windy. Mężczyzna miał

na sobie zbyt obszerną wiatrówkę.

— Może pomóc? — Jego głos brzmiał, jakby przełykał tłuczone szkło. — Zgubił się pan? Wskazać drogę?

— Nie, dziękuję. Zamyśliłem się.

Agresywny ton zaskoczył go. Instykt ostrzegał, żeby nie mówić prawdy.

— Mam chorego syna na dziewiątym piętrze. Pielęgniarki pozwoliły mi odwiedzać go w nocy. Czasem muszę się zmuszać, żeby tam iść.

— Chory? Bardzo?

— Rak.

— To rzeczywiście kiepsko.

Mężczyznę najwidoczniej nic to nie obchodziło, a Pittman ze ściśniętym żołądkiem dał najbardziej niewinną i wiarygodną odpowiedź, jaką mógł wymyślić. Nie miał najmniejszego zamiaru podawać prawdziwego powodu przyjścia do szpitala człowiekowi, którego wiatrówka ukrywała wyraźnie widoczną wypukłość po lewej stronie.

Na odgłos kroków Pittman odwrócił się. Zobaczył jeszcze jednego postawnego mężczyznę, tym razem

w płaszczu. Człowiek ten stał przy ścianie po przeciwnej stronie drzwi niż tamten w wiatrówce. Na ich ubraniach nie było widać śladów wilgoci. Zaczęło padać przed piętnastoma minutami, musieli więc czekać w korytarzu co najmniej tak długo.

— Dlaczego?

Pittman przypomniał sobie człowieka z papierosem na zewnątrz i drugiego na schodach i poczuł niepokój.

— Idź lepiej na górę do swojego chłopaka — powiedział mężczyzna.

— Dobra.

Jeszcze bardziej spięty zamierzał właśnie przycisnąć guzik windy, kiedy usłyszał gong i drzwi nagle się otworzyły. Donośna rozmowa osadziła go w miejscu.

— Nie biorę za to odpowiedzialności!

— Nikt pana o nic nie prosi. Teraz to mój pacjent.

45

W windzie było ciasno. Mężczyzna na łóżku, z maską tlenową na twarzy i rurką od kroplówki prowadzącą do lewego ramienia, został szybko wywieziony przez dwóch sanitariuszy w białych kitlach. Za nimi podążała pielęgniarka trzymając nad pacjentem butlę z płynem dożylnym.

Szczupły

młody mężczyzna klócił się ze starszym o czerwonej twarzy, ze stetoskopem na szyi, i czymś, co wyglądało na akta choroby w ręku.

— To ryzyko...

— Powiedziałem, że biorę to na siebie.

Młody człowiek wyskoczył z windy i w tej chwili Pittman poczuł, jak ktoś chwycił go z tyłu za ramiona i odsunął na bok. Łóżko, dwaj sanitariusze, pielęgniarka i młody człowiek przemknęli tuż przy nim w kierunku drzwi do klatki schodowej. Kiedy człowiek ze stetoskopem zastąpił im drogę, próbując ich zatrzymać, dwaj dobrze zbudowani, poważni mężczyźni w ciemnych garniturach (oni także byli w windzie) wyrosli przed nim jak ściana.

— Do diabła, jeśli nie zejdziecie mi z drogi...

— Spokojnie, doktorze. Wszystko jest w porządku. Pittman skulił się od bolesnego ucisku rąk, które

go chwyciły.

Przez okienko zobaczył, jak mężczyzna, który czekał na podeście, błyskawicznie otworzył drzwi.

Sanitariusze przepchnęli łóżko, podnieśli je i znieśli po schodach do wyjścia.

Chociaż unieruchomiony, Pittman zdołał odwrócić głowę na tyle, żeby zobaczyć mężczyznę, który przedtem palił papierosa na deszczu, a teraz przytrzymał otwarte drzwi.

Obsługa szybko wywiozła łóżko, znikając w ciemności razem z pielęgniarką i szczupłym młodym człowiekiem. Barczysty mężczyzna cofnął się uwalniając Pittmana i szybko zbiegł po schodach do wyjścia.

Człowiek ze stetoskopem dygotał.

— Na Boga, dzwonię na policję. Nie mogą tak przecież... Pittman nie odezwał się, chcąc usłyszeć resztę zdania. Zamiast

tego usłyszał dwukrotne trzaśnięcie otwieranych i zamykanych drzwiczek prywatnego ambulansu.

Zbiegł po schodach. Wysłając wzrok, w deszczowej mglistej ciemności zobaczył odjeżdżający ambulans, za którym ruszyła ciemna limuzyna oldsmobile.

Puścił się pędem przez kałuże. Biegł, wydychając kłęby pary, do rogu szpitala. Kiedy tu przyjeżdżał z

Jeremym, poznał miejsca, gdzie można było najłatwiej złapać taksówkę.

46

Pusta taksówka właśnie nadjeżdżała, niemal potracając Pittmana, który przebiegał przez ulicę.

— Uważaj, kolego!

Pittman wgramolił się do środka.

— Mój ojciec jest w tej karetce!

Wskazał na przecnicę dalej, gdzie ambulans i ciemny oldsmobile zatrzymały się na światłach.

— Wiozą go innego szpitala. Proszę jechać za nimi.

— Ten szpital mu nie odpowiada?

— Nie mają odpowiedniej aparatury. Niech pan już rusza. Pittman podał kierowcy dwudziestodolarowy banknot. Taksówka ruszyła z piskiem opon.

Pittman siedział zdenerwowany na tylnym siedzeniu ocierając pot z czoła i łapiąc oddech.

Co się, do diabła, dzieje? — zastanawiał się.

Chociaż tlenowa maska ukrywała twarz pacjenta na łóżku, Pittman zauważył pomarszczone, pokryte

plamami wątrobowymi dłonie, obwisłą skórę na szyi, przerzedzone siwe włosy. Nie było tego wiele,

ale miał dziwne przekonanie, że człowiekiem na łóżku był Jonathan Millgate.

15

— W jaki sposób?

Deszcz bębnił o dach taksówki.

— Przepraszam, nie słuchałem...

— Jak mi pan zapłaci? Ma pan gotówkę? Uzbiera się chyba ze sto dolców.

— Niech się pan nie martwi. Wszystko ureguluję.

— Gadanie. Chcę wiedzieć, czy ma pan forszę... Zaraz, wygląda na to, że się zdecydowali.

Napis przy zjeździe w kierunku północnym informował: SCAR-SDALE/WHITE PLAINS.

Mówił pan, że wiozą ojca do innego szpitala — odezwał się taksówkarz. — Rzeczywiście.

— Ale chyba nie w centrum. Dojeżdżamy już do New Rochelle. Pittman przysłuchiwał się rytmicznemu odgłosowi pracujących

wycieraczek. Pisk opon na mokrej nawierzchni pozwolił mu na chwilę namysłu.

— Karetka ma łączność radiową. Może dowiedzieli się, że szpital, do którego jechali, nie ma potrzebnej aparatury.

— Tam gdzie mieszkam, na Long Island, jest mnóstwo dobrych szpitali. Czemu tam nie pojechali?

A

w ogóle, co jest pańskiemu ojcu?

— Serce.

— To tak jak z moim bratem. Pali, skubany, od trzydziestu lat. Ledwo się rusza. Może pana stary jest

wystarczająco silny, żeby to przetrzymać. Wygląda na to, że w La Rochelle też się nie zatrzymają.
Jak

tak dalej pójdzie, dojedziemy do Connecticut.

Światła reflektorów odbijały się w mokrym asfalcie.

— Lepiej zawiadomię swojego dyspozytora — powiedział kierowca. — Przykro mi z powodu pańskiego ojca, ale taki długi kurs wymaga zezwolenia. Jeśli wylądujemy w Stamford albo diabli wiedzą gdzie, nie znajdę chętnego do jazdy. Będzie pan musiał zapłacić za powrót.

— Zapłacę.

48

4 — Desperackie kroki

16

Co to za drzewa po prawej? — Wygląda to na park — powiedział Pittman. — Albo na jakiś pieprzony

las. Wyjechaliśmy poza miasto, kolego. Co mnie, u licha, podkusiło? Jak mam tu złapać powrotny kurs do miasta?!

— Nie jesteśmy na odludziu. Niech pan spojrzy na te wille po lewej. To jakieś osiedle dla bogaczy. Tu jest napis: „Park i Klub Golfowy Saxon Woods”.

— A ci faceci w karetce szykują się, żeby zagrać z pańskim ojcem w golfa... Uwaga, zwalniają. Taksówkarz również zwolnił.

— Skręcają — powiedział Pittman. — Tam, na prawo. Taksówkarz jechał dalej, mijając wysoki kamienny mur i bramę

z drogą dojazdową. Kiedy czerwone światła ambulansu i oldsmobila oddaliły się w ciemnościach, wysoka, zrobiona z żelaznych prętów brama automatycznie powróciła na swoje miejsce.

— W dzisiejszych czasach szpitale wyglądają jak rezydencje — powiedział kierowca. — Co tu się, do diabła, dzieje?

— Nie mam najmniejszego pojęcia.

— Co?!

— Przyznaję uczciwie, że nie wiem. Mój ojciec jest naprawdę chory...

— To coś z narkotykami?

Pittman był zbyt zbity z tropu, by odpowiedzieć.

50

— Zadałem panu pytanie.

— Nie, to nie narkotyki. Przecież widział pan, że ambulans wyjechał ze szpitala.

— Powiedzmy. Nie mam zamiaru jeździć przez resztę nocy po Scarsdale, jeżeli tu w ogóle jesteśmy.

Koniec jazdy, brachu. Masz dwa wyjścia: wracasz ze mną albo wysiadasz. Tak czy tak, płacisz za kurs

w obie strony.

Kierowca zawrócił taksówkę.

— Proszę mnie wysadzić tam, gdzie zjechali z drogi — powiedział Pittman.

Taksówkarz wyłączył światła, zatrzymując się pięćdziesiąt jardów od bramy.

— Lepiej, żeby się nie dowiedzieli, że jechaliśmy za nimi.

— Mówiłem, że nie chodzi o narkotyki.

— Akurat. Jesteś mi winien sto piętnaście dolców. Pittman sięgnął do kieszeni.

— Dałem już dwadzieścia dolarów.

— Do kogo ta mowa? To dopiero napiwek.

— Nie mam przy sobie tyle gotówki...

— Co?! Pytałem wcześniej czy masz forszę...

— Mam kartę kredytową.

— Wsadź ją sobie gdzieś. W taksówce nie da się jej sprawdzić.

— To dam panu czek.

— Daj pan spokój. Wyglądam na frajera? Ostatnim razem, kiedy przyjąłem czek, okazało się, że...
— Przecież mówię, że nie mam gotówki. Mógłbym dać zegarek, ale nie jest wart nawet piętnastu dolarów.
— Czek... — wymamrotał kierowca. — Pieprzona robota... Kiedy Pittman wypisał czek i podał go, kierowca dokładnie przyjrzał się adresowi.
— Pokaż mi swoje prawo jazdy — zażądał. Zapisał numer ubezpieczenia Pittmana.
— Chłopie, jeśli czek okaże się fałszywy...
— Zapewniam, że nie...
— Przyjadę i połamię ci nogi.
— Proszę koniecznie zrealizować go w ciągu najbliższego tygodnia.
— A to czemu?

51

— Później mnie nie będzie.
Wyszedł z samochodu. Deszcz na szczęście zelżał i zamienił się w mgłę. Patrzył, jak taksówka odjeżdża w mroku. Dopiero w pewnej odległości kierowca włączył światła.
17

W zapadłej ciszy Pittman poczuł nagle bardzo samotny. Trzymając zziębnięte ręce w kieszeniach, szedł skrajem drogi. Wysypana była żwirem, ale piaszczyste, rozmiękłe od deszczu pobocze prawie całkowicie tłumilo jego kroki. Nie było żadnych latarni. Wyteżał wzrok, z trudem dostrzegając majaczący po prawej stronie mur. W pewnej chwili odcień ciemności zmienił się, uświadamiając mu, że stoi przy ażurowej bramie.

Nie dotykając jej wpatrywał się przez pręty. Daleko na podjeździe, za drzewami i krzakami jaśniały światła rezydencji.

Co teraz? — pomyślał. — Jest druga nad ranem. Mokro, i zmarzłem na kość. Nie mam pojęcia, gdzie jestem. Nie powinienem był jechać do szpitala i ścigać tego cholernego ambulansu. W ogóle nic nie powinienem...

Kiedy wzrok przywykł mu do ciemności, przyjrzał się wierzchołkowi bramy i pokręcił głową. Był pewien, że potrafiłby przez nią przeleźć, ale bardziej niż pewne było, że zainstalowano na niej czujniki alarmu. Przed śmiercią Jeremy'ego i swoim załamaniem nerwowym pracował jakiś czas dla niedzielnego wydania gazety. Jeden z jego artykułów dotyczył człowieka, którego Pittman nazwał „Bugmaster” — mistrzem od podsłuchu. Był on ekspertem od czujników przeciwwłamaniowych i innych elementów systemów bezpieczeństwa, na przykład urządzeń podsłuchowych, inaczej zwanych pluskwami, stąd „Bugmaster”. Widząc entuzjastyczne zainteresowanie Pittmana tematem, Bugmaster objaśnił mu szcze-

53
gółowo tajniki swojej profesji, a Pittman dzięki swej znakomitej pamięci nadał miał to wszystko w głowie.

Zdawał sobie sprawę, że posiadłość musi być zabezpieczona. Jak podkreślał „Bugmaster”, w takich sytuacjach nie wolno przechodzić przez ogrodzenie nie upewniwszy się przedtem, czy jakiś czujnik nie zostanie uaktywniony. Lecz o tej porze, i w dodatku w ciemnościach, Pittman nie miał żadnych możliwości, aby się

o tym przekonać.

Co mam, do diabła, zrobić? Trzeba było wrócić z taksówkarzem na Manhattan. Nic tu nie zdziałam, wystając na deszczu.

Jego uwagę przykuło światło, które nagle rozbłysło w oddali.

Dwa światła. Reflektory. Zbliżały się drogą prowadzącą z rezydencji. Pittman patrzył, jak stają się coraz większe. W pierwszej chwili chciał rzucić się do ucieczki i schować za rogiem, ale nagle zmienił

zamiar i przywarł do muru tuż obok bramy.

Usłyszał cichy, równo pracujący silnik i opony sunące po mokrym betonie. Najpierw brzęczyk, a

potem hurkot. Zdalne sterowanie uruchomiło silnik przy bramie. Zaczęła się otwierać do środka posiadłości, słychać było, jak kółka twardo przesuwają się po betonie.

Silnik samochodu zawarczał głośniejsze. Reflektory błysnęły w otwartej bramie. Szybciej niż się spodziewał, ciemny oldsmobile, który wcześniej eskortował ambulans, przemknął obok, skręcił w lewo, w tym samym kierunku co wcześniej taksówka, i pomknął w noc.

Pittman chciał pozostać w bezruchu, dopóki światła samochodu nie znikną na drodze. Nagle usłyszał

znów brzęczyk, a zaraz potem hurkot. Musiał działać błyskawicznie. Brama zamykała się szybciej, niż

się spodziewał, więc skoczył, by się dostać do środka, nim całkiem się zamknie.

Potężne skrzydło otarło się o jego płaszcz. Zamek zaskoczył

I znów zapanowała cisza.

18

Zdał sobie sprawę, że wstrzymuje oddech. Mimo rozległej przestrzeni poczuł nagle, jak ogarnia go klaustrofobia. Ciemność zdawała się go dusić, ale zimna mżawka otrzeźwiła go i wyostrzyła zmysły.

Wciągnął głęboko powietrze i rozejrzał się. Żadne zagrożenie nie wyłoniło się z cienia.

Spodziewałeś się ochroniarzy? Chyba nie... Może psów? Właśnie. Czy nie powinny biec za samochodem? Do tej pory już bym je zauważył. Możliwe. Jeżeli nie są przyuczone, by nie biegać za

samochodami. Zresztą cóż gorszego mogłoby cię spotkać? Jeśli rzeczywiście są tu psy, wytropią cię,

osaczają i będą czekać, dopóki ktoś nie nadejdzie. Oskarżą cię o naruszenie prywatnej własności.

Dla

faceta, który ma się zabić za osiem dni, to nie taki znów problem.

A jeśli psy wytresowane są do atakowania ludzi?

Przecież nie ma tu jakichś ściśle tajnych urzędzeń wojskowych. To tylko podmiejska rezydencja.

Spokojnie. Zresztą nawet jeśli psy atakują ludzi, to co z tego? Sądzisz, że zagryzienie przez parę dobermanów jest gorsze niż strzał z czterdziestkapiątki?

Tak. To zależy od kryteriów.

Zziębnięty i przemoczony Pittman ruszył naprzód. Z początku próbował podejść do budynku pod osłoną drzew, po chwili jednak uznał, że nie ma potrzeby; noc i paskudna pogoda były jego sojusznikami. Idąc wzdłuż ciemnego podjazdu doszedł do zakrętu i spostrzegł, że znalazł się bliżej rezydencji, niż się spodziewał.

55

Pod osłoną jodły wpatrywał się w cel swojej wyprawy. Budynek był wysoki, rozłożysty, zbudowany z

cegły z licznymi kominami i mansardami. Świeciło się w wielu oknach na parterze i w nielicznych na

pierwszym piętrze. Z miejsca gdzie stał, widział również garaż na pięć samochodów. Dach garażu stanowił taras z parą francuskich drzwi prowadzących do oświetlonego pokoju na piętrze. Pittman nie

mógł ze swojego miejsca dojrzeć, co działo się w środku. Jego uwagę przykuł ambulans z wygaszonymi światłami, najwidoczniej pusty, zaparkowany przed kamiennymi schodami prowadzącymi do frontowych drzwi rezydencji. I co teraz? — pomyślał Pittman.

Wzruszył ramionami. Co za różnica, w sytuacji kiedy pozostało mu raptem osiem dni życia. W jakiś

dziwny sposób czuł się wyzwolony. Zresztą co miał do stracenia? Znając termin swojej śmierci, był właściwie nietykalny.

Wyszedł zza drzewa i, starając się utrzymać równowagę na mokrej śliskiej trawie, podkładał się po pochyłości w stronę budynku. Posuwając się ostrożnie w kierunku światła pod osłoną krzaków, fontanny i wystającego balkonu, zbliżył się do oświetlonych okien. Buty i skarpetki miał

przesiąknięte

wilgocią od podmokłej trawy, stopy zziębnięte, lecz zbyt był zaintrygowany tym, co działo się we wnętrzu domu, żeby się tym przejmować. Zaciągnięte zasłony zmusiły go do przecięcia na ukos podjazdu biegnącego równoległe do frontu domu. Gnając w kierunku krzewów pod oknami miał wrażenie, że jest całkowicie widoczny w świetle halogenowych reflektorów.

Rosa z gałęzi całkowicie przemoczyła mu płaszcz. Przycupnął w cieniu, a potem ruszył między krzewami w lewo od wejścia i ostrożnie się wyprostował, aby zajrzeć przez szparę w zasłonach. Zobaczył fragment luksusowego, wyłożonego dębem wnętrza salonu. Pokój wydawał się pusty. Ostrożnie przesunął się do drugiego okna przy frontowych drzwiach.

Tutaj zasłony były odsunięte. Kiedy zaglądał do środka, starał się trzymać głowę możliwie jak najniżej i nagle zdał sobie sprawę, że okno to było częścią tego samego salonu. Lecz dlaczego w jednym oknie zasłony były zaciągnięte, a w drugim — nie? Pamiętając o czekającym na podjeździe ambulansie, ponownie pochylił się. Podejrzewał, że ten, kto niecierpliwie czekał na przyjazd karetki,

56

wybiegł, kiedy wreszcie się pojawiła, zbyt zaaferowany, żeby przejmować się zasłonami. Ale gdzie mógł teraz być? Pewien szczegół, który Pittman dostrzegł w pokoju, nabrał nagle znaczenia.

Na rzeźbionym mahoniowym stole naprzeciw kominka stało kilka filiżanek i kubków do kawy. A więc nie jedna osoba. Kilka. Gdzie w takim razie mogli się podziąć?

Pittman spojrzał na prawo w kierunku frontowych schodów. Były szerokie, zbudowane z kamienia. Światło nad okazałymi podwójnymi drzwiami pozwalało dojrzeć kamerę, wycelowaną na schody i teren przed wejściem. Jeśli były jakieś inne kamery, to ich nie zauważył, ale też nie miał zamiaru dostać się w ich zasięg.

Zdecydował, że najlepiej będzie wycofać się, pójść w lewo i okrążyć rezydencję w kierunku przeciwnym, niż zamierzał. Doprowadziłoby go to do okien po prawej stronie wejścia i nie musiałby

przecinać frontowych schodów.

Odwrócił się. Nisko pochylony, tuż przy ścianie minął pokryte kroplami deszczu krzewy, nie zważając

na okna, które spenetrował już wcześniej. Podszedł do trzeciego, którego zasłony były szczelnie zaciągnięte. Wyteżył słuch, ale nie usłyszał nic. Doszedł do wniosku, że pokój jest pusty, więc ruszył

dalej za narożnik budynku.

Mżawka iskrzyła się w świetle reflektorów. Były zainstalowane na ścianie i pod okapem tarasu, pod którym mieścił się garaż. Trzymając się tej ściany Pittman przekradł się dziesięć stóp dalej, aż do miejsca, które stanowiło przedłużenie budynku. Tu nie było żadnych okien, tak że nie musiał już tak bardzo uważać. Podszedł do rogu garażu i rozejrzał się. Wszystkie boksy były zamknięte.

Minął garaż i znalazł się z tyłu domu. Tutaj teren był mniej oświetlony, lecz było na tyle jasno, że zobaczył wielki zaparowany kryty basen, przebieralnię, zapuszczone klomby, krzewy, drzewa i, tuż

po
prawej, schody prowadzące na taras.

Pamiętał, że za drzwiami w pokoju na piętrze paliło się światło. Postanowił zbadać to miejsce teraz, zamiast wracać ponownie po przeszukaniu całego parteru. Zaczął wspinać się po drewnianych stopniach.

19

Taras był pogrążony w ciemnościach. Pittmanowi wydało się to dziwne. Skradając się po ciemku na górę zastanawiał się, dlaczego w odróżnieniu od reszty budynku taras nie miał żadnego oświetlenia.

W pokoju za francuskimi drzwiami było natomiast jasno. Ominął solidne zdobione metalowe meble, które mogły służyć do spożywania posiłków w ciepłe dni. Oświetlony pokój był obszerny; lewą stronę zajmował barek, w prawej ścianie, pośrodku, wmontowano duży ekran telewizyjny.

Jednakże teraz pokój służył zupełnie innemu celowi niż rozrywki. Skórzane meble zsunięte były pod ekran, środek zaś zajmowało łóżko z zabezpieczającymi barierkami po obu stronach. Za nim, na długim stole poustawiana była aparatura elektroniczna, tak dobrze znana Pittmanowi z czasów, kiedy Jeremy przez tydzień przebywał na oddziale intensywnej terapii: monitory kontrolujące pracę serca, ciśnienie krwi, szybkość oddechu i zawartość tlenu we krwi. Dwie pompy dozowały dopływ płynu z umieszczonych na statywie kroplówek do prawego i lewego ramienia wątego, starszego człowieka leżącego pod przykryciem. Dwóch sanitariuszy, których Pittman widział w szpitalu, sprawdzało coś przy monitorach. Pielęgniarka pilnowała, żeby rurka, doprowadzająca tlen do rozgałęzionej końcówki w nozdrzach starca, nie miała żadnych załamań. Maską tlenową, przysłaniającą twarz chorego, kiedy zabierano go ze szpitala, leżała teraz na jednym z monitorów. Pittman nie był

58

co prawda całkowicie pewien, ale podejrzenie, które nasunęło mu się w szpitalu, było coraz silniejsze: stary człowiek z wyglądu przypominał Jonathana Millgate'a.

Młody mężczyzna ze stetoskopem na szyi, który kierował przewozem chorego, wsłuchiwał się w oddech starca. Ponury typ, kierujący ochroną, stał w oddalonym lewym rogu.

Lecz byli tam również inni ludzie. Pittman nie widział ich w szpitalu, choć z całą pewnością widywał ich wcześniej, na starych fotografiach i w dokumentalnych programach telewizyjnych dotyczących polityki USA w Wietnamie. Czterech dystyngowanych mężczyzn w tradycyjnych ciemnych trzyczęściowych garniturach. Starych, lecz zachowujących podobieństwo do nich samych z dawnych lat.

Trzech nosiło okulary. Jeden miał białe włosy. Dwóch było łysych, a białe włosy pozostałych dwóch były mocno przerzedzone. Mieli surowe ściągnięte twarze pełne zmarszczek i obwisłą na szyjach skórę. Stali w skupieniu jeden obok drugiego jak na estradzie albo może w szeregu dyplomatów witających gości. Dawniej pełnili funkcje ambasadorów w ZSRR, przy ONZ, w Wielkiej Brytanii, Arabii Saudyjskiej, w Niemczech Zachodnich, przy NATO, piastowali także stanowiska sekretarzy stanu i obrony oraz doradców do spraw bezpieczeństwa narodowego.

Funkcje te pełnili w różnych okresach, w różnym też czasie należeli do Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Nigdy nie startowali w wyborach na urzędy publiczne, ale mieli wpływy większe niż najwyżej postawieni politycy. Ich nazwiska brzmiały: Eustace Gable, Anthony Lloyd, Victor Standish i Winston Sloane. Byli to ci legendarni dyplomaci, których rad często zasięgali prezydenci, począwszy od republikańskiego Trumana do demokracji Clintona, ci, którzy swoją przenikliwością umysłu zasłużyli na miano superdoradców. Było ich czterech. Sugerowało to, że stary człowiek na łóżku szpitalnym rzeczywiście był tym piątym — Jonathanem Millgate'em.

20

Energiczny młody mężczyzna ze stetoskopem powiedział coś, czego Pittman nie dosłyszał. Pielęgniarka odpowiedziała. Potem odezwali się dwaj sanitariusze. I znów Pittman był za daleko, żeby

usłyszeć, o czym była mowa. Człowiek ze stetoskopem zwrócił się do doradców, jakby coś wyjaśniając. Jeden z nich, Winston Sloane, z zapadniętymi policzkami i białymi włosami, skinął głową

ze znużeniem. Inny, Eustace Gable, z wąską, pomarszczoną twarzą, zadał pytanie. Człowiek ze stetoskopem odpowiedział. Trzeci, Anthony Lloyd, stuknął laską w podłogę w geście bezradności. Choć ich starcze twarze były blade, oczy rzucały błyskawice. Powiedziawszy coś na koniec, Eustace

Gable opuścił pokój. Jego towarzysze podążyli za nim. Pielęgniarka podeszła do zasłon. Kiedy pociągnęła za sznur, zasłony poruszyły się nieco i zatrzymały. Pociągnęła mocniej, lecz coś przeszkadzało zaciągnąć je całkowicie. Pittman obserwował pokój z narastającym zdumieniem. W ślad za doradcami z pokoju wyszli czterej ochroniarze i sanitariusze. Pozostał jedynie człowiek ze stetoskopem i pielęgniarka. Ta przygasiała w pokoju światło i wtedy Pittman zrozumiał, dlaczego taras

pozostawał w ciemności. Nie chciano, aby światło z zewnątrz przenikało do środka — w pokoju

miało

być ciemno. Czerwone światelka monitorów dostatecznie rozjaśniały pokój. W półmroku pacjent miał

lepsze warunki do wypoczynku. To było wszystko, co Pittman rozumiał.

Ostrożnie cofnął się za meble na tarasie i otarł krople deszczu z twarzy, zastanawiając się, co dalej.

60

Potwierdziłeś swoje podejrzenia. To Jonathan Millgate został wywieziony z szpitala. Nie znasz przyczyny, ale wiesz dokąd. Nic już więcej nie można zrobić. Czas się wynosić. Dostaniesz zapalenia

płuc, jeśli dłużej będziesz wystawał na tym deszczu. ,

Ta ostatnia myśl wywołała u Pittmana uśmiech goryczy. Niewiele brakowało, abyś dzisiaj popełnił samobójstwo, a obawiasz się teraz zapalenia płuc? To jeszcze nie koniec. Musisz wytrzymać jeszcze

osiem dni.

I nie zapalenie płuc cię zabije.

Zauważył, że człowiek ze stetoskopem wychodzi z pokoju. Podczas gdy pielęgniarka zajęła się sprawdzaniem aparatury i rurek z tlenem, Pittman ruszył w kierunku schodów tarasu. Nagły hałas sparaliżował go.

21

Odgłos — połączenie warkotu z dudnieniem — dochodził bezpośrednio spod tarasu, który wibrował

pod mokrymi butami Pittmana.

Jedne z napędzanych silnikiem wrót garażu zaczęły się otwierać. Serce zabiło mu mocniej.

Przykucnął, chcąc upewnić się, że jego sylwetka nie będzie widoczna na linii dachu.

Wrota podnosiły się coraz wyżej, blask ze środka oświetlił ciemne kałuże i padający deszcz. W końcu

ruch ustał, a odgłos silnika ucichł.

W denerwującej ciszy zakłócaney jedynie szumem deszczu, Pittman usłyszał nagle szuranie stóp po betonie, skrzypienie otwieranych drzwi samochodu, fragment rozmowy.

— ...ksiądz — dosłyszał załamujący się pod wpływem emocji głos starszego mężczyzny.

— Nie martw się — odpowiedział drugi głos, też należący do kogoś starszego. — Powiedziałem ci,

że ksiądz nigdy tu nie przychodził. Jonathan nigdy z nim nie rozmawiał.

— Mimo to...

— O wszystko zadbano — odpowiedział z naciskiem drugi głos, przypominający szelest zeschniętych liści. — Teraz już jest bezpiecznie.

— Ale dziennikarze...

— Nie mają pojęcia, gdzie jest Jonathan. Zresztą panujemy nad tym. Najlepsze, co możemy zrobić, to

pożegnać się i udawać, że wszystko jest jak zwykle.

62

Jednocześnie Pittman usłyszał odgłos wsiadania do samochodu. Dobiegło go trzaśnięcie drzwiczek i

warkot zapuszczanego silnika.

Zabłyśły światła. Ciemna limuzyna wyjechała z garażu i pomknęła ciemną aleją mijając drzewa i krzewy, w kierunku bramy.

Pittman poczuł, że zdrętwiały mu nogi. Zaczął się podnosić, ale w tej samej chwili znów usłyszał rozmowę.

— Co z taksówką? — odezwał się starczy głos.

— Może w ogóle za nami nie jechała — drugi głos był zrzędlawy i ochryply.

Pittman nie dosłyszał reszty. Zagłuszył ją głośny dudniący warkot towarzyszący unoszeniu się wrót drugiej części garażu. Nowy strumień światła rozjaśnił dżdżystą noc.

Kiedy hałas ustał, Pittman wyteżył słuch, mając nadzieję, że usłyszy coś więcej.

— ...przypadek. Spóźniony pasażer wracał z Manhattanu.

— Taksówką?

— Pewnie pociągi już nie kursowały. Może być zresztą wiele wyjaśnień. Dopóki się nie upewnimy, nie ma sensu robić paniki.

— A te światła, kiedy jechaliśmy w kierunku domu?

— Posłałem Harolda, żeby sprawdził. Jeśli to była ta sama taksówka, to Harold pojechał za nią w niecałą minutę później. O tej porze na Manhattanie jeździ niewiele taksówek, zresztą są oznakowane,

tak że łatwo byłoby ją rozpoznać. Na pewno Harold dopadł ją przed wyjazdem na autostradę.

— Informuj mnie na bieżąco.

— Oczywiście, nie denerwuj się. Trzęsą ci się ręce. Uspokój się, przyjacielu. Nie trzeba się zaraz tak

przejmować.

— Nie mam zbyt wiele do stracenia.

— Żaden z nas nie ma.

— Dobranoc, Eustace.

— Dobrej nocy, Anthony.

Mimo oznak zaniepokojenia, w ich głosach wyczuwało się jakiś afektowany sztuczny ton.

Trzasnęły zamykane drzwiczki samochodu. Silnik zawarczał. Następna ciemna limuzyna wyjechała z

garażu drogą ku bramie.

22

Pittman skulony na tarasie obserwował z góry, jak tylne światła samochodu oddalają się i znikają, a warkot silnika niknie w ciszy nocnej. Drzwi garażu opadły z hałasem, odcinając płynące ze środka światło. Ciemność pogłębiła się jeszcze

bardziej.

Powoli wyprostował się. Nogi mu zeszywniały. Czuł mrowienie w łydkach, kiedy krew zaczęła żywiej krążyć. Spojrzał przez drzwi balkonowe na Jonathana Millgate'a leżącego bezradnie w łóżku,

otoczonego monitorami, butlami, rurkami.

Puls Pittmana uspokoił się.

Przez szpary w zasłonach i szyby w drzwiach wewnątrz pokoju widział jakby w powiększeniu.

Patrząc z

oddali, sam poczuł się bezradny. Pielęgniarka wyszła z pokoju zostawiając Millgate'a samego.

Zamknęła za sobą drzwi. Ale wbrew jej przeświadczeniu Millgate bynajmniej nie spał. Wprost przeciwnie, próbował się unieść.

Jego twarz ożywiła się. Wykrzywił ją grymas. Końcówki doprowadzające tlen wysunęły mu się z nozdrzy. Rurki odzepiły się od igieł tkwiących w przedramionach. Próbował na oślep uchwycić barierkę, żeby unieść się do góry, ale bez rezultatu. Twarz nabiegła mu krwią. Ciężko oddychał.

Nagle

opadł do tyłu, z trudem chwytając powietrze.

Nawet z tej odległości, przez zamknięte drzwi, Pittmanowi wydawało się, że słyszy Millgate'a próbującego złapać oddech.

64

Podświadomie przylgnął do okna. Ostrzegawczy brzęczyk monitora powinien zaalarmować pielęgniarkę — pomyślał skonsternowany. Powinna już tu przyjść.

Był tak blisko okna, że z pewnością powinien słyszeć alarm, nawet przez szybę. Czyżby wyłączono brzęczyk? Nie miało to sensu. Wpatrywał się w wykres na monitorze. Przez wiele dni obserwował monitory Jeremy'ego, a lekarze objaśniali mu, co oznaczają poszczególne wskaźniki. Teraz Pittman mógł stwierdzić, że liczba uderzeń serca na minutę wybiegła daleko poza normę, wynoszącą od

siedemdziesięciu do dziewięćdziesięciu uderzeń, i wzrosła do stu pięćdziesięciu. Wykres uderzeń stał

się nierówny, rytm komór i przedsionków stracił synchronizację.

Kryzys mógł nastąpić lada chwila. Twarz Millgate'a straciła barwę, zaczynało mu brakować tchu. Zaciskał kurczowo ręce na kocu, który zdawał się go przygniatać.

Nie może złapać powietrza — pomyślał Pittman. Tlen. Jeśli ktoś nie umieści mu w nozdrzach końcówek z tlenem, dostanie ataku serca.

Wygląda na to, że stary drań umiera.

Pittman poczuł nieodpartą chęć ucieczki. Chciał zbiec po schodach, pobiec w kierunku muru, przedostać się na drugą stronę i uciekać, uciekać, uciekać bez końca.

Chryste, nie powinienem był tego robić, nie powinienem w ogóle tu przychodzić.

Odwrócił się, chcąc zrobić pierwszy krok, lecz nie mógł. Czuł, jakby stopy wrosły mu w ziemię.

Jego

wola odmówiła posłuszeństwa. Rusz się, do diabła, uciekaj stąd! Zamiast tego spojrzął do tyłu.

Millgate w agonii toczył walkę o powietrze. Puls bił mu z szybkością stu sześćdziesięciu uderzeń na minutę. Czerwone cyfry na monitorze ciśnienia krwi wskazywały sto siedemdziesiąt na sto dwadzieścia pięć. Takie wysokie ciśnienie było niebezpieczne dla każdego, cóż dopiero dla osiemdziesięcioletniego starca po zawale, pozostawionego samotnie.

Chwytnąjąc się za serce, tracąc oddech, Millgate wykręcił głowę w kierunku drzwi balkonowych i utkwiał udręczony wzrok w oknie. Pittman był pewien, że Millgate nie widzi go w ciemności. Nikłe światło w pokoju musiało odbijać się od szyb, tworząc ekran

5 — Desperackie kroki

65

oddzielający go od nocy. A jednak zboliałe spojrzenie Millgate'a było jak promień lasera wbijający się

w Pittmana.

Nie patrz tak na mnie! Czego się spodziewasz? Przecież nic nie mogę zrobić!

I Pittman znów sprężył się do ucieczki.

Ale zamiast tego, dziwiąc się sam sobie, sięgnął do kieszeni i wyjął klucze na kółku. Był na nim również wieloczynnościowy nóż, podobny do tych, jakie miała na wyposażeniu armia szwajcarska.

Z

rękojeści wyjął dwa metalowe sztyfty. Pittman był w pełni przygotowany, by zastrzelić się za osiem dni. Ale nie miał zamiaru stać i patrzeć, jak umiera ktoś inny, lub uciec, a później przekonywać sam siebie, że nie miał wyboru. Millgate był w stanie krytycznym i, aby go uratować, należało z powrotem

podłączyć go do kroplówki i aparatu tlenowego.

Być może i tak umrze. Ale na Boga, nie chcę sobie zarzucać, że nie próbowałem. Nie chcę być odpowiedzialny za śmierć Millgate'a.

Wspominając czterdziestkępiątkę w pudełku zostawioną w barze na przechowanie, Pittman pomyślał:

Co w końcu mam do stracenia?

Podszedł do drzwi tarasu i bez wahania włożył dwa metalowe pręciki do zamka. Nóż, z którego je wyjął, był prezentem od człowieka, o którym kiedyś pisał. Człowiek ten, wytrawny włamywacz, o nazwisku Sean O'Reilly, przebywał właśnie na warunkowym zwolnieniu z odsiadki dziesięcioletniego wyroku. Jednym w warunków zwolnienia był udział w programie pokazującym,

w

jaki sposób właściciele domów i lokatorzy mogą uniknąć grabieży. Sean przypominał z figury dzokeja, miał irlandzki akcent i spojrzenie niewiniątka. Jego trzy telewizyjne występy zdobyły taką popularność, że stał się sławny w całym Nowym Jorku. Było to, zanim powrócił do więzienia, ponieważ włamał się do domu swego sądowego obrońcy.

67

Kiedy Pittman przeprowadzał z nim wywiad u szczytu jego popularności, podejrzewał, że Sean

wróci szybko z powrotem do więzienia. W najmniejszych szczegółach objaśniał mu rozmaite sposoby włamywania się. Zainteresowanie, jakie wykazywał Pittman, sprawiło, że Sean udzielił mu drobiazgowych informacji. Wywiad trwał dwie godziny. Na koniec Sean wręczył mu prezent: wielozadaniowy nóż, który Pittman wciąż nosił przy sobie.

— Daję je ludziom, którzy naprawdę rozumieją, jaką sztuką jest być włamywaczem — powiedział Sean.

— To, co sprawia, że nóż jest niezwykle przydatny — wyjaśniał — to jego rękojeść, skrywająca miniaturowe szczypce, śrubokręty, przecinaki drutu. Jest tam również miejsce na dwa metalowe sztyfty: wytrychy. — Sean z prawdziwym zadowoleniem uczył Pittmana, jak się nimi posługiwać. Nauka nie poszła na marne.

Zaczął manipulować przy zamku. Był solidny, zapadkowy. Nie miało to znaczenia.

— Jeden sztyfcik służy do zwalniania zapadek w cylindrze — wyjaśniał Sean. — Drugiego używa się jako dźwigni do obracania.

Po paru wprawkach nietrudno było opanować tę prostą operację. Ćwicząc pod okiem Seana, Pittman nauczył się, jak sforsować zamek w ciągu piętnastu sekund.

Kiedy zwolnił pierwszą zapadkę, wsunął drucik głębiej, żeby zwolnić następną i spojrzał zdenerwowany na Millgate'a rozpaczliwie walczącego o łyk powietrza.

Skoncentrował się na zamku. Obawiał się, że otwarcie drzwi może uruchomić alarm. Ale jego obawy znikły, kiedy zauważył na ścianie obok drzwi numerowane przyciski włączające system alarmowy. Pamiętał, co opowiadał mu Bugmaster, że właściciele domów często instalują kilka szyfrowych wyłączników w różnych miejscach. Można nimi uruchamiać lub wyłączać alarm i warto je umieszczać nie tylko przy drzwiach frontowych, ale także innych wejściach do budynku. W tym przypadku firma zakładająca alarmy umieściła centralkę w złym miejscu, ponieważ znajdowała się w zasięgu wzroku każdego, kto chciałby sforsować drzwi balkonowe. Pittman, który zwolnił właśnie następną zapadkę, widział podświetlony napis: „Gotowość uruchomienia”. Ponieważ wielu gości wchodziło i wychodziło, system alarmowy nie był jeszcze włączony.

Poczuł, jak ustępuje ostatnia zapadka. Naciskając drugim pręcikiem, obrócił cylinder. Zamek był otwarty. Pospieszenie obrócił klamkę i znalazł się wewnątrz.

Drzwi po przeciwnej stronie były zamknięte. Nikt nie słyszał, jak wszedł do mrocznego pokoju.

Millgate opadł z sił, próby złapania oddechu zawiodły. Pittman chwycił rurkę aparatu tlenowego i umieścił końcówki w nosie Millgate'a.

Efekt był niemal magiczny. W ciągu kilku sekund twarz chorego zaczęła przybierać normalną barwę. Szamotanina ustała. Jeszcze kilka sekund i jego oddech stał się bardziej regularny. Pittman działał. Rurki kroplówki, które wypadły z igieł na przedramionach, umieścił we właściwym miejscu. Zauważył, że z kroplówki wyciekło sporo płynu na podłogę.

Jak to sobie wytłumaczy pielęgniarka, kiedy wróci do pokoju? — zastanowił się.

Nagle zauważył mokre ślady deszczu, który spłynął z jego płaszcza.

Muszę się stąd wynosić.

Ostatnie spojrzenie na monitory upewniło go, że ciśnienie, oddech i praca serca wracają do normy.

Starowina pociągnie jeszcze trochę — pomyślał. Z ulgą, ale i z pośpiechem skierował się ku wyjściu.

Doznał niemal szoku, kiedy starcza ręka chwyciła go jak szpon za prawy nadgarstek. Pittman obrócił się przerażony i zobaczył oczy Millgate'a wbijające się w niego z udręką.

Próbował oderwać palce starca zaskoczony gwałtownością uchwytu.

Jezu, jeśli zaczniesz krzyczeć...

— Duncan... — starzec wydawał się błagać.

Myśli, że jestem kimś innym. Jestem tu już zbyt długo. Muszę uciekać.

— Duncan — głos starca pogrubiał i brzmiał jak pęknięcie skorupy. — Śnieg.

Pittman wreszcie uwolnił się od jego ręki.

— Grollier. — Krtan starca wypełniła się flegmą, wydając groteskowy dźwięk płukania gardła.

68

69

pomyślał Pittman i odwrócił się do wyjścia światła. Otworzyły się drzwi

Niech to diabli

^ Se znalazł się w smudze

i zobaczył w nich sylwetkę pielęgniarki. Stała jak wryta upuszczając z przerażenia tace.

Filizanka i dzbanek rozbiły me o posadzkę. Zaczęła krzyczeć.

Pittman rzucił się do ucieczki.

Krótki pobyt w pokoju rozgrzał go trochę. Kiedy wybiegł na taras, chłód nocy i deszcz wydał mu się bardziej przejmujący niż zaledwie kilkadziesiąt sekund wcześniej. Cały dygocząc popędził przez kałuże w kierunku schodów, omijając ciemne metalowe meble. Nagle oślepiło go jaskrawe światło reflektora, zamocowanego nad okapem budynku, odbijające się w kałużach. Na pewno zapaliła go pielęgniarka lub ochrona. Z wnętrza domu dochodziły pokrzykiwania.

Przyspieszył. Niemal stracił równowagę na drewnianych schodach. Chwyając się poręczy poczuł, jak drzazga wbija się mu w dłoń, skrzywił się i zbiegał dalej. Gdy był już na dole, pognął w tym samym kierunku, skąd przyszedł — w stronę alei i głównej bramy. Wtedy usłyszał krzyki od frontu domu. Zawrócił, ale musiał się cofnąć, gdyż nagle rozbłysły reflektory skierowane na kryty basen i klomby. Stąd także dobiegały okrzyki.

Mając odciętą drogę z przodu i tyłu, Pittman rzucił się przez betonowy podjazd garażu, przez nasiąknięty jak gąbka trawnik w stronę majaczących ciemnych jodeł. Szybkie kroki zadudniły na schodach tarasu.

— Stać!

— Zastrzel go!

Pittman był już przy jodłach. Kłująca gałąź przejechała mu po twarzy tak mocno, że nie wiedział, czy wilgoć na policzku to deszcz czy krew. Uchylił się przed następną gałęzią.

71

— Gdzie ten sukinsyn?!

— Tam! Chyba za drzewem...!

Z tyłu trzasnęła gałąź. Ktoś upadł.

— Mój nos! Cholera, chyba złamałem!

— Słyszę coś!

— Tam, w krzakach!

— Zastrzel bydlaka!

— Łapać go! Jeśli się dowiedzą, że uciekł...

Trzasnęła następna gałąź. Ścigający Pittmana przedzierali się między drzewami.

Zatrzymał się w samą porę. Przed nim wyrósł kamienny mur i niewiele brakowało, aby wpadł na niego z rozpędu. Ciężko oddychając usiłował przebić wzrokiem ciemność po prawej i lewej stronie.

Co robić? — myślał w popłochu. — Nie wiem, czy znajdę bramę. Nie mogę biec wzdłuż muru.

Zbyt

ryzykowne. Usłyszają mnie. Okrążą i wtedy koniec.

Zawrócić?

Nie! Policja pewnie wkrótce tu będzie. Dom jest dobrze oświetlony. Zobaczą mnie.

Co teraz?

Skoczył w kierunku najbliższej jodły i zaczął się wspinać. Posłyszał szybko zbliżające się kroki swoich prześladowców. Uchwycił najbliższy konar, zaparł się prawą stopą o gałąź i podciągnął się. Kora drapała mu dłonie. Zapach żywicy wypełnił mu nozdrza. Wspiął się szybko.

— Słyszę go!

Pittman był już na wysokości zwieńczenia muru. Trzymając się gałęzi odepchnął się nogami od pnia i

zwisając na rękach przesuwając się cal po calu w kierunku muru. Gałąź uginała się pod jego ciężarem.

Kora raniła rękę.

— Tu jest!

— Gdzie?!

Strząsane z drzewa krople deszczu spadały kaskadami na Pittmana i ziemię.

— Tam!

— Na drzewie!

Pittman dotknął muru. Poczul pod stopami gładki kamień. Nie

72

było ani drutu kolczastego, ani tłuczonego szkła. Puścił gałąź i znalazł się na murze.

Strzał był ogłuszający. Błysk z lufy — oślepiający. Rozległ się następny. Pittman działał teraz bez namysłu. Uchwycił krawędź muru i zawisł po drugiej stronie. Serce mu waliło. Płaszcz czepiał się chropowatości. Nie wiedział, co było poniżej, ale słyszał, jak jeden z goniących próbował wspiąć się

na drzewo.

Ktoś inny wrzasnął:

— Leć do bramy!

Pittman zwolnił uchwyt. Żołądek podszedł mu do gardła, kiedy runął w ciemność.

25

Uderzył o ziemię szybciej, niż się spodziewał. Grunt był porośnięty trawą, rozmokły od deszczu. Z podgiętymi kolanami, prawie dotykającymi łokci, przeokoziółkował próbując rozpaczliwie osłabić impet uderzenia.

— Tak ładują spadochroniarze w pełnym wyposażeniu — wyjaśniał mu pewien wyczynowy skoczek

spadochronowy. — Skulić się, maksymalnie podciągnąć nogi i przeokoziółkować.

Modlił się, żeby się udało. Gdyby skręcił kostkę albo jeszcze gorzej, byłby bezradny. Pościg dopadłby

go natychmiast. Pozostało mu tylko znaleźć kryjówkę. Lecz gdzie? Kiedy skakał na mur, miał wrażenie, że ciemny teren za nim jest przerażająco pusty i odkryty.

Na szczęście nie musiał się chować. Koziółkując stanął z rozpędu na nogi. Czuł piekący ból w rękach.

Miał poobijane kolana. Było to jednak mało ważne. Najważniejsze, że kostki miał w porządku, a nogi

go nie zawiodły. Niczego sobie nie skręcił ani nie złamał.

Z drugiej strony muru dochodziły przekleństwa i biegania. Hałas dobiegający z drzewa sugerował, że

jeden z goniących usiłował wleźć na mur.

Ciężko dysząc Pittman skoczył do przodu. Ciemny trawnik zdawał się ciągnąć w nieskończoność.

W

przeciwieństwie do posiadłości, z której właśnie się wydostał, nie było tu żadnych krzaków. Nie było

też prawie drzew.

Co to za miejsce, do diabła?

Czuło się w nim coś dziwnego, nienaturalnego. Przypominało

74

cmentarz, lecz nie wpadł w ciemności na żaden nagrobek. Biegając w mżawce zauważył przed sobą jaśniejszą plamę i obrał ją za cel. W pewnym momencie grunt uciekł mu spod nóg i poczuł, że pada i

stacza się po stromym zboczu.

Zatrzymał się na plecach. Na chwilę zabrakło mu tchu. Poteni ciężko odetchnął, wytarł mokry piasek z

twarży i wstał.

Piasek. To wyjaśniało, dlaczego ten fragment był jaśniejszy. Ale dlaczego tutaj?

Przeszły go ciarki. Boże, to pole golfowe. Mijali przecież napis: PARK I KLUB GOLFOWY, kiedy jechał tu taksówką.

Jestem zupełnie odsłonięty. Jeśli znów zaczną strzelać, nie mam się gdzie skryć.

Więc po co się tu szwendasz?

Kiedy się rozglądał, aby się upewnić, że nie pobiegnie z powrotem w stronę muru, zobaczył światła po

lewej stronie. Jak upiory wyłoniły się zza ogrodzenia. Pittman słyszał, jak jeden z prześladowców mówił coś o bramie. Widać dotarli do niej. W pierwszej chwili pomyślał, że znaleźli gdzieś latarki, być może w domku przy wjeździe. Lecz te światła były jakieś dziwne.

Ciarki, które przeszły go, kiedy uświadomił sobie, że jest na polu golfowym, zmieniły się w zimną falę strachu na odgłos silników. Jak na latarki, światła były za duże i świeciły parami, jak reflektory. Pościg nie mógł jednak korzystać z samochodów. Były zbyt ciężkie, ślizgałyby się i buksowały na miękkiej, mokrej trawie. Poza tym silniki, sądząc po dźwięku, były zbyt małe i słabe jak na samochody.

Jezu, mają wózki golfowe — uświadomił sobie Pittman z przerażeniem, -r- Właściciel rezydencji ma

wózki golfowe, a wyjazd jest pewnie na tyłach posiadłości. Ale przecież wózki nie mają świateł. To muszą być ręczne reflektory.

Pojazdy rozproszyły się. Światła systematycznie przeszukiwały każdy sektor pola. Mężczyźni pokrzykiwali. Pittman wyrwał się z piaszczystej pułapki i pomknął w deszczową ciemność jak najdalej od świateł.

26

Zanim potwierdzono diagnozę raka u Jeremy'ego, Pittman z zapalem uprawiał jogging. Biegał przynajmniej godzinę dziennie, a w weekendy o wiele dłużej, przeważnie alejką wzdłuż rzeki. Mieszkał wtedy na East Side pod siedemdziesiątym, razem z Ellen i Jeremym. Kondycja fizyczna była

dla niego równie ważna jak zwyczaj odkładania pięciu procent każdej wypłaty i posyłania Jeremy'ego na wakacyjne kursy w szkole, chociaż chłopiec miał doskonałe stopnie i dodatkowe zajęcia nie były wcale konieczne. Poczucie bezpieczeństwa. Planowanie przyszłości. To był klucz do

wszystkiego. Jego sekret. Przy gorącym aplauzie syna, a także wysiłkach żony, by wykrzesać z siebie

maksimum entuzjazmu, zdołał nawet któregoś roku znaleźć się w środkowej grupie zawodników, którzy ukończyli Maraton Nowojorski. A potem Jeremy zachorował. I umarł.

Pittman i Ellen zaczęli się kłócić. Ellen odeszła i wyszła powtórnie za męża. A Pittman zaczął intensywnie pić. Później przyszło załamanie nerwowe.

Ponad rok nie biegał. Właściwie nie uprawiał żadnych ćwiczeń fizycznych, poza nerwowym odmierzaniem kroków. Teraz poczuł znajomy przypływ adrenaliny. Wprawdzie jego ciało nie miało tej sprężystości ani siły, do której doszedł ciężką pracą, ale zachowało technikę, właściwy rytm i długość kroków. Brakowało mu oddechu.

76

Mięśnie protestowały. Ciągłe jednak biegł przez pole golfowe, czując pulsowanie w żyłach i palący ból w środku. W oddali błyskały światła, ale odgłos silników i pokrzykiwania słabły.

Klął sam siebie, że doprowadził się do takiego stanu. Oraz że tak głupio wplątał się w tę podejrzaną sprawę.

Co, do diabła, sobie wyobrażałeś jadąc tu za ambulansem? Burt nic by o tym nie wiedział, gdybyś nie

zawracał mu głowy.

Jednak ja bym wiedział. I obiecałem Burtowi, że zrobię, co będę mógł.

Jeszcze tylko osiem dni.

A włamanie do posiadłości? Czy można to nazwać rutynowym działaniem dziennikarza? Burt na

pewno nie pochwaliliby tego, gdyby wiedział.

Więc co miałem zrobić? Pozwolić staremu umrzeć?

Sztywniejącymi nogami starał się naśladować krok doświadczonego biegacza, który kiedyś był jego drugą naturą. Ryzykując utratę cennego czasu spojrzął do tyłu na swych prześladowców.

Przecierając

oczy dojrzał niewyraźne światła reflektorów na wózkach pędzących w ciemności w jego kierunku.

Było ich pięć, lecz tylko dwa bezpośrednio za nim. Pozostałe rozproszyły się, jeden w prawo, drugi

w

lewo, jadąc najwidoczniej po obwodzie pola. Trzeci poruszał się po przekątnej w kierunku, jak

sądził

Pittman, najbardziej wysuniętego miejsca.

Chcą mnie okrążyć — uświadomił sobie. — Lecz skąd w ciemności mogą wiedzieć, którydy pobiegnę?

Deszcz skapywał mu za kołnierz, na kark. Włosy zjeżyły mu się na głowie, kiedy zrozumiał, w jaki sposób mogli go wytropić.

Jego angielski prochowiec.

Był piaskowego koloru. Podobnie jak Pittman spostrzegł jasną plamę piasku na ciemnej trawie, tak jego płaszcz mogli łatwo dojrzeć myśliwi.

Gubiąc niezgrabnie krok, gwałtownie starał się rozwiązać pasek i rozpiąć guziki. Któryś z nich nie ustępował, więc go oderwał. Płaszcz był rozpięty. Uwolnił jedną rękę z rękawa. Potem drugą.

Marynarkę miał prawie suchą, ale teraz zaczęła nasiąkać od mżawki.

W pierwszym odruchu chciał płaszcz wyrzucić. Wpadł jednak właśnie w kępę krzewów, pomyślał więc, że może lepiej zostawić go na krzaku dla zmylenia śladów. Nie zdałoby się jednak na długo,

77

poza tym, jeśli... uda mu się uciec, będzie potrzebował płaszcza, żeby się rozgrzać.

Zarośla były zbyt rzadkie, by nadawały się na dobrą kryjówkę. Pittman, rozgarniając rękami drapiące

gałęzie, wy dostał się z nich i pobiegnął dalej.

Oglądając się do tyłu przez ramię, dostrzegł zbliżające się światła. Pisk silników elektrycznych był coraz głośniejszy. Pittman zwinął płaszcz w kłębek i wepchnął pod marynarkę. Zmusił się do

maksymalnego wysiłku. Sprzyjał mu jedynie fakt, że miał na sobie ciemny garnitur. Miał nadzieję, że

w deszczowej czerni pomoże mu wtopić się w tło.

Jeśli nie dosięgną mnie światła — pomyślał. W oddali fragment pola golfowego przybrał niepokojąco

szary odcień... Kiedy się zbliżył, uświadomił sobie, że dotarł do stawu. Obiegnięcie go oznaczało stratę czasu. Nie miał jednak wyboru. Ciężko dysząc skierował się w lewo. Ale mokra, śliska trawa

na

zboczu okazała się zdradliwa. Lewa stopa uciekła mu do przodu. Upadł i gdyby rozczapierzonymi palcami nie udało mu się zaczepić o gąbczastą trawę, wylądowałby w lodowatej wodzie.

Zrywając się na nogi pamiętał, aby nie wypuścić płaszcza spod marynarki. Zerknął do tyłu i zobaczył

promień światła wymierzony na wierzchołek wzgórze, z którego się stoczył. Zawodzenie silników sły chać było już bardzo blisko. Uważając, żeby znów nie stracić równowagi, Pittman pognął przez ciemność.

Pobiegnął brzegiem stawu, wdrapał się na następne zbocze i w momencie gdy był na górze, usłyszał za

sobą wściekle głosy. Coś bzyknęło mu kąśliwie koło prawego ucha. Pittman wiedział, co to było — kula. Drugi szerszeń przeleciał obok, lecz nie sły chać było żadnego odgłosu wystrzału.

Niewątpliwie

musieli używać tłumików. Rzucił się po zboczu w dół, schodząc z linii ognia. Po prawej stronie, przez

zasłone deszczu, zobaczył usiłujące go pochwycić macki świateł. Po lewej to samo. Nogi odmawiały

mu posłuszeństwa, rozsadzało mu płuca. Nie wytrzymam dłużej. Próbował wykrzesać z siebie ostatki

sił. Musisz biec dalej.

Zbyt późno zauważył jaśniejącą przed sobą plamę. Trawa się nagle skończyła, a on, nie będąc już w stanie wyhamować, wyleciał

78

w powietrze i zwałił ciężko w piaszczystą pułapkę. Wylądował na kolanach, z trudem się podniósł czując, jak mokre płyty piasku przylgnęły mu do spodni.

Światła przeszukiwały teren, szybko się zbliżając. Gonił resztkami sił, walczył z piaskiem, bo buty zagłębiały się w piaszczystej mokrej pułapce. Zostawiał głębokie widoczne ślady. Jezu, co z tego, że

nie spostrzegą płaszcza, jeśli ślady wskażą im drogę — pomyślał.

Ślady. Doznał wstrząsu, kiedy uświadomił sobie, że mogą być jego jedyną szansą ratunku. Gdy tylko

znalazł się znów na trawie, zmienił kierunek i pospieszył brzegiem piaszczystej łąchy z powrotem w

kierunku zbocza. Biegając, wyciągnął spod marynarki zwinięty płaszcz.

Wycie silników słychać było niezwykle blisko. Światła prześlizgiwały się tuż nad nim. Zatrzymał się

w miejscu, gdzie trawa opadała ostrym uskokiem. Ostrożnie, aby nie naruszyć podłoża, ułożył się tuż

pod krawędzią trawnika. Rozpostarł nad sobą płaszcz, którego kolor zlewał się z piachem. Nakrył głowę i tułów, podkurczył maksymalnie nogi, tak by nie wystawały. Oddychał chrapliwie. Ze wszystkich sił starał się opanować.

Spokojnie — błagał w myślach — tylko spokojnie.

Z głową pod płaszczem, słyszał uderzające krople deszczu. Zawodzenie silników było tuż, tuż.

Nagle

wszystko ucichło, jakby wózki się zatrzymały.

Para z oddechu Pittmana skraplała się pod płaszczem i spływała mu po policzkach. Trząśnięcie z zimna,

choć napinał mięśnie, aby przetrwać dygotanie.

Żeby mnie tylko nie zobaczyli.

Dygotał też z innego powodu, w każdej chwili spodziewając się uderzenia kuli.

Sam tego chciałeś. Jeśli cię zastrzelą, wyświadczą ci tylko przysługę.

Ale to ma być mój wybór.

Modlił się w duchu. Żeby tylko płaszcz nie odróżniał się od piasku. Niech patrzą przed siebie, nie w dół.

— Widzę!

Serce podeszło mu do gardła.

— Ślady na piasku!

— Tam, na trawie!

79

Usłyszał odgłos włączanego walkie-talkie.

— Alfa do Bety. Posuwa się w twoim kierunku. Znajduje się w kwadracie północno-wschodnim.

Zniekształcony głos coś odpowiedział. Walkie-talkie wydał elektroniczny skrzek. Ponownie zabrzmiały silniki. Pod duszącym, ciężkim od deszczu płaszczem Pittman słyszał, jak wózki oddalają

się po piasku w kierunku trawy.

W przemoczonym od mokrego piasku ubraniu, czekał w bezruchu. Dusząc się od dwutlenku węgla, nagromadzonego pod płaszczem, zmusił się, aby jeszcze trochę poczekać. Wreszcie rozluźnił się;

unosząc płaszcz, powoli wychylał głowę. Wdychając świeże, chłodne powietrze spoglądał ukradkiem w obawie, że zobaczy nad sobą człowieka z szyderczym uśmiechem na twarzy i wycelowanym pistoletem.

Nad nim było jednak tylko trawiaste zbocze, ciemność i deszcz zacinający w oczy. Po zaduchu, jaki panował pod płaszczem, powietrze nieco go orzeźwiło. Wciąż skulony i dygocący, zobaczył oddalające się światła wózków. Upchnął płaszcz starannie pod marynarką, wydobył się z piaszczystego zagłębienia i podążył w kierunku, z którego nadjechały wózki. Był przemoczony i zziębnięty. Lecz mimo uczucia dyskomfortu i lęku, gdzieś w zakamarkach umysłu wzbierała fala triumfu.

Pozostało jeszcze wydostać się z pola golfowego, jak najdalej od posiadłości. Wózki mogły powrócić

w każdej chwili. Chociaż chwiał się na nogach, udało mu się wydłużyć krok i przyspieszyć.

Zagubiony w nocy i deszczu, zatrzęsł się przerażony, gdy uzmysłowił sobie, że jeśli nie znajdzie sposobu, żeby ustalić swoje położenie, będzie tak krążyć w kółko, dopóki go nie wytropią. Nagle w oddali po lewej stronie zobaczył poruszające się światła, lecz inne niż te na wózkach. Były większe i

jaśniejsze. Ich blask silniej przebijał się przez deszcz. Reflektory samochodu, może ciężarówki.

Poruszały się równoległe do niego, a potem znikły.

Dotarł do drogi.

Część druga

1.

Cholerny samochód. — Człowieku, cały się pan trzęsiesz — powiedział portier w motelu.

— Przemokłem, szukając automatu, żeby zadzwonić po pomoc drogową. W warsztacie powiedziano

mi, że samochód będzie gotowy dopiero po południu. Muszę się gdzieś wysuszyć.

— Nie wygląda pan na miejscowego.

Portier był koło czterdziestki, z wydatnym brzuszkiem. Miał kilkudniowy rudawy zarost i zmęczoną

twarz po całonocnej pracy. Pittman pokręcił głową.

— Jestem cały czas w drodze, sprzedaję podręczniki szkolne. Ostatniej nocy wyjechałem z New Haven na spotkanie w Nowym Jorku.

— No to pewnie nic z tego nie będzie...

— Spotkanie mam dopiero w poniedziałek. Myślałem, że się zabawię gdzieś w weekend. Szlag by to trafił.

Pittman podał portierowi kartę kredytową i wypełnił formularz meldunkowy, wpisując przypadkowy

adres w New Haven. Głupio się czuł kłamiąc, ale nie miał innego wyjścia. Żałosny wygląd wymagał

wiarygodnego wyjaśnienia, a prawda z całą pewnością była nie do przyjęcia.

— Proszę, pana karta i klucz. Pittman kichnął.

— Człowieku, musisz pan ściągnąć czym prędzej te mokre łachy.

— Nie marzę o niczym innym.

83

azwa motelu była zachęcająca: Gorące Przywitanie. Pittman wybrał go spośród kilku innych, pół godziny po tym,

-"-j—i: i,łA-, »v,,-0l

N mañ wyui<ii gu apuaiuu A.UO.U u.mj*,^, ^,~- 0-----_, f jak wydostał się z pola golfowego.

Budynki, które mijają, były ciemne, latarnie rozstawione z rzadka. Gdy zauważał reflektory, chował się w przydrożne krzaki lub w podwórka, zanim mógł zostać dostrzeżony. Orientował się tylko z grubsza, którędy dojść do autostrady. Strach dodawał mu sił.

Teraz, kiedy zamknął za sobą drzwi pokoju, opuściły go ostatki energii. Osunął się na toporne krzesło i sączył z kartonowego kubka cudownie gorącą, choć gorzką kawę, którą kupił w zdezelowanym automacie w końcu korytarza. Dywan w pokoju był zielony i wytarty. Nie obchodziło go to. Ściany były odpychająco żółte. To też go nie obchodziło. Także zapadnięcie w materacu przykrytym obskurną, pomarańczową narzutą. Obchodziło go jedynie ciepło.

Musiał się rozgrzać.

Zęby mu szczękały.

Gorąca kąpiel. To było to.

Nastawił pokrętko pokojowego termostatu na 23°C, po czym zdjął mokre ubranie. Rozwiesił spodnie, koszulę i marynarkę wieszakach w szafie i zostawił ją otwartą, żeby szybciej

na wieszaku w S./CUIŁ i IA/atu.^{TM**} JŁt „„„,----c,____,

wyschły. Przemoczone buty postawił blisko grzejnika, skarpety i bieliznę przerzucił przez oparcie krzesła. W łazience odkręcił kran z gorącą wodą.

Przez moment poczuł obawę, że woda nie będzie wystarczająco

84

ciepła, ale po chwili otoczyły go kłęby pary. Pochylił się nad tryskającym wodą kurkiem, rozkoszując się wilgotnym gorącym. Kiedy wanna była prawie pełna, dodał trochę zimnej wody, ale tylko tyle, by się nie poparzyć. Zanurzył się w parującej wodzie prawie po samą brodę. W wannie było pełno i woda wypływała przez otwór przelewowy. Obrócił się trochę na bok, podkuł kolana, by zanurzyć się całkowicie.

Odetchnął z rozkoszą, kiedy poczuł, jak ciepło przenika przez skórę, mięśnie, rozgrzewa wnętrze rozpraszając dotkliwe zimno, które przejmowało go do szpiku kości. Stopniowo ustępowało dygotanie rąk i nóg. Przymknął oczy i uświadomił sobie, że nie zaznawał tak przyjemnego uczucia od dawna, od czasu gdy...

Jego umysł zaprotestował, lecz niejasna myśl została w końcu sformułowana.

...tej strasznej nocy zmarł Jeremy. Czuł się tak winny, że on sam żyje, podczas gdy Jeremy jest martwy, że nie potrafił czerpać przyjemności z żadnych, nawet najprostszych, najbardziej podstawowych doznań. Smak dobrego jedzenia stał się odpychający, ponieważ Jeremy nie mógł go poczuć. Dotyk czystej, gładkiej pościeli, świeży poranny wiaterek, słońce zagładające przez okno, każde przyjemne odczucie stało się odrażające, ponieważ nie mógł dzielić go z Jeremym.

Jednym z tych doznań, przy którym Pittman miał szczególne poczucie winy, było ciepło prysznicy. Jeremy uwielbiał przebywać — zbyt długo, jak uważał Pittman, zanim syn zachorował — pod prysznicem. Po jego pogrzebie Pittman nagle odkrył, że nie może znieść myśli o prysznicu. Ponieważ jednak myć się musiał, rozwiązał problem przez obniżenie temperatury wody, tak by prawie jej nie czuć. To, że kąpiel była niezbędna, nie znaczyło, że musiała mu sprawiać przyjemność.

Teraz, po raz pierwszy, Pittman z zaskoczeniem odkrył, że pozwala sobie na akceptację przyjemnych doznań. Wmawiał sobie, że to konieczne, że absolutnie musi się rozgrzać. Poza tym, jak pisał kiedyś w artykule o uczestnikach szkoły przetrwania, jednym z niebezpieczeństw, przed którym przestrzegali instruktorzy, było przemoczenie i wychłodzenie organizmu i, w rezultacie, śmierć wskutek hipotermii. Tak, w tych okolicznościach mógł sobie pozwolić, choć niechętnie, na pozytywne doznania.

85

Prawdą jednak było to, że kąpiel rzeczywiście sprawiała mu przyjemność. Po raz pierwszy od tak długiego czasu nie wzbraniał się przed tym, co odczuwało jego ciało.

Lecz myśl o Jeremym spowodowała, że znowu pograżył się w przygnębieniu. Uznał to za ironię losu,

że mimo gotowości popełnienia samobójstwa, ucieczka z posiadłości wywołała w nim tak silny lęk

o

życie.

Powinieneś pozwolić, aby wyświadczyli ci przysługę i zastrzelili cię.

Nie. Pittman ze złością przywołał myśl sprzed kilku godzin. To powinien być mój wybór, nie ich.

Kiedy odejdę, to na swój sposób, w czasie i miejscu, które sam wybiorę. Sam wyznaczyłem termin.

Osiem dni, licząc od dzisiaj i, do diabła, zamierzam się tego trzymać. Nie wcześniej.

Jego gniew przemienił się w melancholię, kiedy przypomniał sobie powód, dla którego się dotąd nie

zabił.

Obiecałem Burtowi. Za to, co on zrobił dla Jeremy'ego. Melancholia przerodziła się w zakłopotanie, kiedy myśli o Burcie przypominały Pittmanowi, dlaczego pojechał za karetką. Wyobraził sobie pytania, na które Burt będzie domagał się odpowiedzi.

Dlaczego zabrano Millgate'a ze szpitala? Dlaczego przewieziono go do posiadłości w Scarsdale?

Dlaczego ochrona nie próbowała pojmać Pittmana, ale od razu chciała go zabić?

Kiedy Pittman znalazł się poza rezydencją, ryzyko, które według strażników stwarzał, było żadne.

Mógł też zrozumieć, że chcą go pochwycić i oddać w ręce policji. Lecz od razu zabijać? Coś tu było

nie tak.

Pittman wypuścił trochę wody z wanny i dopełnił gorącą. Wreszcie poczuł, jak ziąb całkowicie ustąpił. Wyciągnął zatyczkę, wyszedł z wanny i energicznie wytarł się ręcznikiem. Znowu złapał się na tym, że sprawia mu to przyjemność, i skarcił się w duchu. Owinął się w koc, przygasił światła i wyjrzał przez okno. Wychodziło na parking przed motelem. Zobaczył podjeżdżający samochód i przestraszył się, że może to być szukająca go policja, wezwana przez ochronę rezydencji.

Samochód jednak nie miał typowych świateł na dachu, nie był też oznakowany. Pittman obawiał się,

czy nie jest to aby samochód z rezydencji, z ochroniarzami przeczesującymi teren i rozpytującymi

86

o niego w motelach. Dopiero kiedy zobaczył wysiadającą kobietę wchodzącą do pokoju po drugiej

stronie parkingu, jego napięcie ustąpiło.

Policja. Na polu golfowym nie słyszał żadnych syren. Czy oznaczało to, że nie powiadomiono policji?

Jak strażnicy wyjaśniliby strzelanie do intruza, gdy ten znajdował się już na terenie ogólnie dostępnym?

A strażnicy, czy wciąż na niego polowali? Mogą sprawdzać okoliczne motele, to oczywiste. Lecz najpewniej zakładali, że ich zwierzyna uciekła możliwie jak najdalej.

Poza tym nie wiedzą przecież, kim jestem i jak wyglądam.

Nogi ugięły się pod nim ze zmęczenia, więc dygocząc wsunął się do łóżka. Powoli się rozgrzewał.

Powiedział sobie, że musi przespać się co najmniej z kilka godzin. Burt zazwyczaj zjawia się w

redakcji koło ósmej. Pittman mógłby zadzwonić, powiedzieć, co się stało

1 poprosić o wskazówki.

Lepiej poprosić portiera, żeby obudził mnie koło ósmej — pomyślał.

W ciemności sięgnął po słuchawkę, lecz ramię opadło mu bezwładnie. Zapadł w sen.

Budził się powoli, ociężale, powieki nie chciały mu się otworzyć. Najpierw pomyślał, że obudziły go promienie słońca, wpadające przez cienką roletę. A może odgłosy autostrady dochodzące zza

szyby. Obolały po wyczynach minionej nocy usiadł i roztarł sobie nogi. Wreszcie wstał z ciepłego łóżka i poszedł załatwić się do łazienki.

Kiedy wrócił, owinął się kocem i poczuł się wystarczająco rześki, by zadzwonić do Burta. Ale kiedy

sięgnął po słuchawkę, zauważył czerwone cyfry elektronicznego zegara — była czternasta trzydzieści

osiem.

Jezu — pomyślał. — To nie rano. To piątek po południu. Spałem prawie dziesięć godzin.

Odkrycie zbiło go z tropu, jakby coś stracił. W istocie, stracił jeden z dni, które mu jeszcze pozostały.

W pośpiechu podniósł słuchawkę.

Zgodnie z instrukcją leżącą obok telefonu, nacisnął cyfrę 9 i uzyskawszy połączenie zamiejscowe, wystukał numer „Chronicie”.

Usłyszał dalekie odgłosy łączenia. Po piętnastu sekundach recepcjonistka w redakcji gazety połączyła go z pokojem Burta.

Jego głos, jak zwykle ochrypli od papierosów, można było rozpoznać w jednej chwili. Nie potrzebował się przedstawiać, choć zawsze to czynił

— Tu Forsyth, słucham.

— To ja, Matt. Przepraszam, że nie przyszedłem. Ostatniej nocy wydarzyło się coś dziwnego. Byłem

w....

— Nie mogę teraz rozmawiać. Mam spotkanie. Pittman usłyszał trzask i połączenie zostało przerwane. Co do diabła?!

Pittman zmarszczył brwi i powoli odłożył słuchawkę.

Burt nigdy nie zachowywał się tak obcesowo. Nie wobec mnie. Musi być rzeczywiście wkurzony. Myśli, że go olałem nie przychodząc do redakcji.

Pittman raz jeszcze wystukał numer. Nie znosił nieporozumień. Ponownie recepcjonistka przełączyła rozmowę.

— Forsyth, słucham.

— Tu Matt. Słuchaj, powiedziałem, że mi przykro. Przysięgam, że to nie moja wina. Mam coś i muszę ci o tym powiedzieć. Ostatniej nocy...

— Nie teraz. Mam poważnych klientów. Po raz drugi Burt przerwał połączenie.

Pittmanowi pulsowały skronie. Zmarszczywszy brwi odłożył słuchawkę.

Chyba jest naprawdę wkurzony. Poważni klienci. Wiem, w czym rzecz. Dlatego że go olałem, daje mi

do zrozumienia, że ja nie jestem dla niego dość poważny.

Zastanowił się, czy nie zadzwonić trzeci raz, ale w końcu zrezygnował. Cokolwiek to jest, nie zamierza pozwolić mi na wyjaśnienie sprawy przez telefon.

Zmartwiony i obolały Pittman sięgnął po ubranie. Było wilgotne, ale przynajmniej nie tak nasiąknięte

wodą. Ponieważ spodnie, koszula i marynarka wisały na wieszakach, były mniej zmięte, niż się spodziewał. Błoto na nich zaschło i mógł je prawie całkowicie oczyścić. Jednak płaszcz był w oplakany stanie, porwany i brudny. Cisnął go do kosza. Następnie zmoczył zmierzwiłone włosy i uczesał się. Chociaż zdecydowanie powinien się ogolić, w motelu nie było przyborów, tak że musiał z

tym na razie poczekać.

Spieszył się, ale był głodny, przypomniał sobie, że widział niedaleko bar McDonalda. Nie miał ze sobą żadnych bagaży, wystarczyło więc wziąć klucz i wyjść.

Otwierając powoli drzwi rozejrzał się, czy ktoś nie obserwuje jego pokoju. W zasięgu wzroku nie było

nikogo. Kiedy szedł przez parking w kierunku recepcji, owiał go chłód mimo ostrego słońca. W wilgotnych skarpetach i bieliznie nie czuł się zbyt przyjemnie.

Zachodniej przebył pieszo. Było coraz zimniej, zapadał zmrok. Otworzył drzwi wejściowe do budynku. Potem drugie, prowadzące obok skrzynek na listy, do korytarza na parterze.

Jak zwykle uderzyły go kuchenne zapachy. Jak zwykle winda jęczała i skrzypiała, wioząc go na drugie piętro. I jak zwykle telewizor wył w sąsiednim apartamencie. Potrząsnął w oszołomieniu głową. Przekręcił klucz w zamku, wszedł do środka, zamknął drzwi za sobą i odwrócił się. W salonie zobaczył człowieka, siedzącego i czytającego gazetę.

Poważni klienci. Podczas jazdy kolejką do miasta Pittman zastanawiał się nad tym, co powiedział mu Burt. Rytmiczny turkot kół wagonu brzmiał jak mantra, pomagał mu zebrać myśli. Poważni klienci.

Może Burt mówił prawdę. Za tydzień „Chronicie” zostanie zamknięta. Wymaga to najrozmaitszych skomplikowanych ustaleń. Możliwe, że właściciel, wydawca i Bóg wie kto jeszcze omawiali w gabinecie Burta politykę redakcji w tych ostatnich dniach.

Jednakże takie ważne osobistości powinny raczej wezwać Burta do siebie, niż fatygować się do redakcji.

Po chwili Pittman powrócił do wcześniejszej myśli, że Burt był po prostu na niego zły.

W godzinach szczytu w okolicach Grand Central Station nie sposób było złapać wolnej taksówki, więc Pittman zdecydował się na metro. Miał zamiar jechać prosto do „Chronicie”, ale na jego zegarku było już osiem po piątej. Słońce skryło się za wieżowcami. Zrobiło się zimno i Pittman w wilgotnym ubraniu znów zaczął dygotać.

Burta w biurze i tak już nie będzie — pomyślał. — Na pewno jest w drodze do baru, do którego zawsze wstępuje po pracy.

Aleja nie zamierzam tam siedzieć i szczekać zębami usiłując coś wyjaśnić. Najpierw muszę się przebrać w coś suchego.

Wysiadł przy Union Square, a ponieważ znów nie udało mu się znaleźć taksówki, całą drogę do swego mieszkania przy Dwunastej

90

Pittmanowi zamarło serce. — Co jest?! Mężczyzna odłożył gazetę.

— Mathew Pittman?

— Co pan sobie, do diabła, wyobraża?!

Mężczyzna był przed czterdziestką. Szczupły, krótko ostrzyżony szatyn z wąską twarzą i ostrym podbródkiem. Miał na sobie szary garnitur i buty na grubych podeszwach.

— Jestem z policji.

Pokazał odznakę i legitymację. Stał z dziwnym grymasem na twarzy, jakby niezadowolony z tego, co robi.

— Detektyw Mullen. Chciałbym panu zadać kilka pytań.

— Jak pan się tu dostał?

— Poprosiłem dozorcę, żeby mnie wpuścił. Pittman poczuł ucisk w piersiach.

— Nie może pan ot, tak sobie... Nie ma pan prawa... Do cholery, ma pan jakiś nakaz?

— Po co? Czy ma pan coś na sumieniu?

— Nie. Chciałem tylko...

— Więc nie traćmy na próżno czasu. Proszę usiąść. Chcę z panem o czymś porozmawiać.

— O czym? W dalszym ciągu nie wiem...

— Wygląda pan na zziębniętego. Chyba ma pan przemoczone ubranie.

92

Pittman pospiesznie próbował znaleźć wyjaśnienie.

— Tak, kelner wylał wodę na marynarkę i spodnie... Detektyw pokiwał głową.

— Dwa tygodnie temu zdarzyło mi się to samo. Tyle tylko, że nie wodę, a makaron z sosem. Lepiej niech pan się przebierze. Proszę zostawić drzwi do sypialni uchylone. Będziemy mogli rozmawiać, kiedy się będzie pan przebierał. Golenie też by się panu przydało.

— Właśnie zapuszczam brodę — skłamał Pittman.

Słyszając głos detektywa przez nie domknięte drzwi, ściągnął nerwowo ubranie, wrzucił je do kosza i wyjął z szuflady świeżą bieliznę i skarpetki.

Wciągnął właśnie brązowe spodnie, kiedy ujrzał detektywa w drzwiach.

— Może mi pan powiedzieć, gdzie pan był ostatniej nocy? Czując, jak występuje mu gęsia skórka, Pittman sięgnął po

koszulę.

— Najpierw byłem w domu, a później poszedłem się przejść. Detektyw otworzył szerzej drzwi,

wywołując u Pittmana uczucie zagrożenia.

— O której pan wyszedł z domu?

— O jedenastej.

— A wrócił...?

— Koło północy. Detektyw uniósł brwi.

— To niebezpieczne spacerować o tak późnej porze.

— Nigdy dotąd nic mi się przydarzyło.

— Miał pan szczęście. Widział ktoś pana?

Pittman już chciał powiedzieć o jadłodajni, ale pomyślał, że jeśli detektyw zacznie wypytywać kucharza, ten może wspomnieć o pudle, a wtedy zostanie odkryta broń. Zezwolenie mówiło, że pistolet Pittman może trzymać tylko u siebie w mieszkaniu. Byłoby zresztą podejrzane, gdyby ukrył ją gdzieś indziej.

— Nikt mnie nie widział.

— To źle. To utrudnia sprawę.

— Jaką sprawę? Słuchaj pan, nie podoba mi się, że się pan tu wpakował i to wypytywanie. Nie wiem

w ogóle, o co tu chodzi. — Pittman nie ukrywał zdenerwowania. — Kto jest pana przełożonym? Proszę o numer telefonu.

93

— Dobry pomysł. Powinniśmy z nim porozmawiać. Chodźmy na posterunek, pogada pan z nim osobiście.

— Świetnie.

— No to w porządku.

— Zadzwoń tylko do mojego adwokata.

— Po co? — spytał detektyw. — Myśli pan, że będzie potrzebował prawnika?

— Kiedy policja zaczyna postępować jak gestapo...

— No, no — detektyw potrząsnął głową. — Rani pan moje uczucia. Proszę wkładać buty. I wziąć płaszcz. Przejedziemy się.

— Przedtem ma mi pan powiedzieć, o co chodzi. — Pittmanowi zaczynało brakować powietrza.

— Nie był pan wcale na spacerze. Pojechał pan taksówką do posiadłości w Scarsdale i włamał się do budynku.

— Co takiego?! To idiotyczne.

Detektyw sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął kopertę. Zerknął na Pittmana, otworzył ją i wyjął jakąś kartkę.

— Co to jest?

— Kserokopia czeku — powiedział detektyw.

Żołądek podszedł Pittmanowi do gardła, kiedy zobaczył, że jest to kopia czeku, który wypisał dla taksówkarza poprzedniej nocy. Skąd, do diabła, policja to wzięła?

Grymas na twarzy detektywa pogłębił się.

— Kierowca ambulansu jadącego ubiegłej nocy z Manhattanu do Scarsdale twierdzi, że cały czas jechała za nim taksówka. Wydało mu się to podejrzane, więc zapisał numer identyfikacyjny z reklamy

światłej na dachu. Kiedy otrzymaliśmy doniesienie o włamaniu do posiadłości, odnaleźliśmy kierowcę. Powiedział, że facet, którego wiozł, wystawił mu czek. Ten czek. Z pana podpisem u dołu, a

nazwiskiem i adresem u góry.

Pittman wpatrywał się w kopię czeku.

— No jak, ma pan zamiar przyznać się, czy będziemy musieli skonfrontować pana z taksówkarzem?

Pittman westchnął ciężko. Biorąc pod uwagę to, co zamierzał uczynić za siedem dni, jakaż to w końcu różnica.

Włamałem się po to tylko, żeby uratować starca — pomyślał. — Czy to taka wielka zbrodnia? Dlaczego to ukrywać?

Wszystko jedno — stwierdził.

94

— Tak, to byłem ja.

— No właśnie. Nie czuje się pan teraz lepiej?

— Mogę to wszystko wyjaśnić.

— Oczywiście.

— Ale najpierw zadzwonię do mojego prawnika.

Minął detektywa stojącego w drzwiach sypialni, wszedł do salonu i sięgnął po telefon.

— Chyba nie ma sensu komplikować tego wszystkiego — detektyw podążył za nim. — Sprawa jest prosta.

— I chcę, żeby tak pozostało. Dlatego muszę skontaktować się z prawnikiem. Żeby nie było żadnych niedomówień.

Pittman wziął do ręki telefon.

— Proszę, żeby pan tego nie robił — rzekł detektyw. — Mam tylko kilka pytań. Adwokat jest niepotrzebny. Czy kiedy był pan w pokoju starszego pana, powiedział coś panu?

Pittman pokręcił głową.

— Nie rozumiem.

— Czy coś powiedział?

— Co to ma do rzeczy? A jeśli tak, to co? Detektyw przysunął się bliżej, jego twarz stężała.

— Czy... starszy pan... powiedział... coś panu?

— Coś tam mamrotał.

— Mianowicie?

Pittman nadal trzymał telefon.

— Nie miało to żadnego sensu. Coś o jakimś Duncanie. Potem coś o śniegu. A potem... Sam nie wiem... Chyba powiedział „Grollier”.

Rysy na twarzy detektywa ściągnęły się jeszcze bardziej.

— Czy mówił pan o tym jeszcze komuś?

— Niby komu? Co za różnica...? Chwileczkę. Coś tu jest nie w porządku. O co tu chodzi? Proszę pokazać mi swoją legitymację.

— Już ją pan widział.

— Chcę ją zobaczyć jeszcze raz. Detektyw wzruszył ramionami.

— Tu jest moja legitymacja.

Sięgnął za połą marynarki. Na widok wyciąganej broni Pittman zeszytniał, a serce zaczęło mu walić.

Lufa pistoletu była nienaturalnie długa. Uświadomił sobie nagle, że to nie lufa, lecz zamocowany na niej tłumik.

95

Policjanci nie używają tłumików.

— Ty cholerny gnoju, zacznij znowu marudzić, a wpakuję ci kulkę między oczy. Komu jeszcze powiedziałeś?!

Koniec tłumika zahaczył o marynarkę. Gdy mężczyzna spojrział w dół, Pittman zareagował błyskawicznie. Pomimo samobójczych zamiarów, nie stracił instynktu samozachowawczego w obliczu

nagłego zagrożenia. W panice z całej siły walnął telefonem faceta prosto w czoło.

Mężczyzna zachwiał się. Krew zalała mu oczy. Zaklął i próbując odzyskać wzrok podniósł pistolet. Pittman, przerażony, uderzył jeszcze raz, łamiąc mu nos. Trysnęła krew i człowiek przewrócił się do tyłu na stolik do kawy. Szklany blat roztrzaskał się. Mężczyzna, uderzając głową o metalową ramę stolika, zwałił się na podłogę.

Nie odrywając wzroku od pistoletu Pittman podniósł telefon i zamierzył się po raz trzeci, ale przewód

okazał się zbyt krótki. Drżąc cały odrzucił telefon, desperacko rozglądając się za czymś, czym mógłby

uderzyć. Pochwycił lampę, kiedy uświadomił sobie, że mężczyzna leży bez ruchu.

Oczy i usta miał szeroko otwarte, a głowę opartą o metalową ramę stolika. Ugięte w kolanach nogi zwisały bezwładnie.

Trzymając wysoko lampę dla zadania ciosu Pittman podszedł bliżej. Mężczyzna nie oddychał.

Dobry Boże, nie żyje.

Wydawało mu się, że czas nabrał pędu. Poczul się jak zawieszony w próżni. Minęły sekundy, a może

minuty, a on wpatrywał się bez przerwy w człowieka z pistoletem. Powoli odstawił lampę. Ukłękł obok ciała wstrząśnięty.

Jak to się stało...? Przecież nie uderzyłem tak mocno, żeby...

Chryste, musiał złamać sobie kark, kiedy rąbnął o blat. Walnął głową w metalową ramę.

Wtedy zauważył na podłodze kałużę krwi. Dużo krwi.

Ciągle obawiając się, że mężczyzna może nagłym ruchem wycelować w niego pistolet, pociągnął go

za ramię i odwrócił ciało. Kiedy zobaczył długi, ostry kawał szkła wbity w plecy na wysokości łopatek, zrobiło mu się niedobrze.

Pot wystąpił mu na czoło.

Miał trzydzieści osiem lat. Nigdy nie był w wojsku. Poza doświadczeniami ostatniej nocy oraz soboty

przed siedmiu lat, kiedy złamano mu szczękę, z przemocą miał do czynienia tylko za pośrednictwem

ludzi, z którymi przeprowadzał wywiady: ofiarami lub przestępcami, albo policjantami.

7 — Desperackie kroki

97

A teraz zabił człowieka. Przerażony krwią na telefonie, delikatnie odłożył go na miejsce.

Co robić...?

Nagle przestraszył się, że ktoś mógł usłyszeć łoskot. Przyłożył ucho do ściany, za którą był telewizor

sąsiada, słyszał, jak ludzie się śmieją, ktoś mówił coś o wycieczce na Jamajkę, a potem brawa; jakiś teleturniej. Spodziewał się, że usłyszy kroki i walenie w drzwi.

Zamiast tego dobiegał go głos prowadzącego teleturniej, wręczającego zwycięzcy nagrodę. Oprócz hałasu telewizora w jego mieszkaniu panował niesamowity spokój.

A jeśli się pomyliłem i rzeczywiście był to poligant?

Z trudem oddychając Pittman wyciągnął z marynarki leżącego legitymację, którą widział wcześniej.

Przeczytał nazwisko detektywa: William Mullen. Zdjęcie przedstawiało twarz zmarłego. Lecz kiedy przyjrzał się bliżej, zauważył, że fotografia przyklejona była na drugiej, przedstawiającej kogoś innego. Przeszukał portfel i znalazł prawie czterysta dolarów oraz prawo jazdy na nazwisko

Edwarda

Hallowaya, zamieszkałego w Alexandrii w Wirginii. Pittman nie słyszał dotąd, żeby nowojorski policjant mieszkał w odległości kilku stanów od miejsca pracy. Z całą pewnością nie był to gliniarz.

W takim razie kim był, do diabła?

Z

adzwonił telefon.

Pittman utkwiał w nim wzrok.

Aparat odezwał się ponownie. Kto mógłby tu dzwonić? Telefon zadzwonił po raz trzeci. Może powinienem...? I po raz czwarty. A może to Burt?

Podniósł słuchawkę i nerwowo powiedział: — Słucham. Cisza i zaraz dźwięk odkładanej słuchawki.

— Jezu.

8

Skoczył do sypialni, chwycił brązową kurtkę i wyjął walizkę ze schowka. Odłożył ją natychmiast z powrotem i sięgnął po sportową torbę, której używał, kiedy jeszcze biegał. Przeprowadzał kiedyś wywiad z facetem z ochrony, który był ekspertem od wtapiania się w tłum.

— Jedną z podstawowych rzeczy — twierdził ochroniarz — jest znalezienie czegoś nie rzucającego się

w oczy, a mogącego pomieścić broń lub inny ekwipunek. Walizka jest zbyt pękata, ponadto każdy, niosący ją w innym miejscu niż na dworcu, od razu rzuca się w oczy.

Znacznie naturalniej wyglądałaby teczka, zwłaszcza u osoby dobrze ubranej, ale nie byłaby dość pojemna. Natomiast przyzwoita torba sportowa była idealna. Wielu ludzi chodzi ćwiczyć po pracy, tak

więc torba wygląda naturalnie, nawet jeśli niosąca ją osoba ma na sobie garnitur.

I można w niej sporo pomieścić.

Trzęsącymi się rękami wrzucił do torby czystą bieliznę i skarpetki. Oprócz tego dodatkową koszulę, krawat, czarny dres, buty do biegania, elektryczną golarkę, szczoteczkę i pastę do zębów oraz szampon.

Co jeszcze?

Nie wybierasz się na kemping. Trzeba się stąd natychmiast wynosić. Telefon był prawdopodobnie od

mocodawcy fałszywego policjanta.

100

Pospieszył do salonu, spojrzął na ciało mężczyzny i w pierwszym odruchu chciał wyjąć czterysta dolarów z jego portfela.

To dopiero byłaby gratka dla policji. Najpierw go zabiłeś, a potem wpadłeś na pomysł, żeby go jeszcze okraść?

A co z pistoletem?

No właśnie.

Może go wziąć?

Czyżbyś się miał za Johna Wayne'a? Wiesz o broni dość dużo, żeby zabić siebie, ale nie będziesz chyba strzelać do innych?

Kiedy telefon zaczął ponownie dzwonić, Pittman porwał płaszcz, otworzył drzwi wyjściowe, wyjrzał,

upewnił się, że nie ma nikogo, wyszedł na słabo oświetlony korytarz i zamknął za sobą drzwi na klucz.

W mieszkaniu telefon ciągle dzwonił.

Podbiegł do windy. Kiedy już miał przycisnąć guzik, usłyszał brzęczyk.

Winda skrzypiąc zaczęła wjeżdżać do góry.

Pittman poczuł ucisk w głowie.

Rzucił się w stronę schodów, ale zamarł, kiedy usłyszał odgłos kroków na betonowych stopniach, stopniowo narastający, tak jakby ktoś wspinał się z parteru na górę.

Niewidzialne szpony zdawały się zaciskać mu na piersi. Jeden człowiek w windzie, drugi na schodach.

To miało sens. Nikt nie mógł dotrzeć na dół nie zauważony.

Pittman zawrócił starając się zachowywać jak najciszej. Po chwilowym namyśle w korytarzu wspinał się po schodach na wyższe piętro.

Będąc niewidoczny, słyszał, jak winda zatrzymała się i ktoś z niej wyszedł. Kroki dobiegające z

klatki

schodowej dotarły do drugiego piętra i dołączyły do tych z windy.

Kroki podążały korytarzem, aż stanęły, jak się Pittman domyślił, przed drzwiami jego mieszkania.

Usłyszał stukanie, raz i drugi, a potem chrobot metalu. Rozpoznał odgłos wytrycha forsującego

102 zamek. Inny, metaliczny dźwięk mógł pochodzić z repetowanej broni. Drzwi zostały otwarte.

— Cholera! — wykrzyknął ktoś, jak gdyby zobaczył leżące w mieszkaniu ciało.

Kroki natychmiast skierowały się do środka, a drzwi zamknęto.

Nie mogę tu zostać — pomyślał Pittman. — Mogą przeszukiwać budynek.

Rzucił się do drzwi windy i nacisnął guzik. Ręce mu się trzęsły, kiedy winda rżąc i skrzypiąc wjeżdżała na górę.

Jakaś część jego osoby za wszelką cenę pragnęła zbiec po schodach. Ale jeśli ci ludzie wyjdą i zobaczą go? W windzie będzie niewidoczny, chyba że prześladowcy nie wsiądą do niej piętro niżej.

Wtedy znajdzie się w pułapce.

Musiał jednak podjąć ryzyko.

Przypuścimy, że zostawili kogoś w hallu na dole. Pittman musiał znaleźć sposób, żeby go ominąć i winda była tą szansą.

Twarz miał mokrą od potu, kiedy wszedł do środka i przycisnął guzik do piwnicy. Gdy winda zbliżała

się do piętra niżej, wyobrażał sobie, że słyszy brzęczyk, kabina się zatrzymuje, a dwaj mężczyźni wchodzą do środka.

Cały drżąc patrzył, jak strzałka nad drzwiami wskazuje trójkę.

Po chwili zaczęła zbliżać się do dwójki.

Odetchnął, strużki potu spływały mu po piersi pod koszulą.

Strzałka wskazała jedynekę, a potem literkę P.

Koniec podróży. Drzwi otworzyły się ze zgrzytem. Przed sobą miał ciemną, zatęchłą piwnicę.

W chwili gdy postąpił krok naprzód, drzwi windy zamknęły się. Był koło kotła centralnego ogrzewania, gdy, ku jego zaskoczeniu, ruszyła do góry. Odwrócił się i popatrzył na strzałkę:

jedyńska,

dwójka, trójka.

Zatrzymała się.

Jednocześnie od strony klatki schodowej usłyszał hałasy z korytarza: kroki i głosy.

— Widzisz kogoś?

— Nie. Chłopcy właśnie poszli na górę.

— Nikt nie schodził?

— Nikogo nie widziałem. Jestem tutaj dopiero od pięciu minut. Ktoś zjeżdżał windą do piwnicy.

— Do piwnicy? Czego mógł tam szukać?

103

— Może coś zwoził.

— Sprawdź to.

Pittman w pośpiechu przeszedł obok kotła. W mroku mijał pozamykane pomieszczenia. Za sobą słyszał kroki na schodach. Doszedł do drzwi prowadzących na zewnątrz. Zlany potem, delikatnie odsunął rygiel, starając się za wszelką cenę nie narobić hałasu. Kroki słysząc już było u podnóża schodów.

Otworzył drzwi truchlejąc, kiedy głośno zaskrzypiały; wysunął się na zewnątrz, zamknął je i rzucił się

do ucieczki. Wąska alejka, szeroka zaledwie na pięć stóp, w jednym kierunku prowadziła na

Dwunastą

Ulicę, w drugim, obok sąsiedniego budynku, na Jedenastą. Zakładając, że ścigający go zaparkowali samochód przed frontem jego domu przy Dwunastej, pobiegł pędem koło śmietników w stronę Jedenastej.

Alejka kończyła się solidnymi drewnianymi drzwiami. Odrętwiały ze strachu, odsunął kolejny

rygiel i pociągnął klamkę do siebie, wzdrygając się na odgłos hałasu, jaki nagle rozległ się w alejce daleko za nim. Wskoczył na ulicę mrużąc oczy od światła reflektorów i latarni. Ciężko dysząc, w panice skręcił w lewo mijając zaskoczonych przechodniów. Pędził w kierunku zachodnim, gdzie ruch był większy, a zatłoczona Siódma Aleja dawała poczucie bezpieczeństwa. O tej porze z łatwością złapał taksówkę.

10

Burt Forsyth nie był żonaty. Swoje mieszkanie traktował wyłącznie jako miejsce do zmiany ubrania, spania i kąpieli. Każdego wieczora po pracy robił to samo: kilka drinków i obiad w Bennie's Oldtime Beefsteak Tavern. Bywalcy tawerny byli dla niego jak rodzina. Tawerna przy Wschodniej Piątej Ulicy nie pasowała do otoczenia, do ekskluzywnego sklepu z wyrobami ze skóry po lewej stronie i salonu z modną odzieżą po prawej. W jej oknie umieszczony był jaskrawy neon i znak oznajmujący, że w środku mają telewizor z wielkim ekranem. Kiedy taksówka Pittmana zatrzymała się, klienci jak zwykle wchodzili i wychodzili. W tym samym momencie inna taksówka zatrzymała się obok, żeby wysadzić jakiegoś mężczyznę. Pittman przyjrzał mu się dokładnie, po czym odetchnął z ulgą, kiedy ten, nie oglądając się, wszedł do baru. Zapłacił taksówkarzowi resztką gotówki, jaka mu została, rozejrzał się dookoła upewniając, że nikt go nie śledzi i ruszył do wejścia. Nikt nie zwrócił uwagi na jego sportową torbę, kiedy stanął wśród klientów i rozglądał się po zatłoczonym, słabo oświetlonym hałaśliwym wnętrzu. Część tawerny po prawej stronie, wyłożona boazerią, była przeznaczona dla amatorów befsztyków. Ścianka oddzielała ją od części po lewej, gdzie można było sobie porządnie popić. Tutaj znajdował się długi kontuar i kilka stolików, zwróconych w stronę dużego ekranu telewizora, zawsze nastawionego na

105

kanal sportowy. Pittman był tu parę razy z Burtem i wiedział, że ten na ogół siadywał przy barze. Teraz jednak nie mógł dostrzec jego charakterystycznej sylwetki. Przeszedł dalej torując sobie drogę obok dwóch klientów płacących rachunek przy kasie. Wyciągnął szyję w kierunku stolików, lecz i tam go nie było. Poczul niepokój. Wiedział, że już wcześniej powinien był skontaktować się z policją, gdy poczucie niebezpieczeństwa zmusiło go do ucieczki. Miał oczywiście zamiar zadzwonić do nich, lecz kiedy wsiadł do taksówki, pierwsze słowa, które mu przyszły na myśl, były — „Tawerna u Benniego”. Chciał wszystko spokojnie przemyśleć. I musiał porozmawiać z Burtem. Niestety, tu go nie było. Pittman próbował pocieszyć się myślą, że być może Burt zrobił wyjątek i usiadł w części restauracyjnej. Albo może się spóźni. Może przyjdzie później. Może go nie zauważyłem. Pospiesz się — powiedział sobie w duchu. — Policja będzie się zastanawiać, dlaczego ich nie powiadomiłeś niezwłocznie po ucieczce. Czując ucisk w piersi udał się w kierunku części restauracyjnej i wtedy mignął mu przysadzisty mężczyzna o nieprzeniknionej twarzy, około pięćdziesiątki, z włosami na jeża i krzaczastymi brwiami. Miał na sobie pomiętą kurtkę. Pittman widział go tylko przez chwilę, kiedy ten mijając klientów

schodził ze schodów przy ścianie dzielącej sale baru.

11

Przeszedł podestem drewnianych schodów, minął szatnię, automat telefoniczny i drzwi z napisem PANIENKI. Otworzył drzwi z napisem FACECI. Chudy człowiek z siwymi włosami wyszedł z kabiny. Włożył niebieską marynarkę i zatrzymał się przy rzędzie umywalek, obok długowłosego młodzieńca w skórzanej wiatrówce, aby umyć sobie ręce. Przysadzisty mężczyzna, za którym Pittman

udał się na dół, stał przy pisuarze po lewej stronie.

— Burt?

Mężczyzna spojrzawszy zaskoczony przez ramię, z kącika ust zwisał mu papieros.

— Co ty tu robisz? Pittman podszedł do niego.

— Słuchaj, mogę wyjaśnić, dlaczego dzisiaj nie byłem w pracy. Muszę z tobą porozmawiać. Wierz mi, to poważna sprawa.

Stojący obok mężczyźni wydawali się zainteresowani rozmową.

— Nie zdajesz sobie sprawy, że to niebezpieczne? — powiedział Burt. — Próbowałem ci to powiedzieć przez telefon.

— Niebezpieczne? Odniosłem wrażenie, że jesteś na mnie wkurzony. Spotkanie. Ważni ludzie. Niech ci będzie.

Burt pospiesznie zaciągnął suwak i wcisnął dźwignię pisuaru. Rzucił papierosa do spływającej wody i obrócił się.

— Tylko dla twojej wiadomości. Tymi poważnymi ludźmi byli... — zauważył, że dwaj mężczyźni przy umywalkach patrzą na niego, więc skinął ręką.

107

— Chodźmy stąd.

Pittman zniecierpliwiony wyszedł za nim. Zatrzymali się przy końcu korytarza, z dala od toalety i schodów prowadzących na dół. Burt wyszeptał ochryple:

— Była u mnie policja.

— Co takiego?

— Szukają cię.

— Co?!

— Nie słuchałeś radia? Nie oglądałeś wieczornych wiadomości?

— Nie miałem czasu. Kiedy wróciłem do siebie, jakiś facet siedział w salonie...

— Nie wiem, co robiłeś ostatniej nocy, ale gliniarze myślą, że się włamałeś do domu w Scarsdale i zamordowałeś Jonathana Millgate'a.

— Co takiego?! — Pittman aż oparł się o ścianę. Mężczyzna w skórzanej kurtce wyszedł z męskiej

toalety,

popatrzył na nich z zaciekawieniem i poszedł na górę. Burt, zaniepokojony, poczekał, aż facet zniknie.

— Słuchaj — powiedział spokojnym, dobitnym głosem — nie możemy tutaj rozmawiać. Policja pewnie mnie śledzi, licząc że będziesz się chciał ze mną skontaktować. Mam wrażenie, że jeden z nich

siedzi na górze przy stoliku obok mojego.

— Kiedy możemy porozmawiać? I gdzie?

— Spotkajmy się o jedenastej w Madison Square Park. Przy wyjściu na Piątą Aleję. Muszę być pewien, że nikt za mną nie idzie. Cholera, w co ty się wpakowałeś? Muszę wiedzieć, o co tu chodzi.

— Wierz mi, Burt, nie tylko ty.

12

Pittman tak był zdezorientowany, że dopiero gdy znalazł się na ulicy, uprzytomnił sobie, że mógł poprosić Burta o trochę pieniędzy. Podróż kolejką ze Scarsdale na Manhattan oraz taksówką do restauracji pochłonęły całą jego gotówkę. Miał książeczkę czekową, ale w sklepach otwartych o tej

porze czeka przyjmowano wyłącznie do wysokości ceny zakupionych towarów. Obejrzał się nerwowo i nie widząc, żeby ktoś go śledził, szybko poszedł w kierunku Piątej Alei. Kilka

przecznic dalej na południe doszedł do głównego wejścia banku, z którego usług korzystał. Bankomat

znajdował się w niszy na lewo od wejścia. Wsunął kartę do otworu i czekał, kiedy na ekranie urządzenia pojawi się pytanie o jego numer.

Ku jego zaskoczeniu ukazał się napis: SKONTAKTUJ SIĘ Z URZĘDNIKIEM BANKU.

Urządzenie zabrzęczało i połknęło kartę.

Pittman patrzył osłupiały.

Co do diabła? To chyba jakaś pomyłka.

Odpowiedź nasuwała się sama. Poliga musiała mieć nakaz sądowy. Zablokowali mi konto.

Burt miał rację.

„Nie słuchałeś radia? Nie oglądałeś wieczornych wiadomości?”

Pittman w pośpiechu wszedł w boczną uliczkę, mijając kilka tawern, zanim znalazł jedną, z telewizorem nad barem. Ponieważ „Chronicie” i inne nowojorskie gazety miały tylko poranne wydania,

109

nie zdążyłyby napisać o tym, co się stało z Jonathanem Millgate'em ostatniej nocy.

Jedynym źródłem informacji mogła być dla Pittmana telewizja kablowa, na przykład CNN. Usiadł w

cichym, zadymionym rogu taweray i z niechęcią patrzył na czwartą rundę meczu bokserskiego. Był zdenerwowany i nie podzielał entuzjazmu pozostałych gości z powodu nagłego nokautu.

Ruszcie się wreszcie — ponaglał ich w myślach. — Niech ktoś przełączy na dziennik.

Był nawet gotów zaryzykować zwrócenie na siebie uwagi i poprosić barmana o przełączenie kanału na

CNN. Był już przy kontuarze, gdy po walce zaczęto podawać wiadomości. Zmroziło go, kiedy zobaczył swoje zdjęcie w tle za reporterem. Było sprzed kilku lat, kiedy jeszcze nosił wąsy. Rysy miał

bardziej wyraziste, bez śladów cierpienia. Mimo to natychmiast usunął się w cień.

— Ogarnięty manią samobójczą autor nekrologów zabija chorego dyplomata — rozpoczął reporter, najwyraźniej zadowolony z sensacyjnej zapowiedzi.

Czując, jak cała krew spływa mu do żołądka, a kończyny stają się lodowate, słuchał oszołomiony.

Komentator relacjonował sprawę używając co prawda słów „rzekomo” i „prawdopodobnie”, jednakże

jego ton nie pozostawiał wątpliwości, że Pittman jest winien. Według policji w Scarsdale, współpracującej z wydziałem zabójstw na Manhattanie, Pittman, cierpiący na załamanie nerwowe po

śmierci syna, zamierzał popełnić samobójstwo i nawet napisał własny nekrolog. Dziennikarze pracujący w redakcji przy sąsiednich biurkach twierdzili, że był przygnębiony i rozkojarzony.

Mówiło

się, że miał na punkcie Jonathana Millgate'a obsesję, która zaczęła się siedem lat temu. Był wówczas

głęboko przekonany o współdziale Millgate'a w aferze w przemyśle zbrojeniowym. Nieustannie nachodził go, domagając się wywiadu, tak że Millgate zmuszony był zwrócić się do policji o interwencję. Obecnie, u znajdującego się w stanie zachwiania umysłowego Pittmana, obsesja znów się

pojawiła i postanowił zabić Millgate'a przed popełnieniem własnego samobójstwa. Ostrzeżeni o niebezpieczeństwie opiekunowie leciwego polityka podjęli środki zaradcze i zabrali go ze szpitala w

Nowym Jorku, gdzie przebywał po ataku serca. Pittmanowi udało się pojechać za nim do posiadłości

w Scarsdale, włamać do jego

110

pokoju i odłączyć od aparatury reanimacyjnej, powodując śmierć Millgate'a. Odciski palców na drzwiach wejściowych do pokoju oraz na aparaturze świadczą o tym, że Pittman był w środku. Pielęgniarka widziała, jak uciekał. Czekał, który wystawił nowojorskiemu taksówkarzowi za kurs do posiadłości, pozwolił policji uznać go za jedyne podejrzane. Pittman przebywa wciąż na wolności.

Wpatrywał się w ekran starając zapanować nad nerwami. Czuł, że zaraz zwariuje. Mimo różnicy w wyglądzie na fotografii, z pewnością wszyscy w tawernie go rozpoznali. Musiał zaraz wyjść na ulicę,

zanim ktoś wezwie policję.

Policja. W napięciu odszedł od baru z nisko pochyloną głową, czując ulgę, że nikt nie próbował go zatrzymać.

Może się mylę. Może powinienem jednak zgłosić się do nich. Powiedzieć, że są w błędzie. Że próbowałem pomóc Millgate'owi, nie zabijać go.

Właśnie. A co z facetem, którego zabiłeś w mieszkaniu? A jeśli wciąż tam jest, jeśli kumple go nie zabrali? Spodziewasz się, że policja uwierzy ci na słowo? Skoro tylko położą na tobie łapy, znajdziesz

się w więzieniu.

Może to nie takie złe? Przynajmniej będę bezpieczny. Ci faceci z mojego mieszkania mnie nie dostaną.

Skąd wiesz? Siedem lat temu dwóch zbirów złamało ci szczękę w bostońskim areszcie. Strażnicy mogą znów nie dopilnować. Tym razem może cię spotkać jedynie śmierć.

13

Kiedy wszedł do jadłodajni, rozejrzał się, czy ktoś nie przygląda mu się badawczo. Ale nikt nie zwrócił na niego uwagi. Albo nie oglądali wiadomości, albo nie powiązali jej z jego osobą. Poza tym

nikt tu go nie znał wyjątkiem kucharza, jak zwykle zajętego o tej porze. A i on znał go tylko z imienia.

— Jak leci, Matt? — spytał kucharz. — Nie pokazywałeś się przez wiele tygodni, a teraz zjawiasz się

co wieczór. Widzę, że szybko przybędziesz na wadze. Co zjesz dzisiaj?

Wciąż wytracony z równowagi zablokowaniem jego karty kredytowej odpowiedział:

— Krucho u mnie z forszą. Przyjmiesz czek za posiłek?

— Zawsze byłeś wypłacalny.

— I za dwadzieścia dolarów ekstra?

— Nie przeceniaj mojego jedzenia. Niestety, nie.

— Dziesięć? Kucharz pokręcił głową.

— No, stary...

— Rzeczywiście tak z tobą krucho?

— Gorzej niż krucho.

— Łamiesz mi serce. — Kucharz zastanawiał się. — Dobra, dla ciebie zrobię wyjątek. Ale nie rozpowiadaj o tym.

— To będzie nasza tajemnica. Doceniam to, Tony. Padam z głodu. Daj mi sałatę, plaster mięsa, tłuczone ziemniaki z sosem,

112

groszek z marchewką, szklanek mleka i mnóstwo kawy. Potem pogadamy o deserze.

— W ten sposób rzeczywiście szybko się podtuczysz. Jesteś pewien, że to wszystko?

— I jeszcze coś.

— Mianowicie?

— To pudło, które zostawiłem zeszłej nocy.

8 — Desperackie kroki

Po wyjściu z jadłodajni Pittman poszukał odludnego zakątka w pobliskiej alei. Odwrócony plecami do

ulicy przykucnął i otworzył paczkę. Wyjął pistolet i pudełko z amunicją i przełożył je do torby. Nagle usłyszał za sobą antypatycznie brzmiący głos.

— Co tam masz w torbie, człowieku?

Spoglądając przez ramię dostrzegł ulicznego rzeźmieszka, wysokiego, z szerokimi barami i zimnym spojrzeniem.

— Takie tam rupiecie.

— Jakie rupiecie? — w ręku typy błysnął nóż o długim ostrzu.

— Takie. — Pittman wycelował czterdziestkępiątkę. Typ schował nóż.

— Spokojnie, chłopie. Cholernie dobry rupieć. — Odwrócił się i zaczął uciekać.

Pittman ukrył broń z powrotem w torbie.

114

15

Spośród wszystkich fotografii Steichena Pittman najbardziej lubił zdjęcie, stojącego u zbiegu Broadwayu i Piątej Alei, Flatiron Building z początku dwudziestego wieku na tle Madison Square Park. Przedstawiało zimową scenkę z dorożkami konnymi w padającym śniegu. Chociaż nagie gałęzie

drzew w Madison Square Park zajmowały jedynie kawałek po lewej stronie, rzucały się w oczy podobnie jak Flatiron Building.

Pittman zatrzymał się w miejscu, gdzie, jak sądził, Steichen ustawił niegdyś swój statyw z aparatem.

Chociaż była już wiosna, liście na drzewach jeszcze się w pełni nie rozwinęły i Pittman mógł, korzystając z nocnej pory, wyobrazić sobie, że przeniósł się w dawne czasy, że słyszy przytłumiony stukot końskich kopyt zamiast hałaśliwego zgiełku samochodowego.

Przyszedł do parku na pół godziny przed terminem. Nie było innego miejsca, dokąd mógłby pójść.

Chociaż posiłek przywrócił mu nieco energii, wciąż odczuwał zmęczenie z powodu przejść poprzedniej nocy oraz długich przemarszów w ciągu dnia. Mimo strachu od ponad roku nie czuł się tak dobrze jak teraz. Ból w mięśniach był niemal przyjemny. Jego wytrzymałość osiągnęła już jednak

granice możliwości. Musiał usiąść.

Oczywiście nie na widoku. Po krótkim wcieleniu się w postać Steichena opuścił miejsce, gdzie znany

fotografik ustawiał swą wiekową kamerę, i poszukał schronienia pośród drzew, alejek spacerowych i

ławek. O tej porze, nocą, był zaledwie jednym z wielu

115

starających się nie rzucać w oczy spacerowiczów, na ogół bezdomnych i śpiących na ławkach.

Rozmyślał i czekał.

O jedenastej, zgodnie z planem, Burt Forsyth wysiadł z taksówki przy Piątej Alei. Kiedy światła pojazdu wtopiły się w uliczny ruch, zatrzymał się, aby zapalić papierosa. Chciał, żeby płomyk zapalniczk

czki zwrócił uwagę Pittmana i pomógł mu go rozpoznać.

Wszedł do parku mijając pomnik pamięci ofiar wojny.

Najwyraźniej — pomyślał Pittman — Burt zakłada, że sam podejść do niego. Przecież nie wie, gdzie

jestem.

Odczekał chwilę, żeby zobaczyć, czy nikt nie idzie za Burtem, po czym podniósł się z ukrytej w cieniu

ławki.

Lecz kiedy zbliżył się do niego, Burt rzucił mu wymowne spojrzenie, lekko, choć zdecydowanie pokręcił głową, co wyglądało na ostrzeżenie. Prawie niezauważalnie dał mu znak, żeby poszedł do przodu.

Pittman całą siłą woli powstrzymywał się, żeby się nie odezwać do Burta. Chyba chce, żebym poszedł

za nim. Czyżbyśmy mieli towarzystwo? Nie przesadza z tą ostrożnością?

Starając się zachowywać naturalnie, poszedł równoległą alejką. Burt przeciął park, wyszedł na Dwudziestą Szóstą i skierował się w prawo. Pittman minął budynek sądu, wyłożony białym marmurem, skręcił na wschód i nie zwracając uwagi na przyciemnione wystawy drogich sklepów po prawej stronie, skoncentrował się na idącym przed nim Burcie.

W pewnym momencie Burt skrył się pod prowizorycznym daszkiem, zabezpieczającym przechodniów

przed prowadzonymi robotami. Kiedy Pittman przyspieszył, aby go dogonić, zobaczył Burta czekającego w cieniu między dwoma kontenerami na śmieci i gąszczem metalowych rusztowań. Podeszedł do niego.

— Nie wiem, co robić. Telewizja przedstawia mnie jako maniaka.

— Mówiłem ci, że to poważna sprawa. Co się właściwie stało? Jak się w to wszystko wplątałeś?

— Nie zabiłem Millgate'a.

— To dlaczego widziano cię, jak uciekasz z jego pokoju?

— Wyjaśnienie jest całkiem proste.

— Naprawdę? Twoje odciski palców były na aparatach do reanimacji. Co tam robiłeś?

116

— Burt, musisz mi uwierzyć. To wszystko jedna wielka pomyłka. Cokolwiek spowodowało śmierć Millgate'a, ja nie mam z tym nic wspólnego.

— Ja ci wierzę. Ale to nie mnie musisz o tym przekonać. Jak wyjaśnisz policji, że to nie ty?

Nagły cień sprawił, że Burt odwrócił się w stronę chodnika. Pittman również spojrzał w tym samym kierunku. Zobaczył wyłaniającego się mężczyznę. W ulicznym świetle widział jedynie zarys postaci w

za dużej wiatrówce, twarz była niewidoczna.

Człowiek wykonał gest, jakby coś wyciągał.

Nie! Pittman cofnął się i wyrznął plecami o pojemniki na śmieci...

Osaczony, widząc wymierzony w siebie pistolet, nie miał innej obrony, jak podnieść torbę, aby nią rzucić.

Kiedy pistolet wypalił, tłumik tak wyciszył odgłos strzału, że nie był głośniejszy niż uderzenie pięścią

w poduszkę.

Kula przeszła torbę, ale nie trafiła Pittmana, gdyż tracąc równowagę upadł między śmietniki na beton.

Strzelający cofnął się w cień. Pittman wpatrywał się w niego w panice, spodziewając się, że następna

kula trafi go między oczy. Lecz łoskot metalu spłoszył napastnika. Odwrócił się w kierunku Burta, który zahaczył właśnie o rusztowanie, i wypalił mu prosto w pierś.

Chwytnie spazmatycznie powstrzymując się, Burt runął do tyłu.

Pittman jak oszalały szarpał się z suwakiem torby.

Zabójca odwrócił się znów do Pittmana, w tym momencie Burt uderzywszy plecami o rusztowania odbił się od nich i bezwiednie otoczył ramionami napastnika. Ten strząsnął go z siebie i strzelił po raz

drugi, tym razem w twarz.

Torba Pittmana była otwarta. /

Zabójca obrócił się i podniósł pistolet.

Pittman chwycił czterdziestkę, odciągnął kurek i nacisnął spust. Huk, jaki wydała nie wyciszona

broń, przeraźliwie kontrastował z poprzednimi strzałami. Poczul, jakby ktoś z całej siły uderzył go otwartymi dłońmi w uszy. Strzał odbił się echem, spotęgowanym przez wąską przestrzeń. Dzwoniło

w uszach, kiedy strzelał raz za razem.

Przestał.

Nie miał już celu przed sobą. Ciasnota miejsca pomogła

117

Pittmanowi w celowaniu. Mężczyzna leżał na plecach, krew błuzgała mu z piersi, krtani i lewego oka.

Pittman poczul mdłości, wszystko podeszło mu do gardła. Ale nie mógł pozwolić sobie na słabość. Burt! Musi pomóc Burtowi. Dogramolił się do niego. Chwycił za puls, lecz nic nie mógł wyczuć.

Nic!

Pomimo przeraźliwego dzwonięcia w uszach nagle usłyszał krzyki i daleki odgłos syren. Był jak sparaliżowany. Oczy mu znieruchomiały, gdy spojrzął po raz ostatni na przyjaciela. Kiedy głosy syren

zaczęły się przybliżać, paraliż ustąpił. Złapał sportową torbę, wrzucił do niej broń i rzucił się do ucieczki.

Jakaś kobieta po przeciwnej stronie ulicy zaczęła krzyczeć. Pittman pognął Dwudziestą Szóstą na wschód, w kierunku Park Avenue.

— Boże, pomóż mi — powtarzał.

Lecz nie był z Bogiem w najlepszych stosunkach. Bóg pozwolił Jeremy'emu umrzeć. Pittman zwrócił

się więc do jedynej istoty, której był pewien.

— Jeremy, wysłuchaj mnie. Proszę cię, synku. Pomóż swojemu ojcu.

16

Ile czasu pozostało, zanim policja mnie dopadnie? — zastanawiał się. Wewnętrzny głos nakazywał mu

biec, uciekać, nie zatrzymywać się. Lecz inny głos, jak gdyby Jeremy'ego, ostrzegał, że biegnąc zwraca na siebie uwagę.

Zwolnij. Zachowuj się, jakby nic się nie stało.

Z tyłu w oddali dobiegał dźwięk syreny. Policjanci znaleźli pewnie ciała. Rozmawiali też z kobietą, która krzyczała, kiedy padły strzały, i widziała, jak wydostawał się spomiędzy rusztowań. Zaczęli już

szukać mężczyzny ze sportową torbą, uciekającego Dwudziestą Szóstą w kierunku Park Avenue.

Pozbądź się torby — podpowiadał wewnętrzny głos i znów Pittman poczul, jakby słyszał Jeremy'ego.

Pozbyć się jej? A co z ubraniem, bronią?

Niewiele ci z nich przyjdzie, jeśli wylądujesz w więzieniu.

Idąc powoli i próbując nie okazywać zdenerwowania i nie przyspieszać, przeszedł na drugą stronę Park Avenue. Tam, na Dwudziestej Szóstej, samochodów i przechodniów było nieco mniej. Zbliżył się do miejsca, gdzie prowadzono jakieś roboty. Słyszając wycie policyjnych syren rozejrzał się dokoła i

upewniwszy się, że nikt nie patrzy w jego kierunku, wrzucił torbę do kontenera na śmieci.

Skreślił w Lexington Avenue, Spocony, zmuszając się do normalnego kroku, poszedł na południe wzdłuż Gramercy Park,

119

zamkniętego na noc. Potem na zachód, mając nadzieję, że nikt nie zwraca na niego uwagi. Sam nie wiedząc kiedy, znalazł się przy Union Square Park. Uderzyła go myśl, jak bardzo zmieniło się jego życie w ciągu sześciu godzin, odkąd wysiadł tutaj z metra i udał się do swego mieszkania.

Teraz jednak, rzecz jasna, nie mógł tam pójść i nie miał pojęcia, gdzie mógłby się podziać.

Przyjaciele, których mógłby poprosić o pomoc, są obserwowani. Hotele na pewno powiadomiono,

by

zwracano uwagę na człowieka z jego kartą kredytową. Co, do diabła, począć?

17

Co im tak popędziło kota z tymi syrenami? — spytał go jakiś przygarbiony, zarośnięty człowiek. Siedział rozwalony na metalowej ławce, trzymając coś, co było prawdopodobnie flaszką w papierowej

torbie. Jego płaszcz miał dziury na łokciach, włosy były zmierzwione. Brakowało mu dwóch zębów na

przodzie. Pittman ocenił go na trzydzieści lat, chociaż wyglądał na sześćdziesiątkę.

— Cholera ich wie. — Pittman, wyczerpany, usiadł obok. Mężczyzna milczał przez chwilę.

— Co?

— Syreny.

— Jak?

— Pytał pan o syreny, dlaczego tak wyją.

— Zakłócają mi spokój, cholery.

— Mnie też.

— Kto ci pozwolił tu siadać?

Policyjny samochód błyskając światłami okrążył park i pomknął na północ Broadwayem.

— Jeszcze jeden — powiedział mężczyzna. — Tylko hałasują... Cholera, jeszcze tu jesteś? — Ścisnął

swoją butelkę. •— To moja ławka. Powiedziałem: wynocha...

Następny wóz wyjąc przemknął obok.

— Spokojnie... — odezwał się Pittman.

— Chcesz mi ukraść ławkę — facet podniósł głos.

121

— Mówię ci, spokojnie.

— Zawołałam gliny.

— Zapłacę ci za miejsce.

— Co?

— Masz rację, to twoja ławka. Zapłacę ci, jeśli mi dasz posiedzieć. Co powiesz na dziesięć dolarów?

— Ile?

— I zamienię się z tobą na płaszcz.

Kobieta, która krzyczała, na pewno powiedziała policji, że mężczyzna z torbą miał na sobie brązowy

płaszcz. Ten, na który Pittman chciał się zamienić, był granatowy.

— Chcesz się zamienić?

— I trochę tu posiedzieć Facet spojrzał podejrzliwie.

— Pokaż forszę.

Pittman dał mu dziesięciodolarowy banknot, który dostał od kucharza, ostatnie pieniądze, jakie miał,

nie licząc kilku monet.

— A teraz płaszcz.

Zamienili się. Płaszcz faceta cuchnął potem. Pittman położył go na ławce.

Przekładając butelkę z ręki do ręki, mężczyzna wbijał się w płaszcz.

— Niekiepski.

— I ciepły.

— Jasne.

— Mam dziś szczęśliwy dzień. — Facet zerknął na Pittmana, podniósł butelkę do ust, wypił to, co jeszcze zostało i wyrzucił ją za siebie w trawę. — Idę po drugą. Pilnuj ławki.

— Będę czekać.

— Tylko na pewno.

Człowiek wytoczył się z parku i skierował Broadwayem na południe.

Kiedy następny samochód przejeżdżał z wyciem, Pittman przyłgął do ławki, w nadziei, że nie będzie

odróżniał się od pozostałych lokatorów parku.

Chłód nocy i spadek poziomu adrenaliny sprawiły, że Pittman dygocąc roztarł ramiona. Natarczywe myśli kłębiły mu się w głowie.

Burt podejrzewał, że detektyw obserwował go w restauracji.

122

Może to nie był policjant — pomyślał Pittman. — Może to był człowiek, który śledził Burta po wyjściu z restauracji, mając nadzieję, że się z nim skontaktuje.

Jednakże wcale nie musiał zabijać Burta. Nie stanowił dla niego zagrożenia. A w ciemności i tak nie był w stanie go rozpoznać.

Pittmanowi zrobiło się bardziej zimno. Jeszcze mocniej rozmaso-wywał sobie ramiona. Skurwysyn, nie musiał przecież zabijać Burta!

Po prawej coś się poruszyło. Przyłgął znów do ławki, wpatrzony w dwie postacie zmierzające w jego

kierunku. Nie miały na sobie mundurów, więc nie byli to policjanci, chyba że po cywilnemu. Nie poruszały się jednak z pewnością siebie znamionującą stróżów prawa. Wyraźnie się skradały.

Rabusie. Musieli widzieć, jak dawał pieniądze facetowi na ławce. I też chcą pieniędzy.

Pittman usiadł. Podeszli bliżej. Jeśli zaczną się kłopoty, zwróci to uwagę policji.

Wstał, żeby odejść, ale postacie już do niego doczłapały. Zebrał się w sobie, aby odeprzeć atak.

— Co do cholery — odezwał się bełkotliwy głos. — Odczepcie się od niego. To mój kumpel.

Wynajmuje ode mnie ławkę.

Obcy spojrzeli na człowieka w trenczu Pittmana, który właśnie nadchodził z butelką w papierowej torebce.

— Nie słyszeliście? Wynocha. — Pogmerał w upapranych spodniach i wyciągnął otwieracz do butelek

w kształcie kluczy do kościoła. Skierował ostrze w ich stronę. — Zabierajcie stąd tyłki. Ławka jest moja. Moja i jego.

Ponure postacie zawahały się i w końcu cofnęły w mrok, skąd się wyłoniły.

— Skurwiele — facet opadł na ławkę. — Już się przymierzali. Trzeba jej pilnować.

— Racja.

Człowieczyna pociągnął z butelki.

— Kładź się.

— Co? — zapytał Pittman podejrzliwie.

— Przekimaj się. Wyglądasz jak zbity pies. Pittman siedział nieruchomo.

— Nie dam skurwielom zrobić ci krzywdy. To moje miejsce. Wszyscy o tym wiedzą.

18

Pittman obudził się raptownie. Cienie zniknęły. Niebo było blade, słońce nie wyszło jeszcze zza wieżowców. Na ulicy nie było prawie ruchu.

Kiedy w pełni oprzytomniał, wzdrygnął się na myśl o minionej nocy. Usiadł. Człowieka, któremu oddał swój płaszcz, nie było.

Ale był ktoś inny — dobrze ubrany, szczupły szpakowaty mężczyzna koło pięćdziesiątki, w okularach. Pittmanowi wydało się, że to on go obudził, trąciwszy w kolano.

— Dobrze pan spał?

Przeszły go ciarki. Nie miał pojęcia, kto to był, policjant czy zboczeniec. Zastanawiał się, co odpowiedzieć.

— Niespecjalnie.

— To zrozumiałe. Gdy ja sypiałem na takich ławkach, zawsze budziłem się połamany.

— Pan? Kiedy?

— Zanim się otrząsałem. Szczęście chyba niedawno pana opuściło? Ubrany jest pan niezłe.

Tylko ten płaszcz. Skąd go pan wytrzasnął?

Pittman uświadomił sobie, że granatowy obskurny płaszcz zarzucony ma na nogi. Człowiek, z którym się zamienił, musiał go okryć, zanim sam podryfował gdzieś, żeby się przespać. Była pewnie wtedy trzecia nad ranem

— Dostałem go od przyjaciela.

— Oczywiście. Pewnie się pan zastanawia, co ja tu robię.

124

Pittman nie odpowiedział.

— Jestem wielbny Thomas Watley. Przychodzę tutaj codziennie rano zobaczyć, czy w parku pojawili się nowi lokatorzy. Ze stałymi bywalcami jestem już zaprzyjaźniony. Teraz poszli do mojego kościoła. Co rano o szóstej wydaję tam śniadanie, skromne, ale bezpłatne. Można też wziąć prysznic, ogolić się i skorzystać z toalety. Chciałby się pan przyłączyć?

Pittman wciąż nie odpowiadał.

— Odprawiam też mszę, ale nie musi pan brać w niej udziału, jeśli pan nie chce.

Pittman milcząc wpatrywał się w duchownego.

— No dobrze. — Mężczyzna wzruszył ramionami. — Muszę wracać do moich podopiecznych.

— Wyciągnął rękę.

W pierwszej chwili Pittman pomyślał, że chce się pożegnać, ale okazało się, że próbuje mu coś dać.

— Proszę wziąć te pięć dolarów, jeśli woli pan tu zostać. Wiem, że to niewiele, ale czasem i to wystarczy, by człowiek mógł wrócić na swoje miejsce. Proszę pamiętać, cokolwiek spowodowało pana upadek, nie jest on nieodwracalny. Każdy problem można rozwiązać.

— Bardzo w to wątpię, wielbny — stwierdził gorzko Pittman.

— Słucham?

— Chyba że można wskrzesić umarłego.

— Stracił pan kogoś?

— Syna.

— No tak... — Wielbny pokręcił głową. — Proszę przyjąć moje najszczerze kondolencje. To doprawdy wielki cios.

— Dalej pan twierdzi, że można rozwiązać mój problem? Tym razem nie odpowiedział ksiądz.

— Dzięki za pieniądze, ojcze. Przydadzą mi się.

125

19

Przygarbiony, w obskurnym niebieskim płaszczu, Pittman chciał wyglądać na tak przegranego, jak się

czuł. Niepewnym krokiem powędrował na Lexington Avenue. Słońce wyjrzało spoza budynków.

Ruch nasilił się. Trąbiły klaksony.

Udawał, że nic go nie obchodzi poza wpatrywaniem się w chodnik. Lekko się zataczając skręcił z Lexington na Dwudziestą Szóstą. Pochylił się, markując podnoszenie monety, popatrzył na dłoń z zadowoleniem, po czym schował rzekomy miedziak do wyświechtanej kieszeni.

Ukradkiem spojrzął przed siebie i dostrzegł małe zamieszanie między Park Avenue a Madison, blisko

Madison Square Park. Błyskały światła policyjnego samochodu. Ciała z pewnością już zabrano i było

po oględzinach miejsca zbrodni.

Burt. Na wspomnienie tego, co wydarzyło się ostatniej nocy, Pittman poczuł mdłości, ale potoczył się

dalej. Kiedy napotykał pojemniki na śmieci, podnosił pokrywy i zaglądał do środka. Szedł dalej, zaglądając do następnych, nie zwracając uwagi na dochodzący z nich fetor. Wreszcie dotarł do kontenera. Niezgrabnie wspiał się na jego krawędź, pogmerał w środku, chwycił swoją sportową torbę, zsunął się i poszedł z powrotem w kierunku Lexington. Był na tyle daleko od policji, że na

pewno nie zwrócili na niego uwagi, zwłaszcza że wyglądał jak prawdziwy łachmaniarz. A poza tym — pomyślał sarkastycznie — bezdomnych się przecież nie zauważa.

126

20

Była sobota. To jedyna sprzyjająca okoliczność — uznał Pittman. Ludzie, z którymi chciał się skontaktować, powinni być w domu, nie w pracy. Szkopuł w tym, że w książce telefonicznej Manhattanu nie mógł znaleźć nazwiska, którego szukał, Briana Botulfsona. Zadzwoił do informacji i

poprosił telefonistkę o sprawdzenie, czy figuruje ono w książce innej dzielnicy.

Było, w Brooklynie. Informacja nie chciała jednak podać adresu, zmuszając go do wizyty w Bibliotece

Publicznej Nowego Jorku, gdzie w odpowiedniej książce telefonicznej znalazł potrzebny adres.

Mógł

zadzwoić do Briana, lecz jego reporterskie doświadczenie podpowiadało, że osobisty kontakt zawsze

ma przewagę nad telefonicznym. Indagowany może po prostu odwieść słuchawkę, podczas gdy spotkanie twarzą w twarz często tak onieśmiela, że rozmówca nie jest w stanie odmówić.

Pittman spotkał Briana zaledwie parę razy. Na ogół wiązało się to z jego aresztowaniem za włamanie

do ściśle tajnych baz danych Departamentu Obrony. Siedem lat temu Brian wyświadczył mu przysługę, podając zastrzeżone numery telefonów Jonathana Mill-gate'a. Teraz Pittman znowu go potrzebował. Istniała jednak możliwość, że hacker mógł nie pamiętać poprzednich rozmów albo po prostu nie będzie chciał rozmawiać, przynajmniej przez telefon. Dlatego powinien zobaczyć się z nim

osobiście.

Obskurny płaszcz wpakował do kosza na śmieci. Korzystając z pięciu dolarów od wielebnego Watleya, kupił w ulicznym auto-

127

macie sok pomarańczowy i ciastko, po czym wsiadł do metra w kierunku Brooklynu. Wyjął z torby maszynkę do golenia i doprowadził się do jakiegoś takiego wyglądu. Wpatrzony w okno, pogrążył się w myślach.

21

Kiedy ostatnio się widzieli, Brian Botulfson mieszkał w rozpadającej się ruderze na Lower East Side, w otoczeniu drogiego sprzętu komputerowego, zasłaniającego biegające po odrapanych ścianach karaluchy. Wyraźnie bawiła go ta sytuacja, dodająca prestiżu biednemu studentowi.

Dom, w którym obecnie mieszkał, był całkiem przyzwoity, czysty, zbudowany z cegły, z dużymi lśniącymi oknami, w atrakcyjnej okolicy Brooklynu, w Slope Park.

Pittman skinął głową mężczyźnie, który właśnie wychodził z budynku. Pokonał kilka stopni, zatrzymał się w westybulu, przeczytał nazwiska na domofonie i nacisnął guzik 4 B.

Nikt się nie odezwał, więc nacisnął ponownie.

Osobisty kontakt? Wspaniale. A jeśli nikogo nie ma?

Cholera, taki kawał drogi na próżno.

Już miał zamiar nacisnąć po raz trzeci, kiedy nosowy męski głos odezwał się w głośniczku.

— Kto tam?

— Brian? — zapytał Pittman. — Czy to ty?

— Kto mówi?

— Matt Pittman. Pamiętasz mnie, Brian? Napisałem o tobie parę kawałków w „Chronicie” kilka lat temu, kiedy miałeś kłopoty z policją.

Domofon milczał.

— Brian, jesteś tam?

9 — Desperackie kroki

129

— Czego chcesz ode mnie?

— Porozmawiać. — Pittman zwracał się do innych po imieniu tak często, jak to możliwe.

Wytwarzało to pewną więź. — Dosyć długo się nie widzieliśmy. Pomyślałem, żeby to nadrobić i dowiedzieć się, co u ciebie.

Domofon ciągle milczał.

— Muszę z tobą o czymś porozmawiać.

— O czym?

— Trochę mi niezręcznie gadać z twarzą przy mikrofonie. Mógłbyś otworzyć? Chciałbym wejść. Znowu cisza.

— Brian?

Z ulgą usłyszał brzęczyk zwalniający zamek.

Szybko przekręcił gałkę, pchnął przeszklone drzwi i wszedł do pachnącego świeżą farbą, białego holu.

Różnica między budynkiem, w którym mieszkał Brian, a tym, gdzie mieszkał on sam, była uderzająca.

Musi mieć dobrze płatną pracę — pomyślał.

Wjechał windą na trzecie piętro i zapukał do apartamentu 4 B, z którego dochodził płacz dziecka.

Chociaż Brian się go spodziewał, minęło dziesięć sekund, zanim otworzył.

Pittman był zaskoczony jego wyglądem. Przed siedmiu laty nosił trampki, wyciągnięte swetry i dżinsy

przetarte na kolanach. W uszach miał kolczyki z zębów rekina. Rzadkie włosy opadały mu na ramiona. W sumie przypominał raczej członka heavy-metalowej grupy rockowej niż fanatyka komputerów, którym był w rzeczywistości.

Teraz miał na sobie czarne mokasyny od Bassa, szare spodnie i elegancką niebieską koszulę.

Kolczyki

zniknęły, a nawet ślady po nich. Brązowe włosy miał przycięte tak krótko, że nie sięgały uszu.

Nosił

dwusoczewkowe okulary w grubej oprawce. Stereotypowy wygląd jeszcze bardziej podkreślał jego niewysoką, szczupłą sylwetkę i słabo zarysowany podbródek, którego nie próbował nawet skryć mizerny zarost.

— Czego chcesz? — Brian stał w drzwiach.

Pittman spojrzał w głąb mieszkania i zobaczył dziecko w wysokim foteliku przy kuchennym stole.

— To twoje dziecko, Brian? Widzę, że wiele się u ciebie zmieniło. Chyba mnie wpuścisz?

130

Pittman zrobił ruch, jakby chciał wejść, lecz Brian ani drgnął.

— Czego chcesz? — powtórzył.

— Niezbyt to uprzejme z twojej strony. Przeszedłem taki kawał, aby cię zobaczyć, a ty nie chcesz nawet ze mną pogadać.

Oprócz głosu niemowlaka Pittman dosłyszał głos spikera.

— Widzę, że karmisz dziecko i oglądasz telewizję.

— Wiadomości. — Brian pozostawał niewzruszony. — CNN.

— Rozumiem.

Jego twarz przybrała jeszcze bardziej poważny wyraz. On wie — pomyślał Pittman.

— Coś interesującego? Chyba coś słyszałem o Jonathanie Millgacie. Przypomina mi to, jak siedem

lat temu pomogłeś mi zdobyć jego zastrzeżone numery.

Oczy Briana zwęziły się. Wyraźnie wyglądał na spiętego.

— Czego chcesz? — spytał po raz trzeci.

— Przysługi.

— Dlaczego?

— To chyba oczywiste. Dlaczego ktoś prosi o przysługę? Bo potrzebuje pomocy.

— Nie o to chodzi. Dlaczego to ja mam ci wyświadczyć przysługę?

— Dobre pytanie. Bo mam nadzieję, że pozostałeś człowiekiem. Nawiasem mówiąc, twoje dziecko zaczyna wylazić z tego wysokiego krzeselka.

Brian odwrócił się i widząc, że dziecko jest w niebezpieczeństwie, skoczył, aby je pochwycić. Dziecko rozplakało się jeszcze bardziej. Pittman wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

— Chłopiec czy dziewczynka?

— Nie powiedziałem, że możesz wejść.

— Pokaż, co tu masz? Słoik z przecierem brzoskwinowym? Daj, pomogę ci je nakarmić...

Chłopiec

czy dziewczynka?

— Chłopiec. Nie zgodziłem się jeszcze...

— W jakim jest wieku?

— Ma prawie rok. Ale...

— Wspaniały chłopak. Jak ma na imię?

— Daniel. Słuchaj, ja...

— Daj spokój, Brian, mam kłopoty. Widzę po twoich oczach, że wiesz o tym. Myślę, że słyszałeś w

CNN. Założę się, że

131

powiedziałeś do siebie: „Nie, to nie może być ten sam facet, który przeprowadzał za mną wywiad.

To

nie może być ten sam, dla którego zdobyłem zastrzeżone numery Millgate'a, Matthew Pittman. Tak się

właśnie nazywał". I nagle pukam do twoich drzwi. Sporo do wyjaśniania, prawda?

Brian trzymał dziecko, zdenerwowany.

— Jesteś żonaty, Brian? Gdzie twoja pani?

— Poszła do sklepu.

— Chętnie ją poznam. — Pittman postawił swoją torbę. — Pozwól, pomogę ci nakarmić dziecko.

Trzymając syna Brian powoli zaczął się cofać.

— Źle mnie zrozumiałeś. Nie chcę ci sprawiać kłopotów. Potrzebuję tylko małej przysługi i już

mnie

nie ma.

Podejrzenie walczyło z nadzieją.

— Jakiej?

— Przyjemne mieszkanie. Tyle zieleni. Czyste. I takie przestronne. — Pittman otworzył jakieś

drzwi i

zobaczył pokój, który z pewnością był gabinetem Briana. — Widzę, że wciąż interesujesz się

komputerami.

— Robię programy dla Nintendo.

— A co z hackerowaniem? Dalej to robisz?

— To było wieki temu. Odkąd poznałem Gladys... Zaraz, zaraz. Chcesz, żebym...??

— Potem sobie pójdę. Policzki Briana drgały z napięcia.

— Nintendo zwolni mnie, jeśli się dowiedzą, że to zrobiłem. A Gladys oberwie mi jaja.

— Nie muszą wiedzieć. Potrzebuję tylko jednej małej informacji, a potem znikam, obiecuję ci.

Przy

odrobinie szczęścia, zanim jeszcze wróci Gladys. Dziecko wrywało się. Brian posadził je w foteliku. Kiedy próbował dać mu łyżeczką trochę musu, zamachnęło się, a zawartość wylądowała na czystej koszuli Briana.

— Pozwól, zawsze byłem w tym dobry. — Pittman zrobił śmieszny minę, co natychmiast zwróciło uwagę dziecka. Przykucnął, żeby jego oczy znalazły się na wysokości oczu dziecka. Pochylił się

tak,

że prawie zetknęli się nosami, ale oczy miał otwarte. Dziecko również. Otworzył szeroko usta.

132

Mały zrobił to samo.

Wsunął mu łyżeczkę brzoskwiń do buzi.

— Jak tyś, do diabła, to zrobił? — zapytał Brian. — Gdy widzi kogoś obcego, zawsze ryczy.

— Kwestia praktyki. — Dziecko przypomniało mu, jak wyglądał Jeremy w tym wieku. Poczł przyplw melancholii.

— Mówią, że go zabiłś — odezwał się Brian.

— Millgate'a? To nieprawda.

— I człowieka w twoim mieszkaniu. I szefa gazety.

— W moim mieszkaniu facet celował do mnie z pistoletu. Biliśmy się. Upadł i skręcił kark. A co do

mojego szefa... — zawahał się, poczuł ściskanie w gardle. — Nie, nic nie zrobiłem Burtowi. To był ktoś inny.

— Mówią, że jesteś niezrównoważony, nie panujesz nad sobą. Że zamierzasz się zabić i nie obchodzi

cię, kogo pociągniesz za sobą.

— To też nie jest prawda. — Owładnęło nim przygnębienie. — Nie chcę nikogo skrzywdzić.

— To znaczy, że nie chcesz popełnić samobójstwa? Pittman popatrzył na dziecko.

— A więc?

— To jedyna rzecz, która jest prawdziwa w tej całej historii. W kuchni zaległa cisza, nawet dziecko się uspokoiło.

— Mówią, że twój syn umarł. Pittman przełknął ślinę i zmienił temat.

— Naprawdę jesteś mi potrzebny, Brian. Mam okropne kłopoty, i to nie z własnej winy. Muszę się z

tego wyplatać.

— Po co? Skoro i tak chcesz się zabić...

— Też zadawałem sobie to pytanie. Chyba dlatego — znowu przełknął ślinę — że planowałem odejść

z czystym kontem. Lecz nagle zrobiło się z tego wielkie bagno.

Pittman poczuł ucisk w gardle. Nabrał więcej musu na łyżeczkę i podał dziecku.

Brian wpatrywał się w niego.

— Co się stało, do diabła?

Pittman spuścił wzrok, a potem opowiedział mu o wszystkim.

22

Zdumiony Brian z niedowierzaniem kręcił głową. — Coś takiego... — Przysięgam, to wszystko prawda.

— Nie rób dalej nic na własną rękę. Idź na policję. Opowiedz im to, co mi mówiłś.

— Jeśli tobie było trudno uwierzyć, to co dopiero im?

— Nie masz wyboru.

— Nie. Ale nie sądzę, żeby policja zapewniła mi bezpieczeństwo.

— Człowieku, wiesz, o czym mówisz?

— A kto to powiedział, że paranoja jest w dzisiejszych czasach jedynym zdrowym podejściem do życia?

Brian wyglądał na przerażonego.

— Czego chcesz ode mnie?

— Żebyś umożliwił mi dostęp do kilku komputerowych zbiorów, do których nie potrafię się dostać.

— Na przykład?

— Mojej gazety. Sam musiałbym się wylegitymować i podpisać listę przy wejściu. Strażnik albo ktoś

inny na pewno by mnie rozpoznał i zadzwonił na policję. Wiem, jakie hasła pozwalają na wejście do

baz z zewnętrznego telefonu.

Przerażenie Briana jakby nieco zelżało.

— To nie przedstawia specjalnej trudności. W zasadzie masz do tego prawo. W innych okolicznościach byłoby to wręcz normalne.

134

— Oczywiście. — Pittman dokończył karmienie dziecka i wziął się do zmiany pieluszki.

— I to wszystko?

— Powiedzmy...

— Coś jeszcze?

— Przydałyby się jeszcze zbiory miejskiej ewidencji kryminalnej.

— Jezu...

— Nie można by tego zrobić przez system połączeń zamiejscowych, żeby nie zdążyli nas złapać przed uzyskaniem informacji?

— W zasadzie tak...

Pittman odwrócił się na odgłos otwieranych drzwi. Kobieta, rudowłosa, chuda, o ostrych rysach, spojrzała z zaniepokojeniem na trzymającego dziecko Pittmana.

— Gladys, to mój przyjaciel — powiedział Brian.

— Ed Garner — przedstawił się Pittman w nadziei, że fałszywe nazwisko nie pozwoli skojarzyć go z

fotografią pokazywaną w CNN i zamieszczoną w gazetach.

Gladys podeszła do kuchennego blatu, odstawiła dwie torby z zakupami i odebrała dziecko. Jej zacięty

wyraz twarzy sugerował, że uważa Pittmana za niegodnego dotykania jej potomka.

— Ed Garner? — zerknęła na Briana. — Nigdy dotąd o nim nie wspominałeś.

— Byliśmy kumplami w college'u — odezwał się Pittman. — Mieliśmy bzika na punkcie komputerów.

— Komputerów? Mam nadzieję, że nie był pan włamywaczem komputerowym? — Jej głos zazgrzytał jak ostrzony na oselce nóż.

— Nie miałem aż tyle odwagi.

— Brian miał jej aż za dużo. Nawet siedział za to w więzieniu. — Jej oczy rzuciły złowieszcze błyski.

— W każdym razie — Pittman starał się zmienić temat — dowiedziałem się, że Brian mieszka w tej

okolicy. Mam tu niedaleko krewnych, więc pomyślałem sobie, że zajrzę przy okazji. Brian właśnie chciał mi pokazać, co robi dla Nintendo.

Między brwiami Gladys pojawiły się zmarszczki.

— Więc jak, pokażesz mi, Brian? — zapytał Pittman.

— Masz coś przeciwko temu, Gladys? Dziecko jest nakarmione i przewinięte.

Gladys przeszła go lodowatym spojrzeniem.

135

— Tylko pamiętaj, za godzinę mamy być u mojej matki.

— Oczywiście, jak mógłbym zapomnieć.

Przeszli do pokoju z komputerami. Brian zamknął drzwi. Popatrzył ze złością na Pittmana.

Pittman pomyślał, że jest zły na niego, ale w jednej chwili zrozumiał prawdziwy powód.

Miał teraz sojusznika.

23

Brian zasiadł wkurzony do komputera i przyłączył modem do telefonu. Policzki mu pałały. — Do którego systemu chcesz się najpierw dostać? Twojej gazety?

— Do ewidencji kryminalnej.

Brian nie zareagował na zmianę priorytetu. Zaczął przyciskać guziki telefonu.

— Czyżbyś znał numer na pamięć? — zapytał zdumiony Pittman.

— Nie, to numer przyjaciela. Sam się już nie włamuję, ale mam kumpli, którzy to robią. Ten ma obsesję, że może być podsłuchiwany przez policję i nigdy nie rozmawia przez telefon. Zawsze

porozumiewamy się za pomocą komputera.

Na ekranie komputera Briana pojawiły się słowa:

JESTEŚ NA STATKU KOSMICZNYM „ENTERPRISE”

— Ma fioła na punkcie „Star Trek”. — Brian wystukał litery na klawiaturze.

PAN SPOCK DO KAPITANA KIRKA

— „Spock” to mój kod — powiedział Brian. Ukazała się odpowiedź:

137

TU KIRK. JAKIE JEST TWOJE HASŁO? Brian napisał parę liter.

TRIBBLES Na ekranie rozbłysły nowe słowa.

KONTYNUUJ, PANIE SPOCK Brian pisał:

ŚCIŚLE TAJNA WIADOMOŚĆ ZE SZTABU GWIEZDNEJ FLOTY. ISTNIEJE OBAWA, ŻE KLINGSTONOWIE MOGĄ PRÓBOWAĆ PRZERWAĆ POŁĄCZENIE

Odpowiedź przyszła natychmiast.

WŁĄCZ SYSTEM KODOWANIA Brian uruchomił urządzenie obok telefonu.

SYSTEM KODOWANIA WŁĄCZONY

Przez kilka następnych minut Pittman zafascynowany obserwował, jak Brian stukał po klawiaturze, odczytywał i dawał odpowiedzi na pytania padające z ekranu i w końcu zanotował szereg numerów.

— Mam.

ŻYCZĘ POWODZENIA, SPOCK DO KIRKA. WYŁĄCZAM SIĘ

Brian wybrał numery na telefonie.

— Wchodzę przez Fairbanks na Alasce i Key West na Florydzie. Ale nawet wtedy mogą wytropić połączenie. Jeśli komputer ewidencji kryminalnej wyczuje intruza, natychmiast muszę się rozłączyć.

— Skąd będziesz o tym wiedział?

— TO mi powie. — Brian wskazał inne urządzenie obok telefonu.

138

Nacisnął jeszcze jakieś numery i wskazał głową ekran.

— W porządku, weszliśmy. Co chcesz wiedzieć?

— Akta Seana O'Reilly'ego. — Pittman przeliterował nazwisko.

O'Reilly był doświadczonym złodziejem, z którym przeprowadzał parę lat temu wywiad.

Wielofunkcyjny nóż, za pomocą którego dostał się do pokoju Millgate'a, był prezentem właśnie od niego.

— Są — odezwał się Brian.

Pittman czytał z ekranu. Wcześniej, kiedy próbował znaleźć nazwisko Briana w książce telefonicznej, szukał także O'Reilly'ego, lecz bez skutku. Albo O'Reilly był znów w więzieniu, albo się gdzieś wyprowadził.

— Mam. — Pittman wziął ołówek i bloczek.

Zgodnie z aktami, O'Reilly został zwolniony z więzienia przed trzema miesiącami, warunkowo, co znaczyło, że musiał informować władze, gdzie aktualnie przebywa.

Mieszkał przy Lower East Side. Pittman szybko zapisał adres, oderwał kartkę i schował do kieszeni.

— Teraz które zbiory? — zapytał Brian.

— Tak właśnie myślałam — odezwał się za nimi stalowy głos. Odwrócili się jak na komendę. Gladys musiała słuchać pod drzwiami. Teraz pchnęła je gwałtownie.

Runęła do środka jak burza.

— Nawet na minutę nie mogę cię zostawić samego. Zawsze wpakujesz się w kłopoty.

— Jakie kłopoty?

— Przecież się właśnie włamujesz do obcego komputera! Co się z tobą dzieje? Tak bardzo podobało ci się w więzieniu, że chcesz tam wrócić?

— Myli się pani — powiedział Pittman. — Właśnie pokazywałem Brianowi część mojej pracy.

— Niech się pan stąd wynosi.

— Weszliśmy w moje zbiory...

— Niech pan nie kłamie. Nie nazywa się pan wcale Ed Garner, tylko Matthew Pittman. Właśnie był w CNN reportaż o panu. Rozpoznałam pana zdjęcie. — Gładys wyrwała telefon z modemu.

— Dzwonię na policję.

139

Słowa gości na ekranie, gdy podniosła słuchawkę i wybrała 911.

— Gładys — zaprotestował Brian.

W drugim pokoju dziecko zaczęło płakać.

— Proszę panią — powiedział Pittman. Gładys odezwała się do słuchawki.

— Mówi Gładys Botulfson. Mieszkam przy... Pittman nacisnął widełki przerywając połączenie.

— Głupio robisz, Gładys.

— Nie chcę, aby jakiś morderca zbliżał się do mojego dziecka.

— Nie rozumiesz mnie. Wpatrywali się w siebie nawzajem. Zadzwoił telefon.

Gładys drgnęła.

— To policja — powiedział Pittman. — Mają automaty zapisujące numery telefonów ludzi, którzy do nich dzwonią.

Gładys próbowała oderwać jego dłoń od widełek. Wolną ręką chwycił ją za nadgarstek.

— Nie rób tego. Pomyśl. Chciałabyś, żeby ojciec twojego dziecka znów znalazł się w więzieniu?

— Co takiego?! Telefon wciąż dzwonił.

— Za pomoc poszukiwanemu przez policję — powiedział. — I za pomoc w nielegalnym włączeniu się do komputerowych zbiorów. Nieobecność Briana może potrwać, kto wie, może do czasu, gdy twój syn zacznie naukę w szkole średniej.

Gładys wytrzeszczyła oczy.

Telefon odezwał się znowu.

Pittman odebrał jej słuchawkę i zwolnił przycisk przywracając połączenie.

— Słucham... Tak, mieszka tu... Wiem, że dzwoniła. Mieliliśmy małą sprzeczkę. Oczywiście, już ją daję.

Utkwił w niej wzrok i podał słuchawkę.

Gładys zerknęła na wrzeszczące dziecko, potem na Briana, wreszcie na Pittmana. Miała tak zaciśnięte

usta, że wokół nich zbielała skóra.

W końcu się odezwała.

— Tu Gładys Botulfson. Przepraszam za kłopot. Mąż powiedział prawdę. Pokłóciliśmy się i pomyślałam, że go nastraszę, kiedy

140

zadzwoię na policję. ...Tak, rozumiem, że wykorzystywanie bez potrzeby numeru alarmowego to poważna sprawa. To się już nie powtórzy. ...Już się uspokoiliśmy. Nie, nie potrzebna mi pomoc.

Dziękuję bardzo.

Odłożyła słuchawkę. Roztarta nadgarstek, który ścisnął Pittman. Jej głos był dziwnie bezbarwny.

— A teraz wynoś się. Pittman podniósł swoją torbę.

— Dziękuję za dostęp do zbiorów gazety, Brian.

Spojrzał na niego znacząco: ona nie może wiedzieć, do jakich zbiorów naprawdę się dostaliśmy.

— Jasne.

— Nie będę powtarzać po raz drugi — powiedziała Gładys.

— Miło mi było poznać panią.

Wyszedł z mieszkania i zamknął za sobą drzwi. Jeszcze w windzie słyszał podniesiony, oskarżycielski głos Gładys.

Pittman miał nadzieję, że pożyczyc trochę pieniędzy od Briana, lecz teraz nie wchodziło to oczywiście

w rachubę. Z jednodolarowym banknotem oraz dziesięcio- i pięciocen-tówką w kieszeni szedł posępny do stacji metra w kierunku Manhattanu, chociaż wiedział, że nie wystarczy mu na bilet. Z każdym krokiem czuł się bardziej zmęczony i głodny. Był całkowicie załamany.

Gdy mijał samochody stojące przed domem pogrzebowym, opanowało go przygnębienie.

Przypomniawszy

sobie pogrzeb Jere-my'ego — zamkniętą trumnę i przytwierdzoną do niej fotografię, ludzi w żałobie

— w większości kolegów Jeremy'ego ze szkoły; stojącego obok Burta (teraz także nieżyjącego), sprzeczkę z żoną, która wkrótce przestała nią być. „To twoja wina” — powtarzała. — „Powinieneś być

go wcześniej zabrać do lekarza”.

Przypomniawszy sobie smutne przyjęcie po pogrzebie na zapleczu domu pogrzebowego, kawę i kanapki,

ostatnie słowa współczucia. Był tak pogrążony w smutku, że z ogromnym trudem zmusił się do podziękowania za kondolencje. Wziął kanapkę, którą ktoś mu podał, ale żytni chleb z cieniutkimi plasterkami indyka utkwił mu w gardle. Czuł, jak zanurza się w szarej mgłę przygnębienia.

Podobnie było i teraz. Lecz strach wyzwolił w nim chęć działania. Krążąca adrenalina zrobiła swoje.

W końcu jednak siła i wytrwałość osłabły. Ich miejsce zajęły apatia i rozpacz. Nie wiedział, dokąd pójść.

Powtarzał sobie, że byłby głupi, gdyby wierzył, że może wyplątać się z kłopotów, w które popadł.

Może rzeczywiście powinienem pójść na policję. Pozwolić, żeby oni zajęli się wszystkim.

A jeśli mają tam swojego człowieka, który będzie próbował cię zabić?

Co to w końcu za różnica? Jestem zbyt zmęczony, aby się tym przejmować.

Chyba nie bierzesz tego na poważnie?

Nie? Śmierć wszystko by rozwiązała.

Nie. Musisz dalej próbować — odezwał się wewnętrzny głos. Brzmiał jak głos Jeremy'ego.

Jak? Nie mam nawet dość pieniędzy, aby dostać się z powrotem na Manhattan.

Chyba nie mówisz tego serio, tato. Po tylu latach biegania? Nie mów mi, że nie zdobędziesz się na jeszcze trochę wysiłku.

142

25

Zajęło mu to trzy godziny. Chociaż po drodze zmienił wyjściowe buty na trampki, które miał w torbie,

bolały go stopy, a mięśnie odmawiały posłuszeństwa. Osłabiony z wysiłku i głodu dotarł do Grand Street na Lower East Side na Manhattanie, rozglądając się za adresem Seana O'Reilly'ego, zdobytym z

jego komputerowego dossier. Rozejrzał się po zatłoczonej ulicy w obawie przed ewentualną inwigilacją ze strony policji. W końcu Gladys Botulfson mogła zmienić zdanie. Jeśli Brian powiedział

coś, co doprowadziło ją do furii, mogła do nich zadzwonić i dać mężowi nauczkę. Oczywiście policja

nie mogła wiedzieć, dokąd poszedł, chyba że Brian przyznał się, do którego komputera się włamał. Ale czy zrobiłby to? Czy jego złość na żonę była na tyle duża, by mógł się jej przeciwstawić?

Nie była to jedyna rzecz, która go niepokoiła. A jeśli okaże się, że adres, który Sean O'Reilly podał władzom, był nieaktualny albo fałszywy? A jeśli go tu nie będzie?

Ta ostatnia wątpliwość spotęgowała się, kiedy w końcu dotarł na miejsce i stwierdził, że nie był to budynek mieszkalny, lecz restauracja z pokaźnym napisem U PADDY'EGO na frontowym oknie.

Cholera. I co teraz?

Nie mógł jednak dłużej pozostawać na ulicy. Nie mógł wymyślić nic lepszego, więc starając się maksymalnie uspokoić nerwy, wszedł do środka.

144

Prawie nie zwrócił uwagi na irlandzki wystrój wnętrza — zielone obrusy, białe koniczynki na karcie dań i wielka mapa Irlandii na ścianie. Zauważył natomiast, że było zaledwie kilku popołudniowych klientów, głównie przy barze.

Niektórzy spojrzeli w jego kierunku, po czym powrócili do swoich drinków.

Pittman podszedł do stojącego za kasą barmana, muskularnego, w zielonym fartuchu.

— Co ma być?

— Szukam mojego przyjaciela, Sama O'Reilly'ego. Barman podniósł ścierkę i wytarł ladę.

— Słyszałem, że przebywa pod tym adresem — powiedział Pittman — ale tu jest restauracja, więc...

— Skąd?

— Słucham?

— Skąd ma pan ten adres?

— Mamy tego samego kuratora. Czy Sean tu jest? Barman nie przerywał wycierania lady.

— Poznaliśmy się z Seanem, gdy wygłaszał te publiczne pogadanki na zlecenie policji. Doradzał ludziom, jak zabezpieczać mieszkania przed włamywaczami.

— Co z tego? Czego od niego chcesz?

— Dawne czasy. Mam z nim do pogadania. — Pittman wyciągnął z kieszeni klucze na łańcuszku i

pokazał nóż. — O tym.

Barman patrzył, jak Pittman wyjmuje z rękojeści miniaturowe narzędzia.

Odprężył się.

— Też dostałeś? — Uśmiechnął się i wyciągnął pęk kluczy z takim samym nożem. — Sean daje je tylko tym, których lubi. Tak, mieszka tu. W pokoju na górze. W nocy mnie zastępuje.

— A gdzie jest teraz?

— Właśnie powinien dochodzić do siebie. Strasznie się spił ostatniej nocy.

Do restauracji weszło kilku klientów.

— Trzeba się brać do roboty. — Barman nalał do szklanki soku pomidorowego, dodał trochę tabasco

i wbił surowe jajko.

— Wejście na schody przez drzwi na zapleczu. Pierwsze piętro. Pokój w końcu korytarza. Na pewno

będzie tego potrzebował.

10 — Desperackie kroki

26

Przeszedł zatechłym korytarzem cuchnącym kapustą i zapukał do drzwi. Ponieważ nie było odpowiedzi, zapukał ponownie. Tym razem usłyszał jęk. Za trzecim razem jęk stał się głośniejszy.

Ujął klamkę. Drzwi nie były zamknięte. Otworzył je. Pokój był prawie pusty, z zaciągniętymi zasłonami, zgaszonym światłem i Seanem O'Reillym, rozciągniętym na podłodze.

— Światło, światło — wyjęczał.

Pittman pomyślał, że blade światło z korytarza musi razić go w oczy. Szybko zamknął drzwi. W ciemności słuchał, jak Sean lamentuje.

— Światło, światło.

— Nie ma już żadnego światła — powiedział.

— Oślepiłem. Nic nie widzę. Nic a nic.

— Czy chcesz, żebym włączył?

— Oślepiłem, oślepiłem na dobre.

Pittman, idąc po omacku przy ścianie, znalazł wyłącznik i przekręcił go. Żółty blask zwisającej z sufitu nie osłoniętej żarówki spowodował, że Sean zakrył twarz rękoma.

— Oślepnę. Chcesz, żebym oślepił — zawodził.

Rany boskie — pomyślał Pittman. Ukłął i oderwał mu rękę od twarzy odsłaniając lewe oko, całe nabiegłe krwią.

- Masz, wypij to.
- Co to jest?
- Barman ci przysłał.

146

Sean ścisnął szklanke, przełknął parę łyków, po czym nagle wykrzyknął:

- Co to jest? Jezus, Maria, Józefie Święty, w tym nie ma ani odrobiny wódki!
- Siadaj i pij.

Po kilku próbach Pittman wmusił w niego całą zawartość.

Sean przekręcił się i oparł plecami o łóżko patrząc spode łba. Jego drobna postać wciąż przypominała

postać dżokeja. Był szczupły jak zawsze. Lecz alkohol dodał mu lat, siwych włosów i zmarszczek na twarzy.

- Kim jesteś?
- Przyjacielem.
- Nie pamiętam.
- Koniecznie musisz coś zjeść.
- Nie przełknąłbym ani kęsa. Pittman podniósł słuchawkę telefonu.
- Mimo wszystko spróbuj.

27

Kanapka z wołowiną i pikle, które barman przysłał na górę, były przepyszne. Pittman próbował podelektować się nimi, ale nie mógł opanować głodu. Z wyjątkiem soku pamaran-czowego i ciastka nic więcej nie jadł od rana. Wielkimi kęsami pochłaniał jedzenie. Zawiedziony spojrzął na pusty talerz. Sean ze zgrozą obserwował pałaszującego Pittmana.

- Chyba zbiera mi się na wymioty.

Kiedy wrócił, Pittman właśnie kończył kanapki przeznaczone dla Seana.

Złodziej usiadł na łóżku i podejrzliwie potrząsnął głową.

- Wciąż nie mogę sobie przypomnieć.
- Przeszkoliłeś mnie, jak się włamywać do mieszkań.
- Nic nie pamiętam...
- Mówiłeś wtedy, że byłem pojętny.
- Wciąż nie zaskakuję... Zaraz, zaraz... Czy ty przypadkiem nie jesteś reporterem?

Pittman skinął głową.

- Dałem ci wtedy... Pittman wyciągnął nóż.
- No jasne, teraz już wiem.
- Od tego czasu poczyniłem postępy.
- To znaczy?

Pittman sięgnął do torby, wyjął gazetę, którą kupił w drodze do restauracji, i rzucił ją Seanowi.

148

- To z tym kolorowym nagłówkiem. „Autor nekrologów w amoku”. Gdzieś używają słówka

„rzekomo”, ale brzmi to fałszywie.

Sean czytał artykuł ze zmarszczonym czołem. Od czasu do czasu przerywał spoglądając na Pittmana z

niedowierzaniem, po czym czytał dalej.

W końcu odłożył gazetę.

- Wygląda na to, że byłeś bardzo zajęty.
- Tak, zabijanie to cała masa roboty jak na jednego człowieka.
- Może powinienem się ciebie bać?
- Spójrzmy na to inaczej. Czy wyrządziłem ci kiedyś jakąś krzywdę?
- Czy to znaczy, że nie zrobiłeś tego, o czym piszą? Pittman kiwnął głową.
- Czemu tu przyszedłeś?

— Ponieważ ze wszystkich kryminalistów, których znam, jesteś jedynym, któremu mogę zaufać.

— Czego chcesz? Zadzwoił telefon.

Sean podniósł słuchawkę.

— Tak? — Słuchał uważnie, prostując się przerażony. — Policja?! Jezu, musieli się dowiedzieć o tych pralkach.

Pittman nie miał pojęcia, o co tu chodzi.

Sean rzucił się do okna, odciągnął zasłony, podniósł do góry okno i czmychnął na schody przeciwpożarowe.

Za drzwiami rozbrzmiały ciężkie kroki. Pittman zdążył przekręcić klucz w drzwiach, gdy ktoś załomotał w nie pięścią.

Zgarnął swoją torbę i rzucił się do otwartego okna. Uderzył się w ramię, kiedy przeciskał się na schody, zaklął i spojrział w dół spodziewając się widoku zbiegającego Seana. Zamiast niego zobaczył

dwóch policjantów, którzy krzyżąc coś wskazywali w jego kierunku.

W górze nad nim coś zadudniło. Kiedy się obrócił, zobaczył Seana szybko wspinającego się na dach.

Nie zwlekając ruszył za nim.

— Stać! — Usłyszał policjanta wołającego z dołu. Nadal piął się w górę.

— Stać! — Wrzeszczał policjant. Pittman przyspieszył.

— ZATRZYMAĆ SIĘ!!

149

Zaraz zaczął strzelać — pomyślał. Lecz nie zatrzymał się. Dotarł na dach, pokonał zabezpieczającą barierkę i rozejrzał się za Seanem. Jest! Dachy pobliskich budynków były połączone. Sean pędził mijając szyby wentylacyjne i świetliki w kierunku wjazdu na końcu dachu.

— Zaczekaj, Sean!

Pittman pędził ile sił w nogach. Z tyłu za sobą słyszał łomotanie na schodach przeciwpożarowych.

Sean był przy drzwiach, pociągnął je i zaklął, kiedy okazało się, że są zamknięte.

Kiedy Pittman był już przy nim, napał na nie ramieniem.

— Cholera, zostawiłem w domu klucze i nie mam mojego noża.

— Masz. — Dysząc ciężko wyciągnął nóż, który kiedyś od niego dostał.

Sean uśmiechnął się i rzucając desperackie spojrzenie na dwóch policjantów, którzy właśnie wspięli się na dach, wy dobył z noża potrzebne narzędzia. Chwilę majstrował, po czym otworzył zamek ze zdumiewającą szybkością.

Kiedy usłyszeli krzyk policjanta, byli już za drzwiami. Mimo słabego oświetlenia Seanowi wystarczyło kilka ruchów, by ponownie zablokować zamek.

— Pralki. To na pewno to — mamrotał do siebie. — Kto, do diabła, im o nich powiedział?

Drzwi zadudniły od uderzeń.

Bez namysłu pognali schodami w dół.

— Kto im powiedział o tych pralkach? — mruczał do siebie Sean.

A może chodziło im o mnie? — pomyślał Pittman.

28

Nie oglądaj się. Idź prosto do narożnika. Skręcili za dom. — Im dalej, tym lepiej — powiedział Sean. Zatrzymał przejeżdżającą taksówkę.

— Nie daj po sobie znać, że się spieszysz — powiedział do Pittmana.

Wsiedli.

— Na Lower Broadway — rzucił Sean do taksówkarza i zaczął nucić pod nosem.

151

29

Zwracam ci twój nóż. — Dzięki. Przepraszam, że nie dołożyłem się do taksówki. — I tak dobrze, że

nie jestem w kiciu. Dzięki tobie. Znajdowali się na poddaszu, służącym kiedyś chyba jako magazyn.

Nie było tu prawie mebli, a te nieliczne zgromadzono pośrodku mrocznego pomieszczenia.

Wyglądały

jednak na bardzo drogie — włoska, obita skórą sofa, wielki wschodni dywan, mosiężny stolik do kawy i lampa w tym samym stylu. Natomiast w miejscach zacienionych, do których nie docierało blade światło lampy, leżało w nieładzie mnóstwo pustych opakowań.

Sean rozwalił się na sofie i popijał budweisera wyciągniętego z lodówki, która stała obok jakichś pudeł.

— Co to za miejsce? — zapytał Pittman.

— To moja kryjówka — na wszelki wypadek. Wciąż nie wiem, czego właściwie ode mnie chcesz?

— Pomocy.

— Jakiej?

— Nigdy dotąd nie musiałem uciekać.

— I spodziewasz się fachowej rady?

— Zeszłej nocy spałem w parku. Nie myłem się od dwóch dni. Prawie zebrałem o jedzenie. Teraz wiem, jak łapie się poszukiwanych. Pewnego dnia sami mają po prostu dość.

— Zakładam, że byłeś na tyle sprytny, żeby nie kontaktować się z rodziną i przyjaciółmi.

152

— Co do rodziny to w grę mogłaby wchodzić tylko moja eks-żona, a do niej i tak bym się nie zwrócił.

A przyjaciele... No cóż, zakładałem, że policja będzie ich obserwować, na wypadek gdybym się pokazał.

— Więc przyszedłeś do mnie.

— Myślałem, do kogo mógłbym się zwrócić o pomoc, o kim nie wie policja. I nagle przyszli mi na myśl wszyscy ci, z którymi kiedyś przeprowadzałem wywiady. Niektórzy z nich są ekspertami w dzie-

dzinach, które mogą mi się przydać. Policja nigdy nie pomyśli, że mógłbym się z nimi kontaktować.

Sean pokiwał z aprobatą słuchając wywodów Pittmana.

— Wciąż nie wiem, w jaki sposób mógłbym ci pomóc. Jest tu łazienka i prysznic, możesz spędzić tu

noc, ale co do innych spraw...

— Proszę cię, wymyśl coś.

— Jeśli cię złapią, to masz genialną obronę.

— Jaka?

— Pomieszanie zmysłów.

— Co takiego?!

— Mam na myśli pogłoski o twojej manii samobójczej. Mam nadzieję, że to tylko plotka.

Pittman nie odpowiedział.

— Chcesz powiedzieć, że to prawda? — zapytał Sean zaskoczony. Pittman utkwiał wzrok w puszcze coca-coli, którą trzymał w ręku.

— Gdy umarł twój syn, pomyślałeś, że świat się zawałił.

— Zgadza się.

— Moja siostra umarła, kiedy miałem dwadzieścia pięć lat. Była rok młodsza ode mnie. Wypadek samochodowy.

— I co?

— Prawie zapiłem się na śmierć. Boże, jak ja ją kochałem.

— Więc mnie rozumiesz.

— Tak. Ale teraz jest trochę inaczej, prawda?

— Nie rozumiem?

— Kiedy jesteś zmęczony, głodny i przerażony.

— Tak, czuję się egoistą. Mój syn był wspaniały, a ja myślę tylko o sobie.

— Nie do mnie należy pouczanie, co należy, a co nie. Powiem ci jedno — zrób to, co poradziłby ci

twój syn. A on powiedziałby, żebyś zatroszczył się o własny tyłek.

30

Prysznic był prymitywny — końcówka rurki nad plastikową kabiną z odpływem w betonowej podłodze. Nie było mydła, szamponu ani ręcznika. Pittman był zadowolony, że przezornie włożył do

torby przybory toaletowe. Znalezione dwa metalowe krzesła ustawił obok kabiny — na jednym rozwiesił kurtkę, na drugim spodnie. Kabina była pozbawiona drzwi, więc kiedy wyszedł i zaczął wycierać się swoją brudną koszulą, z zadowoleniem stwierdził, że pod wpływem pary z prysznica zniknęły wszystkie zagniecenia na kurtce i spodniach. Włożył świeżą bieliznę, skarpetki i czarny dres,

zachowując jedyną świeżą koszulę na później. Potem wrócił do Seana.

Złodziej oglądał dziennik CNN w telewizorze stojącym w otwartej szafce.

— Najwyraźniej cię lubią.

— Najwyraźniej. Pewnie niedługo będę miał własny serial.

— No tak — powiedział Sean otwierając kolejne piwo. — Z gazet i telewizji znam całkiem niezłe ich wersję. A jaka jest twoja? — wygodnie oparł nogi na stoliku do kawy.

Już po raz drugi tego dnia Pittman opowiadał swoją historię. Sean słuchał uważnie, od czasu do czasu

rzucając jakieś pytanie, a na koniec pstryknął palcami.

— Moje gratulacje.

— A to czemu?

— Jestem złodziejem od szczeniaka. Spędziłem pół życia w wię-

154

zieniu. Musiałem się ukrywać trzy razy z powodu nieporozumień z mafią. Miałem cztery żony, dwie z

nich w tym samym czasie. Ale nigdy dotąd nie miałem okazji znaleźć się w takich opałach. I to wszystko zaczęło się zaledwie dwa dni temu?

_ Tut

J. CLn m

— Nadaje się do Księgi Rekordów Guinnessa.

— Dobrze się bawisz. Widzę, że się pomyliłem co do ciebie.

— Nie tak szybko. Kto mógł przysłać tego rewolwerowca do twojego mieszkania?

— Nie mam pojęcia.

— A dlaczego ktoś chciał, żeby śmierć Millgate'a obciążyla właśnie ciebie?

— Nie wiem...

— Najwyższy czas, żebyś zaczął mieć jakieś pojecie! Od chwili kiedy zabiłeś faceta w swoim pokoju...

— Przypadkowo...

— Z pewnością to docenił. Od tej chwili stale uciekasz.

— Cóż więcej mogłem zrobić?

— Traciłeś czas na tego eksperta od komputerów. Wiesz dlaczego? Bo twoim jedynym celem było

dotarcie do mnie. Dlaczego? Ponieważ chcesz, żebym ci doradził, jak dalej uciekać. Wybacz.

— Słucham?

— Bo wcale nie tego potrzebujesz. Jak dotąd cholernie dobrze sam dawałeś sobie radę. Poza tym, jeśli zamierzasz się dalej ukrywać, jedyne co zyskasz, to zmęczenie. Wtedy popełnisz błąd, a oni cię

złapią.

— Nie mam wyboru.

— Czyżby? Odwróć sytuację. Przestań uciekać, zacznij polować. Bóg wie, że masz na kogo.

— Łatwo powiedzieć.

— Nie spodziewałem się, że podskoczysz z radości. Z tego co widzę, od czasu gdy umarł twój syn,

nieustannie uciekasz. Od wszystkiego.

Posądzenie o tchórzostwo sprawiło, że twarz Pittmana zapłonęła z gniewu. Z przyjemnością wyprułby

Seanowi flaki gołymi rękami.

— Uderzyłem w czułe miejsce?

Pittman oddychał głęboko, starając się uspokoić.

— Widzę, że nie spodobała ci się moja rada — powiedział

155

Sean. — Tylko taką mogę ci dać, wierz mi — jestem ekspertem. Uciekałem od różnych rzeczy przez

całe życie. I zrób, jak ci radzę, nie wzoruj się na mnie.

Zaskoczony Pittman uśmiechnął się gorzko.

— Co w tym śmiesznego? — zapytał Sean.

— Cała ta rozmowa o uciekaniu. Biegam od dwudziestu lat. Prawie codziennie. I dokąd dobiegłem?

— Do linii końcowej, chłopie. A jeśli wciąż myślisz o tym, żeby się zabić, to odejdz jako zwycięzca,

nie przegrany. Możesz ze sobą skończyć, to twoja sprawa. Ale nie pozwól, żeby te sukinsyny zrobiły

to za ciebie.

Pittman znów poczuł, że twarz zaczyna go palić. Ale tym razem nie na Seana był wściekły. Jego furia

skierowana była gdzie indziej.

— Sukinsyny.

Przez chwilę nie był w stanie się poruszyć, przemówić czy nawet odetchnąć. Nagły przypływ emocji

trzymał go w bezruchu. Wreszcie odezwał się do Seana.

— Kiedy zmarł mój syn... — zaczął mówić i zawahał się. Sean wpatrywał się w niego, najwidoczniej

zainteresowany tym,

co Pittman zamierzał powiedzieć.

— Kiedy umarł mój syn, nie umiem wyrazić, jak bardzo byłem wściekły. Na szpital, na lekarzy. Ale

to nie była ich wina. To ja z desperacją szukałem kogoś, na kim mógłbym wyładować wściekłość.

Gdyby ktoś popełnił błąd, śmierć Jeremy'ego byłaby w jakimś sensie zrozumiała. Błąd w sztuce lekarskiej. Alternatywą byłoby zaakceptowanie faktu, że Jeremy umarł, bo trafił mu się pusty los na kosmicznej loterii, że miał pecha, że po prostu przydarzył mu się niezwykle rzadki, nieuleczalny rodzaj raka.

Lecz taki sposób myślenia, że to śmierć bezsensowna, niepotrzebna, kiedy decyduje o niej siła wyższa, może doprowadzić człowieka do obłądzenia. Gdy w końcu zrozumiałem, że nie mogę obarczyć winą lekarzy, musiałem znaleźć kogoś, na kim mógłbym wyładować swój gniew. Wybrałem Boga. Krzyczałem na Boga. Nienawidziłem Go. Ale uświadomiłem sobie szybko, że i to nie przynosi ulgi. Ponieważ Bóg nie zareagował. Jakie miałem możliwości, żeby Go zranić? Jaki sens ma wściekać się

na kogoś, kogo nie da się ukarać? Mój gniew był bezcelowy. I nie mógł mi wrócić Jeremy'ego.

Wtedy

postanowiłem się zabić.

156

Na twarzy Seana pojawił się wyraz smutku. Patrzył nieruchomo.

— Gniew... — Pittman zacisnął szczęki. — Kiedy byłem u Millgate'a, powiedział coś do mnie.

Nazwisko. Przynajmniej brzmiało jak nazwisko. „Duncan”. Millgate powtórzył je kilkakrotnie.

Potem

coś o śniegu. A po chwili powiedział „Grollier”. Nie wiedziałem, co miał na myśli, a byłem zbyt pochłonięty czy innym, żeby go zapytać. Chciałem tylko włożyć mu z powrotem rurkę z tlenem do nosa i wynieść się.

Lecz facet ze spluwą, który czekał na mnie w mieszkaniu, chciał się koniecznie dowiedzieć, czy powtórzyłem komuś słowa Millgate[^]. — Pittman wstał. — Skończyć z uciekaniem? Zacząć na nich polować? Tak. Kiedy umarł Jeremy, mój gniew był bezcelowy. Ale to się skończyło. Mam już cel. Tym razem poszukam kogoś, kogo będę mógł oskarżyć...

Część trzecia

1.

Stał naprzeciw wejścia dla nagłych przypadków. Było już po południu, pogoda jak dwa dni temu — mżawka tworzyła aureole wokół latarni ulicznych. Umysł miał wciąż zaćmiony wydarzeniami, które

nastąpiły w tak krótkim czasie od jego poprzedniej wizyty w szpitalu. Mokry i zziębnięty wsunął ręce

w kieszenie wełnianego marynarskiego płaszcza, który wytrzasnął dla niego Sean. Dotknął czterdziestki piątki znajdującej się w prawej kieszeni. Z torby sportowej, którą zostawił na poddaszu

u Seana, zabrał tylko ją. Wpatrywał się w blade światło w oknie na dziewiątym piętrze, gdzie kiedyś leżał Jeremy. Determinacja zastąpiła znużenie. Trzeba w końcu zrobić to, co konieczne. Musiał dowie-

dzieć się tylu rzeczy, a przede wszystkim dlaczego owej nocy ludzie Millgate'a porwali go ze szpitala.

Od tego wszystko się zaczęło. Wyczekawszy luki w ruchu ulicznym, Pittman przeszedł na drugą stronę.

O tej porze główna recepcja była prawie wyludniona. Nieliczni odwiedzający, wtuleni w fotele z imitacji skóry, zdawali się nie zwracać na niego uwagi, kiedy skierował się w stronę wind. Miał jednak wrażenie, że wszyscy go obserwują.

Nerwy miał napięte jeszcze z jednego powodu. Wiedział, że wysiadając z windy na piątym piętrze

w pobliżu oddziału intensywnej terapii, otoczą go koszmary z przeszłości. Próbował nie poddawać się im, kiedy spojrzął w kierunku rozległej poczekalni. Grupy zaferowanych ludzi o strapionych twarzach i zmęczonych

11 —Desperackie kroki

161

oczach siedziały na niewygodnych metalowych krzesłach. Czekali na wiadomości o stanie zdrowia swoich najbliższych.

Zdając sobie sprawę, że i on niedawno tak czekał, Pittman zmusił się, by skoncentrować się na zadaniu. Minąwszy wejście do oddziału intensywnej terapii dla dzieci, skręcił w prawo i poszedł krótkim korytarzem na oddział intensywnej opieki dla dorosłych. Nigdy tu nie był, lecz przypuszczał,

że układ nie różni się zbyt wiele.

Rzeczywiście, było tu prawie tak samo. Otworzył drzwi i znalazł się w jasno oświetlonym, wypełnionym ostrym szpitalnym zapachem pomieszczeniu. W głębi znajdowało się stanowisko recepcji, zarzucone kartami chorych. Z tyłu mieściły się szklane gabloty wypełnione lekarstwami i różnym sprzętem. Słychać było szum, gwizd, dudnienie i inne odgłosy aparatury podtrzymującej życie. Z około piętnastu pokoi po prawej stronie i za stanowiskiem recepcji wchodzili i wychodzili lekarze, pielęgniarki wbiegały i wybiegały, zajmując się pacjentami, których życie wisiało czasem

na

włosku.

Pittman dobrze wiedział, co robić. Machinalnie skręcił w kierunku umywalk po lewej stronie

drzwi i

podstawił ręce pod dozownik środka dezynfekującego, czekając, aż spłynie mu na tece gryząca czerwona ciecz. Obmył dokładnie ręce i podstawił je pod kran spłukując do czysta. Następnie dmuchawa z ciepłym powietrzem osuszyła mu dłonie. Sięgał właśnie po biały fartuch z półki obok, gdy powstrzymał go czyjś zgrzytliwy głos.

— Czym mogę służyć? I co pan tu w ogóle robi?

Pittman obejrzał się. W jego kierunku maszerowała tęga kobieta. Była w średnim wieku, krótkie siwe

włosy podkreślały skandynawskie rysy twarzy. Miała na sobie białe spodnie i bluzę. Stopy obute były

w równie białe pantofle.

Trudno było się zorientować, czy jest lekarzem, czy pielęgniarką. Pittman wiedział jednak, że pielęgniarki nie mają za złe, jeśli ktoś bierze je za lekarzy. Oczywiście, w wypadku pomyłki skorygowałyby ją. Gdyby jednak wpadł na lekarza, kobieta byłaby urażona tytułowaniem jej pielęgniarką.

— Jestem z zespołu badającego sprawę zgonu Jonathana Millgate'a, pani doktor. — Pittman mignął fałszywą legitymą policyjną dostarczoną mu przez Seana O'Reilly'ego.

Kobieta spojrzała przelotnie.

162

— Znowu? Wczoraj narobiliście wystarczającego zamieszania. Pittman zauważył, że kobieta nie poprawiła go, gdy nazwał ją panią doktor.

— Bardzo mi przykro. Otrzymaliśmy jednak pewne istotne informacje i musimy je sprawdzić. Chciałbym porozmawiać z pielęgniarką, która miała dyżur tej nocy, kiedy pan Millgate został wywieziony ze szpitala.

Starał się nie okazywać napięcia. Czas naglił, a on nie był pewny, czy pielęgniarka pracowała podczas

tego weekendu. Gdyby wszystkie miały wolne w soboty i niedziele, nie byłoby komu doglądać chorych. Ustalono więc dyżury, a dni wolne przypadały w różne dni tygodnia. Podobnie ustalone były

godziny pracy w poszczególne dni, od siódmej do trzeciej, od trzeciej do jedenastej i od jedenastej do

siódmej rano. Dlatego Pittman musiał odczekać do godziny dwudziestej czwartej — musiał rozmawiać z pielęgniarką, która pracowała dwa dni temu, o tej właśnie porze, gdy zniknął Millgate.

— To chyba Jill — powiedziała lekarka.

— Czy ma dzisiaj dyżur?

— Tak.

Pittman starał się nie okazać uczucia ulgi.

— Jednakże jest obecnie zbyt zajęta, żeby prowadzić rozmowy.

— Doskonale panią rozumiem. Dobro pacjentów przede wszystkim. Ale nie przychodziłbym tu, gdyby sprawa nie była ważna. Może kiedy będzie miała przerwę...?

— Proszę poczekać na zewnątrz, panie...

— Detektyw Logan.

— Poproszę, żeby Jill wyszła do pana w wolnej chwili.

Chwila trwała czterdzieści minut. Opierając się o ścianę korytarza na zewnątrz oddziału, Pittman czuł,

że utożsamia się z czekającymi zapomnianymi ludźmi w poczekalni. Wspomnienie niezliczonych godzin oczekiwania zwiększyło jeszcze stres. Zanim otworzyły się drzwi, twarz Pittmana pokryta była

potem. Atrakcyjna kobieta po dwudziestce rozejrzała się, a następnie skierowała ku Pittmanowi.

Miała około stu siedemdziesięciu centymetrów wzrostu i wysportowaną figurę, której nie mógł ukryć

luźny szpitalny ubiór. Długie proste blond włosy okalały miłą owalną twarz. Policzki, bez śladu makijażu, tryskały zdrowiem.

— Pan Logan?

— Tak.

— Jestem Jill Warren — pielęgniarka wyciągnęła dłoń — doktor Baker twierdzi, że chce pan ze mną porozmawiać?

— Zgadza się. Może przejdźmy gdzieś, gdzie nie ma tylu ludzi. Piętro niżej jest automat z kawą. Zapraszam panią.

— Pod nami? Zdaje się, że doskonale się pan tu orientuje.

— Kiedyś często tu bywałem. Syn był na oddziale intensywnej terapii. — Pittman skinął w kierunku oddziału dziecięcego.

— Mam nadzieję, że już dobrze się czuje.

— Nie... Nie żyje.

— Co się stało? — głos Jill się załamał.

— Rak kości. Sarkoma Ewinga.

164

— Nie powinnam była... — jej głos zadrgał — bardzo mi przykro.

— Nic się nie stało, nie uraziła mnie pani.

— Czy mimo to chce pan zaprosić mnie na kawę?

— Oczywiście.

Pittman poprowadził ją do windy. Napięcie nieco go opuściło, gdy weszli do środka i drzwi się zamknęły. Najbardziej obawiał się, że lekarz, który go widział wtedy w szpitalu, będzie miał dyżur, rozpozna go i wezwie policję.

Przestał się wreszcie pocić, kiedy dotarli na niższe piętro. Nie było tam nikogo, poza strażnikiem w odległym końcu korytarza. Sięgnął po drobne i wrzucił monetę.

— Jaką kawę pani lubi? Ze śmietanką? Cukrem? Może bez-kofeinową?

— Prawdę mówiąc, wolę herbatę. — Jill wyciągnęła rękę i nacisnęła przycisk.

Pittman zwrócił uwagę na kształt jej rasowych dłoni. Automat zaterkotał. Jill odwróciła się.

— O co chciał mnie pan zapytać? Parujący płyn napełnił papierowy kubek.

— Muszę sprawdzić pewną informację. Czy pan Miłlgate był przytomny, kiedy jego koledzy zabierali go ze szpitala?

— To zbyt uprzejme określenie. Ja nazwałabym ich zbirami. Także tego lekarza, który upierał się, by przewieźć chorego.

— Czy pan Miłlgate protestował?

— Chyba nie ułatwiam panu sprawy.

— Nie rozumiem?

— Zboczyłam z tematu. Nie odpowiedziałam na pierwsze pytanie. Tak, był przytomny. W przeciwnym wypadku nie mógłby protestować, to odpowiedź na drugie pytanie. — Pociągnęła łyk z

kubka.

— Jak herbata?

— Zabarwiona woda, jak to z automatu, jestem przyzwyczajona — uśmiechnęła się.

— Czemu Miłlgate miałby protestować? Nie chciał być przewieziony?

— Nie wiem. Tej nocy zdarzyło się coś, czego nie rozumiem.

165

— Co?

— Ludzie, którzy po niego przyjechali, upierali się, żeby go wywieźć z powodu jakiegoś programu o nim w wieczornych wiadomościach. Powiedzieli Milllgate'owi, że musi zniknąć, zanim dopadną go

reporterzy.

— Rzeczywiście, chodzi o poufny raport Departamentu Sprawiedliwości, który ujrzał w jakiś sposób

światło dzienne. Millgate'a wypytywano o udział w tajnej sprawie dotyczącej kupna broni atomowej z

dawnego ZSRR.

— Broni? W gazetach było coś zupełnie innego. — Oczy Jill były tak błękitne, że aż przezroczyście.

— Więc o co chodzi?

— O ludzi, którzy przybyli po Millgate'a. W gazetach pisali, że zabrano go, ponieważ istniała obawa, że pewien dziennikarz zajmujący się nekrologami, nie pamiętam nazwiska...

— Pittman. Matthew Pittman.

— Właśnie, podobno chciał dokonać zamachu na Millgate'a. Ale tej nocy nikt z przybyłych nawet o

nim nie wspominał. Oni niepokoił się tylko śledztwem w sprawie Millgate'a.

Pittman poczuł, jak wzbiera w nim niepokój.

— Wygląda na to, że wszystko pozmieniali — powiedziała Jill.

— A czy Millgate nie zgodził się z nimi, że sprawa śledztwa jest dostatecznym powodem do zabrania

go ze szpitala?

— Niezupełnie. — Jill w zamyśleniu popijała herbatę. Twarz jej przybrała poważny wyraz. — Chyba

chciał, żeby go przenieśli. Albo raczej było mu to obojętne. Był pogrążony w melancholii. Nie zależało mu na niczym. „Róbcie, co chcecie — powtarzał. — Nieważne. Nic już nie jest ważne. Ale nie wywoźcie mnie jeszcze”. Wydawał się zdenerwowany. „Jeszcze nie teraz — mówił. — Zaczekajcie”.

— Na co?

— Na księdza.

Pittmanowi puls zabił mocniej, kiedy przypomniał sobie podsłuchaną w Scarsdale rozmowę dwóch doradców, podczas gdy on kulił się na dachu garażu.

„...Ksiądz” — dosłyszał załamujący się pod wpływem emocji głos starszego mężczyzny.

„Nie martw się — odpowiedział drugi, też należący do kogoś

166

starszego. — Mówiłem ci, że ksiądz nigdy tu nie przychodził. Jonathan nigdy z nim nie rozmawiał”.

Mimo to...

„O wszystko zadbano — odrzekł z naciskiem drugi głos, przypominający szelest zeschniętych liści. — Teraz już jest bezpiecznie.”

— Proszę mi opowiedzieć o tym księdzu — poprosił Pittman. — Jakie nosi nazwisko?

— Millgate mówił o nim wiele razy. Nazywał go ojcem... — Jill zastanowiła się — Dandridge.

Ojciec

Dandridge. Gdy Millgate trafił na oddział intensywnej terapii, był przekonany, że umrze. Był bardzo

osłabiony i ciągle go wspominał. Wręcz żądał od swoich współpracowników, którzy odwiedzali go w

szpitalu, żeby posłali po niego. A potem miał pretensję, że nikt go nie słucha. Uważał, że nawet własny syn go okłamuje, kiedy zapewniał, że ksiądz jest już w drodze. Mamy oczywiście w szpitalu własnego duchownego, który odwiedził chorego. Ale Millgate'owi to nie wystarczyło. Koniecznie musiał to być ojciec Dandridge. W czwartek rano miałam dyżur i słyszałam, jak błagał księdza ze szpitala, żeby zadzwonił do Dandridge'a do jego parafii w Bostonie. Przypuszczam, że nasz ksiądz się zgodził.

— Dlaczego pani tak sądzi?

— Mniej więcej godzinę po wywiezieniu Millgate'a ze szpitala, zgłosił się pewien duchowny, twierdząc, że nazywa się Dandridge i że przybył w odwiedziny. Był bardzo zmartwiony, że nie mógł

wysłuchać spowiedzi chorego.

— Przyjechał z parafii z Bostonu? Czy mówił z której?

— Chyba nie.

Pittman zaczął tracić nadzieję.

— Wcale nie musi pan dzwonić do Bostonu, żeby z nim porozmawiać — powiedziała Jill.

— Jak to?

— Ojciec Dandridge dał mi wyraźnie do zrozumienia, że nie wróci, póki nie porozmawia z Millgate'em. Gdybym się czegoś dowiedziała, mam dzwonić na plebanię na Manhattanie. Kościół Świętego Józefa. Ksiądz zatrzyma się tam przez weekend. — Jill spojrzała na zegarek. — Muszę wracać na oddział. Trzeba podać leki choremu.

— Rozumiem, i bardzo dziękuję. Nawet nie przypuszcza pani, jak bardzo mi pomogła.

167

— Gdybym była jeszcze potrzebna...

— Skontaktuję się z panią.

Jill odstawiła kubek i szybko poszła w kierunku windy.

Minęło dwadzieścia sekund, zanim drzwi się otworzyły. Czekala, najzupełniej świadoma, że Pittman ją obserwuje, nie okazując w najmniejszym stopniu zakłopotania. Kiedy weszła do windy i drzwi zaczęły się zsuwać, w ułamku chwili uśmiechnęła się do niego. Zniknęła i Pittman poczuł, jak całe podniecenie spowodowane rewelacjami, jakie usłyszał, zamienia się w wyczerpanie, tak silne, że nogi się pod nim ugięły.

Ta nagła słabość zaniepokoiła go. Poczuł pustkę w głowie i przestraszył się, że może upaść. Oparł się o automat do kawy. Czego się spodziewałeś? W ciągu minionych dwóch dni miałeś więcej wrażeń niż w ciągu roku. Biegałeś po całym Manhattanie. Zdrzemnałeś się kilka godzin na ławce w parku. Nie dojadłeś. Napędzały cię tylko strach i adrenalina. Zakrawa na cud, że utrzymałeś się tak długo na na nogach.

Nie mogę zemdleć. Nie tu i nie teraz.

Właściwie czemu nie? — uśmiechnął się gorzko. — Jak zasłabnąć, to tylko w szpitalu.

Muszę wrócić do Seana. Z powrotem na strych.

Kiedy jednak spróbował wziąć się w garść i odsunąć od automatu, siły go opuściły. Nogi ugięły się pod nim niebezpiecznie. Żołądek podszedł mu do gardła. Przywarł kurczowo do ściany, przerażony, że strażnik w drugim końcu korytarza zauważy, że dzieje się coś niedobrego i wezwie pomoc.

Muszę się stąd wynieść.

Pewnie, ciekawe tylko, jak daleko dojdiesz. Ociekasz potem, kolego. Wzrok ci się mąci. Jeśli wyjdiesz na ulicę, niechybnie padniesz jak długi. A co potem? Znajdzie cię policja i zidentyfikuje na podstawie karty kredytowej, a w kieszeni masz czterdziestkępiątkę...

Więc dokąd mam iść?

Naszedł go wisielczy humor. Jeśli padać na nos, to tylko w szpitalu.

169

Gdy winda ruszyła w górę, nasiliły się zawroty głowy. Drzwi rozsunęły się na piątym piętrze i Pittman, usiłując wyglądać naturalnie, pomaszerował w kierunku oddziału intensywnej terapii.

Gdyby

pojawiła się Jill Warren, albo co gorsza, tęgawa lekarka, z którą wcześniej rozmawiał, wątpił, czy miałby dosyć sił na przekonywające wyjaśnienie swojego powrotu.

Było jednak inne rozwiązanie. Poczekalnia przy oddziale była jedynym miejscem, które przyszło mu

do głowy. Światła były tam wystarczająco przyciemnione. Skręcił w lewo z korytarza, minął grupkę czekających ludzi o napiętych zmęczonych twarzach, usiłujących zdrzemnąć się na niewygodnych

metalowych krzesłach, przestąpił nad kimś śpiącym wprost na podłodze i podszedł do metalowej szafki w głębi.

Znajdowały się tam koce i poduszki, o czym Pittman dowiedział się, spędzając niezliczone godziny w

poczekalni po przewiezieniu Jeremy'ego na intensywną terapię. Jeden z pracowników opowiedział o

kocach i poduszkach przechowywanych w szafce, ale zastrzegł, że z reguły jest ona zamknięta.

— W takim razie po co je tam trzymacie? — zdziwił się Pittman.

— Bo nie chcemy robić ze szpitala noclegowni.

— I dlatego zmuszacie ludzi, żeby kiwali się całą noc na metalowych krzeselkach?

— Takie mamy przepisy. Ale dla pana zrobię wyjątek — pracownik otworzył szafkę.

170

Pittman spróbował otworzyć szafkę, skonstatował, że jest zamknięta i z irytacją wy dobył uniwersalny

noż Seana O'Reilly'ego. Ręce mu się trzęsły, więc otwieranie gabloty nieco się przedłużało. W końcu

jednak, manipulując sztyftami ukrytymi w nożu, jakoś sobie poradził.

Oszołomiony położył się z poduszką pod głową w najciemniejszym kącie między innymi oczekującymi i naciągnął koc na głowę. Mimo twardej posadzki sen zmorzył go z nieoczekiwaną szybkością. Gdy pogrążał się w nieświadomości, doszło do niego w niejasny sposób, że pozostali czekający tłoczą się wokół szafki, którą celowo zostawił otwartą. Raz tylko ktoś wytrącił go ze snu. Starszy mężczyzna budził drobną kobietę.

— Ona nie żyje, May. Nic nie dało się zrobić.

Zbudziły go światło i głosy. Ci, którzy pozostali w poczekalni całą noc, budzili się z wolna. Inni, których bliscy właśnie zostali przyjęci na oddział, próbowali zaznajomić się z nowym dla nich otoczeniem.

Pittman siadł znużony, starając się przywrócić jasność umysłowi, po czym powoli wstał. Twarda podłoga i wyczerpanie dnia poprzedniego sprawiły, że mięśnie miał obolałe. Złożył koc i umieścił go

wraz z poduszką na powrót w szafce. Następnie przełożył płaszcz przez ramię, ukrywając wypukłość

broni w prawej

kieszeni.

Któryś z ochotników, pracujący społecznie w szpitalu, wprowadził na salę wózek z kawą, sokiem pomarańczowym i pączkami. Pittman zauważył na wózku napis: „Zapłać, ile możesz”. Nie miał już drobnych, więc z poczuciem winy wrzucił jednego dolara z dwudziestu, które pożyczył mu Sean O'Reilly. Wypił dwie szklanki soku, zjadł dwa pączki i nagle poczuł, że zaraz wymiotuje.

Przeszedł

do toalety, by ochlapać twarz lodowatą wodą. Spojrzał na swoją szarą ze zmęczenia twarz odbijającą

się w lustrze, dotknął zarostu i poczuł, jak ogarnia go rezygnacja.

Dlaczego w ogóle mam się tym zajmować? — spytał sam siebie.

Wspomnienie samobójstwa, którego o mały włos nie popełnił cztery dni temu, znów powróciło.

Po co się męczyć? Wpakowałem się po uszy w kłopoty i wcale nie jest pewne, że uda mi się z nich wygrzebać. A jeśli nawet, to

172

i tak Jeremy'emu nie przywróci to życia. Więc o co chodzi? Czy coś jest warte moich wysiłków?

Nie możesz pozwolić, żeby te sukinsyny cię zniszczyły. Zapomniałeś, co sobie powtarzasz? To był twój pomysł, nie ich. Jeśli teraz się zabijesz, będzie to tylko woda na ich młyn. Dasz im wygrać.

Nie

daj bydlakom tej satysfakcji.

Niski człowiek o ponurym wyglądzie, którego Pittman rozpoznał z poczekalni, wszedł do toalety,

zdjął koszulę i stanawszy przy umywalce obok Pittmana otworzył kosmetyczkę, po czym namydlił twarz i rozpoczął golenie.

— Nie ma pan przypadkiem zapasowej maszynki do golenia? — spytał Pittman.

— Zrób to co ja, kolego. Zjedź na dół do sklepu w holu i kup sobie jakąś.

Kościół Świętego Józefa nie zaznał dobrodziejstwa renowacji, którą, dzięki napływowi yuppies w latach osiemdziesiątych, zawdzięczały okoliczne gmachy w Soho. Niewielki budynek kościoła architekturą przypominał katedrę, lecz płyty piaskowca, którymi był wyłożony, poczerniały od sadzy,

a barwione szkło okien zmatowiało ze starości. Wnętrze również prosiło się o odnowienie.

Pittman stał przy wejściu wdychając zapach kadzidła i przysłuchiwał się dźwiękom dychawicznych organów, dziwiąc się niezwykłemu tłumowi wiernych, którzy nie zważając na dość posępne otoczenie

przybyli, aby wysłuchać niedzielnej mszy. Ołtarz wyglądał zupełnie inaczej. Błyszczały złociste kielichy do wina mszalnego. Płonęły świece. Wysoki energiczny kapłan w karmazynowym ornacie przeczytał psalm, po czym wygłosił kazanie o potrzebie ufania Bogu i niepoddawaniu się rozpacz. Rzeczywiście — ponuro stwierdził Pittman. Siadł w klęczniku w głębi i przyglądał się przebiegowi mszy, pierwszej, w której brał udział od wielu lat. Nigdy nie chodził do kościoła regularnie, a po śmierci Jeremiego względną obojętność zastąpiła niechęć. W konsekwencji, gdy nadeszła pora komunii, podążył za wiernymi do ołtarza jedynie na zasadzie impulsu. Prędko wytłumaczył sobie, że

chce tylko przyjrzeć się księdzu z bliska. Jeden z kapłanów w parafii objaśnił go, że ojciec Dandridge

będzie odprawiał właśnie tę mszę.

174

Zbliżając się, Pittman zauważył, że ksiądz ma powyżej pięćdziesiątki i mocno wyrzeźbione rysy twarzy. Szarpana blizna przecinała mu policzek, a lewą rękę pokrywały pręgi wyglądające na zastarzałe oparzeliny.

Przyjął komunię i poczuł, jak pustka w nim stała się jeszcze większa.

Ksiądz zakończył mszę.

— Idźcie w pokoju.

Jeszcze nie teraz — pomyślał Pittman.

Podążając za wychodzącymi dotarł w poblize wyjścia, wszedł w drzwi po prawej stronie i znalazł się

w zakrystii, przylegającej do ołtarza, gdzie przechowywano przybory liturgiczne koniecznie do odprawiania nabożeństwa.

Ksiądz właśnie się rozbierał układając szaty na komódce, gdy zauważył wchodzącego. Rozważne ruchy i węzłowate mięśnie ramion świadczyły o pełnym panowaniu zarówno nad umysłem, jak ciałem. Stał nieporuszenie, obserwując zbliżanie się Pittmana.

— Czym mogę służyć? — zapytał ksiądz.

— Ojciec Dandridge?

— We własnej osobie.

— Muszę z panem porozmawiać.

— Proszę bardzo.

Pittman nie mógł się zdecydować. Ksiądz podniósł głowę.

— Wygląda pan na zdenerwowanego. To jakaś osobista sprawa? Chodzi o spowiedź?

— Nie. Tak. To sprawa osobista, ale... muszę z księdzem porozmawiać o... — Pittman obawiał się reakcji — ...o Jonathanie

Millgacie.

Ciemne oczy księdza osaczyły go.

— Zwróciłem na pana uwagę podczas mszy. Ta udreka na twarzy, gdy przystępował pan do komunii.

Jak gdyby dźwigał pan na barkach ciężar całego świata.

— Bo tak się czuję.

— To zrozumiałe. Jeśli to prawda, co piszą o panu gazety, panie Pittman.

Ogarnęła go panika. Nie spodziewał się, że ksiądz go rozpozna.

176

Z napiętymi nerwami przesunął się w kierunku drzwi, gotów do ucieczki.

— Nie — doszedł go głos księdza. — Niech pan nie odchodzi. Proszę. Niech się pan nie boi.

Coś w jego głosie sprawiło, że Pittman zawahał się.

— Daję słowo. Mnie nie musi się pan obawiać.

— Skąd ksiądz wiedział? — spytał ze skurczonym żołądkiem.

— Kim pan jest? — Ojciec Dandrige uczynił gest, nieświadomie przyciągając uwagę Pittmana swą

okaleczoną ręką. — Między mną a Jonathanem panowały szczególne stosunki. Nic więc dziwnego, że

czytałem wszystkie artykuły w gazetach i oglądałem programy telewizyjne, które mówiły o tym, co się z nim stało. Wiele razy widziałem też pana zdjęcie. Rozpoznałem pana natychmiast.

Pittmanowi zabrakło tchu.

— Proszę mi wierzyć, to bardzo ważne. Ja go nie zabiłem.

— Ważne dla mnie czy dla pana?

— Chciałem mu pomóc, nie zaszkodzić — echo jego głosu zadudniło w małym pomieszczeniu.

Spojrzał nerwowo w kierunku łukowo sklepionego przejścia wiodącego do ołtarza.

Ojciec Dandrige również tam spojrzał. Kościół był prawie wyludniony. Zaledwie kilkoro starszych mężczyzn i kobiet modliło się na klęczkach z opuszczonymi głowami.

— Nikt pana nie słyszał — powiedział ksiądz. — Ale za pół godziny zaczyna się następna msza.

Kościół się zapełni. — Wskazał na wchodzących mężczyzn.

— Czy możemy gdzieś porozmawiać?

— Czy chcesz mi coś wyznać?

— Chcę tego, co obiecał ksiądz na koniec mszy. Spokoju. Ojciec Dandrige rzucił na niego przenikliwe spojrzenie.

— Proszę ze mną.

12 — Desperackie icroid

I

8

Ksiądz poprowadził go do drzwi w głębi zakrystii. Gdy je otworzył, Pittman ze zdziwieniem zobaczył

pięknie utrzymany ogród, tak kontrastujący z zaniedbanym wejściem do kościoła. Równo przystrzyżona trawa obramowana była kwitnącymi bzami, których silny aromat docierał do wnętrza budynku. Prostokątny ogród otaczał wysoki ceglany mur. Ojciec Dandrige stanął, by przepuścić Pittmana. Kiedy ten nie zareagował, ksiądz spojrzał na niego ze zdziwieniem.

— Chyba mnie pan nie podejrzewa? Obawia się pan odwrócić do mnie plecami? Jaką szkodę mógłbym panu wyrządzić?

— Ludzie mają różne pomysły — trzymając dłoń na czterdziestu-tcepiątce ukrytej w kieszeni płaszcza,

Pittman spojrzał za siebie w głąb kościoła, który szybko wypełniał się ludźmi. Podążył za księdzem do

ogrodu i zamknął za sobą drzwi.

Poranne słońce było ciepłe i jasne, uwidaczniając poszarpaną bliznę na policzku księdza. Ojciec Dandrige usiadł na metalowej ławeczce. Zgiełk miasta, który tu docierał, był odległy i przytłumiony.

— Dlaczego miałbym wierzyć, że nie zabił pan Jonathana Millgate'a?

— Gdybym to zrobił, uciekłbym z miasta. I po co miałbym tu

przychodzić?

Ksiądz wzruszył ramionami.

— Może jest pan chory umysłowo, jak podają gazety. Może i mnie chce pan zabić.

178

— Nie. Potrzebuję pomocy księdza.

— W jaki sposób mam panu pomóc? I w ogóle dlaczego miałbym panu pomagać?

— Prasa i telewizja podaje, że ludzie Millgate'a zabrali go ze szpitala w celu ochrony przede mną. To

kłamstwo — powiedział Pittman. — Prawdziwym powodem wywiezienia chorego była obawa, że rzucają się na niego reporterzy po tej całej podejrzanym historii z próbą zakupu broni nuklearnej z dawnego ZSRR.

— Nawet jeśli potrafi pan tego dowieść...

— Potrafię.

— ...nie ma to znaczenia w porównaniu z tym, czy zabił go pan czy nie.

— Przeciwnie, to bardzo ważne. Rzeczywiście, jechałem za nim od szpitala, ale nie ścigałem go. Chciałem tylko sprawdzić, dlaczego go zabierają. W Scarsdale pielęgniarka i lekarz, który miał go pilnować, zostawili go samego. W jakiś sposób odłączył się od systemu podtrzymującego życie.

Udało

mi się dostać do jego pokoju i pomóc mu.

— Świadek naoczny twierdzi, że było odwrotnie, że odciął mu pan dopływ tlenu i w ten sposób wywołał śmiertelny atak serca.

— Kiedy umieszczałem końcówki przewodu z tlenem w nozdrzach Millgate'a, weszła pielęgniarka.

Musiała słyszeć, że Millgate coś do mnie mówił. Myślę, że tu jest pies pogrzebany. Jego towarzysze obawiali się, że reporterzy będą go wypytywać. Ja właśnie nim jestem i Millgate zdradził mi coś, czego oni się obawiali i chcieli to przed wszystkimi ukryć. Chcieli mnie złapać, ale udało mi się uciec

i...

Ojciec Dandridge wpadł mu w słowo:

— ...więc postanowili odłączyć Jonathana od aparatury i pozwolić mu umrzeć, żeby nikomu więcej nie zdradził swego sekretu. Następnie oskarżyli ciebie o spowodowanie śmierci. W ten sposób, gdybyś

chciał wykorzystać to, co powiedział Millgate, nikt by ci nie uwierzył.

— Otóż to — powiedział Pittman zaskoczony — właśnie próbuję to udowodnić. Skąd ksiądz...

— ...wiedział? Kiedy wysłuchuje się tylu spowiedzi, człowiek staje się specjalistą od przewidywania.

— To, co księdzu mówię, to nie spowiedź!

179

— Co powiedział panu Jonathan Millgate? Dotychczasowa energia zaczęła Pittmana opuszczać.

Potał

z namysłem kark.

— W tym sęk. Wygląda, że to nic ważnego. Nawet nie wiem, czy to, co powiedział Millgate, w ogóle

ma sens. Ale z tego właśnie powodu w moim własnym mieszkaniu ktoś próbował mnie zabić.

— Proszę powiedzieć to mnie.

— To nazwisko. — Pittman pokręcił głową z zakłopotaniem. —

I jeszcze coś o śniegu.

— Co za nazwisko?

— Duncan Grollier.

Ojciec Dandridge skoncentrował się, próbując wyrobić sobie pogląd na Pittmana.

— Jonathan Millgate był chyba najbardziej odrażającym typem,

jakiego znałem.

— Co?! Przecież powiedział ksiądz, że byliście przyjaciółmi?

Dandridge uśmiechnął się gorzko.

— Nie. Powiedziałem tylko, że między nami panowały szczególne stosunki. Nie potrafiłbym zostać

jego przyjacielem. Współczując mu, zarazem potępiałem jego postępowanie. Staralem się uratować jego duszę. Widzi pan, byłem jego spowiednikiem.

Słowa księdza zaskoczyły Pittmana.

— Kiedy zobaczył mnie pan w zakrystii, przyglądał się pan moim bliznom.

— Przepraszam. Nie miałem zamiaru...

— Nie szkodzi. Nie musi się pan nade mną użalać. Jestem z nich dumny. Zdobyłem je we walce, podczas wojny w Wietnamie. Byłem kapłanem Pierwszego Korpusu. Moją bazę, w pobliżu strefy zdemilitaryzowanej, oblegał Yietcong. Pogoda nie pozwoliła na dokończenie umocnień. Byliśmy pod

stałym ogniem moździerzy. Jako duchownemu, nie wolno mi było nosić broni, zajmowałem się rannymi. Pełnąc, dostarczałem żołnierzom jedzenie, wodę i amunicję. Udzielałem umierającym ostatniego namaszczenia. Bliznę na policzku mam od szrapnela, a ślady na ręku od pożaru, który pomagałem gasić. Gdy mówię, że jestem z nich dumny, mam na myśli przywilej, dzięki któremu mogłem służyć tym dzielnym ludziom. Z dwuosobowego oddziału pozostało zaledwie pięćdziesięciu do czasu przybycia posiłków. Żaden z poległych nie

180

przekroczył dwudziestego pierwszego roku życia. Za śmierć tych dzieciaków winięm Jonathana Millgate'a, podobnie jak za śmierć pozostałych czterdziestu siedmiu tysięcy poległych na tej wojnie.

Oraz za sto pięćdziesiąt tysięcy rannych. Psychika tysięcy młodych ludzi uległa zrujnowaniu. I dlaczego? Bo Millgate i czterej jemu podobni — ksiądz skrzywił usta z pogardą — tak zwani superdoradcy, wmówili prezydentowi i całemu narodowi, że teoria „domina” to coś, za co warto umierać, że gdybyśmy nie powstrzymali komunistów w Wietnamie, cała Azja Południowo--Wschodnia dostałaby się pod ich panowanie. Ćwierć wieku później komunizm legł w gruzach, a Azja Południowo-Wschodnia staje się coraz bardziej kapitalistyczna, chociaż Wietnam Południowy został

opanywany wówczas przez komunistów. Wojna niczego nie zmieniła. Ale Jonathan Millgate i jego kołesie wzbogacili się nieprzyzwoicie na konszachtach z przemysłem zbrojeniowym żywiącym się wojną, którą Millgate i pozostali superdoradcy uznali za niezbędną.

— A obecnie toczy się śledztwo, w którym zarzuca się Mil-lgate'owi udział w skandalu z bronią nuklearną — powiedział Pittman. — Czy dlatego tak desperacko usiłował skontaktować się z księdzem przed śmiercią? Jego towarzysze celowo nie dopuścili do spotkania. Uważali, że ksiądz im

zagroza.

Ojciec Dandridge przymknął oczy.

— Gdy wróciłem z Wietnamu, nękałem Millgate'a na wszelkie sposoby. Organizowałem demonstracje. Staralem się go ośmieszyć. Myślę, że stałem się jedną z przyczyn, dla których wycofał

się z życia politycznego i znikł ludziom z oczu. Oczywiście, nadal manipulował polityką rządu, ale przynajmniej musiał to robić z ukrycia. Ku mojemu zaskoczeniu, mniej więcej sześć miesięcy temu, zadzwonił do mnie. Poprosił o spotkanie. Byłem pełen podejrzeń, ale zgodziłem się, a kiedy przyjechał, okazało się, że przeżywa kryzys psychiczny. Nie był katolikiem, ale czuł nieprzepatą potrzebę obnażenia swej duszy. Zażądał, bym został jego spowiednikiem.

— Po tym wszystkim, co mu ksiądz nawarzył?

— Chciał zwierzyć się komuś, kogo nie mógłby zastraszyć.

— Co było aż tak ważne, że chciał się z tego spowiadać? Kapłan potrzęsnał głową.

181

— Przecież wie pan, że jako duchowny jestem związany tajemnicą spowiedzi.

Z Pittmana jakby uszło powietrze.

— Niepotrzebnie się tu fatygowałem.

— Duncan Grollier. Czy jest pan pewien, że tak się nazywał? Pittman skinął głową.

— I coś jeszcze...

— Co takiego?

— Wymienił to imię kilka razy. A potem: snów, śnieg. I znów Grollier. Może snów to też nazwisko?

— Nie wiem. Ale Grollier to nie jest nazwisko. To nazwa prywatnej szkoły przygotowawczej, do której uczęszczał Millgate. To informaga ogólnie znana, więc

nie zdradzam niczyjej tajemnicy. Mogę to powiedzieć bez wyrzutów sumienia. Tylko tyle. Ale to powinno panu wystarczyć.

— O czym ksiądz mówi? Co ma wystarczyć? Nic nie rozumiem.

Pocisk trafił ojca Dandridge'a w prawe oko. Widok buchającej krwi i galaretowatej tkanki sprawił, że

Pittman doznał wstrząsu. W pierwszej chwili nie zrozumiał, co się wydarzyło. Dopiero gdy potknął się

cofając, zobaczył rozprysnięty mózg i krew czerwieniącą na trawniku za głową księdza.

Chciał krzyknąć, ale przerażenie zdławiło mu głos. Cofając się, wpadł na pomnik i potknął się w momencie, gdy następna kula odłupała kamienne drzazgi z figury. Nie słyszał huku wystrzałów, ale miał wrażenie, że dochodziły od strony wyjścia do ogrodu. Kryjąc się za pomnikiem, wyciągnął z kieszeni płaszcza rewolwer, odwiódł kurek i zdał sobie sprawę, że strzelając sam wystawi się na cel.

W ogrodzie panowała pełna grozy cisza.

Na pewno ma tłumik na broni — pomyślał Pittman. Nikt w kościele nie zdawał sobie sprawy, z

tego co zaszło. Nikt nie wezwie pomocy.

Wkrótce zacznie się kolejna msza. Gdy ksiądz wejdzie do zakrystii, by nałożyć szaty, z pewnością zauważy mordercę wpatrującego się w głąb ogrodu. Wezwie pomocy — i zostanie zastrzelony.

Nie mogę na to pozwolić! Muszę się stąd jakoś wydostać!

Posłyszał skrzypienie uchylanych drzwi. Dłonie miał śliskie od potu. Ścisnął mocniej rewolwer. Strzelaj!

Przecież nawet nikogo nie widzę!

Hałas może ci jakoś pomóc.

183

Nie zdążę.

Z ogrodu nie było innego wyjścia. Pittman wiedział, że zanim dotarłby do ceglanego muru i spróbował się na niego wspiąć, zostałby niechybnie zastrzelony.

Wydało mu się, że usłyszał odgłos kroków.

Rozejrzał się gorączkowo, serce waliło mu jak młotem. Znowu kroki.

Obok krzaku bzu po prawej stronie zauważył nisko położone okno sutereny kościoła. Niemal nieprzytomny ze strachu wystrzelił, nie mierząc, w kierunku kroków. Rzucił się w przeciwną stronę i wystrzelił jeszcze dwa razy na oślep, tym razem odsłaniając się. Zobaczył człowieka kryjącego się za ławką, przez którą leżało przewieszona ciało ojca Dandridge'a. Inny człowiek cofnął się do

zakrystii.

Pozostały mu tylko cztery kule. Był tak roztrzęsiony, że prawdopodobnie zmarnowałby je również, nie trafiając żadnego z zabójców.

Teraz!

Strzelając raz po raz, skoczył w kierunku okna. Ostatkiem tchu dopadł go i rąbnął rewolwerem w

szybę, roztrzaskując szkło na kawałki. Siła uderzenia sprawiła, że nie zabezpieczone okno uchyliło się. W tej samej chwili Pittman runął do środka. Spadając w ciemności mocno uderzył w stojącą na dole ławkę i opadł na podłogę. Skręcił się z bólu. Szkło z rozbitego okna rozharatało mu głęboko lewą rękę. Wyciągnął odłamek, czując jak krew zalewa mu dłoń. Podniósł się niezdarne na nogi i pobiegł. Z ciemności od strony okna dobiegł go wystrzał.

Wzrok przywykł mu do ciemności na tyle, że zauważył przed sobą drzwi. Wypalił w kierunku okna, usłyszał jęk i szarpnął drzwi z całej siły. Wpadł do jasno oświetlonego pomieszczenia i zamrugał w oszołomieniu powiekami na widok grupy kobiet układających różne gatunki wypieków, prawdopodobnie na jakiś kiermasz. Usta zgromadzonych otwarły się w przerażeniu. Jedna z kobiet upuściła niesione ciasto. Jakieś dziecko zaszlochało. Jeszcze inna kobieta wrzasnęła, ale w tej chwili Pittman posłyszał tuż za sobą odgłosy kroków. Schodziło za nim dwóch mężczyzn.

— Z drogi! — krzyknął. Podniósł rewolwer i kobiety rozbiegły się w popłochu. Pchnął z rozmachem drzwi i zauważył, że nie miały

184

zamka. Porwał jeden ze stołów, przyciągnął go pod drzwi, próbując je zablokować.

Kula wystrzelona z głębi roztrzaskała deskę. Pittman również wystrzelił. Pozostał mu tylko jeden nabój. Ogłuszony wrzaskiem kobiet popędził do schodów w głębi pomieszczenia. Na górze w kościele słycać było poruszenie.

Dotarł do schodów, wciąż się obawiając, że drzwi lada chwila rozewrą się i padną strzały.

Zaryzykował i obejrzał się. Drzwi ciągle pozostawały zamknięte. Zbyt wielu świadków.

Mordercy nie będą ryzykować. Na pewno wyjdą z powrotem przez okno i przedostaną się przez mur.

Słyszając liczne kroki u szczytu schodów, ukrył broń w kieszeni płaszcza. Ciżba parafian rzuciła się po schodach w jego kierunku.

— Uzbrojony bandyta! Tam na dole! — Pittman wyciągnął zranioną szkłem rękę. Czując przeszywający ból, ścisnął ją, by powstrzymać upływ krwi. — Postrzelił mnie!

— Wezwać policję!

— Lepiej jakiegoś lekarza. — Oblewając się potem, zaczął się przepychać przez tłum.

Wśród ściśniętych ludzi powstała panika.

— A jeśli bandyta zacznie strzelać?

— Wszystkich nas pozabija!

Znienacka tłum dokonał zwrotu i runął jak oszalały do góry. Natłok ciał spowodował, że Pittman omal nie został stratowany. Tłum unosił go jak rzeka. Zamajaczyły przed nim drzwi. Ktoś wyważył je z trzaskiem. Tłum wylał się na ulicę, porywając ze sobą Pittmana. W jednej chwili otoczyły go setki przerażonych ludzi.

Gdy usłyszał dźwięk syren, wsunął krwawiącą dłoń do kieszeni. Ciągle pozostawał w dużej grupie kobiet i mężczyzn uciekających przed siebie. Zanim nadjechały błyskające światłami wozy policyjne, skręcił za róg i przywołał taksówkę.

— Co tu się wyrabia? — zapytał zdziwiony kierowca.

— Strzelanina.

— W kościele?! Niech Bóg ma nas w swojej opiece.

— Przydałoby się.

— Dokąd jedziemy?

Trafne pytanie — pomyślał Pittman. W popłochu podał kierowcy pierwszy adres, który wpadł mu do głowy. Na Washington Square.

10

Logan, z policji — powiedział do domofonu. Rozległ się brzęczyk zwalniający zamek drzwi wejściowych. Wszedł do środka. W oczy rzuciła mu się piękna boazeria holu budynku z apartamentami na West Side. Winda zawiozła go na czwarte piętro. Obawiał się, że nie znajdzie numeru telefonicznego pielęgniarki albo nie zostanie jej w domu. Teraz, stojąc pod drzwiami, nie był

również pewien, czy ona w ogóle zechce mu pomóc. Otworzyła drzwi, przytrzymując lewą ręką zaciągnięty szlafrok. Popatrzyła na niego przymrużonymi oczami, bardziej jednak zaciekawiona niż zaniepokojona.

Słońce padało z okna dużego pokoju, obramowując jej sylwetkę.

— Nie zdaje pan sobie sprawy, że jest środek nocy? — wymamrotała.

Pittman spodziewał się, że zamiast korzystać z dnia, zostanie w domu odsypiając nocny dyżur w szpitalu.

— Bardzo mi przykro — odezwał się — nie miałem innego wyjścia. Jill ziewnęła, upodobniając się

do małego kotka, jej długie jasne

włosy były w nieładzie, a twarz zapuchnięta ze snu. Mimo to wydała się mu bardzo piękna.

— Chce pan mnie jeszcze o co wypytać?

— Obawiam się, że jeszcze coś więcej.

— Nie rozumiem.

— Potrzebuję pomocy. — Pittman wyciągnął zakrwawioną dłoń z kieszeni płaszcza.

186

— Boże — otworzyła szeroko oczy — proszę, niech pan wejdzie. — Ujęła go pod ramię, wprowadzając do wnętrza i szybko zamknęła drzwi. — Do kuchni, tędy. Zauważyłam, że jest pan strasznie blady, ale myślałam, że to zwykły brak snu. Niech pan włoży rękę pod kran.

Pittman zachwiał się. Dziewczyna podbiegła do stołu, odsunęła krzesło i zmusiła go, żeby usiadł, następnie delikatnie ściągnęła mu płaszcz. Czterdziestkapiątka ukryta w prawej kieszeni stuknęła o krzesło, wywołując u Jill zmarszczenie brwi.

— Wiem, że się narzucam — odezwał się Pittman — może przeszkadzam komuś, kto z panią mieszka...

— Nie.

Jeszcze w szpitalu zauważył, że nie nosi obrączki. Oczywiście, mogła z kimś mieszkać. Może jej współlokatorka wyszła, nie chcąc przeszkadzać Jill w odpoczynku.

— Mieszkam sama — powiedziała Jill. — Chusteczka przywarła do rany. Spróbuję połać ją zimną wodą i odkleić. Jak to się stało? W porządku, schodzi. Boli pana?

— Nie.

— Powiedzmy. Twarz panu poszarzała. To wygląda na głębokie rozcięcie.

— Stłuczone szkło.

— To głęboka rana. Zamiast przychodzić do mnie, powinien pan raczej udać się do szpitala.

— Do pani było bliżej.

— Trzeba będzie założyć szwy.

— Nie — zaprotestował Pittman.

Jill spojrzała na niego uważnie, potem znów zajęła się jego dłonią.

— Czego pan nie chce? Iść do szpitala czy pozwolić na założenie szwów?

Nie odezwał się.

Jill obmyła zaschniętą krew i zaczęła ostrożnie przemywać ranę.

— Proszę trzymać dłoń pod wodą. Przyniosę bandażę i środki dezynfekujące.

Gdy wyszła, Pittman pomyślał, że może wpadła na pomysł, żeby uciec z mieszkania, ale ku swojej uldze usłyszał otwieranie szuflad w sąsiednim pokoju.

Wpatrywał się w strumyczek krwi ciekący z rany. Spływająca

187

woda zabarwiała się na różowy kolor i znikwała w otworze zlewu. Wykończony, rozejrział się po malej,

jasnej, przyjemnie urządzonej kuchni. Pojemnik na doniczkę w kształcie kota dziwnie pasował do reszty umeblowania.

— Strasznie pan zbladł — powiedziała z niepokojem Jill podchodząc do Pittmana. — Czemu się pan

tak uśmiecha? Mam nadzieję, że to nie szok?

— Tylko zawroty głowy.

— Na miłość boską, niech pan nie spadnie z tego krzesła. — Jill objęła go ramionami, podtrzymując nad zlewem.

Wyczuł jej piersi, gdy przywarła do niego, lecz był zbyt słaby i znużony, by poczuć coś więcej niż uczucie wdzięczności za opiekę.

Delikatnie obmyła mu dłoń, wysuszyła ręcznikiem, pokryła ranę środkiem dezynfekującym i obłożyła

gazą, po czym owinęła bandażem. Pierwsza warstwa natychmiast przesiąkła krwią. Jill owijała dłoń coraz grubiej.

— Mam nadzieję, że to powstrzyma krwawienie, w przeciwnym razie pojedzie pan do szpitala, czy się to panu podoba czy nie.

Pittman wpatrywał się w grubo zabandażowaną dłoń. Część opatrunku zabarwiła się na różowo, ale plama się nie powiększała.

— Na wszelki wypadek jeszcze trochę zabandażujemy — powiedziała Jill. — Pomogę panu przejść do pokoju, położy się pan na chwilę.

— Dam sobie radę—zaprotestował Pittman—nic mi nie będzie.

— Oczywiście. — Jill podtrzymała go, gdy przy próbie powstania kolana ugięły się pod nim. Miał wrażenie, jakby słoneczny salon nagle poszarzał. Ocknął się na kanapie.

— Proszę spokojnie leżeć.

— Naprawdę, bardzo mi przykro.

— Niech pan położy nogi na poduszce, tak żeby były nieco uniesione.

— Nie zwracałbym pani głowy, ale nie miałem dokąd iść...

— Proszę już nic nie mówić. Niech pan spokojnie wypoczywa. Przyniosę trochę wody.

Pittman zamknął oczy. Poczul, jak Jill unosi mu głowę, pojąc go.

— Jeśli nie wystąpią mdłości, dam panu trochę soku. A może zjadłby pan coś? Coś lekkostrawnego, może tost?

188

— Jedzenie?

— Zapomniał pan, że ludzie zwykle się odżywiają?

— Ostatnio... jadałem raczej nieregularnie. Jill zmarszczyła brwi.

— Ma pan podarty płaszcz, a spodnie wyglądają, jakby czołgał się pan po błocie. Co się stało? W jaki

sposób zranił się pan tak mocno?

— Mówiłem, zbiła się szyba i skaleczyłem się.

— Wygląda na to, że wdał się pan w jakąś bójkę. Pittman nie odpowiedział.

— W ten sposób do niczego nie dojdziemy — powiedziała Jill — ryzykuję pomagając panu.

Wiem,

że nie jest pan policjantem. Nazywa się pan Matthew Pittman i jest poszukiwany przez policję.

11

Pittman aż usiadł z wrażenia. — Proszę leżeć — powiedziała Jill — jest pan jeszcze zbyt słaby.

— Od kiedy wie pani o tym...?

— Niech się pan nie podnosi. Od kiedy? Chwilę po tym, kiedy zaczął mnie pan w szpitalu.

— Wielki Boże.

Tym razem, kiedy chciał się podnieść, Jill położyła mu dłoń na piersiach.

— Nie żartuję — jeśli krwawienie nie ustanie, będzie pan musiał jechać do szpitala.

Pittman zastanowił się i skinął głową. Przyływ adrenaliny zmniejszył nieco zawroty głowy.

— Matt.

— Słucham?

— Powiedziała pani „Matthew”. Przyjaciele mówią na mnie „Matt”.

— Czy to znaczy, że mam się uważać za pana przyjaciela?

— To znacznie lepsze, niż uważać mnie za wroga.

— A nie jest pan nim?

— Czy uwierzyłaby pani, gdybym powiedział, że nie?

— Jak dotąd ciągle pan kłamie.

— Jednego nie rozumiem. Jeśli rozpoznała mnie pani w szpitalu, dlaczego nie zawiadomiła pani prawdziwej policji?

190

— Skąd pan wie, że tego nie zrobiłam? Mogłam wziąć udział w tej komedii, bo bałam się pana. Gdyby się pan zorientował, że wiem, mógłby mi pan zrobić krzywdę.

— Czy zawiadomiła pani policję?

— Pan mnie nie pamięta, prawda?

— Czy już się gdzieś spotkaliśmy?

— Nic dziwnego, był pan wtedy taki przygnębiony. To było dla pana bardzo ciężkie przeżycie.

— Wciąż nie rozumiem...

— Na oddziale intensywnej opieki dla dorosłych pracuję dopiero pół roku.

Pittman potrząsnął głową oszołomiony.

— Przedtem pracowałam na oddziale dziecięcym. Nie mogłam tego znieść... Byłam jedną z pielęgniarek Jeremy'ego.

Pittman poczuł w żołądku sopel lodu.

— Miałam dyżur tej nocy, gdy umarł pana syn. Pracowałam na noc przez cały tydzień. Pozwolono panu siedzieć w kącie sali. Czasem pytał mnie pan o jakiś szczegół w urzędzeniu podtrzymującym życie lub przeglądał kartę choroby syna i prosił o wyjaśnienie. Ale w gruncie rzeczy mnie pan nie widział, był pan tak skoncentrowany na synu. Miał pan ze sobą książkę i w chwilach spokoju czytał pan jedną, dwie strony, ale natychmiast uwaga pana kierowała się na Jeremy'ego i na monitory, do których był podłączony. Miałam wrażenie, że całą swoją siłę, całą energię i modlitwy kierował pan na

syna, w nadziei, że to go uleczy.

Pittman poczuł suchość w ustach.

— Tak wtedy myślałem. Naiwne, prawda? Jill zabłyśły oczy.

— Wcale nie, pana zachowanie bardzo mnie poruszyło. Spróbował usiąść, żeby dosięgnąć szklanki z

wodą stojącą na

stoliku przy kanapie.

— Pomogę panu. — Jill podniosła naczynie do jego ust.

— Dlaczego tak pani na mnie patrzy? — spytał Pittman.

— Przypominam sobie, jak opiekował się pan Jeremym. To były drobiazgi, ale jakże potrzebne. Na przykład obmywanie go zimną wodą, by obniżyć gorączkę. Był nieprzytomny, ale pan cały czas mówił do niego, jak gdyby mógł wszystko słyszeć.

Przypomnienie boleśnie zraniło Pittmana.

191

— Byłem pewien, że mnie usłyszysz. Chciałem przedrzeć się w głąb jego umysłu, rozbudzić go, zmusić do odpowiedzi.

— Pamiętam, jak zaczęło się obkurczanie stóp — powiedziała Jill. — Lekarz zalecił masaż, żeby mięśnie Jeremy'ego nie uległy atrofii.

— Rzeczywiście. — Pittman czuł dławienie w gardle. — Kiedy masaże nie dawały rezultatu,

wkładałem mu buty, po godzinie zdejmowałem i wkładałem mu znowu. Wszystko po to, żeby mógł normalnie chodzić, kiedy już dojdzie do siebie, gdy pokona nowotwór.

Błękitne oczy Jill wpatrywały się w niego uważnie.

— Podczas tego tygodniowego dyżuru bacznie pana obserwowałam. Zadziwiło mnie pana poświęcenie. Mogłam wziąć sobie dwa dni wolnego, ale wolałam zostać. Byłam tam, kiedy nastąpił kryzys, gdy Jeremy dostał ataku serca.

Pittman oddychał ciężko.

— Gdy przeczytałam w gazetach o zbrodniach, które pan rzekomo popełnił, nie uwierzyłam w to ani

przez chwilę. Gazety wypisywały, że znajduje się pan w stanie szoku, że ogarnięty manią samobójczą

chce pan pociągnąć innych za sobą. Ale obserwując pana podczas tego tygodniowego dyżuru, widząc

pana zachowanie, delikatność w obchodzeniu się z chorym, nie mogłam w to uwierzyć. Być może chciał pan skończyć ze sobą. Ale nie zrobiłby pan

krzywdy innym.

— Zdziwiła się pani, kiedy znów pojawiłem się w szpitalu.

— Nie rozumiałam, co się tam dzieje. Gdyby był pan w morderczym amoku, po co miałby pan rozmawiać z pielęgniarką? Czemu miałby pan udawać policjanta i wypytywać o ostatnie chwile

życia Jonathana Millgate'a? Tak nie zachowują się opętani żądzą mordu maniacy. Raczej ktoś, kto

znajduje się w pułapce i usiłuje się z niej wydostać, kto chce udowodnić swoją niewinność.

— Doceniam pani zaufanie.

— Nie jestem naiwna. Ale widziałam pana cierpienie po śmierci syna. Nigdy nie przypuszczałam, że

można kogoś kochać tak mocno. Bałam się też, że się pan załamie.

— Więc pozwoliła mi pani udawać policjanta.

— Miałam przyznać, że wiem, kim pan jest? Wpadłby pan w panikę. Pewnie siedziałby pan już w więzieniu.

— Albo byłbym trupem.

12

Pukanie do drzwi sprawiło, że Pittman podskoczył. Spojrzał na Jill. — Spodziewa się pani kogoś?

Jill

również sprawiała wrażenie zaskoczonej.

— Nie.

— Czy zamknęła pani drzwi?

— Oczywiście, przecież mieszkamy w Nowym Jorku. Pukanie powtórzyło się.

Pittman zebrał siły, by wstać.

— Proszę podać mi mój płaszcz. I schować gdzieś bandażę. Schowam się w szafie, wtedy otworzy pani drzwi, ale proszę mnie nie zdradzić.

Tym razem od strony drzwi dobiegło głośne walenie.

— Otwierać, policja!

Jill spojrzała na Pittmana.

— Policja — powiedział. — Ale kto tak naprawdę wie. Proszę im nie mówić że tu jestem. —

Zmęczenie ustąpiło miejsca podnieceniu. Wziął od Jill płaszcz. — Proszę udawać, że pani spała.

— A jeśli to rzeczywiście policja i znajdą pana?

— Wtedy powie pani, że zmusiłem ją do kłamstwa. Do drzwi dobijano się już całkiem bezceremonialnie.

— Chwileczkę! — zawołała Jill. — Już otwieram! — Spojrzała na Pittmana.

Delikatnie dotknął jej ramienia.

13 — Desperackie kroki

— Niech mi pani zaufa. Proszę nie mówić im, że tu jestem. Skoczył w kierunku szafy, ukrywając pistolet, który zabrał z kieszeni płaszcza. Wszedł do środka między ubrania, zasunął za sobą drzwi i przycisnął się w ciemnościach z walącym sercem.

Po chwili, którą, jak przypuszczał, Jill wykorzystała na zatarcie śladów jego obecności w mieszkaniu,

usłyszał szcęk łańcucha blokującego drzwi i odgłos otwieranej zasuw. Miał nadzieję, że uchyli tylko

nieco drzwi zabezpieczone łańcuchem, a nie otworzy je na oścież.

— Słucham. O co chodzi?

— Czemu to trwało tak długo?

— Pracuję na nocną zmianę, właśnie spałam po męczącym dyżurze.

— Proszę nas wpuścić

— Proszę najpierw pokazać legitymacje.

Zaskoczony Pittman usłyszał odgłos wyłamywanych drzwi i brzęk odczepianego łańcucha. W przedpokoju zadudniły ciężkie kroki. Drzwi zatrzaśnięto z powrotem.

— Co to ma znaczyć?!

— Gdzie on jest?

— Kto?

— Pittman.

— Kto taki?

— Nie udawaj niewiniątka. Wiemy, że wszedł do budynku. Mamy go pod obserwacją. Po wizycie u

księdza byliśmy pewni, że spróbuje odszukać inne osoby, które rozmawiały z Millgate'em przed jego

śmiercią. Trafiliśmy w dziesiątkę.

— Nie wiem, o czym w ogóle mówicie.

— Sprawdziłem, w sypialni go nie ma — odezwał się jakiś głos.

— Czy jest tu drugie wyjście?

— W łazience też czysto.

— Proszę odpowiadać! Czy jest jakiś inne wyjście?!

— Proszę mnie puścić, to boli!

— W garderobie go nie ma.

— Sprawdź w szafie w przedpokoju.

— Gadaj, gdzie on jest?!

Pittman usłyszał krzyk Jill i zaraz potem zbliżające się kroki. Tęgi mężczyzna szarpnął drzwiami szafy, drgnął na widok

Pittmana i uniósł pistolet z tłumikiem. Siła strzału z czterdziestki-piątki rzuciła go w tył, ryk wystrzału

z broni wielkiego kalibru, spotęgowany ciasnotą pomieszczenia, mało nie rozerwał Pittmanowi uszu.

Wyskoczył spomiędzy ubrań i wymierzył w dwóch krępych osobników stojących pośrodku salonu. Jeden z nich wykręcał ramię Jill, klęczącej na podłodze z wykrzywioną bólem twarzą. Obaj mieli pistolety z tłumikami. Zaskoczeni wściekłym grymasem na twarzy Pittmana, zamarli bez ruchu.

— Łapy do góry! — wrzasnął.

Obaj posłuchali wpatrując się w lufę wielkiego pistoletu. Jill upadła.

— Bez nerwów, kolego — odezwał się jeden z mężczyzn. — Tak ci się trzęsą ręce, że spluwa może

sama wypalić.

— Racja — odezwał się drugi. — Nie pogarszaj swojej sytuacji. Jesteśmy funkcjonariuszami policji.

— Tak wam się tylko zdaje. Trzymać ręce w górze i upuścić broń za siebie.

Namyślali się oceniając szansę.

— Już! — Pittman zaczął naciskać spust. Pistolety stuknęły o podłogę.

Pittman przeszedł obok Jill i podniósł jeden z pistoletów. Odetchnął z ulgą. Po ucieczce z kościoła został mu tylko jeden pocisk, który wystrzelił w napastnika otwierającego drzwi szafy. Nie zdążył pochwycić broni padającego. Dwóch pozostałych sterroryzował pustą bronią — zdążył tylko delikatnie cofnąć łozę na miejsce, by nie zauważyli pustej komory nabojoyej.

Usłyszał odgłos walenia w drzwi, które napastnicy zatrzasnęli za sobą po wtargnięciu do mieszkania.

Czyjś słaby drżący głos wołał:

— Jill, czy nic ci się stało? Pittman spojrzał na dziewczynę.

— Kto to?

— Sąsiad, mieszka naprzeciwko.

— Powiedz, że nie jesteś ubrana i nie możesz otworzyć. Powiedz, że telewizor grał za głośno.

Gdy Jill wyszła do przedpokoju, Pittman rozkazał bandytom rozpiąć marynarki i wywinąć nad głową.

Dwa lata temu pisał reportaż o akademii policyjnej i ćwiczeniach, jakie odbywali kadeci. Instruktor sztuk walki zaprosił go na pokaz technik obezwładniania

195

agresywnych osobników. Teraz usiłował sobie przypomnieć, czego się wtedy nauczył.

Mężczyźni stali z uniesionymi rękami. Pittman obszukał ich w obawie, czy nie znajdzie innej broni. Nic nie zauważył. Nie znaczyło to oczywiście, że nie ukryli jej gdzieś głębiej.

— Na kolana.

— Posłuchaj, Pittman.

— Masz nadzieję, że nie podzielisz losu swojego kumpla?

Spróbuj.

— Nie, wierzę bez zastrzeżeń.

— Padnijcie na kolana. Świetnie. A teraz skrzyżujcie kostki nóg. I złączcie palce rąk na karku.

Jill wróciła w chwili, gdy mężczyźni przybierali dziwną pozycję.

— Sąsiad uwierzył?

— Chyba tak.

— Doskonale.

— Niezupełnie. Powiedział, że kiedy usłyszał wystrzał, jeszcze zanim zastukał do moich drzwi, zadzwonił na policję.

— Rany boskie, musimy się spieszyć. Ubierz się. Musimy zwięzać tych facetów i wynosić się stąd czym prędzej.

— My?

— Nie słyszałaś, co mówili? Po wizycie u księdza domyślili się, że spróbuję skontaktować się z kimś,

kto rozmawiał z Millgate'em przed śmiercią.

— O jakim księdzu mówisz?

— Sama mi o nim powiedziałaś. Ojciec Dandridge. Nie ma czasu na wyjaśnianie. On nie żyje. Zamordowali go. Na pewno myślą, że ty też coś wiesz. Jesteś następna na liście.

— Policja mnie z pewnością ochroni.

— Oni podali się za policjantów.

Jill spojrzała na klęczących napastników i nagle zrozumiała.

13

Podczas gdy pospiesznie się ubierała, Pittman związał ręce i nogi obu mężczyzn bandażami i taśmą chirurgiczną. Na odgłos syren policyjnych wybiegli z mieszkania. Lokatorzy, przerażeni strzałem, wyglądali zza uchylonych drzwi i szybko je zatrzasowali na widok Pittmana pędzącego korytarzem.

Dopadli do windy, ale zaraz się zreflektowali. To może być pułapka. Chwyił Jill za rękę i pobiegli w

kierunku schodów. Przez mgnienie opierała się, ale zaraz pobiegła za nim. Zbiegli z czwartego piętra

na trzecie, drugie, w końcu na pierwsze. Na parterze zatrzymali się niezdecydowani, ponagli wyciem zbliżających się syren.

— Dokąd prowadzą te drzwi? — wydyszał Pittman wskazując na odległy koniec korytarza. — Nie było na nich numeru, za to pali się czerwone światło. Czy to jest wyjście na zewnątrz?

— Tak, ale...

— Pospiesz się.

Pociągnął ją za rękaw i pobiegli mrocznym holem, mijając ustawione pod ścianą pojemniki na śmieci.

— To ślepy korytarz!

— Próbowałam ci to powiedzieć. — Jill odwróciła się, gotowa do biegu w przeciwną stronę. — Stąd

nie ma...

— A to? — Pittman wskazał drzwi przed sobą. Podbiegł, przekręcił gałkę i jęknął, gdy odkrył, że są

zamknięte. Starając się opanować trzęsące się ręce, wy dobył swój wieloczynnościowy nóż

197
i zaczął manipulować sztyftami. Odetchnął z ulgą, kiedy drzwi się otworzyły. Przejście wiodło do bliźniaczego budynku z apartamentami. Gdy tylko weszli do środka, zamknął drzwi i zablokował zamek. Zanim policja się z nim upora, będą już daleko. Wybiegli na Osiemdziesiątą Szóstą Ulicę. Pittman wyobraził sobie policyjne wozy zajeżdżające z piskiem opon pod budynek Jill. Dwie przecznice dalej było wejście do Central Parku. Sportowy strój Jill — trampki, dzinsy i bluza świetnie

nadawały się do biegania. Mocniej ścisnęła torebkę pod pachą. Będąc w szpitalu, Pittman wywnioskował z jej spokojnych naturalnych ruchów, że jest w znakomitej formie fizycznej. Teraz jej

długie nogi swobodnie odmierzały krok, dowodząc, że się nie mylił.

Zwolnili nieznacznie, by nie zwracać na siebie uwagi. Gdy wpadli do parku, przyspieszyli, pędząc na

wschód obok terenu zabaw dla dzieci, następnie na południe, mijając grających w base-balla na ogromnym trawniku. Minęli teatr Delacorte, jezioro i pałacyk, wybierając jedną z wąskich drózek biegnących między drzewami do części parku znanego jako The Ramble.

Była już prawie druga po południu. Słońce jak na kwiecień przygrzewało mocno i wkrótce czoło Pittmana pokryły krople potu, a koszula przykleiła się do pleców. Obieгли miejsce, gdzie leżały spiętrzone głązy, zwolnili i w końcu zatrzymali się.

Z dala dobiegały ich odgłosy syren, teraz już bardzo przytłumione. Oparłszy się o drzewo, którego gałęzie zaczynały już wypuszczać zielone pączki, Pittman usiłował złapać oddech.

— Chyba nikt nas nie goni.

— Żałuję, że to zrobiłam.

— Co?!

Jill miała zaszepiony wyraz twarzy.

— Wtedy w mieszkaniu wystraszyłam się.

— A teraz się już nie boisz? — zapytał zaskoczony.

— Gdy ci ludzie włamali się do mieszkania, a ty zastrześliś jednego z nich... Jeszcze nigdy nie widziałam czegoś takiego. Zresztą mówiłaś tak przekonywająco... Straciłam głowę. Powinam

zaczekać na przybycie policji. — Jill przeczesła palcami długie jasne włosy. — Ty też powinienesz czekać. Policja pomoże ci.

— Wsadzając mnie do aresztu, skąd prawdopodobnie nie wyszedłbym żywy.

198

— Chyba naprawdę cierpisz na jakąś paranoję.

— A ty uważasz za normalne, gdy włamują ci się do mieszkania zbrodniarze. Nie jestem paranoikiem, jestem po prostu rozsądny. Od czwartku, dokądkolwiek pójdę, ktoś na mnie poluje.

Nie

dam się zamknąć w celi, gdzie będę stanowić łatwy cel.

— Policja pomyśli, że jestem w to wplątana.

— Bo jesteś wplątana. Omal nie zginęłaś. Nie licz, że policja zapewni ci bezpieczeństwo.

Jill potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

— Posłuchaj mnie, staram się ocalić ci życie.

— Gdybyś nie przyszedł do mnie, wcale nie byłoby to konieczne. Pittman drgnął, jakby otrzymał policzek. W oddali słychać było

bawiące się dzieci, tu jednak zapanowała nagle niezręczna cisza.

— Masz rację — powiedział. — To była pomyłka.

— Nie chciałam, żeby to tak wyszło. Przepraszam.

— Ja również. — Pittman skinął głową. Zaczął się oddalać, przewiesiwszy sobie przez ramię płaszcz

obciążony własną czterdziestką i jednym z pistoletów odebranych napastnikom.

— Dokąd idziesz? Pittman nie odpowiadał.

— Zaczekaj.

Pittman przyspieszył kroku.

— Zaczekaj. — Jill podbiegła do niego. — Powiedziałam „przepraszam”.

— Wszystko, co mówiłaś, jest prawdą. Prawdopodobnie ci ludzie daliby ci spokój, gdybym ja się nie

zjawił. Z pewnością ojciec Dandridge żyłby, gdybym nie wpadł na pomysł, by go odwiedzić.

Millgate

również by żył i mój przyjaciel Burt, i...

— To nie tak. Posłuchaj mnie. — Jill schwyciła go za ramię i odwróciła do siebie. — To nie twoja wina. Przepraszam, że miałam ci za złe to, co stało się u mnie w mieszkaniu. Nie chciałaś źle.

Przyszedłeś, bo potrzebowałeś pomocy.

Nagle w pobliżu rozległy się głosy, tupot biegnących stóp na ścieżce. Pittman ukrył się na poboczu między krzewami, ściskając w kieszeni płaszcz pistolet. Jill ukryła się obok niego. Ścieżką biegło troje ludzi — dwóch młodych mężczyzn i szczupła kobieta — wszyscy ubrani w jaskrawe, kolorowe

dresy. Przebiegli rozmawiając ze sobą beztrąsko.

199

Ścieżka znowu opustoszała.

— Będziesz bezpieczniejsza beze mnie — powiedział. — Może masz rację. Zadzwoń na policję. Powiedz, że cię uprowadziłem. Powiedz, że zniknęłaś z obawy, że ludzie, którzy wtargnęli do mieszkania, mogą nasłać na ciebie innych. Możesz nawet twierdzić, że jestem niewinny, w co zresztą

nie uwierzą.

— Nie.

— Nie powiesz im o mojej niewinności?

— W ogóle niczego nie powiem. Im więcej o tym myślę, tym bardziej zgadzam się z tobą. Po przesłuchaniu na pewno zostanę zwolniona. Ale wciąż będę w niebezpieczeństwie. Może przekonała-

bym ich, żeby mnie umieścili w jakimś bezpiecznym schronieniu, ale na jak długo? W końcu musiałabym się ujawnić i znów wystawić na niebezpieczeństwo.

- Więc co chcesz zrobić?
- Zostać z tobą.
- Naprawdę chcesz tego?
- Powiedz, jak mogłabym ci pomóc.

14

Citibank, z którego korzystała Jill, miał swój oddział na południe od Central Parku, u zbiegu Pięćdziesiątej Piątej Ulicy i Piątej Alei. Jak zwykle o tej porze w niedzielne popołudnie, ruch uliczny

nie był zbyt gęsty. Upewniwszy się, że przechodnie ich nie dosłyszą, Pittman wyjaśnił, w jaki sposób

policja zablokowała mu dostęp do bankomatu i zatrzymała jego kartę kredytową.

— Na pewno nie wpadli jeszcze na pomysł, żeby zrobić to samo z twoją. Ile maksymalnie mogłabyś podjąć?

— Nie wiem. Myślę, że około tysiąca dolarów.

— Aż tyle? — Pittman pokręcił głową. — Przydałoby się, ale z pewnością nie masz tyle na koncie. Jill miała dziwny wyraz twarzy.

— Może się uzbiera.

— Wiem, że to mnóstwo pieniędzy, ale w tej sytuacji... Spróbuj podjąć, ile się da.

Weszli do westybulu banku. Jill wsunęła kartę w szczelinę automatu i w odpowiedzi na jego polecenia

nacisnęła kilka klawiszy. Kilkadziesiąt sekund później upychała dwudziestki i dziesiątki w swojej torebce.

— Nie zostaw karty — przypomniał Pittman. — A tu masz wydruk operacji bankowej.

Zerknął na niego starając się wywnioskować, czy informacja na wydruku mogłaby im w jakiś sposób

zagrozić, gdyby dostała się

201

w niepowołane ręce. Odcinek informował o sumie pozostałej na koncie i Pittman błyskawicznie zrozumiał dziwny wyraz twarzy Jill.

— Osiemdziesiąt siedem tysięcy i czterdzieści trzy centy? Jill wyglądała na nieco zmieszaną.

— To prawdziwa fortuna.

— To są dane tylko do mojego wglądu. — Jej błękitne oczy zabłysły.

— Przepraszam, nie mogłem się oprzeć.

— Z pewnością przyszło ci do głowy, że z moją pensją pielęgniarki nie mogłabym sobie pozwolić

na apartament na West Side.

Pittman nie odpowiedział.

— Nie wiedziałeś, że jestem bogata?

— Nie.

— Dziadkowie ustanowili fundusz. Właśnie nadeszły wpływy z akcji. Chcę je ponownie zainwestować. Stąd tyle pieniędzy na koncie.

Pittman obserwował ją z namysłem.

— Czy to stwarza jakieś problemy?

— Nie, skąd. Ale skoro jesteś taka zamożna, może zaprosiłabyś zgłodniałego faceta na jakąś wyzerkę?

15

Restauracja na Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy była niewielka i bezpretensjonalna. Linoleum na podłodze, czerwona cerata na stolikach. Ale cielęce eskalopki, które Pittman zamówił, były wyśmienite, a burgund o niewygórowanej cenie — znakomity.

Kilka stolików wystawiono na chodnik. Siedzieli w słońcu, Pittman wykańczał pozostałości sałatki.

— To już druga dokładka — zauważyła Jill. — Bałam się, że nie będziesz miał nigdy dosyć.
— Mówiłem ci, że jestem potwornie głodny. To pierwszy przyzwoity posiłek od dawna.

Przeważnie

jadłem w biegu. Tobie nie smakowało?

— Było doskonałe. Ale to nie jest zbyt znana restauracja. Jakim cudem ją wynalazłeś?

Pittman wgrzył się w ostatni kawałek pieczywa czosnkowego.

— Kiedyś mieszkałem w pobliżu. — Spoważniał. — Gdy byłem żonaty.

— Już nie jesteś? — Jill odstawiła kieliszek.

— Smutek i szczęście małżeńskie podobno nie idą w parze.

— Teraz ja wtykam nos w nie swoje sprawy.

— To nic wielkiego. Po prostu żona była ode mnie silniejsza. To nie znaczy, że mniej kochała Jeremego, ale ja załamałem się po jego śmierci, ona nie. Myślę, że obawiała się, że do końca życia

się już nie pozbieram. Straciła syna i wyglądało na to, że straciła

203

również męża. To ją przerażało. Nie chciała z tym walczyć. Rozwiedliśmy się. Wyszła ponownie za

mąż. Jill poczuła chęć dotknięcia jego ręki.

— Bardzo mi przykro.

— Po prostu postąpiła rozsądnie. — Pittman wzruszył ramionami. — Czego się mogła po mnie spodziewać? Zeszłej środy trzymałem już w ręku pistolet... Ale zadzwonił telefon, i tak się to potoczyło...

Jill szerzej otworzyła oczy.

— To znaczy, że gazety nie przesadzały? Rzeczywiście odczuwałeś impuls samobójczy?

— Delikatnie mówiąc. Uniosła brwi.

— Mam nadzieję, że nie bawisz się w psychoanalizę amatora — powiedział Pittman. — Już wszystko słyszałem. „Twoja śmierć nie przywróci Jeremego do życia” i takie brednie. Ale z pewnością zakończyłaby ból. Albo to: „Jeśli się zabijesz, zmarnujesz życie, za które Jeremego oddałby

wszystko”. Sęk w tym, że moje życie nie jest wiele warte. Wiem, że mój obraz syna był wyidealizowany. Wiem, że po jego śmierci uważałem, że był mądrzejszy, bardziej utalentowany i dowcipniejszy. Ale naprawdę on był taki. Nie przesadziłem wiele. Doskonały uczeń. Miał zaskakujące poczucie humoru. Potrafił dopatrzeć się we wszystkim czegoś zabawnego. Zawsze doprowadzał mnie do śmiechu. A miał zaledwie piętnaście lat. Świat należał do niego. Ale zachorował

na raka i umarł, choć lekarze i on sam walczyli z tym ze wszystkich sił. Jakiś wyrzutek z bronią w rękę obrabowuje w tej chwili sklep z alkoholem. Ale ten łajdak żyje, a mój syn nie. Nie potrafię żyć w

takim świecie, gdzie wszystko jest na opak. Nie mogę przyglądać się temu wszystkiemu, wiedząc, że

Jeremy nigdy tego nie zobaczy. Nie mogę znieść wspomnienia bólu malującego się na twarzy syna, gdy rak torturował go z każdym dniem coraz okrutniej. Nie mogę...

Głos mu się załamał. Zdał sobie sprawę, że mówi tak szybko i głośno, że pozostali klienci restauracji

przysłuchują mu się z zainteresowaniem, że Jill nachyliła się ku niemu, jakby przyciągnięta niewidzialnym magnesem.

Machnąwszy ręką, usprawiedliwił się.

— Nie będę bawić się w psychologa amatora — powiedziała Jill.

— Czasem wszystko burzy się we mnie. Nie mogę się powstrzymać.

204

— Rozumiem.

— Jesteś bardzo miła. Nie powinienem obarczać cię moimi kłopotami.

— To nie jest kwestia uprzejmości, a ty z pewnością powinieneś wyrzucić to z siebie.

— Nie.

— Słucham?

— To nie takie proste. — Pittman wbił wzrok w stół. — Lepiej zmieńmy temat.

Jill składała w rękę harmonijkę z serwetki.

— W takim razie opowiedz mi, co stało się w czwartek, jak się to wszystko zaczęło.

— Dobrze. — Gniew i podniecenie opuściło Pittmana ustępując miejsca zmieszaniu. — Wszystko ci opowiem.

Zajął mu to godzinę. Tym razem mówił znacznie ciszej, przerywając za każdym razem, gdy zbliżał się jakiś przechodzień. Jill zapłaciła rachunek i poszli spokojnym krokiem Siedemdziesiątą

Dziewiątą

Ulicą wciąż rozmawiając.

— To jakiś koszmar.

— Przysięgam Bogu, że to wszystko prawda — powiedział Pittman.

— W tym wszystkim musi być jakiś sens.

— Łamię sobie nad tym głowę od dawna.

— Może powinien ktoś spojrzeć na to z innego punktu widzenia. Rozpatrzmy to razem — powiedziała Jill. — Wiemy, że Millgate został zabrany ze szpitala przez swoich kolegów z obawy, że

jakiś dziennikarz dorwie się do tajnego sprawozdania Departamentu Sprawiedliwości. Millgate był w

nim oskarżony o potajemne kupno broni nuklearnej z byłego ZSRR. Znajomi Millgate'a chcieli temu

przeciwdziałać i, aby nie dopuścić do niego wścibskich dziennikarzy, wywieźli chorego ze szpitala.

— Obawiali się również ojca Dandridge'a — dodał Pittman. — Nawet bardziej niż dziennikarzy.

Millgate wyznał coś księdzu. Lub mógł mu wyznać w tę czwartkową noc, jeśli udałoby mu się skontaktować z księdzem.

— Następnie ty pojechałeś za ambulansem do Scarsdale. Udało ci się dostać do jego pokoju i pomogłeś mu, ale niespodziewanie pojawiła się pielęgniarka i musiałeś uciekać.

205

— Słyszała, że Millgate coś do mnie mówił. Coś o Duncanie, śniegu i Grollierze. — Pittman potrząsnął głową. — Ale ojciec Dandridge twierdził, że Grollier to nie nazwisko jakiejś osoby. To szkoła, w której uczył się Millgate.

— Czy ta nazwa mogłaby stanowić powód czyjejś śmierci? Dotarli do Piątej Alei i Pittman zawahał się.

— Co się stało? — spytała Jill.

Patrzył w kierunku tłumu przemierzającego w dół i pod górę stopnie prowadzące do Muzeum Sztuk Pięknych. Sprzedawcy oraz gęsty ruch uliczny, podjeżdżające taksówki i autobusy tworzyły w tym miejscu zator. Kilku konnych policjantów usiłowało zaprowadzić tam porządek.

— Mam wrażenie, że jestem na widoku — powiedział Pittman. Spojrzał na przewieszony przez lewe

ramię płaszcz ciężki od broni, którą ukrywał, i zawrócił Jill w Siedemdziesiątą Dziewiątą Ulicę. — Musimy dowiedzieć się czegoś o tej szkole Millgate'a.

— W jaki sposób? Jedyne, co mi przychodzi na myśl, to informacja w bibliotece. Albo na uczelni. Ale dzisiaj jest niedziela. Wszystko pozamykane.

— Mam inny sposób.

16

Świeżo odnowiony budynek z apartamentami w końcu Osiemdziesiątej Drugiej Wschodniej Ulicy stał

między Roosevelt Drive a rzeką Wschodnią. Z dołu dochodził łoskot pociągu. Jill i Pittman weszli

w
cienistą ślepą uliczkę znaną jako Gracie Terrace. Dochodziła piąta po południu i powietrze szybko się ochładzało.

Jill przyjrzała się efektownemu budynkowi z cegły.

— Znasz kogoś, kto tu mieszka?

— Robiłem z nim kiedyś wywiad — powiedział Pittman. — Gdy się to wszystko zaczęło, musiałem

szybko znaleźć jakąś pomoc. Przyszło mi na myśl, że w ciągu tylu lat rozmawiałem z mnóstwem różnego rodzaju ekspertów i mogę to teraz wykorzystać. Policja z pewnością obserwuje moich znajomych i była żoną, ale nie ma pojęcia o ludziach, z którymi spotykałem się zawodowo. Teraz jednak denerwował się. W końcu wziął się w garść i wszedł do budynku.

W eleganckim przestronnym holu podszedł do niego umundurowany portier.

— Słucham pana?

— Do profesora Folsoma. Czy jest u siebie?

— Właśnie wrócił ze spaceru. Czy jest pan umówiony? Pittman odetchnął. Obawiał się, że sędziwy profesor mógł się wyprowadzić albo, co gorsza, zejść z tego świata.

— Proszę mu powiedzieć, że jestem dziennikarzem i chciałbym

207

z nim porozmawiać o odkrytym przez profesora rękopisie Walta Whitmana.

— Oczywiście, proszę pana.

Portier pomaszerował w kierunku telefonu na biurku stojącym pod ścianą holu.

— Co za rękopis? — szepnęła Jill. — Co to, do licha, ma wspólnego z Whitmanem? Wrócił portier.

— Profesor chętnie państwa przyjmie. — Podał im numer mieszkania i poprowadził do windy w głębi korytarza.

— Dziękujemy.

— Więc co z tym Whitmanem? — powtórzyła Jill, gdy już jechali w górę.

— Profesor Folsom jest specjalistą od literatury amerykańskiej. Wykładał na uniwersytecie Columbia. Od piętnastu lat na emeryturze. Ale wiek nie osłabił jego umysłu. Dalej prowadził badania

literackie i pięć lat temu, grzebiąc w starych dokumentach, natrafił na rękopis, według niego autorstwa

Whitmana. Odkrycie wzbudziło sporo kontrowersji. Niektórzy badacze twierdzą, że poemat nie jest autentyczny. Sprawa zainteresowała opinię, więc napisałem o tym artykuł. Ten Folsom to ciekawy facet.

— Myślisz, że cię pozna? A może wezwie policję?

— Nie sądzę, żeby skojarzył dziennikarza sprzed pięciu lat z facetem opisywanym w mediach tydzień

temu. Zresztą nie ma telewizora i był zadowolony z wizyty dziennikarza.

— A to czemu?

— Bo prawie nie czytuje gazet.

— Więc skąd wie, co się dzieje na świecie?

— Nie wie. Interesuje go historia, nie teraźniejszość. Jest także ekspertem w sprawach oświaty.

Zna

wszystkie szkoły i uczelnie jak własne pięć palców.

Winda stanęła na piętnastym piętrze. Pittman zastukał do drzwi.

Wyjrzał starszy mężczyzna. Był wysoki, szczupły, o pochylonych przez wiek ramionach. Miał na

sobie brązową sportową marynarkę w jodełkę, białą koszulę i żółty krawat w paski. Był dość blady, a krótka broda i włosy miały śnieżnobiały odcień. Trój ogniskowe okulary w metalowych oprawkach zakrywały częściowo głębokie zmarszczki wokół oczu.

208

— Nazywam się Peter Logan, to moja przyjaciółka, Jill.

— Portier wyjaśnił mi, że jest pan dziennikarzem — głos profesora brzmiał dość piskliwie, ale uprzejmie.

— Przygotowuję artykuł o rękopisie Whitmana. W swoim czasie wzbudził sporo kontrowersji. Ciekawy jestem, jak się to skończyło.

— Sądzi pan, że czytelników to zainteresuje?

— Mnie interesuje.

— Proszę do środka, zawsze chętnie rozmawiam o Whitmanie. Weszli do sporego przedpokoju, minęli wspaniale zachowany stół z orzechowego drzewa. Otwarte drzwi w obu końcach pomieszczenia ukazywały inne, również

utrzymane w nieskazitelnym stanie antyki.

— Wspaniała kolekcja — zauważył Pittman.

— Dziękuję panu.

Weszli do salonu, gdzie znajdowało się jeszcze więcej zabytkowych mebli.

— Oryginalne amerykańskie rękodzieło — profesor objaśniał z wyraźną przyjemnością — ze środka i

schyłku dziewiętnastego stulecia. To biurko było własnością Nathaniela Hawthorne'a, ten kufer zaś

Emersona. Bujane krzesło należało do Melville'a. Gdy żyła jeszcze moja żona — zerknął w kierunku

wiszącej na ścianie fotografii miłej starszej pani — naszym hobby było kolekcjonowanie mebli.

— Czy któryś z nich należał do Whitmana?

— Stary wyga często podróżował. Ale udało mi się odnaleźć kilka przedmiotów. Są w sypialni. W samej rzeczy łóżko, na którym spiam, należało do niego. — Profesor promieniał samozadowoleniem.

— Proszę, siadajcie. Może herbaty?

— Chętnie — odezwała się Jill.

Następną półgodzinę poświęcili na dyskusję o poezji i rękopisach z jednym z najbardziej wdzięcznych

rozmówców, jakich znał Pittman. Spokój ducha starego człowieka był wprost zadziwiający. Pittman poczuł ukłucie zazdrości. Pamiętając uwagę Folsoma o zmarłej żonie zastanawiał się, w jaki sposób doszedł on takiego sędziwego wieku nie dając się pokonać troskom.

W końcu zdobył się na zadanie zasadniczego pytania. Gdy już wstali szykując się do wyjścia, powiedział:

14 — Desperackie kroki

209

— Bardzo dziękujemy, panie profesorze, że zechciał pan nam poświęcić swój cenny czas.

— Proszę bardzo. Rzadko miewam teraz gości, szczególnie po śmierci żony. Bardzo podnosiła mnie na duchu. Również studenci nie odwiedzają mnie, jak niegdyś bywało.

— Jestem ciekaw, czy mógłbym liczyć na pańską radę. Znajomy rozgląda się za dobrą szkołą przygotowawczą dla swojego syna. Liczy na jego dalsze studia na Harvardzie lub Yale. Słyszał coś

o Akademii Grolliera.

— Tej w Vermont? Jeśli pański przyjaciel nie jest zamożny

1 brak mu odpowiedniego pochodzenia, zawiedzie się.

— Czy szkoła jest aż tak ekskluzywna? — zapytała Jill.

— Liczba uczniów nie przekracza trzystu. Co roku przyjmuje się tylko siedemdziesięciu nowych i z reguły miejsca są rezerwowane w chwili urodzenia chłopca. Mieszkanie, wyżywienie i czesne wynoszą rocznie pięćdziesiąt tysięcy dolarów, niemniej hojne datki na potrzeby szkoły są dobrze widziane.

— To zbyt kosztowne dla mojego znajomego — powiedział Pittman.

Folsom przytaknął.

— Nie pochwalam kształcenia opartego na bogactwie i przywilejach. Jakkolwiek to, co oferuje szkoła, jest znakomitej jakości. Może zbyt mało postępowe, konserwatywne jak na mój gust, niemniej jednak naprawdę doskonałe.

— Co ma pan na myśli, mówiąc o konserwatyźmie?

— Nie ma tam indywidualnego toku nauczania. Uczeń nie ma możliwości samodoskonalenia, poszerzania horyzontów. Zamiast tego ładują mu cały gotowy bagaż na głowę. Łacina. Greka. Historia świata, ze szczególnym uwzględnieniem Wielkiej Brytanii. Filozofia, szczególnie starożytna. Nauki polityczne. Literatura europejska, zwłaszcza brytyjska. Prawie wcale literatury amerykańskiej. Być może dlatego nie jestem entuzjastą szkoły. Ekonomia, algebra, rachunek różniczkowy. I oczywiście sport. Uczeń Akademii Grolliera, który nie interesuje się sportem zespołowym, zwłaszcza futbolem i wioślarstwem, jest bardzo prędko odrzucany.

— Przez innych uczniów? — zacięła się Jill

— Przez wszystkich — profesor sprawiał wrażenie znużonego. — Celem Akademii jest przygotowanie specjalistów od rządzą-

210

nią. Postawy nonkonformistyczne nie są tam uważane za cnotę. Elity wolą raczej ostrożność i kompromisy. Uczniowie przechodzą intelektualny i fizyczny trening sprawiający, że myślą i zachowują się jak wybrani spośród społeczeństwa, które będą reprezentować.

— To wręcz programowanie umysłu — zauważył Pittman.

— W jakimś sensie jest tak z całym kształceniem — przytaknął Folsom. — Grollier daje solidne przygotowanie. Wielu absolwentów zostało wybitnymi osobistościami. — Wymienił kilku ambasadorów, senatorów i gubernatorów, a nawet prezydenta Stanów Zjednoczonych. — Nie mówiąc już o wielu znanych finansistach.

— Podobno uczył tam również Jonathan Millgate — wtrącił Pittman.

— Owszem, wśród wychowanków Grolliera znaleźć można wielu dyplomatów, na przykład Eustace Gable czy Anthony Lloyd.

Nazwiska padły zupełnie nieoczekiwanie. Pittman odczuł wstrząs.

— Doprawdy?

— Byli doradcami prezydentów. W ciągu swoich bogatych karier mieli tyle ważnych dokonań na polu dyplomacji, że stali się znani jako „superdoradcy”.

Pittman próbował powstrzymać wzburzenie.

— Cóż za wyjątkowa szkoła.

— Dla szczególnego typu młodych patrycjuszy.

17

Na zewnątrz cienie pogłębiły się, zrobiło się zimno. Doszli do końca ślepej uliczki i wyszli po schodach na promenadę biegnącą wzdłuż rzeki Wschodniej. Pittman trząsał się, ale nie z zimna.

— Akademia Grolliera. Nie tylko Jonathan Millgate, jeszcze Eustace Gable i Anthony Lloyd.

— Sami superdoradcy — stwierdziła Jill. Pittman stanął i odwrócił się do niej.

— Nic nie rozumiem. Czy to ma znaczyć, że pozostali, Winston Sloane i Victor Standish też się tam uczyli?

— Nawet jeśli tak, o czym by to miało świadczyć?

— No właśnie. — Czuł pulsowanie w czaszce. — Co takiego niezwykłego wiąże się z akademią, że morduje się z tego powodu Millgate'a i ojca Dandridge'a oraz poluje na mnie jak na zająca? Tylko po

to, żeby nikt nie wiedział o ich związkach ze szkołą?

— A może jesteśmy w błędzie? Może Millgate po prostu bredził?

— Trudno mi w to uwierzyć. Gdyby tak było, musiałbym zrezygnować, nie wiedziałbym, czego się trzymać.

Znów przeszedł go dreszcz. Włożył płaszcz, czując ciężar ukrytej broni oraz narastającego zmęczenia.

— Jeśli by tak było... co teraz? Nie wiem, co robić. Wkrótce się ściemni. Nie możemy wrócić do twojego mieszkania ani użyć karty kredytowej, żeby wynająć jakiś pokój. Twoje nazwisko szybko dotarłoby do ludzi, którzy nas szukają.

212

— Gdzie zamierzałeś spędzić noc? Pittman nie odpowiedział.

— Gdzie spałeś poprzednio? — spytała Jill.

— Raz na ławce w parku, a raz na podłodze w szpitalnej poczekalni.

— Dobry Boże.

— Może jednak zgłosisz się na policję. Zadzwoń. Może potrafią cię ochronić.

— Jak długo? Bałabym się, że pewnego dnia odwołają ochronę. Nie. Zostaję z tobą.

— Myślę, że na dłuższą metę to najlepsze wyjście.

— Przy tobie trochę mniej się boję. Jest zresztą coś, czego o mnie nie wiesz — powiedziała.

— Oprócz tego, że jesteś bogata?

— Pieniądze mają swoją wagę. Nie muszę zarabiać na życie. Ale jestem pielęgniarką z wyboru. Bo sama tak chciałam. Poza tym...

— Co takiego?

— Miałabym wyrzuty sumienia, gdyby coś ci się stało. Potrzebujesz mojej pomocy.

Pittmanowi ścisnęło się serce. Dotknął jej ramienia.

— Dziękuję ci.

— Gdybym się nie plątała się przy tobie, kto zmieniałby ci opatrunki?

Pittman uśmiechnął się.

— Trzeba to robić dość często — stwierdziła Jill. Oszołomiony Pittman nie zauważył, że uśmiech wypadł dość blado. Jill spojrzała w kierunku East End Avenue.

— Poszukam automatu i zawiadomię szpital, że na razie nie przyjdę do pracy. Będą mieć czas na znalezienie zastępstwa.

Wyszła z budki telefonicznej z dziwnym wyrazem twarzy.

— Coś się stało?

— Moja przełożona z działu intensywnej opieki powiedziała, że policja już się z nią kontaktowała.

— Musieli przeszukać twoje mieszkanie i skojarzyć, że pracujesz w szpitalu.

— Powiedziała także, że dzwonił ktoś inny, jeden z przyjaciół. Poinformował ją, że ze mną wszystko

w porządku, ale nie przyjdę do pracy.

213

— Kto taki?

— Jakiś mężczyzna. Pittman zeszytniał.

— Ludzie Millgate'a. Chcą wszystko zatuszować. Gdybyś się pojawiła w szpitalu, nigdy nie dojechałabyś na piąte piętro. Ale nikt by się nie przejął twoją nieobecnością, bo twój „przyjaciel” uprzedził, że nic ci się nie stało.

— Teraz dopiero napędziłeś mi strachu.

— Nie rozwiązaliśmy zresztą naszego problemu — gdzie się zatrzymamy?

— Mam lepszy pomysł.

— Co takiego?

— Ruszmy się gdzieś.

— Chcesz spacerować całą noc? Padniemy ze zmęczenia.

— Niezupełnie. Musimy się dostać do biblioteki, ale otworzą ją dopiero jutro.

— Zgadza się. — Pittman był zaintrygowany.

— W innych miastach też są biblioteki. Zamiast czekać do jutra, wykorzystajmy ten czas. Możemy się przespać w pociągu.

— Gdzie?

— Gdy wybieram się na narty, jeżdżę zwykle nocnym pociągiem. Pittman był zbity z tropu.

— Do Vermont!

Nagle zrozumiał. Poczł ciarki.

— Oczywiście. Miejsce, o którym mówił profesor Folsom. Akademia Grolliera. W Vermont.

Część czwarta

1.

W wagonie sypialnym nie było już miejsc. Nie miało to w zasadzie znaczenia. Pittman był tak wyczerpany, że gotów był spać gdziekolwiek. Wkrótce po tym, jak pociąg ruszył z Penn Station, zjedli kanapki i wypili kawę, którą Jill kupiła na stacji. Także ona kupowała bilety, nie chciał bowiem, aby ktokolwiek przyglądał mu się z bliska. Z tych samych powodów wybrał miejsce przy oknie, w części gdzie było niewielu pasażerów. Jego obecny wygląd nie przypominał wprawdzie zdjęć z gazet i telewizyjnego ekranu, ale wciąż starał się być ostrożny.

Rytmiczny turkot kół miał działanie usypiające. Pittman popatrzył na pasażerów zapelnionego w połowie wagonu upewniając się, że nikt nie zwraca na niego uwagi. Wzrok zwrócił w kierunku światła mijanych budynków. Powieki stawały się ciężkie. Pochylił się nad swoją gimnastyczną torbę, którą odebrał z kryjówki Seana O'Reilly'ego, żeby zapytać Jill, ile czasu zajmie im podróż, ale nie zdążył już nic powiedzieć, powieki mu opadły i zasnął.

Obudź się. Czuł, jak ktoś go poszturchuje. — Czas wstawać. Powoli otworzył oczy.

Obok siedziała Jill, dotykając jego ramienia. Twarz miała odświeżoną, włosy uczesane. Wyglądała rześko, a nawet więcej: atrakcyjnie, jak na tak wczesną porę.

— Wiesz — powiedziała — chrapiesz.

— Przepraszam.

— Nie ma za co. Musiałeś być skonany. Nigdy nie widziałam kogoś śpiącego tak głęboko w tak kiepskich warunkach.

— W porównaniu z ławką w parku tu jest jak u Ritza.

— Pamiętasz jak się przesiadaliśmy?

Pittman pokręcił przecząco głową. Wagon był prawie pusty. Obok nie było nikogo, kto mógłby słyszeć ich rozmowę.

— Prawdziwy z ciebie lunatyk. Gdyby nie przesiadka do innego pociągu, nie wstałbyś nawet, żeby pójść do toalety.

Pittman powoli rozprostowywał kości. Miał obolałe plecy.

— Gdzie jesteśmy?

— Kilka mil za Montpelier w Vermont. — Jill podniosła roletę w oknie.

Chociaż słońce zaledwie wstało, Pittman aż zmrzył z bólu oczy, gdy linia sosnowego lasu skończyła

się nagle ukazując bydło pasące się na zboczu. Na porośniętych drzewami pagór-

218

kach okalających wąską dolinę widać było gdzieniegdzie płaty śniegu.

— Która godzina?

— Piętnaście po szóstej.

— Zostało trochę kawy z wieczora?

— Widzę, że jeszcze śnisz.

— W takim razie obudź mnie, gdy dojedziemy.

— Hola — odezwała się Jill — lepiej oprzytomniej. Kiedy pociąg stanie, trzeba się natychmiast wynosić.

— Zawsze masz tyle energii o świcie?

— Nie, tylko wtedy, kiedy jestem przerażona. Nawiasem mówiąc, gdybyś pracował na nocną

zmianę,

dla ciebie byłoby to późne popołudnie.

— To nie dla mnie. — Pittman czuł, jakby ktoś nasypał mu do oczu piasku.

— Szepnę ci coś, co cię postawi na nogi.

— Byle to było coś dobrego.

— Idziemy na śniadanie i ja płacę.

— Będziesz musiała, ja nie mam ani grosza. Ale muszę ci przyznać, naprawdę masz dar przekonywania.

Montpelier? To brzmi z francuska. — Pierwsi osadnicy przybyli tu właśnie z Francji. — I to jest stolica Vermont? — Pittman siedział z Jill przy restauracyjnym stoliku obok okna, skąd roztaczał się

widok na malowniczą ulicę i budynki w stylu Nowej Anglii. — Nie wygląda, żeby mieszkało tu dużo

ludzi.

— Mniej niż dziesięć tysięcy. Cały stan liczy tylko około sześciuset tysięcy mieszkańców.

— Dobre miejsce, żeby się ukryć.

— Lub posyłać uczniów do szkoły położonej na takim odludziu, aby nie nabrali nawyków otaczającego ich świata, zanim nauczą ich, jak być arystokratami.

— Czyżbym wyczuwał ton irytacji? — Pittman popijał kawę.

— O wiele więcej. Moi rodzice próbowali wychowywać mnie w ten właśnie sposób, żebym uważała

się za lepszą niż zwykli ludzie. Wciąż myślą ze zgrozą, że zostałam pielęgniarką. Chorzy, cierpiący.

I

ta krew. To takie plebejskie.

— Mam wrażenie, że z twoją przeszłością wiążą się duże pieniądze.

— Dobrze wychowani ludzie nie rozmawiają o tym.

— Nigdy nie miałem dobrych manier.

— Miliony.

Pittman zamrugał i odstawił filiżankę.

— Nawet nie wiem ile — powiedziała Jill. — Moi rodzice nigdy

220

o tym nie mówili. Mieliśmy odmienne zdania co do mojej przyszłości. Próbowali ukarać mnie strasząc, że zostanę wydziedziczona.

— Więc to miałaś na myśli, mówiąc o funduszu powierniczym twoich dziadków.

— Oni zdobyli pieniądze własną pracą i mogli wydawać je z czystym sumieniem. Natomiast moi rodzice uważają, że pieniądze dają im święte prawo traktowania ludzi z góry.

— To rzeczywiście powody do irytacji.

— Mówiłam ci, chcę ludziom pomagać, a nie lekceważyć czy oszukiwać ich. W każdym razie dziadkowie przewidzieli to wszystko i dali mi niezależność, ustanawiając dla mnie fundusz.

— Mamy podobne poglądy. Kiedy byłem dziennikarzem...

— Byłeś? Wciąż nim jesteś.

— Nie. Teraz jestem pismakiem od nekrologów. Ale był czas... zanim umarł Jeremy, a ja się rozsypałem psychicznie... Artykuły, które najbardziej lubiłem pisać, demaskowały korupcję wśród osób z kręgów władzy, zwłaszcza rządu, przekonanych o swojej wyższości. Miałem szczególną satysfakcję, kiedy sprowadzałem ich na ziemię i zmuszałem, aby doświadczyli życia takiego jak nasze, życia zwykłych śmiertelników.

— Sprowadzanie na ziemię takich arystokratów jak Jonathan Millgate?

— Stawałem na głowie, żeby się do niego dobrać.

— Ostrożnie. Gdybyś mówił do niewłaściwej osoby, można by to uznać za motyw, dlaczego chciałeś

go...

Słowa, które się same narzucały — „zabić go” — nie zostały wypowiedziane. Jill zawiesiła głos,

kiedy

kelnerka postawiła przed nimi śniadanie: grapefruit, angielskie bułeczki i jogurt dla Jill, ciemny chleb

i jajka na bekonie dla Pittmana.

— Nigdy nie wrócisz do poprzedniej formy, jeśli będziesz jadł takie rzeczy — stwierdziła Jill.

— To przecież pełnoziarniste pieczywo. Poza tym straciłem ostatnio mnóstwo energii.

— Widać niebezpieczeństwo, w jakim się znalazłeś, uważasz za niewystarczające, zamówiłeś więc wyrok śmierci na śniadanie.

— Daj mi wreszcie zjeść.

.221

Jill zachichotała i rozejrzała się po sali wyłożonej drewnem w ciemnej ciepłej tonacji.

— Wracam za chwilę.

— Co się stało?

— Ktoś właśnie zostawił gazetę. „USA Today.” — Miała chęć ją przeczytać, lecz gdy wróciła do stolika i spojrzała na pierwszą stronę, wymamrotała: — Chyba straciłam apetyt.

— Złe wieści?

Kiedy kelnerka wskazywała jakiejś parze miejsca przy stoliku obok, Jill podała mu gazetę.

— Pewne rzeczy lepiej pozostawić bez słów.

Pittman przebiegł wzrokiem artykuł, odczuwając coraz większe przygnębienie. MORDERCZA MANIA OBLĄKANEGO AUTORA NEKROLOGÓW TRWA — krzyczały wielkie litery.

Oskarżano go teraz o zabicie ojca Dandridge'a. Obwiniano go też o zastrzelenie człowieka, który wraz z dwoma innymi został podobno wysłany przez syna Millgate'a do mieszkania Jill, aby jej podziękować za troskliwą opiekę nad ojcem, gdy ten przebywał na intensywnej terapii. W dodatku podejrzewano go o uprowadzenie Jill.

— Robi się coraz gorzej — stwierdził Pittman. — Może powinienem po prostu powiesić się i w ten sposób zrobić z tym koniec.

— Nie mów tak, nawet w żartach. Pittman zamyślił się.

— Rzecz w tym, że to istotnie był żart z tym samobójstwem. Dziwię się sam sobie. Jeszcze kilka dni temu nie potrafiłbym tak powiedzieć.

Jill spojrzała na niego uważnie.

— Może jednak wyniknie z tego coś dobrego. Pittman wskazał gazetę.

— W tej chwili na to nie wygląda. Lepiej stąd chodźmy. Mamy mnóstwo do zrobienia.

— Idziemy do biblioteki?

— Tak — powiedział podnosząc się. — Jest taki informator, który posiada większość bibliotek

— Amerykański Słownik Biograficzny. Zawiera podstawowe informacje, również na temat wykształcenia, dotyczące prawie wszystkich słynnych intelektualis-

222

tów w Stanach Zjednoczonych. Dowiemy się, którzy z superdorad-cow kończyli Akademię Grolliera. A może bibliotekarz będzie mógł pomóc nam jeszcze w czymś.

— A mianowicie?

— Jak ją odnaleźć.

Czterysta dolarów? — Jill sceptycznie pokręciła głową. — Też nie jestem tym zachwycony, ale myślę,

że to najlepszy interes. Każdy inny używany samochód kosztuje więcej, niż mamy.

Sprzedawca samochodów, w garniturze i z muszką pod szyją, z zainteresowaniem obserwował przez

okno swojego biura, jak Pittman i Jill krążyli wokół szarego plymoutha duster model 1975.

Dwudrzwiowy sedan miał sportową linię, lecz rdza na tylnych zderzakach i zadrapania na winylowym

dachu świadczyły niezbicie o jego intensywnej eksploatacji.

— W takim razie nie płacmy gotówką — powiedziała Jill. — Wypiszę czek i kupimy coś przyzwoitego.

— Nie możemy. — Przypomniało mu się, jak przeprowadzał wywiad z prywatnym detektywem, ekspertem w tropieniu uciekinierów. — Czek będzie wystawiony poza stanem, w którym mieszkaśz.

Sprzedawca najprawdopodobniej zadzwoni do twojego banku i sprawdzi, czy czek jest wiarygodny. Policja na pewno poleciła bankowi, by powiadomili ich bezzwłocznie przy jakiegokolwiek próbie podjęcia pieniędzy z twojego konta. Przypuszczam, że superdoradcy użyli swoich wpływów, aby zdobyć te same informacje. Wszyscy będą wiedzieli, gdzie skoncentrować swoje poszukiwania. Z tego

samego powodu nie możemy samochodu wynająć. Aby to zrobić, musielibyśmy użyć twojej albo mojej karty kredytowej. Po chwili nazwisko jest w komputerze i wtedy

224

koniec z nami. Superdoradcy mogą natychmiast się domyślić, dlaczego jesteśmy w Vermont. Mogą wysłać ludzi, żeby czekali na nas, aż pojawimy się w Akademii.

— Ale czterysta dolarów... — Jill posepnie spoglądała na porzewiały samochód.

— Wiem. W sytuacji kiedy mamy do dyspozycji tylko tysiąc dolarów, to fortuna. Niestety, nie mamy

żadnego wyboru. I tak dobrze, że wytargowaliśmy od sprzedawcy pięćdziesiąt dolarów.

— Skąd wiesz, że samochód nie rozpadnie się, kiedy wyjedziemy za bramę?

— Na pocieszenie powiem ci, że ma sześciocylinndrowy silnik chryslera. Jest prawie nie do zdarcia.

— Nie wiedziałam, że znasz się na samochodach.

— Nie znam się.

— W takim razie skąd wiesz...?

— Pisałem kiedyś artykuł o sprzedaży używanych samochodów i sposobach stwierdzenia, czy nabywca został oszukany.

— Nadzwyczajne. Zaczynam wierzyć, że uosabiasz wszystkich tych, z którymi przeprowadzałeś wywiady.

— Coś w tym rodzaju.

— I uważasz, że ta kupa złomu to dobry interes?

— Tylko wtedy, jeśli naleją nam gratis benzyny.

15 — Desperackie kroki

Jechali na północny zachód od Montpelier szosą 89, otoczoną górami. Duster spisywał się lepiej, niż

Pittman się spodziewał, sześciocylinndrowy silnik pracował równo i mocno. Z obandażowaną ręką trudno byłoby mu prowadzić, za kierownicą siedziała więc Jill. Otworzyła okno po swojej stronie.

— Poprzedni właściciel na pewno lubił cygara.

— Ale tapicerka wygląda nieźle, czego nie mogę powiedzieć o sobie. Dobrze by było, gdybym się lepiej prezentował, kiedy zjawimy się w Grollier.

Wyjął z torby maszynkę do golenia na baterie i goląc się patrzył na zalesione szczyty.

— Na mapie, którą dostaliśmy od sprzedawcy, oznaczone są jako Green Mountains. Dziwna nazwa,

jak na miejsce znane z terenów narciarskich.

— Mówiłam ci, że pierwszymi osadnikami byli tu Francuzi. Zastanów się nad nazwą całego stanu. Vermont, to inaczej mont vert, czyli góra zielona.

— Tutaj jest tak spokojnie. O co może chodzić w tej Akademii

Grolliera, że superdoradcy tak się przerazili?

— Rzeczywiście, informator niewiele nam pomógł — stwierdziła jiH. — profesor Folsom miał rację.

Do Grolliera chodzili Eustace Gable i Anthony Lloyd, jak również Jonathan Millgate. Dwaj pozostali

doradcy nie mają z nią jednak żadnego związku, co wynika ze Słownika Biograficznego.

226

— To wciąż niczego nie dowodzi. Nie wiadomo, czy się tam nie uczyli, może nie chcą się z tym afiszować.

Duster wszedł w zakręt i ukazała się łąka otoczona świerkami, nad nimi wisały zalesione szczyty. Pittman był tak zafascynowany widokiem, że prawie nie zwrócił uwagi na odpowiedź.

— Może uznali, że nie byłoby w ich interesie, gdyby wiedziano, że wszyscy chodzili do tej samej szkoły.

— Dlaczego miałoby to im zaszkodzić?

— Koledzy z jednej ławki, to zbyt rzucające się w oczy. Opinia publiczna mogłaby połapać się w paskudnych sekretach rządu federalnego, jak bardzo wszyscy są ze sobą powiązani. Niektóre szkoły dla elit przygotowują śmietankę przyszłego establishmentu na uczelnie Ivy League. Absolwenci idą prosto do Waszyngtonu. Opanowują rozmaite resorty w rządzie. Na przykład CIA jest mocno związane z Yale, a Departament Stanu opanowany głównie przez ludzi z Harvardu. Administracja Clintona powiązana jest z Yale Law School.

To jeszcze nic. College'e Ivy League mają swoje tajne stowarzyszenia, a te najbardziej prestiżowe, na przykład Skull and Bones, Trupia Głowa, skupiają prawie wyłącznie członków establishmentu.

Prezydent mianuje na różne stanowiska kolegów ze szkoły i ze stowarzyszenia. Zostają ambasadorami, zasiadają w rządzie albo są jego doradcami. Znasz to, prezydent kończy kadencję, a jego protegowani przechodzą do prywatnego sektora, gdzie jako członkowie zarządów różnych korporacji używają swoich wpływów w Waszyngtonie, aby manipulować posunięciami rządu.

Czasami tworzą własne firmy konsultingowe i obsługują zagranicznych klientów, którzy płacą im krocie za to, że wykorzystują dla ich celów swoje powiązania. Dlatego właśnie chciałem nagłośnić sprawę Millgate'a. Miał dobre układy z producentami broni. Popierał zaangażowanie wojskowe w Korei, Wietnamie, Panamie i Iraku, by wymienić tylko najbardziej oczywiste przykłady. Pytanie, czy

było to dla dobra kraju i świata, czy producentów broni i szwajcarskiego konta bankowego Millgate'a?

Jedną z elementarnych przyczyn powodujących tyle korupcji w rządzie jest to, że tylko nieliczni politycy i dyplomaci mają odwagę kwestionować zachowanie swoich byłych kolegów z klasy i klubu.

Taki a taki nasz dobry znajomy popełnił błąd przyjmując

227

łapówkę. Ale to przecież nie jest zły facet. Po co go wykańczać albo robić mu kłopoty?

Zobowiązania

personalne są tu ważniejsze niż reprezentowanie amerykańskiego narodu. Słyszałaś o Bohemian Grove?

— Nie. — Jill wyglądała na zaintrygowaną.

— To jeszcze jedno tajne stowarzyszenie, klub tylko dla mężczyzn, którego głównym celem jest organizowanie corocznych letnich wyjazdów do ośrodka położonego w lasach. północnej Kalifornii.

Jego członków można znaleźć wśród najbardziej wpływowych osób w Stanach: senatorów, ludzi z rządu, finansjery i zarządów korporacji. Każdy republikański prezydent od czasów Nixona był jego członkiem. Wolno im zapraszać równie znaczących gości z zagranicy. Wiesz, co ci wpływowi panowie tam robią? Upijają się, śpiewają piosenki przy ognisku i organizują zawody w sikaniu.

— Taki obóz chłopięcy dla dorosłych — powiedziała Jill.

— Masz rację. A kiedy skończą swoje zabawy, wtedy wracają do swoich ważnych zajęć. Czy potem

któryś z nich może oskarżać kolegę, z którym razem sikali na drzewa, o nieetyczne postępowanie na

polu zawodowym? Skądże. Członkowie Bohemian Grove uważają, że występowanie przeciwko sobie

jest w wyjątkowo złym tonie. A to jest tylko jeden przykład na to, kiedy reguły klubu są ważniejsze od

norm społecznych. Cała ta przeklęta sytuacja po prostu śmierdzi.

W samochodzie zapadła cisza; słychać było tylko szum silnika. Jill wzięła kolejny zakręt, mijając było przy strumieniu w następnej dolinie.

W końcu odezwała się:

— Teraz, kiedy wszystko to wyrzuciłeś z siebie, poczułeś się lepiej?

— Nie.

— Mój ojciec studiował w Yale. Był członkiem Skuli and Bones.

— Nie miałem na myśli kogoś konkretnego.

— Ale to prawda. Mój ojciec pracuje w handlu zagranicznym. Ponieważ należał do Skuli and Bones,

wydaje mu się, że ma większe wpływy niż jego konkurenci. I jest w stanie uzyskać lepsze warunki.

— Wyobraź więc sobie, jakie wpływy mają superdoradcy. Pracowali dla prezydentów, począwszy od

Trumana. Byli am-

228

basadorami, członkami gabinetów. Trzech z nich, w różnym czasie było sekretarzami stanu. Dwóch

— sekretarzami obrony. Byli szefami sztabu, doradcami do spraw bezpieczeństwa narodowego, nie mówiąc o ambasadorach przy ONZ, NATO, w Wielkiej Brytanii, ZSRR, Arabii Saudyjskiej, RFN i tak dalej. Nigdy nie wybierani, zawsze mianowani. Wpływowi od drugiej wojny światowej. Rząd w rządzie. Kiedy ich władza nie była oficjalnie usankcjonowana przez Biały Dom, na przykład za czasów Kennedy'ego i Cartera, wciąż udawało im się utrzymywać swoje pozycje jako członków trustów mózgow, takich jak Rada do Spraw Zagranicznych, Korporacja Randa czy Fundacja Rockefellera. Trzech spośród superdoradców skończyło Harvard. Dwóch — Yale. Przynajmniej trzech

z nich, a może i wszyscy, uczyli się w tej samej szkole. Ale jednemu z nich ta szkoła tak zaciążyła na

sumieniu, że postanowił wyznać coś na ten temat na łożu śmierci. Za to inni byli gotowi zrobić wszystko, aby go powstrzymać.

W malowniczym miasteczku Bolton skręcili z szosy 89 na pomoc. Jechali teraz wąską wijącą się drogą w długiej dolinie pełnej łąk i kęp sosen.

— Jeśli bibliotekarka w Montpelier nie myliła się, powinno być przed nami miasteczko — powiedziała Jill.

Pittman przymrużył oczy, żałując, że nie ma słonecznych okularów.

— Tam. Nad tą przerwą między drzewami. Widzisz ją?

— Wieża kościoła. W porządku. Jedziemy w dobrym kierunku, zgodnie z planem.

Wieża była olśniewająco biała, a kiedy wjechali do miasteczka, zobaczyli, że nie tylko wieża, ale każdy budynek również promieniował bielą. Sprawiało to, że zieleń wydawała się bardziej intensywna. Przez chwilę, nawet mimo obecności słupów telefonicznych i innych oznak nowoczesnej techniki, Pittmanowi wydało się, że przeniósł się w przeszłość, w spokojniejsze i pogodniejsze czasy.

Minęli osadę, lecz kiedy Jill przejeżdżała obok rwącego strumienia, niosącego płaty topniejącego śniegu, Pittman doznał nagle uczucia lęku. Otworzył torbę, wyjął czterdziestkępiątkę i załadował ją nabojami z pudełka.

Przypominając sobie szczegóły z artykułu, który pisał o policjantach pracujących po cywilnemu, wsunął pistolet z tyłu za pasek. Było mu niezbyt wygodnie, ale nie dbał o to.

Wiedział, że pod

230

kurtką broń będzie dużo mniej widoczna aniżeli w kieszeni, gdzie tworzyłaby podejrzaną wypukłość. Musiał się tylko przyzwyczaić do ucisku metalu na plecach.

Zeszłej środy, wieczorem, miałem już lufę pistoletu w ustach — pomyślał — a teraz...

Otworzył torebkę Jill.

— Co ty wyprawiasz?

— Sprawdzam, czy będzie pasować.

Sięgnął znów do torby gimnastycznej i wydobyl inny pistolet, ten, który odebrał napastnikowi w mieszkaniu Jill. Był prawie tego samego rozmiaru co kolt 45, lecz jego kaliber był mniejszy, dziewięćmilimetrowa beretta.

— Nie spodziewasz się chyba, że będę to nosiła — zaprotestowała Jill. — Nie wiem nawet, jak się z tym obchodzić.

— Kilka dni temu ja też nie wiedziałem. Ucz się, gdy musisz, takie jest moje motto.

Torebka Jill była skórzana, z paskiem na ramię.

— Pasuje doskonale — stwierdził.

— Mówię ci, że nie potrzebuję...

— Pierwszą rzeczą, którą musisz wiedzieć o tym pistolecie — powiedział Pittman — jest to, że amunicja znajduje się w tym podłużnym pudełeczku ze sprężyną, który się nazywa magazynek, i że wsuwa się go do rękojeści od spodu.

— Mówisz poważnie?

Jill zmrużyła oczy, kiedy samochód wyjechał spod wiaduktu na pełne słońce.

— Czy wyobrażasz sobie, ilu ludzi w krytycznym stanie z powodu ran postrzałowych starałam się utrzymać przy życiu? Nie chcę nic wiedzieć o tym pistolecie. Nie chcę go w mojej torebce. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Pittman wpatrywał się na nią przez chwilę, potem popatrzył przed siebie.

— Skręć w prawo zaraz za mostem.

— Wiem. Mam narysowaną drogę na kartce. Dobrze pamiętam, co mówiła bibliotekarka.

— Chciałem ci pomóc.

— Przepraszam, byłam złośliwa. To dlatego że... Wystraszyłeś mnie tym pistoletem. — Głos Jill załamywał się. — Kiedy jechaliśmy

231

pociągiem, przez chwilę zapomniałam, jaka to poważna sprawa. Żałuję, że mi się to wszystko przydarzyło.

— W takim razie zawracaj.

— Dlaczego?

— Wrócimy do Montpelier, wsadzę cię do pociągu do Nowego Jorku. Pojadę do akademii sam.

— I co to da? Nic się nie zmieni. Ci ludzie wciąż mnie szukają. Nie mogę wrócić do własnego mieszkania. Przekonałeś mnie, że policja nie będzie wiecznie mnie chronić. Nie mogę też liczyć na rodziców. Prawdopodobnie również będą obserwowani. A co do moich przyjaciół, to nie chciałabym

ich narażać. Najbezpieczniej dla mnie jest właśnie być przy tobie, i to jedyne co mi pozostało.

— Pistolet już jest załadowany i żeby strzelić, musisz tylko pociągnąć za cyngiel. Tam jest brama.

—

Pittman głową wskazał wielki imponujący napis: AKADEMIA GROLLIERA.

— Podoba mi się ich motto — powiedział Pittman.

PRZEWODZIC ZNACZY SŁUŻYĆ

Skręcili z drogi i pojechali lekko wznoszącą się w górę brukowaną aleją. Brama w białym drewnianym parkanie była otwarta. Minęli domek, który przypominał Pittmanowi wartownię przy wjeździe do bazy wojskowej, ale nie było w nim nikogo. Uznał, że służy za skład dla dostawców. U szczytu wzniesienia widok był tak niezwykły, że Jill zatrzymała samochód. Zbocza gór porastały jodły. Lecz na wprost i poniżej drzewa zostały wycięte, a ich miejsce zajęły szerokie trawiaste przestrzenie. W dolinie widać było stajnie, pasące się konie, parcour do konnej jazdy i boisko do gry

w polo. Obok znajdowały się boiska do gry w futbol. W oddali połyskiwało w słońcu owalne jezioro i

Pittman przypomniał sobie, jak profesor Folsom mówił, że szkoła przywiązuje wielkie znaczenie do zespołowego wiosłowania. Jego uwagę przykuły zabudowania pośrodku doliny: kościół z

tradycyjnie

białą wieżą, okazały budynek z filarami, gdzie prawdopodobnie mieściła się administracja szkoły, i piętnaście mniejszych domów zbudowanych z cegły, zarośniętych bluszczem.

— Bursy i sale wykładowe — powiedział. — Solidne i funkcjonalne. Establishment musi się przyzwyczaić do życiowych niewygód.

Jill wyglądała na zaciekawioną.

— Ty rzeczywiście masz uczulenie na uprzywilejowane sfery.

— Parafrazując Billy'ego Rogersa, nigdy nie spotkałem bogatego, którego bym lubił:

233

— Ja jestem bogata.

— Ale nie zachowujesz się tak jak oni... Miałem starszego brata — zaczął Pittman.

Jill spojrzała, jakby nie rozumiejąc, dlaczego zmienił temat.

— Miał na imię Bobby. Uczył mnie jeździć na rowerze, pokazywał, jak grać w baseball. Kiedy wróciłem ze szkoły z podbitym okiem, dał mi pokazową lekcję boksu. Nie było dla niego rzeczy niemożliwych. Był moim idolem. Boże, jak ja go kochałem.

— Mówisz w czasie przeszłym.

— Zginął w Wietnamie.

— Tak mi przykro.

— Nie chciał tam jechać — powiedział Pittman. — Nie wierzył w słuszność tej wojny. Lecz moi rodzice nie mieli pieniędzy i Bobby nie mógł pójść do college'u, by uzyskać odroczenie. Pamiętam, jak przeklinał, kiedy jego bogaci koledzy dostawali odroczenia, tylko nie on. Listy, które przysyłał, mówiły o tym samym, że żaden w jego oddziale nie miał odpowiednich układów. Rzecz jasna, używał

mocniejszych słów. Pisał o swoich przeczuciach, o tym, że jest pewien, że nigdy stamtąd nie wróci. Miał rację. Zginął od ognia własnych rodaków. Odwiedzałem codziennie jego grób. Pamiętam, że myślałem, jak łatwo jest bogatym ludziom rozpętać wojnę, gdy ich dzieci nie muszą walczyć.

Później,

kiedy pracując na budowie zaoszczędziłem dość pieniędzy, by dalej się kształcić, uświadomiłem sobie

coś jeszcze: dzięki tym wojnom bogaci wzbogacają się jeszcze bardziej. Dlatego właśnie zostałem dziennikarzem. Żeby dopaść tych drani. Wyrównać rachunki za mojego brata.

— Tak mi przykro — powtórzyła Jill.

— Mnie również. — Wpatrywał się w swoją zabandażowaną rękę. — Wybacz mi. Nie chciałem tego

wszystkiego wyciągać.

Jill dotknęła jego ramienia.

8

Budynki tworzyły boki kwadratu, którego środek przypominał Pittmanowi plac parad. Wokół placu biegła aleja, przy której Jill już się chciała zatrzymać, kiedy zobaczyła parking obok, jak się wydawało, budynku administracyjnego.

Stało tu już piętnaście samochodów.

Pittman wysiadł z dusterą, czując czterdziestkępiątkę pod kurtką. Pomyślał z przygnębieniem, że jedyną oznaką, świadczącą o tym, jak daleko zabrnął od chwili, kiedy próbował się zabić, było to, że

wciąż chodził uzbrojony.

Jill zamknęła samochód i podeszła do niego. Jej trampki, dzinsy i sweter zostały w neseserze na tylnym siedzeniu. W brązowych pantofelkach, piaskowej rozkloszowanej spódnicy, zielonym zakiecie

i żółtej bluzce, którą kupiła w Montpelier, wyglądała znakomicie. Pittman nie widział jej dotąd tak ubranej, zwykle nosiła się luźno i swobodnie. Miała zgrabną linię nóg i ładny zarys szyi.

— Gotowa?

Jill odetchnęła nerwowo i skinęła głową, zarzucając pasek torby na ramię.

- Dość ciężka.
- Spróbuj zapomnieć, że jest tam broń.
- Łatwo ci radzić. Czemu nie mogła zostać w samochodzie...
- Ponieważ wszystko przybrało obrót, jakiego się nie spodziewałem.

Wychodzili z parkingu, kiedy nagle rozbrzmiał dzwonek i plac,
235

na którym dotąd poza paroma pracownikami nie było nikogo, wypełnił się w ciągu kilku sekund uczniami wybiegającymi z budynków.

Wszyscy mieli na sobie szare spodnie, niebieskie marynarki, białe koszule i krawaty w czerwone pasy.

Pospiesznie zmierzali w kierunku sporego gmachu naprzeciwko kościoła.

— Ćwiczenia przeciwpożarowe? Jill spojrzała na zegarek.

— Nie, pora lunchu.

Chłopiec, mający około piętnastu lat, zatrzymał się przed nimi. Podobnie jak inni, miał świetnie wypolerowane czarne buty i krótko przycięte włosy. Wyróżniał się zdecydowanym spojrzeniem i wy-

prostowaną sylwetką. Zapytał pewnym głosem:

— W czym mogę pomóc, proszę pana?

— Szukamy szkolnej biblioteki — powiedział Pittman. Chłopiec wskazał na lewo.

— W budynku numer cztery, proszę pana. Czy chciałby pan zobaczyć się z panem Bennettem?

— Kim on jest?

— To dyrektor szkoły.

— Nie, nie ma potrzeby go niepokoić. Dziękuję ci za pomoc.

— Bardzo proszę, proszę pana.

Chłopiec odwrócił się i oddalił szybko w kierunku budynku po drugiej stronie placu, do którego wchodzili uczniowie. Chociaż spieszyli się, starali się wyglądać godnie, jak dżentelmeni.

— Ma dobre zadatki na faceta z Waszyngtonu — powiedział Pittman.

Poszli w kierunku wskazanym przez młodego człowieka. Po chwili dotarli do ceglanego budynku z cyfrą 4 nad wejściem i z południowego ostrego słońca weszli do chłodnego dobrze oświetlonego holu,

w którym słodko pachniało woskiem. Schody prowadziły do góry i na dół.

Wszędzie panowała cisza.

— Nie sądzę, aby biblioteka znajdowała się w podziemiach — odezwała się Jill. — Do książek mogłaby się zakraść wilgoć.

Pittman kiwnął głową i wszedł na pierwsze piętro. Po obu stronach korytarza był szereg drzwi, niektóre z nich otwarte. W jednym z pomieszczeń na stolikach stały komputery, w innym

236

magnetofony ze słuchawkami, najprawdopodobniej do nauki języków.

Kiedy podszedł do trzecich drzwi, wyszedł z nich starszy mężczyzna z kluczem w ręku, najpewniej po

to, by je zamknąć. Miał na sobie podobny uniform jak uczniowie. Niewysoki i nieco korpulentny, koło

sześćdziesiątki, ze szpakowatymi wąsami i przerzedzonymi siwymi włosami.

Popatrzył na nich spod okularów.

— Właśnie wybieram się na lunch. Czym mogę służyć?

— Powiedziano nam, że tutaj mieści się biblioteka.

— Zgadza, się. — Mężczyzna odchrząknął.

— Czy tutaj znajdują się stare kroniki szkoły?

— W naszym archiwum. — Mężczyzna zmrużył oczy. — Nie wydaje mi się, abyśmy się wcześniej spotkali. Czego dokładnie chcieliby się państwo dowiedzieć?

— Nazywam się Peter Logan. Jestem dziennikarzem i mam zamiar napisać książkę, o której myślę

od

dawna.

— Książkę?

— O Akademii Grolliera. Wiele wybitnych osobistości ukończyło tę szkołę.

— Co do tego nie ma wątpliwości. Nie przypuszczam jednak, by można było ich niepokoić.

— Nie to miałem na myśli. Będę się zajmował głównie samą akademią. Myślę, że będzie to dobry przykład dla innych szkół, jeśli napiszę o stosowanych tu nadzwyczajnych metodach. Ten kraj przechodzi kryzys. Jeśli nasz system edukacji się nie zmieni... Martwię się o naszą przyszłość. Potrzebujemy wzorca i nie widzę lepszego niż ten w Grollier.

Mężczyzna ściągnął brwi i pokiwał głową.

— Nie ma lepszej szkoły przygotowawczej w całej Ameryce. Jaki rodzaj informacji panu potrzeba?

— Na początek, panie....

— Caradine. Jestem kierownikiem biblioteki.

— Naturalnie znaczną część książki poświęcę na teorie nau- czania w waszej szkole. Chciałbym

też

rozbudować tło historyczne.

Kiedy akademia została założona, przez kogo, jak się rozwijała, jacy słynni ludzie ją ukończyli. Myślę, że na początek wgląd do waszego archiwum byłby mi bardzo pomocny. Na przykład kroniki.

237

Zamieszczone w nich fotografie ukazały, jakie zmiany zaszły na tym terenie przez lata. I może się okazać, że więcej sławnych absolwentów opuściło te mury, niż się to wydaje. Chciałbym najpierw poślizgać się po powierzchni, jeśli tak można powiedzieć, a potem dopiero sięgnąć w głąb.

— Sensowna metoda. Archiwum znajduje się... — Caradine spojrzał na zegarek. — Umówiłem się

na

lunch z komitetem bibliotecznym i już jestem spóźniony. Obawiam się, że nie mogę teraz pójść z państwem do archiwum. Jeśli przyjdą państwo o pierwszej... Jestem pewien, że kierownik

refektarza z

przyjemnością poczęstuje państwo lunchem.

— Bardzo dziękuję, panie Caradine, ale moja asystentka i ja jedliśmy późne śniadanie i... prawdę mówiąc, chciałbym zacząć jak najszybciej. Może mógłby pan udostępnić nam archiwum, a my sami zapoznalibyśmy się z niezbędnymi materiałami. Nie chciałbym pana fatygować. Pewien jestem, że

ma

pan pilniejsze zajęcia, niż patrzeć, jak przeglądamy czasopisma.

Caradine znowu zerknął na zegarek.

— Naprawdę muszę już iść... Dobrze. Nie widzę przeszkód. Archiwa są na następnym piętrze.

Pierwsze drzwi na prawo od schodów.

— Jestem panu wdzięczny, panie Caradine. Jeśli pan tylko otworzy nam drzwi, zrobimy wszystko, żeby nie sprawiać kłopotu.

— Po prostu proszę tam pójść. — Caradine zaczął schodzić na dół. — Drzwi nie są zamknięte.

Prawie żadne drzwi u Grolliera nie są zamykane. To jest szkoła dla dżentelmenów. Nasze zasady oparte są na honorze. W prawie sturzydziestoletniej historii nigdy nie było przypadku kradzieży na terenie akademii.

— To jest właśnie to, o co mi chodzi. Ta szkoła jest wzorem. Właśnie to wszystko, o czym pan mówił

przed chwilą, chciałbym zamieścić w mojej książce.

Caradine przytaknął i nerwowo potarł rękę.

— Jestem już strasznie spóźniony.

Zbiegł ze schodów i szybko wyszedł z budynku.

Trzasnęły drzwi. Przez chwilę Pittman wsłuchiwał się w zanikające echo, potem gestem wskazał Jill

schody prowadzące na górę. — Mam nadzieję, że będzie jadł powoli. U szczytu schodów pierwsze drzwi po prawej stronie miały wstawioną taflę z mrożonego szkła. Pittman przekreślił klamkę z nadzieją, że Caradine nie mylił się mówiąc, że drzwi nie są zamknięte. Ustąpiły jednak z łatwością i weszli do środka.

Pokój był większy, niż się spodziewał. Półki z książkami ciągnęły się wzdłuż ścian i jak w każdej bibliotece, zajmowały też przestrzeń pośrodku. Okna dawały dostatecznie dużo dziennego światła. Zamykając drzwi Jill rozejrzała się dookoła.

— Ty sprawdź regały pod ścianami, a ja zajmę się tymi. Przez następne pięć minut szukali w milczeniu.

— Tutaj — powiedziała Jill.

Pittman podszedł bliżej. Jill wskazała mu dolne półki, gdzie stał szereg cienkich tomów dużego formatu, wszystkie oprawione w czarną skórę. Na grzbietach złote cyfry oznaczały lata, w porządku chronologicznym, od 1900 roku poczynając.

— Zdawało mi się, że Caradine powiedział, że szkoła liczy sobie sto trzydzieści lat, gdzie zatem są pozostałe roczniki?

. — Może wprowadzili tę tradycję dopiero z początkiem stulecia. — Pittman wzruszył ramionami.

—

Może. Millgate miał osiemdziesiąt lat. Zakładając, że skończył szkołę, kiedy miał osiemnaście, jego ostatni semestr przypadałby na...

239

— ...na wiosnę trzydziestego trzeciego — dokończyła Jill.

— Jakim cudem tak szybko to obliczyłaś?

— Zawsze byłam dobra w cyferkach. Te moje pieniądze, rozumiesz — zażartowała Jill rozładowując

napięcie. — Oczywiście Millgate mógł ją skończyć, kiedy miał siedemnaście lat.

— Inni superdoradcy nie muszą być dokładnie w jego wieku. Spróbujmy poszukać parę lat wstecz i

parę naprzód, powiedzmy od 1929 do 1936 roku.

— Zgoda. Wezmę do roku 1932, a ty resztę.

— Tam jest stolik.

Usiedli naprzeciw siebie i otworzyli roczniki.

— Dobrze, że nazwiska uczniów są w kolejności alfabetycznej. Zaoszczędzi nam to czasu — powiedziała Jill.

Pittman przewrócił kartkę.

— Wiemy, że Millgate, Eustace Gable i Anthony Lloyd chodzili tu do szkoły. Pozostali to Victor Standish i Winston Sloane. Ale musimy poszukać kogoś jeszcze.

— Kogo?

— Duncana. Ze sposobu, w jaki Millgate to wymawiał... Z takim samym naciskiem wymawiał słowo

„Grollier”. Jestem pewien, że się ze sobą wiążą. Problem w tym, że Duncan równie dobrze może być

imieniem, jak i nazwiskiem.

— To znaczy, że musimy sprawdzić wszystkie imiona i nazwiska w tych księgach. — Jill popatrzyła

na nie. — Ilu studentów, według profesora Folsoma, mogło się uczyć na każdym roku? Trzystu?

Mamy mnóstwo nazwisk do przeczucia.

Przewracali uważnie strony.

— Nie żyje — wymamrotał Pittman. Jill spojrzała ze zdziwieniem.

— Stare fotografie zawsze przypominają mnie o dreszcze.

— Wiem, co masz na myśli. Większość z tych uczniów już nie żyje. Ale tutaj są w swych najlepszych latach.

Pittman przypomniał sobie, jak chciwie wpatrywał się w każde zdjęcie swego zmarłego syna.

Poczuł

suchość w ustach.

— Eustace Gable — odezwała się Jill. — Mam go. 1929. Świeżo przyjęty.

— Tak, znalazłem go jako absolwenta w 1933 roku. A tu jest Anthony Lloyd. Też na ostatnim roku

— odpowiedział Pittman.

240

— A ja mam go, jak rozpoczyna w dwudziestym dziewiątym. Mam też Millgate'a.

— Tak, ale to nam nic nie daje. Wiemy przecież, że chodzili tu do szkoły.

— Mam następnego — powiedziała Jill.

— Kogo?

— Winstona Sloane'a. Przyjęty w 1929 roku.

— Więc miałem rację. Był w tej szkole, chociaż sukinsyn nie podał tego faktu w życiorysie. Nie chciał, żeby o tym wiadano.

— I jeszcze jednego, Victora Standisha.

— Są tu wszyscy, dranie.

— Nie musimy szukać w pozostałych rocznikach — powiedziała Jill. — Nazwiska powtarzają się

z

roku na rok. Zaczęli w dwudziestym dziewiątym i ukończyli w trzydziestym trzecim.

— A co z Duncanem? Nie trafiłem na nikogo o takim imieniu lub nazwisku. Co Millgate próbował

mi

powiedzieć? Czy jest jakiś związek między nimi...?

16 — Desperackie kroki

10

Za szybą drzwi zarysował się cień. Chociaż Pittman nie patrzył w tym kierunku, wyczuł czyjąś obecność i odwrócił się w chwili, kiedy otworzyły się drzwi. Nieznajomy wszedł do środka zdecydowanym krokiem. Ubrany był jak wszyscy w akademii: szare spodnie, granatowa marynarka

i czerwony krawat w paski. Był wysoki, trzymał się prosto, wiek koło pięćdziesiątki. Miał mocno zarysowaną szczękę, wąski, arystokratyczny nos i władcze spojrzenie.

— Czy mogę wiedzieć, co państwo tu robią? Pittman podniósł się.

, — Tak, oczywiście. Zamierzam napisać książkę o waszej szkole i...

— Nie odpowiedział pan na moje pytanie. Co państwo tu robią? Pittman spojrzał na Jill z udanym zakłopotaniem.

— Zbieramy materiały. W tej chwili właśnie przeglądamy roczniki.

— Bez pozwolenia.

— Bibliotekarz, pan Caradine, powiedział, że możemy...

— Pan Caradine nie ma prawa do udzielania zezwoleń.

— Może więc mógłby powiedzieć nam pan, kto... Oczy mężczyzny błysnęły.

— Wyłącznie ja. Jestem dyrektorem szkoły.

— Ach, pan Bennett. — Pittman przypomniał sobie nazwisko, które wymienił napotkany chłopiec.

—

Chcieliśmy porozmawiać

242

z panem, ale ponieważ był czas lunchu i nie było pana w biurze, pomyśleliśmy, że możemy skorzystać

tymczasem z biblioteki.

— To nie jest takie proste. Jest pewna procedura postępowania. Należy przedstawić listy polecające i

wypełnić formularze.

— Listy? Formularze? Przecież przed chwilą pan powiedział, że jest jedynym, który może pozwolić...

— Powiedziałem, że jestem dyrektorem. Mam Radę Nadzorczą, z którą muszę konsultować wszelkie działania naruszające prywatność szkoły, co właśnie państwo robicie.

— Przecież moja książka przyniesie korzyść...

— Obawiam się, że muszę państwa prosić o wyjście. Jeśli jeszcze raz mi przerwie... — pomyślał Pittman.

— Jak pan sobie życzy. Przepraszam za nieporozumienie. Może powinniśmy przejść do pańskiego biura i przedyskutować sprawę.

— Tak, to rzeczywiście nieporozumienie, ale nie w tym sensie jak pan myśli. Nie chodziło mi o opuszczenie tego pomieszczenia. Miałem na myśli teren szkoły.

Bennett patrzył prosto na Pittmana wskazując otwarte drzwi.

— Dobrze. — Pittman zmusił się, aby zapanować nad sobą. Uświadomił sobie, że obok niego stoi Jill. — Wyślę do pana list wyjaśniający moje zamiary.

— Nie myślę, aby list mógł w czymkolwiek pomóc.

— Rozumiem.

— Do widzenia.

— Do widzenia.

11

Miłe miejsce. — Jill wyjeżdżała z parkingu. — Tak, z różnych instytucji mnie wyrzucano, ale nigdy ze szkoły średniej.

Jill okrążyła plac, minęła budynki szkoły i administracji i skierowała się w stronę alei przecinającej dolinę.

— Wciąż nas obserwuje? Pittman odwrócił się.

— Stoi przed budynkiem biblioteki. Cały czas czuję jego wzrok.

Pan Wielka Osobistość.

Jill skręciła obok stajni i wyjechała na otwarty teren. Droga pięła się w górę.

— Co go tak dotknęło? Myślisz, że zirytowało go to, że nie zapytaliśmy o pozwolenie jego zamiast bibliotekarza?

— Coś mi mówi, że nic by to nie dało, nawet gdybyśmy zwrócili się najpierw do niego. A tak przynajmniej udało się nam zajrzeć do archiwów. Wygląda na to, że mamy towarzystwo.

— Widzę w lusterku. Brązowe kombi, właśnie ruszyło sprzed szkoły. Myślisz, że to ludzie Millgate'a? — Jill zaniepokoiła się. — A jeśli już tu na nas czekali?

— Sądzę, że próbowaliby dostać nas wcześniej.

— Może nie chcieli robić zamieszania w szkole. Mnóstwo dzieciaków, byłoby zbyt wielu świadków. Po paru milach mogliby nas dogonić, i wtedy...

Zaczęli zjeżdżać ze wzgórza. Aleja ostro opadała w kierunku

»

244

budynku, przypominającego wartownię. Pittman sięgnął z tyłu za kurtkę i wyciągnął czterdziestkępiątkę.

— Po co to robisz? — Jill spytała nerwowo.

— Na wszelki wypadek — odpowiedział.

W tej właśnie chwili minęli budynek i wyjechali przez otwartą bramę na główną drogę.

— Nie, nie skręcaj w lewo. Pojedziemy inaczej.

— Ale tędy dojedziemy prosto do Montpelier.

— Właśnie tego się po nas spodziewają. Jeżeli to ludzie Millgate'a są w tym wozie... Na razie nie

widzą nas zza wzgórza.

Jill skręciła w prawo, opony zapiszczały na asfaltowanej wąskiej drodze. Dodała gazu tak gwałtownie,

że Pittmana wcisnęło w siedzenie. Uchwycił się deski rozdzielczej, kiedy wchodziła w zakręt. Sosny migały wzdłuż drogi.

— Tylko spokojnie.

— Chyba nie prowadzę aż tak źle.

— Nie, nie to miałem na myśli. Jeździsz wspaniale. Ale chcę, żebyśmy zjechali z drogi. Rozejrzyj się... Tam, między tamte drzewa.

Szybciej, niż się Pittman spodziewał, Jill wcisnęła hamulec, skrzyła nagle kierownicę i znaleźli się na bocznej, porytej koleinami drodze, która ginęła wśród sosnowego lasu. Po chwili duster znalazł się w cieniu — gęste krzaki drapały karoserię. Samochód podskoczył na kamieniu, rzucając Pittmana do tyłu.

Spojrzał przez tylną szybę.

— Teraz nas nie widać z drogi. Stań.

W chwili kiedy się zatrzymywali, Pittman pchnął drzwi i wyskoczył. Pochylony, starając się pozostać niewidocznym, pod osłoną sosen skierował się w stronę zakrętu. Czując, że jest już blisko, zwolnił, ostrożnie skradając się wśród zarośli. Nagle znalazł się w słońcu i widząc drogę przywarł do ziemi. Przed nim, nieco po prawej, znajdowała się otwarta brama prowadząca do akademii. Zza porośniętego drzewami wzniesienia wyjechał brązowy samochód. Kiedy zmierzał w dół do bramy, Pittman dojrzał

w środku dwóch osiłków. Nie wyglądali na uszczęśliwionych.

Ku jego zaskoczeniu samochód nie wyjechał na drogę w kierunku Montpelier w pościgu za dusterem,

lecz ostro zahamował przy bramie. Mężczyźni wysiedli i ze złością zaczęli ją zamykać, potem 245

założyli dodatkowo łańcuch. Dopiero teraz mógł dostrzec przymocowaną do niej tablicę:

PRZEJŚCIE WZBRONIONE POD GROŻBĄ KARY.

Założę się, że sprawiłaby im przyjemność — pomyślał, kiedy mężczyźni wsiedli z powrotem do furgonetki, trzasnęli drzwiami i odjechali w kierunku szkoły.

Pittman odczekał chwilę, upewniając się, że nikt więcej się nie pojawi, po czym powoli podniósł się z ziemi. Kiedy obrócił się w stronę lasu, zobaczył, jak niedaleko z krzaków wyłania się Jill.

— Nie rozumiem — powiedziała. — Jeśli to byli ludzie Mil-Igate'a, dlaczego nie pojechali za nami?

— Może mieli polecenie, żeby nie opuszczać terenu. — Pittman wszedł między drzewa.

— A może to byli po prostu nauczyciele wychowania fizycznego. Trener futbolu nożnej albo instruktor wioślarstwa. Bennett mógł im polecić, żeby sprawdzili, czy rzeczywiście odjechaliśmy, a w przeciwnym wypadku, żeby udzielili nam fizycznej zachęty.

Pittman kopnął leżący kłoc.

— Może czeka na posiłki. Bennett był zdecydowanie za bardzo poirytowany. Ktoś mógł go ostrzec przed niezapowiedzianymi gośćmi.

— A teraz pewnie gdzieś telefonuje.

— Na pewno — przytaknął Pittman. — Ale może są przekonani, że odjechaliśmy na dobre.

— A nie jest tak? — Jill zmarszczyła brwi. — Czy chcesz powiedzieć, że nie wracamy do Montpelier?

— A dokąd możemy stąd pojechać? — Przed nimi w cieniu zamajaczył szary duster. — Jakie mamy inne wyjście?

— Co jeszcze możemy tu zrobić? Przekonaliśmy się, że żaden Duncan, z nazwiska ani z imienia, nie kończył szkoły razem z superdoradcami. Millgate musiał bredzić. Nie ma żadnego związku między Duncanem a Grollierem.

— Nie. Muszę być całkowicie pewien. — Pittman oparł się o samochód. — Wracam tam. Dziś w nocy.

12

Kiedy Pittman pokonywał sięgający mu do piersi drewniany parkan, księżyc na bezchmurnym niebie dostatecznie rozjaśniał ciemności. Zeskoczył na drugą stronę i wszedł między drzewa. Miał na sobie ciemny dres i trampki. Strój uzupełniała czarna wełniana czapka, rękawiczki i kurtka, które kupił w miasteczku oddalonym dziesięć mil od szkoły. Kurtka miała obszerne kieszenie. W jednej łatwo mieściła się czterdziestka-piątka, w drugiej — mała latarka.

Przekradł się pod drzewami, ale wkrótce rozciągnęła się przed nim zalana światłem księżyca, otwarta przestrzeń. Trawiaste zbocze podchodziło aż pod zabudowania szkoły. Była prawie północ i nigdzie nie paliły się światła poza administracją. Na zewnątrz jednak reflektory oświetlały front każdego budynku oraz cały plac. Wszędzie panował spokój.

Mimo to czekał przyczajony, analizując sytuację. Radiowa prognoza pogody przewidywała temperaturę nieco powyżej zera; potwierdzała to para przy każdym oddechu. Cały dygotał, ale bardziej ze strachu niż z zimna. Nie pomagała nawet próba porównania, jak się czuł tej nocy, kiedy zakradał się do posiadłości w Scarsdale, z jego obecnym stanem ducha. Wtedy też był silnie zdenerwowany, ale w nastroju fatalistycznym. Co ma do stracenia człowiek zamierzający popełnić samobójstwo? Ale teraz...?

No więc? — Pittman zapytał sam siebie. — Co czujesz teraz?

247

Jesteś przerażony. To znaczy, że jednak masz coś do stracenia. Nagle zacząłeś się bać śmierci? Dlaczego? Z powodu Jill? Ta myśl zaskoczyła go. Czego się spodziewasz?

Nadzieja. Uświadomił sobie, że nie używał tego słowa już od dawna. Lecz nadzieja pociągała za sobą lęk.

Ruszył w dół trawiastym zboczem. Noc była cicha i tym wyraźniej odczuwał lekki wietrzyk.

Tenisówki mu przemokły od wilgotnej trawy. Nie zważał na zimno ciągnące od stóp, koncentrując uwagę na majaczącym kręgu do konnej jazdy i futbolowym boisku. Budynek szkoły rysowały się na tle gór.

Napisał dość reportaży o wojsku, by wiedzieć, że snajper uzbrojony w karabin i noktowizor nie miałby

kłopotu z dostrzeżeniem i zabiciem go. Każdy krok naprzód i każda sekunda świadomości, że nie został zabity, napawała go otuchą. Może szkoła jest całkiem bezpieczna? Może to nie będzie tak trudne, jak się obawiał?

Gdzieś z tyłu zarżał koń i na moment Pittman zamarł w bezruchu, przestraszony, że hałas może zwrócić czyjąś uwagę. Kiedy rżenie się powtórzyło, ruszył dalej w pośpiechu, aż zatrzymał się w cieniu na tyłach jednego z budynków.

Znow było cicho i spokojnie. Poruszając się tak szybko, jak tylko pozwalała ostrożność, okrążył inne

zabudowania, uważając, aby nie znaleźć się w świetle lamp. Kiedy znalazł się po przeciwnej stronie miejsca, z którego przyszedł, przylgnął do szkolnego budynku i wyężając całą uwagę badał każdy szczegół w otaczającej go ciemności. Fakt, że podszedł tak blisko, dodawał mu odwagi. Drżał jednak

ze strachu i wiedział, że nic nie jest jeszcze przesądzone.

Z uporem przekradając się pod ścianami, dotarł do biblioteki, nie miał jednak odwagi podejść do jasno

oświetlonego frontowego wejścia. Podszedł więc do tylnych drzwi, nacisnął klamkę i stwierdził, że są

zamknięte. Bibliotekarz zapewniał, że honorowy kodeks szkoły nie przewiduje zamykania drzwi na klucz. Uświadomiło to Pittmanowi, jak bardzo dyrektora szkoły zdenerwowała ich wizyta. Z całą pewnością powiedziano Bennettowi, żeby wystrzegał się

248

nieznajomych. Ale dlaczego? — zastanawiał się. — Co takiego chcą ukryć ludzie Millgate'a? Wcześniej, kiedy byli w budynku biblioteki, Pittman nie dostrzegł śladów jakiegoś systemu alarmowego. Przynajmniej o to nie musiał się troszczyć, kiedy wyjął swój wielofunkcyjny nóż i przystąpił do otwierania zamka. Drgnął, kiedy zgrzyt metalu odbił mu się w uszach

z wielokrotnionym echem. Miał wrażenie, że słyhać go było wszędzie. Mimo to pracował dalej, zwalniając jedną zapadkę po drugiej i naciskając jednocześnie cylinder. W końcu go obrócił. Przekręcił gałkę, cały w strachu, czy ktoś nie czeka na niego po drugiej stronie. Wyjął pistolet, ramieniem pchnął drzwi macając prawą ręką w ciemności, a lewą, wciąż obandażowaną, przymykając drzwi za sobą. Chwilę wyczekiwał. Odgłosy jego szybkiego wejścia umilkły. Otoczony ciszą, wstrzymywał oddech

wyczulony na najmniejszy szelest. Minęła minuta, a on mimo przejmującego chłodu zaczął spływać

potem.

Zamknął za sobą drzwi na klucz. Co chwila nad słuchując wszedł na główne piętro biblioteki, a potem

na następne, aż dotarł do drzwi archiwum. Przez szybę w drzwiach widać było światło księżycy wpadające do pokoju. Drzwi były również zamknięte, ale tym razem go to nie zaskoczyło.

Szybko uporał się z zamkiem. Wszedł ostrożnie do środka, przykucnął i czekał. Jeśli jacyś ochroniarze

byli wewnątrz, mieli doskonałą okazję, aby się z nim rozprawić. Po trzydziestu sekundach zaryzykował. Najpierw przekręcił gałkę i zamknął za sobą drzwi, potem podszedł do okien i opuścił rolety. Wreszcie skierował się do półek ustawionych pośrodku pokoju, zapalił latarkę, pewny, że słaby

strumień światła, skierowany na podłogę, nie odbije się refleksem na szybach. Sięgnął po roczniki, które tego popołudnia przeglądali z Jill.

Skonsternowany patrzył na puste miejsce na półce. Roczniki 1929-1936 zniknęły. W nadziei, że może

wciąż leżą na stoliku, odwrócił się, ale blat był pusty. Bennett musiał je zabrać.

Boże, co mam robić?

Pot wciąż spływał po nim strugami. Zgasił latarkę i opadł na podłogę, opierając się plecami o półkę. Sprawdź inne roczniki — powiedział do siebie. — Zajrzyj do 1937.

249

Ale po co? Czego szukać? Superdoradcy wtedy już opuścili szkołę.

A co innego ci pozostaje? Może mają inne dokumenty.

Wcześniej, kiedy przeglądali półki, skoncentrowali się na najbardziej podstawowych materiałach, czyli rocznikach. Pittman nie zwrócił większej uwagi na skoroszyty i pudełka. Na wielu z nich były nalepki z literami SEM REP i cyframi: 51-52, 52-53, 53-54 i tak dalej. Naglony pośpiechem nie zaglądał do nich. Teraz, nie mając wyboru, podniósł się, zapalił latarkę i podszedł do półek.

Otworzył pierwsze z brzegu pudło. W środku znajdowały się równo poukładane mniejsze pudełka, zawierające rolki mikrofilmów. Przyszło mu na myśl, że litery SEM REP mogły oznaczać sprawozdania semestralne, a cyfry — jesienne i wiosenne sesje — na przykład jesienną w 1949 i wiosenną

w 1950 roku. Początek następnego roku szkolnego przypadła na jesień 1950, a koniec na wiosnę 1951 roku, stąd więc powtarzające się cyfry: 49-50, 50-51. Przez lata zgromadzono tyle dokumentów, że trudno było je przechowywać, nie mówiąc już o groźbie pożaru, przeniesiono je więc na mikrofilmy,

wygodne dla szkoły, ale dla Pittmana niedostępne.

Co mam zrobić? Ukraść wszystkie rolki z lat, kiedy superdoradcy uczęszczali do Grolliera? I tak nie

będę w stanie ich odczytać. Chyba że wezmę je do biblioteki posiadającej czytnik. Ale i na nich może

nie być potrzebnych mi informacji. Nie wyjdę stąd, dopóki...

Zaraz, zaraz. Jeżeli są mikrofilmy, to musi być także... Z poprzedniej wizyty zapamiętał, że jakiś pękaty przedmiot w pokrowcu stał na stole w rogu, po prawej stronie drzwi. Miał charakterystyczny kształt. Pittman podszedł do stołu, podniósł przykrycie i znalazł to, czego się spodziewał, a mianowicie czytnik mikrofilmów. Kiedy go włączył, nie wiedział, czym bardziej się martwić: szumem

wentylatora wewnątrz urządzenia czy jasnością ekranu. Spośród posortowanych rolek mikrofilmów

wyjął tę z cyframi 31—32. Założył ją na szpulę czytnika, wsunął kliszę między źródło światła a soczewkę powiększającą i spojrzał na ekran.

Pojawiła się na nim lista uczniów jakiejś klasy i ich końcowe oceny z historii starożytnej I. Żadnego z

nazwisk superdoradców

250

tam nie było. Pomiął klatki z indywidualnymi opiniami na temat różnych uczniów, dotarł do literatury klasycznej I — tam też nie było ich nazwisk.

W takim tempie przewinięcie całej rolki zajmie mi wiele godzin. Musi być jakiś skuteczniejszy sposób...

Historia starożytna I? Literatura klasyczna I? Numery wskazywały, że były następne serie wykładów.

II, III, może IV. Nagle zrozumiał. Grollier był czteroletnią szkołą średnią, przygotowującą do wyższych studiów. W latach 1931-1932 superdoradcy byli w trzeciej klasie, a więc w trzech czwartych rolki.

Szybko przewijał film. Zwolnił dopiero, kiedy dotarł do III. Trafił na kurs z historii Wielkiej Brytanii i

nazwiska superdoradców. Wszyscy oni mieli najwyższe oceny. Przy innych przedmiotach, jak literatura brytyjska, historia Europy, filozofia grecka i łacina, sytuacja się powtarzała. Nigdzie jednak

nie znalazł żadnego Duncana.

Kiedy dotarł do nauk politycznych, coś zwróciło jego uwagę. Podczas gdy na inne zajęcia uczęszczało

wielu uczniów, tu było ich zaledwie sześciu. Pięciu superdoradców i niejaki Derrick Meecham. Pittman zawahał się. Kiedy razem z Jill podzielili się rocznikami, jej przypadły lata 1929-1932, jemu

1933-1936. Superdoradcy ukończyli szkołę w roku 1933. Teraz wydawało mu się, że gdy przeglądał

nazwiska zaczynające się na literę M, szukając Millgate'a, w roczniku z roku 1933 nie było żadnej wzmianki dotyczącej ucznia o nazwisku Meecham.

Mógł się jednak mylić.

Przesunął film na semestr wiosenny i zdumiał się. Lista uczniów zmniejszyła się do pięciu osób. Derricka Meechama już na niej nie było.

Dlaczego? Czy zachorował? W poprzednim semestrze miał najwyższą ocenę, a więc nie dlatego zrezygnował, że kurs był dla niego zbyt trudny. Poza tym Pittman podejrzewał, że uczniowie nie mogli porzucać szkoły w dowolnej chwili. To raczej Akademia Grolliera mogła z nich zrezygnować.

Zatem dlaczego? Ta myśl nie dawała mu spokoju. Był bardziej niż pewien, że pamięć go nie zawodzi i

Derricka Meechama nie było w roczniku z następnego roku. Pittman przeciągnął ręką po karku.

Błądził wzrokiem po ekranie. Na dole znajdował się podpis

251

wykładowcy. Nagle poczuł, jakby przeszedł go prąd elektryczny. Wstrzymał oddech, kiedy patrzył na

nazwisko.

Duncan Kline.

Jezu — pomyślał. — Duncan nie był uczniem. Był nauczycielem. W Akademii Grolliera. Duncan Kline był nauczycielem Millgate'a. Ich wszystkich. Wszystkich, to znaczy superdoradców.

1

13

Słyszając hałas Pittman znieruchomiał. Mimo szumu wentylator-ka czytelnika usłyszał kroki na schodach.

Dobiegły go czyjeś rozgniewane głosy. Struchlały wyłączył maszynę.

— ...nie chce mi się wierzyć, że nie zostawiłeś nikogo na straży.

— Przecież oboje wyjechali. Sam sprawdziłem. Głosy przybliżyły się.

— Czy ktoś za nimi pojechał?

— Aż do bramy.

— Durnie...

— Dobrze, że tu przylecieliśmy.

— Drzwi wejściowe były zamknięte. To znaczy, że dokumenty są bezpieczne.

— To niczego nie dowodzi.

W korytarzu zapaliło się światło. Cienie zamajaczyły na tle szyby.

— Zabrałem roczniki, które przeglądali.

— Po co mieliby jeszcze wracać? Ktoś nacisnął klamkę.

— Są zamknięte.

— Tak, pozamykałem wszystko. Mówiłem, że nikogo tu nie ma.

— Wyciągaj klucz i otwieraj te cholerne drzwi.

Pittmanowi zaparło dech. Nie mógł złapać powietrza. Rozpaczliwie rozglądał się po pokoju, gdzie mógłby się schować. Pamiętał jednak, jak pomieszczenie wyglądało w dziennym świetle.

253

Nie było innych drzwi. Nie było nic, za czym mógłby się ukryć. Gdyby wszedł pod stół, odkryli by go

natychmiast.

Jedyne wyjście to... okna.

Kiedy usłyszał chrobot klucza w zamku i słowa „No dalej, pospiesz się”, skoczył do okna, podniósł roletę i otworzył je.

— Cicho — odezwał się ktoś — coś usłyszałem.

— Ktoś tam jest.

— Po co wam broń? — odezwał się Bennett charakterystycznym nosowym głosem.

— Proszę zejść z drogi.

Pittman wychylił się przez okno. Miał nadzieję, że zobaczy coś, co złagodzi upadek, ale na dole, dwa

piętra niżej, był tylko kwietnik.

— Kiedy otworzę drzwi, ty wchodzisz pierwszy i od razu na lewo. Pete prosto do przodu, a ja na prawo.

Pittman wpatrywał się w bezlistny bluszcz pnący się po ścianie. Pędy były suche i łamliwe. Mimo to

musiał zaryzykować. Przełaził przez okno, chwycił się pnączy i zaczął się opuszczać. Miał nadzieję, że

na zewnątrz nikogo nie będzie.

— Na trzy, wchodzimy.

Pittman zsuwał się coraz szybciej, gdy w pewnej chwili bluszcz zaczął z chrzęstem odrywać się od muru.

U góry usłyszał trzask otwieranych drzwi. Poczul, jak zaczyna spadać w dół, żołądek podszedł mu do

gardła, ręce drapały mur w poszukiwaniu jakiegoś zaczepienia. Palce obandażowanej lewej ręki były mało posłuszne, ale prawą desperacko chwycił każdą gałązkę, aż wreszcie upadł na plecy, podciągając kolana, koziółkując.

— Tam jest! — krzyknął ktoś z okna na górze.

Pittman skoczył na nogi i pognał w kierunku następnego budynku. Coś pacnęło o trawę obok. Strzał z

pistoletu z tłumikiem przypominał walnięcie pięścią w poduszkę. Nagły przypływ adrenaliny objawił

się paleniem w żołądku. Chcąc powstrzymać ich od dalszych strzałów, wyciągnął swoją czterdziestkępiątkę, odwrócił się i wypalił. W ciszy nocy huk był ogłuszający. Kula uderzyła w okno

roztrzaskując szkło.

— Jezu!

— Na podłogę!

— Za nim! Na piechotę daleko nie ucieknie. Zatrzymać go! Pittman strzelił po raz drugi, nie spodziewając się, że kogoś

254

trafi, ale chciał wywołać zamieszanie. Im większe, tym lepiej. * W budynkach mieszkalnych zaczęły

zapalać się światła.

Biegł przez krzaki, skręcił za róg następnego budynku, próbując w ciemności zorientować się, gdzie jest. Jak się, do diabła, stąd wydostać? Oderwał się od zabudowania i pobiegł w stronę łąki. Znów usłyszał za sobą świst kuli. Przyspieszył. Nagle jakiś cień wyłonił się z lewej strony, ktoś biegł w jego

kierunku. Znów wystrzelił. W odpowiedzi inna kula świsnęła obok niego. Zawył silnik i błysnęły reflektory. W kierunku łąki ruszył samochód

Nie mając wyboru Pittman skręcił ostro w prawo. Pędził zygzakiem, kiedy trzecia kula przeleciała mu

tuż przy głowie. W ciemności stracił całkowicie orientację. Zaskoczony, stwierdził, że biegnie z powrotem w kierunku szkoły. Tyły budynków pozostawały w cieniu, lecz zamieszanie sprawiło, że zapalało się coraz więcej świateł.

Czując się osaczony wybrał jedyną możliwą drogę — tylne drzwi najbliższego budynku. Modlił się, żeby były otwarte; przypadł do klamki i odetchnął, kiedy dały się otworzyć. Wpadł do środka, przekręcił zamek w drzwiach, o które właśnie uderzyła kula, i pobiegł korytarzem.

W ten sposób zyskał tylko kilka chwil. Gdy pojawi się w drzwiach frontowych, wtedy...

Nie mogę się tu ukryć. Będą szukać do skutku.

Co robić?

Z całą pewnością trafił na bursę. Na górze słyszał przestraszone głosy uczniów.

Świadkowie. Potrzebuję więcej świadków. Więcej zamieszania.

Dopadł włącznika alarmu pożarowego i ręką pistoletu rozbił ochronną szybkę. Trzęsącą się ręką

nacisnął guzik.

Urządzenie alarmowe wyło tak przeraźliwie, że czuło się wibrację ścian i drżenie wiszących na nich fotografii. Mimo hałasu Pittman słyszał narastające zamieszanie na piętrach, szybką bieżącą, przerażone głosy, bezładny zgiew. Kłębowisko cieni na schodach przybrało kształty uczniów w piżamach, pędzących do wyjścia.

Pittman schował broń i prawą ręką machał w geście zachęty, jakby był ich opiekunem a jedyną jego troską było ich bezpieczeństwo.

255

— Szybko! Pali się!

Wybiegł wraz z uczniami przed budynek oświetlony lampą halogenową.

Po prawej stronie zobaczył mężczyzn z bronią, lecz wiedział, że nie ośmielią się strzelać mając przed

sobą tyłu uczniów. Kiedy młodzież rozpierzchnęła się w popłochu, wpadł do następnej bursy.

Tutaj znowu rozbił szkło i włączył alarm. Wzdrygnął się usłyszawszy przeraźliwe wycie i pobiegł z powrotem do frontowych drzwi.

Zapewne spodziewają się mnie przy tylnym wyjściu. Będą chcieli mi odciąć drogę, jedni z tej strony, a

pozostali z tyłu, w ciemności.

Przylgnął do ściany obok drzwi, w tym momencie z impetem wpadli do środka ścigający, zderzając się ze zbiegającymi z góry uczniami. Korzystając z zamieszania, wydostał się na zewnątrz. Tym razem

jednak nie pobiegł, jak uprzednio, do następnej bursy, lecz popędził na plac, gdzie kłębili się wybici ze

snu, zziębnięci uczniowie. Za sobą słyszał syreny alarmowe, wybiegających z sąsiednich budynków uczniów i krzyki ścigających go ochroniarzy.

Pittman nie podejrzewał, że mimo kiepskiej kondyq'i może biec tak szybko. Trampki doskonale odbijały się od gruntu, nogi odmierzały długie susy, dres nie krępował ruchów. Było tak jak w owe poranki, kiedy biegał przed pójściem do pracy, zanim zachorował Jeremy. Miał wrażenie, jakby cały

obecny wysiłek był kwintesencją jego wszystkich poprzednich wyścigów, wszystkich maratonów, które zdołał ukończyć.

Oddychając głęboko i miarowo, przyspieszając i wydłużając krok, mknął w stronę zabudowań po przeciwnej stronie placu.

To z tego właśnie kierunku, ze wzgórze i łąki, przybył do kampusu. Zmusił się do jeszcze większego

wysiłku, kiedy usłyszał, jak kula tuż obok przecięła powietrze.

Minęli plac. Odkryli mnie i zaczynają ścigać — pomyślał.

Od strony placu słysząc było warkot silników.

Za chwilę wyjadą zza budynków. Nie ma sposobu, abym im uciekł...

Gwałtownie skręcił, wpadając niemal na jakąś ścianę. Chociaż jego wzrok, porażony jaskrawym światłem łukowych lamp na

256

placu, teraz z trudem się przystosowywał do otaczających ciemności, « Matt uświadomił sobie, że dotarł do stajni.

Za nim słysząc było krzyki mężczyzn. Pocisk uderzył o kamienną ścianę. Pittman obrócił się, przyklęknął na lewe kolano, oparł prawą rękę na drugim, aby powstrzymać jej drżenie, i strzelił w kierunku ścigających. Ci, przeklinając, przypadli do ziemi. Nie opodal pojawił się samochód z włączonymi reflektorami. Wycelował w nie, ale udało mu się trafić w przednią szybę.

Natychmiast odskoczył do tyłu, uprzytomniwszy sobie, że błyski z lufy pistoletu stanowiły dla nich dokładny cel. Kule zabębniły

o ścianę, odłupując kawałki muru. Gdzieś z boku rżały w panice konie. Pittman skoczył za róg w ich

kierunku. Podniósł skobel

i otworzył bramę, uskakując w bok, kiedy zwierzęta zaczęły wybiegać ze stajni. Im więcej zamieszania, tym lepiej. Musiał zmylić pościg. Słyszając zbliżające się samochody, rzucił się do przodu,

ku drugiej stronie ogrodzenia.

Muszę być szybszy.

Konie zatrzymały się obok, tuż przy ogrodzeniu. Nie mając innego wyboru Pittman wdrapał się na parkan. Pisał niegdyś

o stajniach w Central Parku i zapamiętał wskazówki instruktora: „Żeby nie spaść, złap konia za szyję

i przyciśnij z całej siły nogi do jego boków”.

Postąpił dokładnie tak samo, skoczył z ogrodzenia na grzbiet konia i mocno do niego przywarł.

Napinając do ostatnich granic mięśnie, zdołał utrzymać się na grzbiecie. Zaskoczone zwierzę pognało

galopem, próbując uwolnić się od ciężaru. Przyłgął do niego mocniej, podskakując wraz z galopującym koniem. Pochylił się do przodu nieomal stapiając się z nim, żeby pozostać niewidocznym.

Reflektory szybko zbliżających się samochodów szerokim łukiem oświetlały łąkę. Wycie silników i tętent kopyt zagłuszały wszystko; nie był w stanie stwierdzić, czy strzelają do niego. Zakładał jednak,

że tak, miał tylko nadzieję, że na nierównej łące, wzniesieniach

i pochyłościach nie będzie dla nich łatwym celem.

Koń nagle zmienił kierunek. Jego szyja zaczęła się Pittmanowi wyslizgiwać z rąk; poczuł, jak zsuwa

się na prawą stronę. Bliski upadku, tak mocno przycisnął nogi do końskich boków i chwycił za szyję,

aż skrzywił się z wysiłku. Samochody szybko się zbliżały

'7 — Desperackie kroki

257

podskakując na wybojach, ich światła były tuż, tuż. Wtedy koń wykonał kolejny zwrot. Tym razem jednak Pittman to przewidział i chociaż przechylił się na bok, zachował kontrolę nad własnym ciałem.

Okazało się, że niezupełnie. Przed nim zamajaczyła ciemna ściana, którą nagle oświetliły reflektory.

Las wyłonił się jakby z nicości. Drzewa i krzaki wyrosły przed koniem jak mur nie do pokonania.

Przerażony, stanął dęba wykonując półobrót, co zmusiło Pittmana do zwolnienia uchwytu. Przednie

kopyta konia ciężko uderzyły o ziemię, a zwierzę szarpnęło w bok, żeby nie uderzyć w drzewo. W

tym momencie Pittmana wyrzuciło w przeciwną stronę. Modląc się, by koń nie wierzgnął do tyłu,

walnął o ziemię i przekoziółkował, czując jak pistolet w kieszeni kurtki wbija mu się

w zębra.

Przetoczył się, jak mógł najdalej od spłoszonego konia, w obawie przed stratowaniem. Zwierzę jednak

natychmiast pognało do tyłu, a Pittman zobaczył szybko zbliżające się światła. Zerwał się na równe nogi, złapał oddech i dał nura w krzaki. Kule trafiały w gałęzie, strzępiąc korę na drzewach.

Pochylił

się nisko, klucząc wśród zwisających gałęzi sosen. Kule stukały o drzewa, strącając na niego

chmury

igieł. Kiedy usłyszał otwieranie drzwi samochodu, odwrócił się i strzelił w kierunku widocznych

między drzewami reflektorów. Sam był zdziwiony, kiedy jeden z nich zgasł

z trzaskiem.

W tym momencie pistolet odmówił posłuszeństwa. Skonsternowany, pociągał za cyngiel. Nic. Czuł w

dłoni niewyważoną teraz czterdziestkępiątkę. Prowadnica pozostawała z tyłu, a komora nabojoya była

pusta. Serce mu zamarło, kiedy zrozumiał, że zużył całą amunicję. Miał jej trochę więcej w

kieszeni,

lecz prześladowcy byli tak blisko, że nie było czasu na ponowne ładowanie, poza tym nie miał

doświadczenia w ładowaniu magazynku w ciemnościach.

Nie wtedy, kiedy do niego strzelają.

Nie w biegu, który właśnie rozpoczął, przedzierając się w górę przez ciemny las.

Kilkakrotnie boleśnie zderzał się z drzewami. W ciemnościach nie udawało mu się ominąć różnych pułapek. Potykał się o pniaki, tracił równowagę, przewracał się. Za każdym razem podnosił się, nie zwracając uwagi na ból, biegnąc wciąż szybciej, przynaglany

258

hałasem ścigających go mężczyzn. Błyskały latarki. Słysząc było pokrzykiwania.

Próbował zorientować się, w jakim jest miejscu. Przyszedł z tej strony doliny, to pewne. Lecz drzewa

były tam tylko w górnych partiach, pozostawiając otwartą przestrzeń opadającą ku łące. Tutaj porastały całe zbocze. Gdzie może znajdować się ten trawiasty stok? Musi go znaleźć. Musi dostać się

na grzbiet. Tam, po drugiej stronie, za drzewami i ogrodzeniem czeka na niego w samochodzie Jill.

— Słyszę go!

— Tam!

— Rozdzielmy się!

Podniósł prawe ramię, by osłonić oczy przed kłującymi gałęziami. Otoczony ciemnością wspinał się

już z mniejszą energią. Nogi zaczynały mu ciążyć. Brakowało mu powietrza. Cały czas kierował się w

prawo. Musiał obrać jakiś kierunek, licząc, że trafi na zbocze.

Las skończył się nagle, a on wypadł na otwartą przestrzeń. Szybko. Dostać się na szczyt, zanim wyskoczą z lasu i zobaczą mnie. Jedyne przewaga, jaką zachował teraz nad nimi, to że nie robił już hałasu. Nie musiał łamać gałęzi, przedzierać się przez krzaki, zaczepiać o drzewa. Tamtych natomiast

było doskonale słysząc, jak forsują leśne zarośla. Czując nowy przyływ adrenaliny napiął mięśnie nóg, wziął głęboki oddech i zaczął wspinać się, po stromym, śliskim od mokrej trawy wzniesieniu. Przez moment stracił poczucie rzeczywistości. Ocknął się na szczycie, usłyszawszy wrzaski mężczyzn

chwytających go z dołu w światła latarek. Ale Pittman był już po drugiej stronie, między drzewami. Wpadł na ogrodzenie, złapał się go wyczerpany.

— Tutaj! — ktoś krzyknął niedaleko za nim, błyskając latarką. Resztkami sił przelazł przez płot i powłókł się do przodu, znów otoczony drzewami.

— Jill! — Głos miał chrapliwy, słowa wydobywał z wysiłkiem. — Jill, to ja! Matt!

— Jest tu blisko! — wrzasnął ktoś.

— Jill! Gdzie jesteś? Nie widzę cię! To ja! To ja, Matt! Światła latarek prześliznęły się po ogrodzeniu, przebiły ciemność i wyłuskały go.

Kula drasnęła jego kurtkę. Druga musnęła włosy. Wśród drzew

259

rozległy się strzały. Pittman nie rozumiał. Jego prześladowcy używali tłumików. Po co je zdjęli? Dlaczego nie zważają na hałas?

To nie oni. Strzały dobiegały z przodu. Goniący rzućli się na ziemię za parkanem, krzycząc jeden przez drugiego, by zgasić latarki. Kule zabębniły o sztachety. Strzały nie milkły.

— Jestem tutaj! — krzyknęła Jill.

Pittman zobaczył błysk z lufy, kiedy znów strzeliła.

— Widzę cię!

— Nie podnoś się! — wrzasnęła.

Pełzając na kolanach, podpierając się rękami, Pittman wreszcie do niej dotarł.

— Szybko! Do samochodu!

Otworzył drzwi od strony pasażera, i drgnął, kiedy zapaliło się wewnątrz światelko. Kiedy był już w

środku, zatrzasnął drzwiczki i ze zdumieniem zobaczył, jak Jill, siedząc za kierownicą i strzelając przez otwarte okno, jednocześnie przekręca kluczyk, naciska gaz i jak rakieta wyskakuje przez lukę między drzewami na wiejską, krętą drogę.

Dzięki Bogu, dzięki Bogu — to było wszystko, co był w stanie powiedzieć. Wyrzucał z siebie słowa

próbując złapać oddech. Dyszał ciężko i cały dygotał, a pot strużkami spływał mu po twarzy i karku.

Dustera zarzuciło na ostrym zakręcie. Panując całkowicie nad samochodem, Jill natychmiast przyspieszyła. Reflektory oświetlały liczne zakręty dwupasmowej drogi porośniętej po bokach drzewami. Pittman odwrócił się próbując dojrzeć, czy ktoś za nimi jedzie.

— Jeszcze za wcześnie — powiedziała Jill. — Muszą wrócić i pojechać drogą od szkoły. Brama jest

dwie mile stąd. Zanim wyjadą na drogę...

Kiedy znaleźli się na kolejnej prostej, znów dodała gazu.

— Dzięki Bogu. — Pittman wciąż mamrotał. — Nie widziałem ciebie, krzychałem, a ty nie odpowiadałaś...

— Nie wiedziałam, co robić. Słyszałam strzały od strony szkoły, a potem coś jakby alarm pożarowy.

— Zgadza się. — Pittman oddychał już spokojniej.

— Później silniki samochodów i strzały w lesie. Nagle spostrzegłam, że przedostajesz się przez parkan i krzyjąc biegiesz w moim kierunku. Za tobą światła latarek i goniący ludzie. Myślałam tylko o tym, żeby ich powstrzymać. Mówiłeś mi, że aby wystrzelić, wystarczy tylko pociągnąć cyngiel. Nie próbowałam nawet celować. Uchyliłam po prostu okno, wyciągnęłam pistolet i zaczęłam

strzelać. Boże, ileż tam było kul!

261

— Piętnaście.

— Strasznie szarpało, w uszach wciąż mi dzwoni od huku... Kiedy zobaczyłam, że biegiesz do mnie,

staralam się celować w parkan.

Nacisnęła hamulec, ostro skręcając kierownicę, po czym znów dodała gazu.

Pittman pokręcił głową z niedowierzaniem.

— Gdzie się nauczyłaś tak jeździć?

— Mój ojciec miał bzik na punkcie porsche'ów. Jedną z nielicznych rzeczy, których mnie nauczył, była rajdowa jazda. Gdyby ten samochód miał zryw i normalną skrzynię biegów, mogłabym ci zademonstrować, z jaką prędkością można pokonywać zakręty.

Pittmanowi wciąż trzęsły się ręce.

— Ty krwawisz — powiedziała Jill.

— Co takiego?

— Masz krew na twarzy, na rękach i ubraniu. Musiałeś się podrapać na murze albo kiedy biegleś przez las. Chyba że...

— Co takiego?

— Mam nadzieję, że cię nie postrzelili.

— Nie, nie czuję żadnego bólu.

Jill patrzyła przed siebie, śmigając pod wiaduktem.

— Powiedziałem, że nie czuję bólu.

— To nie zawsze jest pomyślna oznaka.

— Co masz na myśli?

— Czasami rana paraliżuje nerwy i nie pozwala im przekazywać bodźców.

Dygocąc jeszcze bardziej, Pittman zaczął obmacywać nogi, piersi ramiona.

— Wszystko jest chyba w porządku.

Dziwiąc się samemu sobie zauważył nagle, że od jakiejś chwili wciąż ziewa.

— Co się ze mną dzieje? Martwię się, że może zostałem ranny i na dodatek nie mogę powstrzymać ziewania.

— Szok. Adrenalina została spalona. Twoje ciało mówi ci, że potrzebujesz dłuższego odpoczynku.

— Ale wcale nie czuję się senny.

— Zgadza, się.

Jill włączyła ogrzewanie.

262

Pittman znów ziewnął.

— Zrób mi grzeczność i przejdź na tylne siedzenie, wyciągnij się i postaraj chwilę zdrzemnąć.

— Tylne siedzenie. Coś mi się przypomniało. — Pittman z trudem przegiął się do tyłu i otworzył swą

gimnastyczną torbę.

— Co robisz?

— Ładuję broń. Podaj mi swój pistolet. Zabrałem magazynki tym facetom w twoim mieszkaniu.

Lepiej będzie, jeśli twój również załaduję.

Jill zamruczała coś pod nosem.

— Nie słyszałem, co powiedziałaś.

— Pistolety. Przysięgałam, że nigdy nie dotknę tego draństwa. A teraz...

Sześciocylinndrowy silnik dusterą zaryczał, kiedy Jill nagłe dodała gazu.

15

Obudziła go cisza. Pittman zamrugał zdezorientowany i uświadomił sobie, że leży na tylnym siedzeniu, a Jill siedzi spokojnie za kierownicą. Szare niebo zwiastowało niedaleki świt. Stali.

— Gdzie jesteśmy? — otepiały i zdreptały usiadł z grymasem na ustach.

— Motel w Greenfield, Massachusetts. Około dziesięciu mil na południe od Vermont i stu pięćdziesięciu od szkoły. Wystarczająco dużo, aby nas nie znaleźli. — Jill zawahała się. — Na razie.

— Musisz być wyczerpana.

— W zasadzie nie powinnam. Normalnie za godzinę kończyłabym nocną zmianę w szpitalu. Potem zjadłabym coś lekkiego, obejrzałabym to, co nagrało się na wideo, i koło południa poszłabym spać.

— Lecz dzisiaj nie jest normalnie.

— Nie żartuj. Lepiej zostań w samochodzie, a ja pójdę zobaczyć, czy portier przyjmie gotówkę za wynajęcie pokoju. Ze śladami krwi na twarzy nie wyglądasz najlepiej. Powiem mu, że wracamy od krewnych w Waterford w Connecticut i że zamierzaliśmy jechać całą noc prosto do domu, ale jesteśmy już zmęczeni.

Jill wysiadła z samochodu i poszła w stronę recepcji. Po chwili wróciła z kluczem.

Pokój znajdował się na parterze, na tyłach motelu, tam gdzie chciała Jill, argumentując, że nie

życzy

sobie, aby im przeszkadzał

264

poranny ruch na szosie. W pobliżu nie było nikogo, otworzyła drzwi i Pittman podążył za nią.

Postawili torbę gimnastyczną i małą walizkę na podłodze, taksując wzrokiem wnętrze. Skromnie

urzą-

dzony, ale czyste, na pewno przez kilka dni nie wietrzone.

— Poprosiłam o pokój dla niepalących. — Jill zamknęła drzwi. — Recepcjonista zapewnił mnie, że telewizor jest sprawny. A ponieważ w pokojach obok ich nie ma, nic nam nie będzie przeszkadzać.

— Oddzielne łóżka — zauważył Pittman.

— To dobrze.

— Tak... — Seks był ostatnią rzeczą, jaka mogła przyjść mu na myśl. Mimo to poczuł się

zakłopotany.

— Idź do łazienki i zrzuć ubranie. Musimy sprawdzić, jak bardzo jesteś poraniony. — Jill sięgnęła do

jego torby i wyjęła opatrunek pierwszej pomocy, który kupili poprzedniego dnia razem z latarką i wełnianą kurtką.

— Założę się, że twardo rządysz na oddziale.

— Nie mów, że masz zamiar się mnie wstydzić — spojrzała na niego z rozbawieniem. — Nie powiedziałam, że idę do łazienki razem z tobą. Zamknij drzwi, rozbierz się, zmyj krew i, jak owiniesz

się ręcznikiem, obejrzę cię. Zresztą muszę ci zmienić bandaż na rękę.

— Na pewno lubisz klucć swoich pacjentów grubymi igłami. Pittman wszedł do łazienki i rozbierał się, czując ból po prawej stronie.

— Raczej nie wchodź pod prysznic — usłyszał zza drzwi przytłumiony głos Jill. — Może ci się zrobić słabo. Skorzystaj z wanny.

Dokładnie się obejrzał.

— Mogę ci już teraz powiedzieć, że nie widzę w sobie żadnych dziur. Mam tylko paskudny siniac na żebrach po prawej stronie.

— Pomocz się trochę. Zaraz wrócę.

— Dokąd się wybierasz?

— Po drugiej stronie ulicy jest całonocny sklep, zobaczę, co mają do jedzenia.

Sok pomarańczowy, pączki i chude mleko, przekonał się o tym, kiedy wyszedł z łazienki po drugiej kąpieli. Za pierwszym razem zmył tylko zaschłą krew z ciała, aż woda w wannie zrobiła się różowa.

Czuł się głupio i był pewny, że to po nim było widać, kiedy tak stał owinięty ręcznikiem wokół bioder.

265

— Zaskakujesz mnie — powiedziała Jill. — Biorąc pod uwagę twoje ostatnie wyczyny, spanie na ławkach w parku, udawanie policjanta i tak dalej, nie podejrzewałam, że należysz do wstydliwych. Pittman ściągnął koc z metalowej półki obok łazienki.

— Zanim się zawiniesz, chciałabym spojrzeć na ten siniak na żebrach. — Jill pociągnęła po nim palcem.

— Auu.

— Auu? Dorośli tak nie mówią. To małe dzieci mówią „auu”.

Czy to żebro cię boli?

— Rany boskie, jeszcze jak!

— O, właśnie tak mówią duże dzieci. Zrób wdech. A teraz wydech. Czy bardziej boli? Nie? — zastanowiła się chwilę. — Rentgen dałby mi pewność, ale wątpię, żeby było złamane. Chociaż nie ma

to większego znaczenia.

— Dlaczego?

— Leczenie złamanych żeber jest takie samo jak stłuczonych, praktycznie żadne. Nie stosuje się gipsu, a nawet, od pewnego czasu, nie bandażuje się klatki piersiowej. Trzeba tylko zachować ostrożność, nie nadwierać się, w nic nie uderzać.

— Klawo.

— Cuda nowoczesnej medycyny. Teraz czas na twoją poranioną ręką. Obejrzymy te skaleczenia i zadrapania.

Posmarowała je maścią z antybiotykiem, zmieniła bandaż na lewej dłoni, zdezynfekowała ranki na twarzy.

— Jesteś głodny?

— Tak, szkoda, że nie też kupiłaś trochę kawy.

— Tuż po tym uderzeniu adrenaliny? Nie masz dość chemicznych bodźców na jakiś czas?
— Mam wrażenie, że nic nie robisz bez uprzedniego rozważenia, jaki wpływ na twoje ciało ma chemia — skonstatował Pittman.
— Właściwa dieta to lepsze życie.
— Dziwię się zatem, że kupiłeś te pączki.
— Tylko to było jadalne w tym sklepie. Suszona wołowina nie wchodziła w grę.
— Nienawidzę chudego mleka.
— Daj mu szansę, a polubisz je. Później nawet dwuprocentowe będzie ci się wydawało niesamowicie
tłuste.

266

— Jeśli zostaniemy razem, pewnie będę musiał je polubić. Jill spojrzała dziwnie.
— Co takiego?
— Nic, nic.
— Powiedz mi, o co chodzi?
— Powiedziałeś „jeśli zostaniemy razem”. W innych okolicznościach nawet by mi się to spodobało
— odrzekła Jill.

Pittman poczuł, że się czerwieni.

— Moja kolej na kąpiel. — Równie zmieszana jak poprzednio Pittman, sięgnęła po neseser i
weszła
do łazienki.

— Włącz CNN — rzuciła zamykając drzwi — zobaczymy, czy będzie coś o nas.

Pittman nie drgnął. Wciąż myślał o tym, co powiedziała... o byciu razem. Zaledwie sześć dni temu
myślał tylko o śmierci.

16

Jill kończyła szklankę soku komentując wiadomości CNN. — Nic nie było na temat wydarzeń w
szkole. — Wcale mnie to nie dziwi.

— Sądzisz, że nie połączyli tego z nami?

— Jestem pewien, że tak.

— Więc dlaczego...?

— Jestem też pewien, że jacyś bardzo wpływowi ludzie wyciszyli to wszystko. Nie chcą, aby
cokolwiek zwróciło uwagę na szkołę.

— Wiem, co masz na myśli. Ci wszyscy wysoko postawieni rodzice nie chcą, by coś popsuło
reputację szkoły, którą kończą ich synkowie. A i sami absolwenci nie życzą sobie, by Grollier
kojarzył

się z jakimś włamaniem czy strzelaniną. To zdecydowanie w złym tonie.

— A może i coś więcej — powiedział Pittman. — Może jesteśmy na tropie czegoś tak poważnego,
co

oznaczałoby koniec szkoły.

Jill popatrzyła na niego uważnie.

— Tak, to mogłoby wiele tłumaczyć.

— Duncan Kline, jeden z nauczycieli superdoradców. I Derrick Meecham, uczeń, który zniknął z
ich
klasy.

— Albo zachorował i musiał zrezygnować z nauki — dodała.

— W każdym razie nie wrócił do akademii i nie ukończył jej. Zastanawiam się, jak dowiedzieć się
czegoś o Duncanie Kline i Derricku Meechamie. Jestem diabło przekonany, że w tej akademii moja
noga więcej nie postanie..

268

Po chwili milczenia Jill odezwała się.

— Przed minutą mówiliśmy o absolwentach.

— Owszem.

— U Grolliera uczniowie przygotowują się do studiów w Ivy League, zwłaszcza w Harvardzie, Yale i

Princeton. Jeśli założymy, że Derrick Meecham ukończył ostatecznie szkołę przygotowawczą na podobnym poziomie co Grollier, to z pewnością podjął studia w którymś z tych college'ów. Będzie więc w ich rejestrach, co zresztą specjalnie nam nie pomoże. To, czego musimy się dowiedzieć, to gdzie Meecham przebywa obecnie.

— Organizacjami, które posiadają aktualne adresy wszystkich swoich wychowanków, są fundacje absolwentów — stwierdził Pittman.

— Tak, żeby mogły zwracać się do nich o dotacje dla swoich szkół. Mój ojciec ukończył Yale. Jest jednym z największych sponsorów lekkiej atletyki. Fundacja absolwentów ciągle do niego wydzwaniana

i podlizuje się. A to proponując specjalne bilety, a to zapraszając na ekskluzywne przyjęcia, a wszystko dlatego, żeby wyciągnąć więcej pieniędzy. Uwierz mi, że zrobią też wszystko dla jego córki.

A jeśli Derrick Meecham nie studiował w Yale, poproszę, aby skontaktowali się z fundacjami innych

college'ów Ivy League.

17

r

Świetnie, Ray, oczywiście — mówiła Jill do telefonu. Jej niebieskie oczy promieniały. — Tak, ojciec

też czuje się dobrze. Ach, to. Od czasu do czasu musimy się trochę posprzeczać, ale zawsze się dogadujemy. — Skoncentrowana na rozmowie bezwiednie przeczesała palcami długie jasne włosy.

— Myślę, że będę się z nim widziała w tym tygodniu.

Pittman obserwował ją ze swego łóżka. Owinięta kocem siedziała na stoliku obok telefonu. Była jedenasta trzydzieści osiem. Spali cztery godziny. Obolałe ciało i piekące oczy utwierdzały go w przekonaniu, że to trochę mało, ale nie było czasu na więcej. Musieli odbyć kilka rozmów telefonicznych. I ruszać dalej.

— Dzwonię — wdzięczyła się Jill do telefonu — żeby cię prosić o przysługę. To nic wielkiego i nic cię nie będzie kosztować — zażartowała. — Doskonale, byłam pewna, że tak to odbierzesz. Nie omieszkam powiedzieć ojcu, jak mi pomogłeś. Chciałabym, żebyś znalazł w swoim komputerze niejakiego Derricka Meechama. Kiedy kończył? Tego właśnie nie jestem pewna. Wiem tylko, że w latach trzydziestych. Wiem, że to dość dawno. Czy to duży kłopot? Jeden z moich starszych pacjentów

zbliża się do kresu swoich dni. Chciałby wyjaśnić jakieś nie zakończone sprawy i musi się z nim skontaktować. Nie widzieli się chyba z pięćdziesiąt lat. Nie wiem, dlaczego to dla niego takie ważne,

ale żal mi go i chciałabym mu pomóc. Tak, rzeczywiście mam miękkie serce. Na oddziale zawsze się

ze mnie podśmiewają. Słucham? Masz diabelnie dobry program.

270

Sekundę, zaraz zapiszę adres. Numer telefonu. Cudownie. Mam już wszystko. Dzięki, Ray, naprawdę

jestem ci wdzięczna. Na pewno wspomnę o tym ojcu. Możesz być pewien. Dbaj o siebie również.

Jill odłożyła słuchawkę i spojrzała na Pittmana.

— Boston.

Rozłożył mapę, którą znalazł na stoliku obok.

— To tylko sto mil. Jeśli pojedziemy autostradą numer 2, możemy tam być za kilka godzin.

— Matt?

— Słucham?

— A jeśli Meecham nam nie pomoże? Pittman nie odpowiedział.

— Jeśli nie pomoże? — powtórzyła.
— Nie myśl tak — powiedział. — Musimy wierzyć, że będzie chciał nam pomóc. W przeciwnym razie nie posuniemy się do przodu.

Jill utkwiała w nim wzrok.

— Twoja determinacja mnie zdumiewa.

— Dlaczego?

— Człowiek, który planuje się zabić, na ogół nie martwi się o przyszłość, o to, żeby przeżyć.

— Przeżyć? Wcale mi o to nie chodzi.

— Naprawdę? Zdaje mi się, że ktoś tu chce zrobić ze mnie durnia. O co więc chodzi?

— Tydzień temu siedziałem w wannie z lufą w ustach.

Jill nie była przygotowana na taką zmianę tematu. Brutalne wyznanie wyraźnie ją zaszokowało.

— Uporządkowałem wszystkie swoje sprawy, spłaciłem każdy dług, zrewanżowałem się za każdą grzeczność. Nikomu nie byłem nic winien. Zamierzałem opuścić ten świat i wszystko było zapięte na

ostatni guzik. I wtedy zadzwonił telefon. Przyjaciel poprosił mnie o przysługę. A ponieważ zrobił tak

wiele dla mojego syna, po prostu nie mogłem mu odmówić. Teraz mam nowy dług.

— Wobec kogo?

— Wobec ciebie.

— Nie rozumiem.

— To moja wina, że zostałeś w to wciągnięty. Gdybym nie

271

przyszedł do twojego mieszkania... Muszę mieć pewność, że będziesz bezpieczna.

Szczelniej zawijając się kocem Jill podeszła do niego. Dotknęła jego ramienia.

— Dziękuję.

Pittman drgnął zakłopotany.

— A jeżeli ci się powiedzie? — zapytała.

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Co wtedy? Wciąż będziesz chciał się zabić? Odwrócił wzrok.

Część piąta

1.

Droga zajęła im więcej czasu, niż zakładali. Autostrada 2 była dopiero w budowie. Kończyła się sporo przed Bostonem, w związku z czym musieli pojechać okrężnymi drogami, najpierw 495 na południe, a potem 90 na wschód do miasta. Kiedy dojechali, było późne popołudnie. Pittmana pobolewała zabandażowana lewa ręka. Tym razem on prowadził, podczas gdy Jill drzemała w tyle, dopóki nie zatrzymał się na postoju tuż przed miastem.

Usiadła, przeciągnęła się i ziewnęła.

— A więc to są twoje stare wydeptane ścieżki — powiedział Pittman. — Sądziś, że uda ci się znaleźć adres?

— Jasne, bez problemu.

— Nie chcesz zerknąć na mapę?

— Derrick Meecham musi mieć mnóstwo pieniędzy. Mieszka w Beacon Hill. To parę przecnic od domu moich rodziców.

Godziny szczytu jeszcze bardziej spowolniły tempo ich jazdy, ale wkrótce, nieco po szóstej, Jill skręciła z Massachusetts Turnpike na Columbus Avenue, następnie przez Boston Common w Charles Street i w końcu znaleźli się w historycznej ekskluzywnej dzielnicy Beacon Hill.

Pittman badawczo przyglądał się wąskiej zadrzewionej wybrukowanej kostką ulicy. Po jednej stronie, za eleganckim ogrodzeniem z kutego żelaza rozciągał się niewielki park, po drugiej zaś dziewiętnastowieczne budynki z cegły rzucały cienie w zachodzącym

275

słońcu. Jill skręciła za róg, gdzie rozrzucone było kilka rezydencji, oddzielonych od siebie dojazdowymi drogami. Przez metalowe pręty bramy widać było dziedzińce, ogrody i powozownie,

zamienione obecnie na garaże.

— A więc to tu się wychowywałaś?

— Kiedy nie przebywałam w prywatnych szkołach — odparła Jill.

— Pięknie tu.

— To pułapka. Dlatego uciekłam stąd do prawdziwego życia.

— W tej chwili wolałbym uciec od tego prawdziwego życia.

Przed nimi z szeregu samochodów zaparkowanych przy krawężniku ruszył mercedes i Jill wjechała na

jego miejsce. Kiedy wysiadła, wyprostowała bezową spódniczkę i włożyła zielony żakiet.

— Czy dobrze wyglądam?

— Prześlicznie.

— Pamiętaj, że kiedy zapukamy, osoba, która otworzy, bez namysłu otaksuje nas po wyglądzie, po tym jak schludnie i porządnie jesteśmy ubrani.

Pittman sięgnął do samochodu, wyciągnął z torby krawat i zawiązał go. Miał nadzieję, że koszula nie

była zbyt pognieciona. Spodnie i kurtka były czyste, na tyle, na ile mu się udało je wcześniej wyczyścić.

— Jeśli dobrze cię rozumiem — powiedział — lepiej, abym nie przedstawiał się jako dziennikarz.

Jill potaknęła.

— Ludzie, z którymi będziemy mieć do czynienia, są bardzo snobistyczni. Uważają, że prasa to coś

poniżej ich poziomu.

— Jaką strategię przyjmujemy? Może taką jak u Grolliera, że piszę książkę o szkole?

— Albo jeszcze lepiej: jesteś profesorem historii, który pisze książkę o akademii. Naukowcy cieszą się poważaniem.

Kilka kamiennych stopni prowadziło do politurowanych dębowych i dość już zniszczonych drzwi.

— Pewnie są z początków dziewiętnastego wieku — oceniła Jill. Pittman uderzył żelazną kołatką w

metalową płytkę przytwierdzoną do drzwi.

Czekali.

Zastukał po raz drugi.

276

— Może nikogo nie ma w domu?

— Nie widać żadnych świateł w oknach — powiedziała Jill.

— Może wyszli gdzieś na kolację. Jill pokręciła głową.

— Nikt z szanującej się bostońskiej inteligencji nie wychodzi tak wcześnie. Poza tym Meecham jest

w podeszłym wieku. Wątpię, aby oddalał się zbyt daleko od domu.

Pittman zamierzał zastukać jeszcze raz, gdy usłyszeli otwieranie zamka. Klamka poruszyła się.

Drzwi

otwierały się wolno, ukazując niską, wątłą, siwą kobietę, ubraną w gustowną niebieską sukienkę ze stójką, długimi rękawami i falbaną niemal całkiem zakrywającą opuchnięte nogi. Na jej pomarszczonej skórze widać było liczne plamy wątrobowe.

Przez uchylone drzwi spojrzała na nich zza grubych okularów.

— Słucham? Czy my się znamy? — spytała drżącym głosem.

— Nie, szanowna pani — zaczął Pittman. — Nazywam się Peter Logan. Jestem profesorem historii,

zza rzeki. — Miał na myśli Harvard. — Proszę wybaczyć to niespodziewane najście, ale czy mógłbym

porozmawiać z pani mężem o książce, którą piszę?

— Profesor historii? Książka? Mój mąż?

— Tak, proszę pani. Zbieram informacje o niektórych amerykańskich instytucjach oświatowych, tych najbardziej prestiżowych i mam nadzieję, że pani mąż zechce udzielić mi kilku odpowiedzi na nurtujące mnie pytania.

— Pytania? Mój mąż?

Pittman poczuł ściskanie w dołku. Powtarza to, co mówię, dodając jedynie znaki zapytania.

Tracimy

czas — pomyślał. — Chyba ma demencję i najmniejszego pojęcia, o czym mówię.

Kobieta uniosła głowę.

— Nie wiem, jakiego rodzaju pytania ma pan na myśli, ale obawiam się, że mąż... panu już... nie odpowie. Zmarł rok temu.

Pittman był zaskoczony odpowiedzią. Klarowność stwierdzenia uświadomiła mu, jak mylnie ją ocenił.

— Och!

Był tak zaskoczony, że nie wiedział, co powiedzieć/Powinien wziąć pod uwagę, że Meecham mógł już

nie żyć, lecz fakt, że superdoradcy, z wyjątkiem Millgate'a, wciąż żyli, skłaniał go do

277

przypuszczenia, że i inni związani z nimi też pozostają wciąż przy życiu.

— Strasznie mi przykro. W Stowarzyszeniu Absolwentów w Yale poinformowano mnie, że Derrick Meecham mieszka tutaj. Widzę, że ich dane są nieaktualne.

— Są aktualne — głos kobiety wydawał się bardziej drżący.

— Nie rozumiem.

— Derrick Meecham rzeczywiście tu mieszka.

— Proszę nam wybaczyć, madam — odezwała się Jill. — Nadal nie rozumiemy.

— To mój syn.

— Matko — dystyngowany, męski głos dobiegł z głębi domu — ustaliliśmy przecież, że będziesz się oszczędzała. Nie ma potrzeby, żebyś otwierała drzwi. To jest obowiązek Fredericka.

A propos, gdzie on jest?

Drzwi otworzyły się na całą szerokość i przed Pittmanem stanął wytworny mężczyzna około pięćdziesiątki. Miał wysokie czoło, szpakowate włosy, przenikliwe spojrzenie i sprawiał wrażenie przyzwyczajonego do wydawania poleceń wykonywanych bez szemrania. Jego trzyczęściowy prążkowany, szary garnitur leżał na nim bez zarzutu.

— W czym mogę pomóc? — zapytał bez specjalnego entuzjazmu.

— Ten pan jest profesorem — odezwała się starsza pani.

— Peter Logan — dodał Pittman. — Wykładam historię na Harvardzie. Obawiam się, że popełniłem pomyłkę. Chciałem rozmawiać z pana ojcem, lecz właśnie dowiedziałem się, że nie żyje. Nie miałem zamiaru państwa niepokoić.

— Rozmawiać z ojcem? O czym?

— Poszukuję informacji dotyczących historii Akademii Grol-lier.

Mężczyzna przez moment stał nieruchomo, nawet nie mrugnął, wydawał się nie oddychać.

— Akademia Grolliera?

— Wywarła tak duży wpływ na amerykański rząd, pomyślałem, że warto zbadać, co czyni ją tak wyjątkową.

— Och, jest rzeczywiście wyjątkowa.

Ulicą przejeżdżały samochody. Słońce pochyliło się niżej, rzucając długie cienie. Mężczyzna wpatrywał się w Pittmana.

278

1

Wreszcie odezwał się.

— Proszę do środka, profesorze... przepraszam, mógłby pan powtórzyć nazwisko?

— Logan. Peter Logan. A to moja żona, Rebecca. Jest także historykiem.

— Derrick Meecham — mężczyzna wyciągnął dłoń i powtórzył powściągliwie: — proszę wejść. Zamknął drzwi i, podając ramię matce, poszedł przodem szerokim korytarzem. Na wyłożonych drewnem ścianach wisiały pejzaże, widoki lasów i wiejskich domostw. Ramy obrazów wyglądały, jakby pochodziły z dziewiętnastego wieku.

Minęli lśniące schody z klonowego drewna ze wspaniale rzeźbioną poręczą. W kilku pokojach przy końcu korytarza paliło się światło, z jednego wyszedł wysoki mężczyzna w białej marynarce.

— Gdzie byłeś, Fredericku? — zapytał Meecham. — Matka musiała otwierać drzwi.

— Myślałem, że jest na górze — odpowiedział człowiek w białej marynarce. — Proszę o wybaczenie,

sir. Nie słyszałem stukania. Byłem na dole w piwniczce, szukając rotschilda, o które pan prosił.

— Znalazłeś je?

— Tak, sir.

— Rocznik siedemdziesiąty pierwszy?

— Tak, sir.

— To dobrze. Matko, może chcesz odpocząć przed kolacją? Frederick odprowadzi cię do pokoju na

górze. Może obejrzysz jeden ze swoich ulubionych programów? — Ton Meechama sugerował, że on telewizji nie ogląda.

— „Victory Garden” niedługo się zacznie, pani Meecham — powiedział Frederick.

— O tak — starsza pani ucieszyła się, pozwalając się odprowadzić do niewielkiej windy.

280

Kiedy odjechali, Meecham zwrócił się do Pittmana i Jill.

— Proszę tutaj.

Weszli do jednego z pokoi. W biblioteczce stały oprawione w skórę woluminy, w większości o tematyce prawniczej. Meble były utrzymane w ciemnej tonacji, świetnie dobrane, na pewno droższe niż Pittman mógł sobie wyobrazić.

Wschodni dywan pokrywał prawie całą podłogę, tylko przy ścianach odsłaniając wspaniałą dębową posadzkę.

Meecham zaprosił ich gestem.

— Proszę usiąść. Czy mam poprosić Fredericka, aby przyniósł coś państwu?

Pittman i Jill usiedli na krzesłach naprzeciw stojącego obok kominka Meechama.

— Dziękujemy, nie trzeba.

— Miałem właśnie wypić koktajl — powiedział Meecham, zaskakując Pittmana gościnnością.

Dziwne — pomyślał Pittman. — Przed chwilą był gotów nas odprawić, kiedy wspomniałem o Grollierze. Teraz zaprasza nas i chce częstować koktajlem. Albo potrzebuje drinka, na co nie wygląda,

albo spodziewa się, że pod wpływem alkoholu będziemy bardziej otwarci niż normalnie.

— Koktajl będzie w sam raz — zgodziła się Jill. — Taki sam jak dla pana.

— Martini z wódką.

— Świetnie.

Meecham podszedł do drzwi, otworzył je, coś powiedział, potem zamknął i usiadł obok kominka na krześle w stylu chippendale. Popatrzył na nich uważnie.

— Akademia Grolliera.

— Otóż to. Pana ojciec, o ile wiem, właśnie tam się uczył — odezwał się Pittman.

— Owszem, lecz nie całkiem rozumiem, dlaczego spośród wszystkich, którzy uczęszczali do Grolliera, wybrali państwo właśnie mojego ojca?

— Ponieważ chodził do jednej klasy z tak zwanymi superdoradcami, Jonathanem Miłlgate'em, Eustacem Gable'em, Anthonyem Lloydem...

Rysy Meechama stężały.

281

— Wiem, kim są superdoradcy. Po odejściu z Grolliera mój ojciec nie utrzymywał z nimi żadnych kontaktów

— Ale kiedy tam był, trzymał się z nimi dość blisko.

— Dlaczego pan tak myśli? — zapytał szybko Meecham.

— Zapisany był na kurs nauk politycznych, gdzie lista była bardzo krótka. Tylko sześć nazwisk. Pięciu superdoradców...

— ...i mój ojciec.

Po raz pierwszy Meecham dobrowolnie udzielił im jakiejś informacji. Pittman starał się nie okazywać zaskoczenia.

— Tak — powiedziała Jill. — W tak małym gronie przyszłych politologów pański ojciec mógł być świadkiem wymiany poglądów, które mogłyby wyjaśniać, dlaczego superdoradcy przyjęli takie, a nie

inne postawy w swych karierach politycznych.

Meecham studiował ich twarze.

— Ojciec nigdy ze mną o tym nie rozmawiał.

W pokoju zaległa cisza. Meecham stracił chęć do udzielania dalszych informacji.

— Może mówił coś o samych superdoradcach — zaczął Pittman — coś wspominał, kiedy czytał o nich w gazetach, coś, co mogłoby rzucić światło na formowanie się ich poglądów.

— O tym też nie dyskutowaliśmy — stwierdził Meecham beznamiętnie.

— W ogóle żadnych komentarzy, gdy czytał o czymś kontrowersyjnym, co mogło ich dotyczyć?

— Tylko to, że chodził z nimi do szkoły.

Meecham w sposób nie budzący wątpliwości uchylił się od dalszej rozmowy na ten temat.

Znów zapanowało milczenie.

Ktoś zapukał do drzwi. Wszedł Frederick, niosąc tacę ze szklankami i dzbanem martini.

— Fredericku, jednak nie będziemy mieć czasu na koktajl. Właśnie przypomniałem sobie, że za pięć

minut mają dzwonić do mnie z biura w San Francisco — stwierdził Meecham.

Frederick, który już ustawiał tacę na kredensie, zatrzymał się. Meecham podniósł się i podszedł do Pittmana i Jill.

— Nie lubię załatwiać interesów wieczorami. Pewnie dlatego zapomniałem o telefonie. Pozwolą państwo, że będę towarzyszył im do drzwi. Przykro mi, że nie mogłem być bardziej pomocny, lecz

mój ojciec był dość skrytym człowiekiem. Rzadko rozmawiał ze mną o osobistych sprawach. A Grollier... to było tak dawno temu. Pittman także wstał z miejsca.

— Jeszcze jedno, ostatnie pytanie. Czy domyśla się pan, dlaczego ojciec nie ukończył tej szkoły?

Meecham, wciąż patrząc mu prosto w oczy, zamrugał.

— Porzucił kurs nauk politycznych, który rozpoczął razem z superdoradcami, a potem w ogóle opuścił Grolliera.

— Fredericku, rozmyśliłem się — rzekł Meecham. — Biuro w San Francisco może porozmawiać ze

mną jutro. Kiedy zadzwonią, powiedz im, że jestem nieosiągalny.

— Tak jest, sir.

— I proszę, podaj martini.

— Oczywiście, sir.

Meecham ponownie usiadł, wyglądając na zbitego z tropu. Pittman i Jill też zajęli swoje miejsca.

Frederick nalał martini i podszedł po kolei z tacą do każdego, proponując oliwki lub małe cebulki.

Pittman pociągnął łyk rozkoszując się chłodnym i aksamitnym smakiem. Uświadomił sobie nagle, jak

niewiele alkoholu wzięło do ust, od kiedy ruszył pięć nocy temu za Millagate'em do posiadłości w Scarsdale. A wcześniej pochłaniał go, chlał bez przerwy. Nie był zdolny przetrwać bez niego

jednego dnia, a zwłaszcza nocy. Był to jedyny sposób na oderwanie się od rzeczywistości.

Sytuacja stała się niezręczna. Nikt nie wypowiedział słowa, czekając, aż Frederick wyjdzie z pokoju.

Kiedy drzwi w końcu się zamknęły, Meecham odezwał się ostrym głosem: — Czego państwo właściwie naprawdę chcą?

— Już mówiliśmy — poznać stosunek pańskiego ojca do Grolliera i superdoradców — odparł Pittman.

— Jeśli państwo orientują się, że ojciec nie ukończył tej szkoły, że zrezygnował dość wcześnie i przeniósł się gdzie indziej, to chyba jest też oczywiste, że miał do niej ambiwalentny stosunek.

— Czy kiedykolwiek wspominał coś na temat jednego z nauczycieli? Duncana Kline?

Wzrok Meechama był teraz jak sztylet.

— To nie ma nic wspólnego z książką o edukacji. —: Przepraszam?

— Jesteście tu państwo wcale nie dlatego, że badacie historię Grolliera. — Meecham wstał gwałtownie. — Macie dużo wiadomości na temat Grolliera. Krążycie, robicie aluzje, ale doskonale wiecie.

— Nie rozumiem — odrzekł Pittman.

— W przeciwnym wypadku nie wspomnielibyście Duncana Kline'a.

— Nauczał na kursie nauk politycznych, z którego zrezygnował pana ojciec.

— Ten człowiek był zdeprawowany.

Pittman sączył martini. Zaskoczony uwagą Meechama, przełknął z trudem.

284

— Zdeprawowany?

— Chce pan powiedzieć, że istotnie pan o tym nie wiedział? — Meecham wyglądał na przestraszonego, jak gdyby zabrakło mu argumentów.

— Wiemy, że coś tam się wydarzyło. Coś na tyle bolesnego, że stało się dla Jonathana Millgate'a obsesją przez całe lata, a nawet na łożu śmierci.

— Nie mogę mówić za Jonathana Millgate'a. Jedyne, co wiem, to co powiedział mi ojciec, kiedy sam

chciałem posłać synów do Grolliera. Rzadko zdarzało się, żeby tak otwarcie ujawnił swoje emocje. Oświadczył, że w żadnym wypadku nie zgodzi się na posłanie tam jego wnuków i zażądał, aby ich posłać do przyzwoitej szkoły, jak na przykład Groton, którą ukończył ojciec przed pójściem na Yale.

— Ale dlaczego tak bardzo nie cierpiał Grolliera? — zapytała Jill.

Meecham utkwiał zagniewany wzrok w podłozie, mocując się z własnymi myślami.

— Może przyszedł na to czas. — Spojrzał na nich. — Może Grollier wcale się nie zmienił. Ktoś już

dawno powinien coś zrobić, żeby upewnić się, że to się wreszcie skończyło.

— Upewnić się, że CO się skończyło?

Meecham nerwowo zabębnił palcami o szklankę z martini.

— Chciałbym, żeby to co powiem, zatrzymali państwo dla siebie.

— Jeśli pan sobie życzy.

— Tak musi pozostać. — Meecham zdawał się walczyć ze sobą, żeby wypowiedzieć te słowa: — Duncan Kline był pedofilem.

Pittman patrzył bez słowa.

Po chwili milczenia Meechman ciągnął dalej:

— Szkoła dla chłopców była dla niego wymarzonym miejscem. Z tego, co mówił mi ojciec, Duncan

Kline musiał być wspaniałym wychowawcą, błyskotliwym, wesołym, inspirującym, taką charyzmatyczną osobowością, która przyciąga najzdolniejszych uczniów. Był też wysportowany, a szczególnie dobrze wioskował. Kiedy rozpoczynał się nowy rok szkolny, wybierał spośród nowi'uszy

najbardziej obiecujących chłopców, niewielką grupkę, mniej więcej sześciu, i zajmował się nimi troskliwie przez całe cztery lata nauki. Podejrzewam, że w swoim wyborze kierował się też tym, jak

słabe

285

były emocjonalne więzi uczniów z rodzicami i jak bardzo potrzebowali oni kogoś, kto zastąpiłby im ojca. Mój ojciec z całą pewnością nie czuł bliskości swego ojca. Duncan Kline zachęcał ich do udziału

w małych, prywatnych seminariach, które organizował. Trenował z nimi także wioślarstwo, tak by mogli pokonać najlepszą oficjalną drużynę w Grollier. Stopniowo stosunki między nimi stawały się coraz bardziej zażyłe i, zanim przeszli do klasy juniorów... Tak jak powiedziałem, jedna grupka z każdego rozpoczynającego naukę roku. W ten sposób, kiedy jedni kończyli naukę i odchodzili do college'u, drudzy zajmowali ich miejsca.

Pittmanowi zrobiło się niedobrze.

Z twarzą napiętą z emocji Meecham pociągnął długi łyk martini.

— Mój ojciec odrzucił awanse Kline. Ten wycofał się, ale wkrótce powrócił i zaczął go prześladować. Ojciec nie ustąpił, a Kline, z wściekłości albo lęku, że może zostać zdemaskowany, sprawił, że życie szkolne stało się nie do zniesienia. Zlecał mu niewykonalne zadania, wyśmiewając przy każdej okazji. Ojciec zaczął mieć coraz gorsze oceny. Osłabła jego psychika, pogorszyło się zdrowie. Przeszedł chyba jakieś załamanie w domu podczas ferii wielkanocnych. Nie wrócił więcej do

Grolliera.

Pittman nie mógł ukryć konsternacji w głosie.

— Czyżby rodzice pańskiego ojca nic w tej sprawie nie zrobili?

— Co mianowicie? — Meecham pokręcił głową. — A co mieliby według pana zrobić?

— Powinni poinformować o Kline'em władze. Powiedzieć o tym draństwie dyrektorowi szkoły.

Meecham patrzył na Pittmana, jak gdyby ten był niespełna rozumu.

— Poinformować? Pan zdaje się nie rozumieć tej sytuacji. To się działo w początkach lat trzydziestych. Wtedy były całkiem inne czasy. Zapewniam pana, że o takich sprawach, jak wykorzystywanie seksualne dzieci, wtedy się nie mówiło. A na pewno nie w lepszym towarzystwie. Oczywiście takie nikczemności istniały. Każdy wiedział o tym. Ale nie zdarzało się to często, a jeśli,

to innym, gorszym, ludziom bez oglądy, prostakom, upośledzonym pod względem ekonomicznym i moralnym.

— Boże drogi — nie wytrzymał Pittman.

Meecham wyglądał na poruszonego; pociągnął kolejny długi łyk martini.

286

— Tak wtedy powszechnie uważano. Grollier chwalił się swoimi wychowankami, byli wśród nich gubernatorowie, senatorzy, kongresmeni, nawet prezydent Stanów Zjednoczonych. Było nie do pomyślenia, żeby uczeń wystąpił z oskarżeniem, że molestowanie seksualne jest w szkole czymś codziennym. W grę wchodziłaby reputacja tak wielu osób, że władze szkoły nie potraktowałyby go

poważnie. Zresztą zmuszono by je do stwierdzenia, że uczeń nie ma racji, że postawił tak oburzające

zarzuty, gdyż chciał na kogoś zrzucić winę za złe stopnie. A w rzeczy samej, kiedy mój ojciec powiedział swemu ojcu, co się wydarzyło, ten spoliczkował go, nazwał kłamcą i zabronił kiedykolwiek jeszcze powtarzać te plugastwa.

Pittman był zdumiony.

— Tak więc mój ojciec trzymał to w tajemnicy i nigdy nikomu o tym nie powiedział, do chwili kiedy

zasugerowałem, że Grollier mógłby być dobrą szkołą dla moich synów.

— Ale przecież inni uczniowie mogliby potwierdzić to oskarżenie — powiedział Pittman.

— Czyżby? Czy rodzice pozwoliliby, aby ich dzieci wypytywać o takie skandaliczne sprawy?

Wątpię. W każdym razie jest to bardzo dyskusyjne. I nigdy do tego nie doszło.

Z błyskiem w błękitnych oczach Jill wychyliła się do przodu.

— Czy wynika z tego, że Duncan Kline czynił awanse także superdoradcom? I że zostały one przyjęte?

Meecham wpatrywał się w szklanę.

— Byli tymi nielicznymi wybranymi przez niego i cały czas uczęszczali na jego seminarium.

Wtedy,

kiedy ojciec mi o tym opowiadał, moi synowie zaczęli szkołę w połowie lat siedemdziesiątych; było

już za późno, by coś zrobić z samym Kline'em, który umarł w początkach lat pięćdziesiątych.

Przeszedł już wtedy na emeryturę i mieszkał tu, w Bostonie. Ojciec powiedział, że jednym z najszcześniejszych dni w jego życiu był ten, w którym przeczytał nekrolog Kline'a. A wiercie mi, nie

miał zbyt wielu szczęśliwych dni w życiu.

Meecham dokończył martini i spojrzał na dzbanek, jakby chciał nalać sobie następnego drinka.

— Nie wiem, czego państwo chcą dowieść, ale jeśli w Grolier nadal są tacy wychowawcy jak Kline

lub uczą tam jego wychowan-

287

kowie, i jeśli pańska książka ujawni to wszystko, wspólnie uczynimy coś dobrego.

— Czy zgodziłby się pan, aby zacytować pańskie słowa? —

zapytał Pittman.

Meecham obruszył się gwałtownie.

— Oczywiście, że nie. Sądzi pan, że chciałbym zwrócić na siebie uwagę? Już powiedziałem,

rozmowa ta jest ściśle poufna. Po prostu wskazałem panu prawidłowy kierunek. Myślę, że znajdzie się

ktoś, kto zechce skonkretyzować to, co ja powiedziałem. Proszę zapytać superdoradców. —

Gorzkie

rozbawienie odmalowało się na twarzy Meechama. — Zobaczymy, czy oni będą chętnie się do tego przyznawać.

— Kiedy Jonathan Millgate przebywał na oddziale intensywnej opieki, powiedział do swojej pielęgniarki trzy słowa: „Duncan. Śnieg. Grolier”. Jak pan sądzi, co miał na myśli mówiąc „śnieg”?

— Nie mam pojęcia. Z całą pewnością ojciec nie wspominał o niczym, co mogłoby łączyć

Duncana

Kline'a ze śniegiem.

— To slangowe określenie. Czy mogłoby to odnosić się do

kokainy?

— Też nie mam pojęcia. Wątpię, czy tego określenia używano w latach trzydziestych. I czy ktoś tak

dystygowany jak Jonathan Millgate poniżyłby się do takiego wulgarnego języka? — Meecham

wzruszył ramionami z dezaprobatą, po czym odwrócił się słysząc pukanie do drzwi.

Wszedł Frederick.

— Proszę pana, przyszło dwóch policjantów.

Pittman poczuł nagłe uderzenie adrenaliny. Meecham wyglądał na zaskoczonego. — Policjanci?

— Detektywi — odpowiedział Frederick. — Chcą wiedzieć, czy kontaktował się z panem jakiś Matthew Pittman. Podróżuje z kobietą i... — Frederick utkwiał wzrok w Pittmanie i Jill.

Meecham zmarszczył czoło.

— Dokąd prowadzą te drzwi? — Pittman nieoczekiwanie się podniósł i przeszedł przez pokój do drzwi prowadzących gdzieś na tyły domu. Drzwi były jedynym pozostałym wyjściem z pokoju, a ponieważ zdecydowanie nie miał zamiaru korzystać z tych, przez które wszedł Frederick, czy też wyjść na korytarz, gdzie mogliby zobaczyć go policjanci, musiał wybrać inną drogę. Usłyszał za sobą

kroki Jill.

— Co państwo wyprawiają? — zaprotestował Meecham.

Ale Pittman otworzył już drzwi i zniknął w wąskim holu mając za sobą Jill. Oddychał szybko.

— Proszę się zatrzymać! — zażądał Meecham.

Po lewej stronie minęli wejście do kuchni. Mignął im kucharz w białym kitlu, z rozdziawionymi zaskoczenia ustami. Biegli dalej korytarzem do drzwi wyjściowych, przez których szybę widać było wybrukowany dziedziniec.

Pittman pchnął drzwi i poczuł nagły ucisk w piersiach. Zorientował się bowiem, że mroczny dziedziniec kończy się wysoką bramą

19 —

Desperackie kroki

289

z żelaznych prętów, jeszcze wyższym murem i powozownią zamienioną na garaż.

— Nigdy się stąd nie wydostaniemy!

Zdezorientowany spojrzął za siebie. Na przeciwległym końcu holu pojawił się Frederick. Kucharz stanął w drzwiach kuchni. Ciężkie kroki zadudniły w korytarzu od frontu.

Po prawej stronie prowadziły na górę schody. Pittmanowi przyszło na myśl, że to jedyna droga ucieczki i ciągnąc Jill za sobą zaczął wbiegać na górę. Na półpiętrze schody zmieniły kierunek i dotarli na wyższe piętro. Po obu stronach korytarza dostrzegli pozamykane drzwi. Słyszeli, jak Meecham wydaje z oburzeniem polecenia komuś na dole. Pittman drgnął, gdy nagle drzwi na przeciwko otworzyły się.

Stanęła w nich, tak słabowita z pozoru, matka Meechama.

— Co to za hałas? Prawie nie słyszę telewizora. Pittman wykonał uspokajający gest.

— Pani Meecham, czy pani sypialnia zamyka się na klucz?

— Oczywiście. Każda sypialnia ma zamknięcia. Czy myśli pan, że chciałabym, aby ktoś przeszkadzał mi, gdy mu się tylko spodoba? Co państwo robią tutaj na górze?

— Dziękuję. — Pittman, pociągając za sobą nic nie rozumiejącą Jill, wszedł do pokoju.

— Nie możecie tam wchodzić — zaprotestowała pani Meecham. Pittman zatrzaskał drzwi i przekreślił klucz. Pokój był ładnie

umeblowany, z koronkowymi firankami i łóżkiem z baldachimem rozpiętym na czterech kolumnkach. Muzyka płynąca ze stojącego w rogu telewizora zagłuszała niemal słabe uderzenia pani Meecham do drzwi.

Jill obróciła się do Pittnana.

— Co my wyprawiamy?

Nagły błysk zrozumienia rozjaśnił jej twarz, gdy Pittman podbiegł do okna i otworzył je gwałtownie. Wychodziło na tył domu, powyżej stromego dachu garażu.

— Pospiesz się.

Nie wiedzieć czemu Jill nie poruszyła się.

— Co się stało?

Wpatrywała się jak zaczarowana w drzwi. Po chwili odwróciła się.

— No, dalej! — ponaglał ją.

Tym razem ożyła i zaczęła zdejmować lakierki.

— Tak to jest, jak się nosi spódnice.

Plisa rozerwała się, gdy Jill podniosła nogę i zaczęła przechodzić przez okno. Walenie do drzwi sypialni nasiliło się. Słychać było zagniewane męskie głosy. Drzwi zadrżały, jakby ktoś mocno naparł na nie ramieniem.

Krzywiąc się od bólu w żebrach, Pittman ruszył za Jill. Garaż miał dwustronny spadzisty dach, z trudem więc zachowywał równowagę biegnąc po jego krawędzi.

Za sobą w sypialni usłyszał nagły rumor. Tymczasem Jill była już przy końcu krawędzi i skoczyła na coś w dół. Po chwili widać było, jak zniknął za najbliższym rogim budynku. Kiedy dotarł do krańca, zobaczył, że to, na co skoczyła Jill, było wąskim na stopę wysokim murem okalającym dziedziniec, odgradzającym posiadłość od innej rezydencji. Na odgłos krzyków za plecami zeskoczył i pobiegł za nią, oddychając tak szybko i głęboko, że poczuł w płucach palący ogień. Z okna był już zupełnie niewidoczny. Starał się utrzymać na wąskim murku, biegnąc śladem Jill,

która z pantoflami w jednej, a torebką w drugiej ręce, na bosaka pokonywała dach kolejnej powozowni przerobionej na garaż.

Dachówka obsunęła się pod jej stopami, z hałasem rozbijając się

o bruk. Jill straciła równowagę i zaczęła, się zsuwać z dachu. Pittman chwycił ją za ramię.

Wypuściła z ręki buty, które spadły obok dachówki.

Ruszyli do przodu, kiedy Pittman zatrzymał się niespodziewanie. Za garażem nie było już muru.

Był tylko dziedziniec otoczony budynkami. Przed garażem stał zaparkowany czerwony jaguar.

Pittman zeskoczył wprost na jego dach, który na szczęście wytrzymał uderzenie. Jill nie potrzebowała zachęty, skoczyła za nim na karoserię tak wywoskowaną, że jej nagie stopy uciekły jej do przodu. Pittman podtrzymał ją, nie dopuszczając do upadku,

i pomógł zsunąć się na ziemię, po czym zeskoczył obok niej.

Właściciel jaguara najwidoczniej zamierzał wyjeżdżać. Brama na ulicę była otwarta. Wybiegli na wąską, spokojną, wysadzaną drzewami uliczkę, tuż za rogami posiadłości Meechama.

Ich szary duster stał kilka metrów dalej.

290

291

— Prowadź. — Jill rzuciła mu kluczyki, wskoczyła na tylne siedzenie nisko się pochylając.

Kiedy Pittman ruszał od krawężnika, usłyszał, jak się z czymś zмага.

— Co tam robisz?

Wciąż skulona, szamotała się z tyłu.

— Jill, co tam?

— Ściągam tę cholerną spódnicę i wskakuję w dzinsy. Rozerwała mi się na tyłku. Nie mam zamiaru

demonstrować bielizny, gdy mnie aresztują.

Chociaż przestraszony i bez tchu, nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

— Tak to bywa ze spódnicami. I z tymi bezsensownymi lakierkami. Nie obchodzi mnie, czy wywrę

na kimś wrażenie. Do diabła z tą ucieczką. Od teraz tylko trampki, sweter i dzinsy. Ale skąd, u licha,

poliqa wiedziała, że byliśmy u Meechama? Kto mógł ich zawiadomić?

Pittman ponuro patrzył przed siebie.

— Tak, to rzeczywiście zastanawiające — zamyślił się. — Kto to mógł być?

— Chwileczkę. Myślę, że w grę wchodzi tylko jedna osoba. Facet, do którego dzwoniłam.

— Ten z fundacji absolwentów?

— Tak. Musiał jeszcze tego samego wieczora pochwalić się ojcu, że wyświadczył mi przysługę.

— To z pewnością on. Twój ojciec musi wiedzieć, że cię szukają. Zaraz po jego telefonie zadzwonił

na policję i podał im adres, o który pytałaś.

— Powinniśmy być bardziej ostrożni.

Pittman skręcił w Charles Street, zmniejszając trochę prędkość, aby nie rzucać się w oczy. Kiedy inne

samochody zaczęły włączać światła, zrobił to samo.

— Oczywiście — powiedział. — Bardziej ostrożni. A co właściwie zamierzałaś zrobić?

— Mówiłam ci, wkładałam dzinsy.

— Nie, mam na myśli tam w domu. W sypialni. Wyglądało, jakbyś nie chciała ze mną iść.

Jill nie odezwała się.

292

— To prawda? Rzeczywiście myślałaś, żeby tam zostać?

— Przez sekundę... — Jill zawahała się. — Powiedziałam sobie, że nie mogę uciekać w nieskończoność, że policja nie po mnie przysła. To ludzie Millgate'a chcą mnie zabić. Pomyślałam, że można to od razu skończyć, że zostanę i oddam się w ręce policji, wyjaśnię, dlaczego uciekałam

i

wytłumaczę im, że jesteś niewinny.

— Jasne. Mogę się założyć, że mieliby niezły ubaw na posterunku. — Chociaż mógł zrozumieć motywy Jill, na myśl, że mogła go opuścić, poczuł się nieswojo. — A co sprawiło, że się nie zdecydo-

wałaś? Dlaczego nie zostałaś?

— To ta historia, którą mi opowiedziałeś o swoim aresztowaniu, kiedy próbowałeś uzyskać wywiad z

Millgate'em siedem lat temu.

— To prawda. Dwóch więźniów, prawdopodobnie pracujących dla Millgate'a, pobiło mnie w celi.

— Policja nie spieszyła się zbyt, żeby ci pomóc.

— Albo strażnicy dostali w łapę, żeby zrobić sobie długą przerwę na kawę. — Pittman nie mógł pozbyć się goryczy na myśl, że mogła go zostawić. — Nigdy nie ma pewności, że władze zagwarantują ci bezpieczeństwo. To dlatego postanowiłaś mnie nie opuszczać? Twój rozsądek wziął górę? Posłuchałaś swojego instynktu samozachowawczego?

— Nie — powiedziała Jill.

— Odruch samoobrony.

— Nie, nie dlatego. To nie miało nic wspólnego z zastanawianiem się, czy policja będzie w stanie mnie ochronić.

— A więc...?

— Martwiłam się o ciebie. Nie mogłam sobie wyobrazić, jak sam sobie dasz radę.

— Spokojnie, poradziłbym sobie.

— Nawet sobie nie zdajesz sprawy, jaki jesteś nieodporny.

— Racja, widzę to za każdym razem, kiedy do mnie strzelają.

— Nieodporny emocjonalnie. W zeszłą środę chciałeś się zastrzelić.

— Nie musisz mi tego przypominać. Zaoszczędziłoby to kłopotu wielu ludziom.

Jill precyzyjnie się na przednie siedzenie.

— Udowodniłaś właśnie, że mam rację. Sądzę, że posunąłeś się tak daleko, bo potrzebujesz kogoś bliskiego. Nigdy nie spotkałam

293

tak samotnego człowieka. Jak mógłbyś nadal to ciągnąć, gdybyś nie miał dla kogo żyć, dbać o kogoś?

Pittman poczuł lodowaty chłód w piersiach. Nie był w stanie nic odpowiedzieć. Jechał przez ciemną ulicę Boston Common do Columbus Avenue, w odwrotnym kierunku niż jechali poprzednio.

— Powodem, dla którego zdecydowałam się zostać — wyznała Jill — było to, że nie chciałam być z

dala od ciebie.

Pittman przemówił z trudem:

— Zrobiłaś sporo przemyśleń w ciągu kilku sekund.

— Myślałam o tym już od jakiegoś czasu. Chciałabym przekonać się, jak by nam było razem, kiedy

to wszystko się skończy.

— Jeśli... — stwierdził Pittman — jeśli to kiedyś nastąpi. Jeśli w ogóle sobie z tym poradzimy.

— To było dla mnie coś nowego. Zaskoczyłaś mnie. Kiedy przedstawiłaś mnie jako swoją żonę...

— Co?

— Spodobało mi się to.

Pittman był tak zdumiony, że przez chwilę nie reagował. Dotknął w milczeniu jej dłoni.

Za nimi głośno zatrąbił samochód, gdy skręcił gwałtownie i zatrzymał się przy krawężniku. Ze ściśniętym gardłem wpatrywał się w Jill, w czarujący owal jej twarzy, długie jasne jedwabiste włosy,

szafirowe oczy, w których odbijały się światła przejeżdżających samochodów.

Pochylił się i delikatnie ją pocałował, a jej miękkie usta przypawiły go o dreszcz. Kiedy objęła go

ramionami, ogarnęła go fala uczucia. Pocałunek trwał i trwał. Lekko rozchyliła wargi.

Poczuł jej smak.

Zakręciło mu się w głowie i powoli odchylił się do tyłu, prawie nie oddychając. Wpatrywał się w nią

coraz intensywniej.

— Nie myślałem, że kiedykolwiek jeszcze coś takiego poczuję.

— Czekasz na mnie jeszcze mnóstwo takich wrażeń — odpowiedziała. Pittman pocałował ją znów, tym razem z taką namiętnością, że aż poczuł zamęt w głowie.

Drżąc całym ciałem, odsunął się od niej.

— Moje serce wali tak szybko...

— Wiem — powiedziała Jill. — Ja za to czuję lekki zawrót głowy.

294

Przejeżdżający samochód zatrafił głośno. Pittman spojrział przez okno. Tam gdzie się zatrzymał, był zakaz parkowania.

— Ostatnią rzeczą, której potrzebujemy, jest mandat.

Ruszył dalej.

Natychmiast zauważył samochód policyjny na rogu następnej ulicy. Próbował jechać spokojnie, patrząc prosto przed siebie. Wydawało mu się, że minęła wieczność, nim przejechał obok. W lusterku

zobaczył, jak samochód wolno rusza, nie za nimi, lecz dalej, w przecznice.

Przestał kurczowo ścisnąć kierownicę. Na czole poczuł kropelki potu. Teraz bał się bardziej niż przedtem.

Dokąd jedziemy? Pittman wzruszył ramionami, mrużąc oczy od blasku reflektorów zatłoczonej Massachusetts Turnpike. Przez kilka minut rozmyślał nad nagłą zmianą w ich wzajemnych stosunkach.

— Wyjeżdżamy z Bostonu, ale dokąd? Nie mam pojęcia. Nie wiem, co dalej robić. Dużo się dowiedzieliśmy. Ale tak naprawdę to nadal nic nie wiemy. Nie chce mi się wierzyć, że ludzie Millgate'a chcieli nas zabić tylko dlatego, że odkryliśmy, co mu się przydarzyło w szkole.

— Założmy, że nie był nagabywany.

— Wszystkie okoliczności wskazują, że tak...

— Chodzi mi o to, że może się zgadzał. Może ludzie Millgate'a uważają, że jego reputacja zostanie zrujnowana, jeśli ktoś się dowie...

— Myślisz, że właśnie tego się obawiają?

— Wyznał ci coś o Grollierze i za to go zabili. A teraz chcą powstrzymać ciebie. A także mnie, ponieważ przypuszczają, że powtórzyłeś mi wszystko.

— Zabić dla ratowania reputacji? Nie wierzę. Musi chodzić o coś więcej. Sądzę, że nie poznaliśmy jeszcze całej prawdy. Może to inni superdoradcy próbują chronić swoje dobre imię? I nie chcą, żeby ktokolwiek wiedział, co im się przydarzyło w szkole.

— O co tu naprawdę chodzi? Jak to udowodnić? — zapytała

296

Jill. Potarła ręką czoło. — Nie jestem już w stanie myśleć. Padnę, jeśli nie zjem czegoś...

Wskazała na prawo, na oświetlony sodowymi lampami parking przy wjeździe na autostradę.

— Mnie też burczy w brzuchu. — Pittman skierował samochód w kierunku podjazdu pod stację benzynową i restaurację, gdzie zaparkował z dala od stojących w rzędzie wielotonowych ciężarówek.

Kiedy wyszli z samochodu, objął ją.

— I co my teraz zrobimy? — oparła głowę na jego ramieniu. — Gdzie szukać odpowiedzi?

— Jesteśmy już zmęczeni. — Poglądził ją po włosach i pocałował. — Kiedy coś zjemy i odpoczniemy trochę...

Trzymając się za ręce podeszli do jasno oświetlonego wejścia. Podjeżdżały samochody. Pittman

uważnie spojrzął na półciężarówkę, która zatrzymała się obok.

Przez opuszczone okno w kabinie docierał do nich głos radiowego spikera, czytającego wiadomości.

— Chyba jestem przewrażliwiony. Wydaje mi się, że każdy patrzy na mnie podejrzliwie — skonstatował.

Kiedy przechodzili obok drzwi samochodu, usłyszał, jak barczysty kierowca rozmawia z kimś głośno.

Mimo to zdołał wyłowić słowa spikera.

Spojrzał na samochód.

— O Boże.

— Co się stało?

— Wiadomości. W radiu, w samochodzie. Nie słyszałaś?

— Nie.

— Anthony Lloyd. Jeden z superdoradców. Nie żyje.

Skonsternowani szybko zawrócili do dustera. Pittman włączył radio i kręcił gałką trafiając na jakieś konkursy i muzykę country.

— Musi być jakaś stacja z wiadomościami.

Włączył silnik w obawie, że wyczerpie się akumulator. Po dziesięciu minutach trafił na skrót wydarzeń.

— Anthony Lloyd, były ambasador przy ONZ, w ZSRR i Wielkiej Brytanii, były sekretarz stanu i sekretarz obrony zmarł dzisiejszego wieczoru w swoim domu w Waszyngtonie — donosił reporter poważnym tonem. — Będąc jednym z legendarnej grupy pięciu dyplomatów, których kariera wiązała

się z wydarzeniami rangi światowej poczynawszy od drugiej wojny do czasów obecnych, Lloyd był, wspólnie z nimi, określany jako superdoradca. Cytując słowa Harolda Fiska, obecnego sekretarza stanu „Anthony Lloyd wywarł wielki wpływ na amerykańską politykę zagraniczną ostatnich pięćdziesięciu lat. Ze smutkiem będziemy odczuwać brak jego mądrości”. Aczkolwiek przyczyna śmierci nie została dotąd ustalona, mówi się, że Lloyd, liczący sobie osiemdziesiąt lat, zmarł w wyniku udaru mózgu po stresie wywołanym zamordowaniem jego kolegi, Jonathana Millgate'a, innego z superdoradców. Władze wciąż poszukują Matthewa Pittmana, byłego reportera, odpowiedzialnego rzekomo za śmierć Millgate'a.

Kiedy w dzienniku zmienił się temat, Pittman wyłączył radio. Wpatrywał się w ciszy w deskę rozdzielczą.

298

— Zmarł na udar mózgu? — zdumiała się Jill.

— Lub został zamordowany. Dziwne, że nie obarczają mnie również jego śmiercią.

— W jakimś sensie tak. Twierdzą, że pierwsza śmierć pociągnęła za sobą drugą.

— Zmarł z powodu stresu. — Pittman zagryzł wargi. Obrócił się do Jill. — A może z poczucia winy?

Ze zgryzoty? Może coś przydarzyło się im wszystkim? Może superdoradcy nie są tak odporni, jak sądzili?

— Co zamierzasz?

— Musimy coś zjeść po drodze i spać na zmianę podczas jazdy. Mamy przed sobą długą drogę. Tuż przed siódmą, w szarym świetle poranka Pittman zaparkował w pobliżu dobrze utrzymanego budynku przy Park Slope w Brooklynie. Ruch uliczny nasilał się. Ludzie spieszyli do pracy.

— Mam nadzieję, że jeszcze nie wyszła. W przeciwnym razie będziemy musieli siedzieć tu cały dzień, w obawie, że może być w domu. — Pittman zaczął się golić elektryczną maszynką.

— Jesteś pewien, że pracuje poza domem?

— Gdybyś spotkała wcześniej Gladys, wiedziałabyś, że nie ma dla niej nic mniej atrakcyjnego niż siedzieć w domu, kiedy jej mąż pracuje i w dodatku opiekuje się dzieckiem. — Pociągnął łyk kawy ze styropianowego kubka.

— Czy zostały nam jeszcze jakieś drożdżówki? — Jill zajrzała do swojego kubka i skrzywiła się.

— Trudno uwierzyć, że tak się truję. Prawie nigdy nie piłam kawy, a teraz wciąż ją pochłaniam. Wczoraj rano jadłam pączki. Wieczorem chilli i frytki. A teraz najbardziej kluchowatą drożdżówkę, jaka mi się trafiła w życiu. I ciągle mi ich mało. Po tylu latach zdrowego odżywiania jestem na drodze do samożagłady.

— Tam — skinął Pittman — to Gladys.

Sztywna, z kwaśną miną, wychodziła z budynku zawiązując na głowie chustkę. Zdecydowanym krokiem podażyła chodnikiem.

— Wygląda na taką, która potrafi trzymać wszystko mocno w ryzach — zauważyła Jill.

300

— Rozmowa z nią wywołuje od razu chęć buntu.

— Na szczęście nie będziemy musieli z nią rozmawiać.

— Zgadza się. — Pittman wysiadł z samochodu.

Poszli w kierunku budynku. W westybulu Pittman stanął przed domofonem i udawał, że szuka nazwiska pod przyciskami; w rzeczywistości czekał, aż kobieta i mężczyzna, wychodzący z domu, znikną z pola widzenia w samą porę, żeby zdążył przytrzymać zamykające się drzwi. Weszli razem z Jill do środka kierując się do windy.

Zapukali do apartamentu 4 B. Drzwi otworzyły się. Na widok pittmana Brian Botulfson, wciąż w piżamie, z potarganymi włosami i ze zmęczoną twarzą, zamachał z dezaprobatą rękami.

— Boże, nie. Daj mi spokój. Ostatnią rzeczą, której potrzebuję, jest twój widok...

— Jak się masz, Brian? — przywitał go pogodnie Pittman. — Co u ciebie słychać?

W głębi słychać było dziecko zachłystujące się płaczem, nie zwykłym dziecinnym płaczem, lecz płaczem dziecka chorego, któremu coś dolega. Pittman znał ten płacz dobrze, z czasów gdy Jeremy był mały.

— Wygląda, jakbyś był całą noc na nogach — weszli do środka.

— Co jest, tak nie można...

Pittman zamknął drzwi i przekręcił klucz.

— Nie wyglądasz na uradowanego moim widokiem, Brian.

— Ostatnim razem, kiedy tu byłeś, miałem wiele kłopotów. Gdyby Gladys tu była...

— Ale jej nie ma. Czekaliśmy, aż wyjdzie. Jill była przejęta płaczem dziecka.

— Chłopiec czy dziewczynka?

— Chłopiec.

— Coś z nim niedobrze. Czy ma gorączkę?

— Chyba tak — odparł Brian.

— Nie zmierzył mu pan temperatury?

— Nie miałem czasu. Musiałem go umyć, bo zwymiotował.

— Wygląda, że przydałaby się panu pomoc. Gdzie jest termometr? Lepiej się za nim rozejrzę.

Pittman uniósł ręce do góry.

— Prawie zapomniałem, Brian. To jest moja przyjaciółka, Jill.

301

— Cześć, Brian. Jestem pielęgniarką. Pracowałam na pediatrii. Zajmę się twoim synkiem. Co z tym termometrem?

— Na stoliku obok łóżeczka — wskazał Brian.

Kiedy Jill weszła do pokoju na lewo od kuchni, Pittman stwierdził:

— Widzisz, jakie masz dzisiaj szczęście.

— Jak cholera. Słuchaj, nie przychodź tu więcej. Policja cię szuka.

— Nie żartuj.

— Nie chcę być w to zamieszany. Nie mogę...

— Więcej tu nie przyjdę. Przysięgam. Słowo harcerza.

— To samo mówiłeś zeszłym razem.

— Wtedy nie przysięgałem na honor harcerza.

Brian zajęczał.

— Jeśli policja odkryje...

— Jestem niebezpiecznym kryminalistą. Powiesz im, że tak cię nastraszyłem, że musiałeś mi pomóc.

— W gazetach piszą, że zabiłeś księdza i człowieka w jakimś mieszkaniu... straciłem już rachubę.

— To nie była moja wina. Wszystko można łatwo wyjaśnić.

— Ale tego nie zrobiłeś. Nie chcę nic wiedzieć o tym, co robisz.

Byłbym twoim współnikiem.

— W tym się zgadzamy. Ja też nie chcę, żebyś wiedział, co robię. Ale jeśli odmówisz mi pomocy, a zostanę złapany, przekonam policję, że jesteś moim współnikiem — Igał Pittman.

— Ani się waż. Mógłbym znów pójść do więzienia.

— Wyobraź sobie, co powiedziałyby Gladys. Ale ja nigdy nie odwracam się od moich przyjaciół, Brian. Im szybciej to zrobimy, tym szybciej stąd wyjdę. Chcę, żebyś dał mi krótki kurs włamywania się do komputerów.

Jill wyjrzała z pokoju dziecka.

— Ma prawie czterdzieści stopni gorączki.

— To bardzo źle? — spytał Brian nerwowo.

— Niezbyt dobrze. Ale myślę, że mogę ją trochę spędzić. A propos, w przypadku gorączki dzieciom nie można absolutnie dawać aspiryny. Może spowodować poważne powikłania, tak zwany zespół Reye'a. Masz może paracetamol?

— Widzisz? — z satysfakcją odezwał się Pittman. — Jest

302

w dobrych rękach. A teraz chodźmy, Brian. Odpłać za wizytę domową. Pokaż, jak zrobić małe włamanko. Będziemy się tak kręcić po domu, dopóki nie wróci Gladys? Brian pobladł.

— Do którego programu chcesz się dostać?

— Zastrzeżone numery telefonów i adresy właścicieli.

— W jakim mieście?

— Nie chcę ci tego mówić, Brian. Pokażesz mi tylko, jak to zrobić. A potem posiedzisz sobie w kąciaku, a ja pobawię się komputerem.

— Chyba się zaraz rozpłaczę.

8

Czy z dzieckiem będzie wszystko dobrze? — Pittman ruszył spod budynku. — Jeśli Brian będzie mu

podawał dawkę, jaką mu zapisałam. I płyny. Mycie gąbką też nie zaszkodzi. Powiedziałam mu, że jeśli gorączka się podniesie albo dziecko będzie nadal wymiotowało, powinien wezwać lekarza.

Fajny

dzieciak. Myślę, że wkrótce będzie zdrowy.

— I może wreszcie Brian trochę pośpi w nocy.

— Jeżeli Gladys nie zacznie mu dokuczać. Czy pomógł ci zdobyć to, co chciałeś?

Pittman wyciągnął kartkę papieru.

— Nauczyłem się czegoś na błędzie, który popełniliśmy z facetem ze Stowarzyszenia Absolwentów.

Nie pozwól nikomu poznać, jaki będzie twój następny ruch. Brian pokazał mi, jak zdobyć zastrzeżone

telefony i adresy. Lecz nie wiedział czyje i w jakim mieście.

— Waszyngton. Pittman skinął głową.

— Superdoradcy. Pittman znów przytaknął.

— To długa jazda.

— Nie możemy polecieć samolotem. Musiałabyś wykorzystać czek albo kartę kredytową, żeby

kupić

bilety. Twoje nazwisko byłoby w komputerze. Policja tylko na to czeka. Musimy jechać samochodem.

304

— Ty rzeczywiście wiesz, jak zapewnić dziewczynie miłe spędzenie czasu. Myślę, że naciągnę koc na głowę i przyjmę pozycję płodową.

— Dobry pomysł. Odpocznij trochę.

— Ty też powinienesz. Musimy być wypoczęci, jeśli mamy namierzyć superdoradców.

— Jeszcze nie teraz.

— Myślałam, że jedziemy do Waszyngtonu.

— Tak, ale najpierw muszę się tam z kimś spotkać.

— Z kim?

— Z człowiekiem, z którym dawno temu przeprowadzałem wywiad.

20 — Desperackie kroki

Było już po zmroku, kiedy znaleźli się na Obwodnicy Waszyngtońskiej, kierując się na południe autostradą 1-95, a potem na zachód pięćdziesiątką, do Massachusetts Avenue. Pomimo wyczerpania Pittman prowadził sprawnie w dużym ruchu.

— Wygląda na to, że wiesz, jak jechać wokół miasta — pochwaliła Jill.

— Kiedy pracowałem w dziale spraw krajowych, spędzałem tu sporo czasu.

Okrążyli Dupont Circle i pojechali P Street do Georgetown.

— Podobnie tu jak w Beacon Hill.

— Chyba tak.

Pittman popatrzył na wąską zadrzewioną ulicę. Jeźdnie były wyłożone kostką, przechodzącą dalej w czerwoną cegłę. Wiktoriańskie oraz pochodzące z czasów federalizmu rezydencje przylegały ciasno do siebie.

— Nigdy tu nie byłaś?

— W ogóle nie byłam w Waszyngtonie. Nowy Jork był wystarczająco daleko od moich rodziców.

— Georgetown jest najstarszą i najbogatszą dzielnicą w mieście.

— Pozostali superdoradcy mieszkają tutaj? Pittman przecząco pokręcił głową.

— Tu byłoby za mało reprezentacyjne miejsce jak dla nich. Mieszkają w swych posiadłościach w Wirginii.

— Więc z kim chcesz się tu spotkać?

306

— Z człowiekiem, który ich nienawidzi.

Skierowali się na południe Wisconsin Avenue. Światła reflektorów i latarni raziły go w oczy.

— Z facetem, do którego dzwoniłem z każdego postoju. Bradford Denning. Teraz jest w podeszłym wieku, ale kiedyś był uznanym dyplomata. Za administracji Trumana rozstawiał wszystkich po kątach w Departamencie Stanu. Mówił, że niewiele brakowało, a zostałby sekretarzem stanu.

— Dlaczego nie został?

— Superdoradcy. Nie podobało im się, że z nimi konkurował, i usunęli go z drogi.

— Jak im się to udało?

— Denning twierdzi, że (a było to podczas mcarthowskiej epoki polowania na czarownice) rozpuścili pogłoski, jakoby miał ciągoty komunistyczne.

— W początkach lat pięćdziesiątych to rzeczywiście mogło zrujnować karierę.

— I faktycznie oznaczało koniec Denninga. Nie był w stanie odwrócić tego wszystkiego, dostawał coraz mniej odpowiedzialne zadania, aż w końcu musiał zrezygnować. Według niego, wskazując, że ktoś sympatyzuje z komunistami, zrujnowali nie tylko jego karierę. Wkradli się w łaski nadchodzącej administracji Eisenhowera, zastępując atakowanych dyptomatów i

przejmując kontrolę nad najwyższymi stanowiskami dyplomatycznymi. Trwało to do lat sześćdziesiątych, kiedy demokraci, z Kennedym na czele, ponownie przejęli Biały Dom. Kennedy wolał raczej pracować z przyjaciółmi i rodziną niż z zawodowymi dyplomatami. Przez trzy lata superdoradcy trzymali się na uboczu. Ale po zabójstwie Kennedy'ego Johnson, który go nie cierpiał, skwapliwie pozbył się jego ludzi z Departamentu Stanu i Białego Domu. Przywrócił superdoradcom ich dyplomatyczne wpływy. Po raz drugi sprytnie udało im się zyskać akceptację innej partii politycznej. Od tej pory działali jakby ponad systemem dwupa-rtijnym, tak że kiedy Nixon i republikanie wrócili do władzy pod koniec lat sześćdziesiątych, nie mieli trudności w utrzymaniu swych pozycji. I tak to szło. W okresach zwiększonego napięcia międzynarodowego późniejsi prezydenci korzystali z ich rad.

— A co z Denningiem?

307

— Prowadził aktywne życie, przynajmniej w powszechnym mniemaniu. Uczył w college'u.

Pisywał

w czasopiśmie politycznych, a także w rubrykach redakcyjnych „New York Timesa” i

„Washington

Post”. Zawsze jednak czuł się oszukany i nigdy nie wybaczył superdoradcom. W rzeczy samej poświęcił większość wolnego czasu na przygotowanie książki na ich temat, ukazującej całą ich bezwzględność.

— Więc stąd tyle o nim wiesz? Z tej książki?

— Nie. Ona nigdy się nie ukazała. Gdy była już na ukończeniu, w jego domu wybuchł pożar i wszystkie notatki uległy zniszczeniu. Po tym wydarzeniu stał się człowiekiem przegranym. Siedem lat

temu szykowałem artykuł o Millgacie, jedna z nielicznych osób, które zgodziły się na rozmowę ze mną, opowiedziała mi o Denningu. Przyjechałem do Waszyngtonu, żeby z nim porozmawiać.

Rozpił

się. Wszystko, co mówił, to głównie insynuacje. Przekonywał, że miał dowody, ale przepadły w pożarze, i doszedłem do wniosku, że nie mógłbym się na niego powołać. Zresztą i tak nigdy nie napisałem tego artykułu. Kiedy zostałem aresztowany i tych dwóch więźniów przetrąciło mi szczękę,

mój wydawca przydzielił mnie do

innej roboty.

Pittman zamyślił się. Wspomniał Burta Forsytha — nie tylko wydawcę, ale także najbliższego przyjaciela. Jak żywa stanęła mu przed oczami bójka na terenie budowy na Dwudziestej Szóstej,

Burt,

cofający się przed zabójcą i ten, strzelający do Pittmana,

a potem do Burta.

Poczuł, jak żal chwyta go za pierś, ściskając aż do utraty tchu. Nie musieli go zabijać — pomyślał.

—

Sukinsyny.

— Wyglądasz, jakbyś był niesamowicie wściekły — odezwała się Jill.

— Nie sądzisz, że mam powody?

— Niewątpliwie. Ale to dość zastanawiające.

— W jakim sensie?

— Kiedy zjawiłeś się w niedzielę w moim mieszkaniu, jedynym uczuciem, jakie po tobie było widać,

była desperacja. Byłeś bierny, uciekałeś w obliczu zagrożenia. Ale złość oznacza aktywność.

Pozwól,

że cię o coś spytam. Gdyby w jakiś sposób doszło do zawieszenia broni, policja przestałaby cię ścigać

i superdoradcy zostawiliby cię w spokoju, czy poprzestałbyś na tym?

— Po tym wszystkim, co musiałem przejść przez tych drani? Nie ma mowy.

— Rzeczywiście, bardzo się zmieniłeś.

— Nie masz pojęcia, jak bardzo. Dziś jest środa. Pamiętaj, że zaledwie tydzień temu byłem gotowy się zabić.

Jill nie zareagowała wpatrując się w niego cały czas.

— Powiedz coś.

— Próbuję zapomnieć, jak bardzo byłeś przybity.

— Wciąż jestem. Nic nie ugasiło mojego żalu za Jeremym.

— I będzie tak przez resztę twojego życia.

— To prawda.

— Ale jeśli tak bardzo chciałeś umrzeć, czy nie powinieneś pozwolić, żeby superdoradcy cię wyręczyli? Nie. Coś się stało w ciągu tego ostatniego tygodnia, coś co sprawiło, że chcesz, żeby reszta twojego życia trwała tak długo, jak to możliwe. __YY

Jill dotknęła jego ramienia z czułością.

— Ale uciekałeś już od kilku dni, zanim zjawiłeś się u mnie. Miałeś mnóstwo okazji, żeby poddać się

swojej rozpacz. Wiesz, co

o tym myślę?

Pittman nie odpowiadał.

— To strach sprawił, że ożyłeś. Wspominałeś mi, że czasami miałeś wrażenie, że Jeremy jest z tobą,

mówi do ciebie.

Pittman skinął głową.

— Myślisz, że to głupie?

— Wprost przeciwnie, myślę, że to ci wyszło na dobre. Myślę, że Jeremy popchnął cię do walki.

Że

chciał, abyś znalazł jakiś cel w życiu.

Głos Pittmana był ochryply ze wzruszenia.

— Dobrze byłoby w to wierzyć.

Wyteżył wzrok w kierunku jasných światel i sznura samochodów przy zbiegu Wisconsin Avenue i M

Street.

— Coś się stało przed nami? Jakiś wypadek? — spytała zaskoczona Jill.

Pittman z ulgą zmienił temat.

— Nie, tu zawsze jest duży ruch. Tu, na Wisconsin Avenue

1 M Street skupia się życie w Georgetown, bary, restauracje, nocne kluby, sklepy sprzedające wszystko, o czym tylko zamarzysz, pod warunkiem że to będzie drogie.

309

— Czy Denning gdzieś tutaj mieszka?

— Nie, nie mógłby sobie na to pozwolić. Utrzymuje się tylko z niezbyt wysokiej emerytury. Kiedy w

końcu złapałem go telefonicznie, przedstawiłem mu się jako dziennikarz piszący artykuł w związku ze

śmiercią Anthony'ego Lloyda. Powiedziałem mu, że tylu dyplomatów i polityków go wychwalało, że

pomyślałem, że odmienna opinia może wzbogacić mój artykuł. Spytałem, czy mogę zaprosić go na kolację. Był wręcz uszczęśliwiony. Oświadczył, że ma zamiar wyprawić egzekwie za duszę Lloyda, a

potem — Pittman zawahał się — usiąść ze mną i dobrze sobie podjąć, aby to uczcić.

10

Restauracja II Trovatore była przestronna, przyjemnie oświetlona, ze stolikami rozstawionymi na

tyle

luźno, aby politycy i inne osobistości mogły swobodnie omawiać delikatne kwestie bez obawy, że ktoś

ich podsłucha. Kiedy weszli do środka, Pittman rozpoznał po prawej stronie baru znanego senatora. Jeden z czołowych dziennikarzy telewizyjnych jadł kolację w towarzystwie ważnie wyglądającej figury przy stoliku po lewej. W głębi ktoś na pianinie grał spokojny jazz. Pobrząkiwanie srebrnych sztućców o talerze i przytłumione głosy mieszały się z łagodną muzyką, głuszając prowadzone rozmowy.

— Słucham pana? — kierownik sali w białej marynarce z dezaprobatą spojrział na Jill, ubraną w sweter, dzinsy i trampki.

— Mamy rezerwację na nazwisko Bradforda Denninga. — Pittman zamówił telefonicznie rezerwację

podczas jednego z przystanków w drodze do Waszyngtonu.

Kierownik zajrzał do trzymanej w ręku listy z nazwiskami.

— Zgadza się, pan Denning już jest. Siedzi przy stoliku.

— Doskonale.

Maftre w dalszym ciągu spoglądał z niechęcią na strój Jill.

— Jeśli są jakieś problemy co do ubioru... — Pittman dyskretnie wręczył mu dwudziestodolarowy banknot, uszczuplając ich zasoby gotówki.

— Nie widzę żadnego problemu, sir. Proszę za mną. Poprowadził ich do stolika w tylnej części restauracji, przy

311

którym samotnie siedział niski, szczupły starszy człowiek. Przerzedzone siwe włosy kontrastowały z

żywymi, brązowymi oczami i rumianymi policzkami. Ubrany był w szary, niemodny już garnitur.

Popijał whisky z lodem. Obok stała druga opróżniona szklaneczka.

— Bardzo proszę, sir — zwrócił się szef sali do Pittmana.

— Dziękuję bardzo.

— Miłego wieczoru.

Pittman zwrócił się do człowieka przy stoliku.

— Bradford Denning?

— Lester King?

— Tak jest.

Ponieważ policja wiedziała, że Pittman używał nazwiska Peter Logan, uznał, że zmiana jest niezbędna. Zdawał sobie sprawę, że Denning może go rozpoznać, ale musiał zaryzykować. Spotkali się tylko raz, i to siedem lat temu, a Denning tak się wtedy upił, że było prawie niemożliwe, by pamiętał tamten wieczór.

— To jest moja asystentka, Jennifer.

— Miło mi. — Ostrożnie trzymając w ręku szklanekę z whisky, Denning uniósł się nieco w uprzejmym geście powitania.

— Proszę, nie bądźmy tacy oficjalni. — Jill usiadła obok niego. Pittman zajął miejsce naprzeciwko.

— To uprzejmie z pana strony, że przyjął pan zaproszenie.

— Uprzejmie? — Denning odezwał się z lekkim rozbawieniem. — Nie mógłbym sobie pozwolić na

posiłek w takim miejscu, i to od... tak dawna.

— Cieszę się, że zaakceptował pan mój wybór.

— To przypomina mi inną włoską restaurację na tej ulicy. Jak ona się nazywała? — Denning wypił łyk whisky i potrząsnął głową. — Nie pamiętam. To było w latach pięćdziesiątych. Elegancka.

Jadałem tam wtedy. Jak wszyscy, którzy coś znaczyli. — Skończył swoją whisky. — Oczywiście, teraz już nie istnieje. Pojawiają się i znikają. — Przymrużył oczy. — Jak ludzie... Nawiasem mówiąc,

mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu — wskazał na puste szklanki. — Przyszedłem trochę wcześniej i zacząłem bez państwa.

— Oczywiście, że nie. Jest pan naszym gościem. Jak powiedziałem, jestem wdzięczny za przyjęcie zaproszenia.

— Nie co dzień się zdarza, że ktoś za mnie płaci, kiedy

312

świętuję śmierć swojego wroga. — Denning skinął na kelnera. — Dwóch wrogów. Wciąż jeszcze nie

przestałem celebrować śmierci Millgate'a. Jeszcze dwie szklaneczki jacka danielsa. Tym razem nie tak

dużo lodu.

— Jak pan sobie życzy, sir. A dla pańskich przyjaciół?

— Heinekena — odparł Pittman.

— Dla mnie chardonnay — powiedziała Jill.

— Może opowiem o naszych specjalnościach, aby państwo mogli się nad nimi zastanowić podczas drinków.

— Później — uciał Denning. — Będzie na to dość czasu. Nie jesteśmy jeszcze głodni.

— Oczywiście, sir.

Kiedy kelner odszedł, Pittman pomyślał, czy wyniosłość Denninga była również typowa dla jego stylu, kiedy pracował w Departamencie Stanu. Jeśli tak, to plotki rozsiewane przez superdoradców nie

były jedynym powodem, dla którego zmuszony został do rezygnacji.

— Dwóch już nie ma — stwierdził Denning. — Zostało jeszcze trzech. Mam zamiar wypić drinka za

każdego z tych sukinsynów. Modlitwa w płynie za to, aby pozostali też byli wkrótce martwi.

Pittman zauważył, że głos Denninga zrobił się lekko niewyraźny.

— Pański stosunek do superdoradców jest dobrze znany. Najwidoczniej nie przestał pan ich nienawidzić.

— Nigdy.

— Czy możemy porozmawiać, zanim coś zjemy?

— O nich? — Denning cały emanował wyraźnym obrzydzeniem. — Po to właśnie tu jestem.

Chciałby pan usłyszeć coś kompromitującego, co podważyłoby te wszystkie brednie o prawości Millgate'a i Lloyda? To usłyszysz pan. Usłyszysz pan niejedno.

Pittman wyjął długopis i notes, zachowując pozory, że ma zamiar napisać artykuł.

— Co najgorszego mógłby pan o nich powiedzieć?

— Spalili mój dom.

— Słucham? — Pittman spodziewał się czegoś więcej niż tylko nie udowodnionych oskarżeń, które

już słyszał od Denninga siedem lat temu. To było jednak nowym oskarżeniem.

Denning przyglądał mu się uważnie.

— Wygląda mi pan znajomo. Czy nie spotkaliśmy się już kiedyś?

313

— Nie wydaje mi się, — odrzekł Pittman z napięciem.

— Przypomina mi pan...

— Waszyngton to małe miasto. Może wpadliśmy na siebie na jakimś bankiecie dyplomatycznym albo...

— Nie zapraszano mnie na bankiety od trzydziestu pięciu lat — stwierdził gorzko Denning.

— A więc spalili pana dom.

— Byłem w trakcie pisania expose na ich temat. Musieli się o tym dowiedzieć. Podłożyli ogień i zniszczyli wszystkie moje

materiały.

— Czy może pan to udowodnić? — wtrąciła Jill.

— Oczywiście, że nie. Byli zbyt sprytni, by zostawić ślady.

— A czy może nam pan powiedzieć, co miało być w tym expose?

— Zamordowali setki tysięcy ludzi.

Jest równie źle jak poprzednio — pomyślał Pittman. — Ma zamiar wygłaszać tyrady i wściekać się, a ja znów niczego się nie dowiem.

— Setki tysięcy?

Denning znów popatrzył na niego spode łba.

— Jest pan pewien, że nigdy się nie spotkaliśmy?

— Całkowicie.

Pittman próbował wmawiać w siebie, że nie wygląda tak samo jak podczas ich pierwszego spotkania. Liczył na to, że Denning nie skojarzy go sobie.

Denning rozpromienił się, kiedy kelner przyniósł drinki

— Na zdrowie.

Wszyscy troje podnieśli szklanki.

— Za tego sukinsyna Eustace'a Gable'a i całą resztę. — Denning wziął potężny łyk danielsa.

Musi tego popijać od wielu lat — pomyślał Pittman. — W innym razie w jego wieku nie zniósłby takiej dawki alkoholu. — Powiedział pan, że zamordowali setki tysięcy ludzi.

— W Korei. W Wietnamie. Aby poczuć się ważnymi. Nigdy nie przejmowali się tymi krajami.

Nie dbali o odbudowę Europy po wojnie. O plan Marshalla i tak dalej. Troszczyli się tylko o siebie.

McCarthy.

Gada od rzeczy — pomyślał bliski załamania Pittman. — Do diabła, cała podróż na nic.

314

Zaczął mu doskwierać bok, zraniony podczas ucieczki z Akademii Grolliera. Czuł ból w nogach, plecach i karku od siedzenia prawie przez całą dobę w samochodzie. Był zmęczony i zdesperowany. Miał ochotę złapać Denninga za kłapy garnituru i potrząsnąć nim, żeby przestał mówić bez sensu.

— Co z McCarthym? — zapytała Jill. — Ma pan na myśli początki lat pięćdziesiątych? Joe McCarthy'ego? Antykomunistyczne polowanie na czarownice?

— Te sukinsyny wygryzły mnie z Departamentu Stanu. Przekonali wszystkich, że byłem czerwony.

— A był pan?

Denning uśmiechnął się do siebie.

— Tak.

— Co?!

— Nie nosiłem legitymacji. Ale byłem sympatykiem. Pittman próbował nie okazywać zaskoczenia. Siedem lat temu

Denning nie posunął się nawet do lekkiej aluzji, że superdoradcy mogli mieć rację.

— Gdybym mógł dalej działać, gdyby superdoradcy nie pozbyli się mnie, gdyby mi się udało zostać sekretarzem stanu... było za późno, żeby coś zrobić z Koreą, ale może nie dopuściłbym do Wietnamu. I co z tego, że myślałem, że Sowieci są górą? Czy oznaczało to, że byłem kryminalistą? Nie miałem zamiaru sprzedawać naszego kraju. Ale powinienem stanąć na głowie, żeby nie doszło do tego, co się stało, że prawie sami siebie zniszczyliśmy z powodu Wietnamu.

Pittman wyteżył uwagę.

— Miałem starszego brata, który zginął w Wietnamie.

— Wie pan w takim razie, o czy mówię.

— Proszę nam to wytłumaczyć.

— Superdoradcy oparli swoją karierę na twardej linii anty-komunizmu. Po drugiej wojnie światowej pomagali opracować plan Marshalla, aby odbudować Europę. Ale z wyłączeniem

Sowietów. Pomagali też sformułować doktrynę Trumana — że Ameryka jest zobowiązana do obrony świata... przed Sowietami, oczywiście. Zwalczałem tę ich antysowiecką obsesję, ale przegrałem. Wtedy zaczęli uważać mnie za wroga. W 1950 roku to właśnie częściowo pod ich naciskiem wysłaliśmy wojsko do Korei Południowej, żeby

315

powstrzymać inwazję Północy... powstrzymać zalew komunizmu. To, co zostało później nazwane „teorią domina”. Nigdy w to nie wierzyłem. Wiedziałem, że nie powinniśmy tam być i historia potwierdziła, że miałem rację. Nic tam nie dziaaliśmy. Tak więc występowałem przeciwko wysyłaniu żołnierzy do Korei i przegrałem. Potem walczyłem z nimi w różnych innych sprawach związanych z Sowietami. Na przykład, nie uważałem za mądre drażnienie ich naszym potencjałem atomowym. Byłem pewny, że doprowadzi to w końcu do wyścigu zbrojeń. I w tym miałem rację, ale

Millgate i reszta przeważyli. A w 1952 roku przekonali wszystkich, że miałem skłonności do komunizmu. Byłem skończony. Nasilenie zimnej wojny w latach pięćdziesiątych — mieli z tym dużo wspólnego. Wojna wietnamska — jeszcze więcej. To przez nich zginęły setki tysięcy. I przez cały ten czas mieli powiązania z producentami broni. Pozwalali, żeby ich konta bankowe decydowały

o całej polityce zagranicznej.

Z oskarżeniem, że to oni dali mu kopniaka, Denning występował już siedem lat temu. To dlatego Pittman, przygotowując artykuł, zwrócił się przede wszystkim do niego. Denning nie był w stanie poprzeć zarzutów dowodami. Może teraz ma jakieś dowody.

— Jestem pewien, że słyszał pan o tym — zaczął Pittman. — Parę dni temu, tej nocy kiedy Millgate

został zabrany ze szpitala, ktoś ujawnił tajny raport Departamentu Sprawiedliwości na temat przypuszczalnego zaangażowania się Millgate'a w zakup broni nuklearnej od byłego Związku Radzieckiego.

— Jeszcze jedna nielegalna transakcja z bronią. — Denning uśmiechnął się gorzko. — Czym skorupka za młodu nasiąknie...

— Czy ma pan jakieś dowody na potwierdzenie tych oskarżeń?

— Po pożarze już nie.

Pittman pokręcił głową rozczarowany. Nie był w stanie dłużej tego ciągnąć, postanowił spytać go wprost o to, co było dla nich najważniejsze, ale nagle pojawienie się kelnera przy stoliku powstrzymało go.

— Czy mógłbym już państwu coś polecić? — spytał kelner.

— Czyż nie powiedziałem, że przyjdzie na to pora? Nie jesteśmy jeszcze głodni — odrzekł Denning z

pretensją.

— Jak pan sobie życzy, sir — kelner wycofał się, wyraźnie niezadowolony.

316

Denning podniósł szklanekę, potem zmienił zamiar i odstawił ją nietkniętą.

— Porozmawiajmy o czymś innym — zaproponował Pittman. — Czy słyszał pan kiedyś o człowieku

o nazwisku Duncan Kline?

Denning wpatrywał się w niego, na starczej twarzy malowało się skupienie.

— O kim?

— O Duncanie Kline'em.

— Jest pan pewien, że nie spotkaliśmy się wcześniej? — zapytał nieoczekiwanie.

Pittman starał się nie okazać zaniepokojenia.

— Całkiem pewien.

— Może było coś w wiadomościach. Ta rozmowa o Millgacie, Lloydzie i innych kojarzy mi pana z...

Cholera — pomyślał Pittman. — Myliłem się. On nie pamięta mnie sprzed siedmiu lat. O to się nie muszę martwić. Jest dużo gorzej. Po śmierci Millgate'a Denning chłonał najmniejsze wzmianki na ten

temat. Rozkoszując się tym, pewnie czytał każdy artykuł po kilka razy. Widział moje zdjęcie nie raz i

nie dwa. Tylko dlatego, że przedstawiłem się innym nazwiskiem i wyglądam inaczej niż siedem lat temu, jeszcze sobie nie uświadomił, kim jestem.

Tylko jak długo to potrwa, zanim mnie rozpozna? I co wtedy?

— Nie bardzo wiem, jak to wyjaśnić — powiedział.

— Chodzi o Duncana Kline'a — przerwała Jill, próbując skierować myśli Denninga na właściwy

temat.

Denning zerknął, wciąż zaintrygowany, na Pittmana, a potem z namysłem zwrócił się do Jill.

— Nie mogę powiedzieć, żeby to nazwisko było mi znane. Może gdyby podała pani jakieś bliższe szczegóły.

— Uczył w Akademii Grolliera. To szkoła średnia, do której uczęszczali superdoradcy. Był ich wychowawcą.

— Ach, tak — ożywił się Denning.

— Więc słyszał pan to nazwisko?

— Nie, chociaż... Dziwne.

— Słucham?

— Na starość stają mi przed oczami wydarzenia sprzed trzydziestu, czterdziestu lat, natomiast to, co

stało się miesiąc temu, ledwie pamiętam.

317

— Sprzed czterdziestu lat?

— Z 1952, z lata. Dobrze pamiętam, gdyż był to punkt zwrotny w moim życiu. Republikanie odbywali tego miesiąca swoją konwencję. Eisenhower został wybrany na kandydata w wyborach prezydenckich. Zwyciężył zresztą w pierwszym głosowaniu. Eisenhower i Nixon. W panującej w kraju atmosferze musiał, według mnie, pokonać Stevensona w nadchodzących wyborach. Tym bardziej było to oczywiste dla Millgate'a i pozostałych. Natychmiast po konwencji nasilili zabiegi, żeby wkraść się w łaski tych republikanów, którzy mieli coś do powiedzenia. Dzięki dużym umiejętnościami manipulacji udało im się łatwo przejść z obozu demokratów do republikanów.

Pittman zauważył, że policzki Denninga poczerwieniały z ożywienia, a nad górną wargą wystąpiły krople potu.

Denning podniósł szklanę, lecz nie z whisky, ale z czystą wodą. Napił się łąpczywie, po czym ciągnął dalej:

— Lipiec 1952 roku był również miesiącem, kiedy ich kampania wymierzona przeciwko mnie osiągnęła apogeum. Okrzyczeli mnie sympatykiem komunistów, co podcięło moją karierę dyplomatyczną. — Zerknął na Pittmana. — Żeby móc się bronić, starałem się śledzić wszystko, co robił Millgate i inni. Musiałem się mieć na baczności przed ich następną ofensywą. Wtedy właśnie zaobserwowałem coś, co spowodowało, że prawie wpadli w panikę. Ten człowiek pojawił się w Departamencie Stanu pod koniec lipca. Nigdy go nie widziałem, ale dokładnie mi go opisano. O wyglądzie sportowca — silna budowa i szerokie ramiona — chociaż czerstwa twarz i siwe włosy wskazywały, że musiał mieć koło sześćdziesiątki. Mój informator twierdził, że mimo iż wszystko wskazywało na to, że pracował fizycznie i chyba na wolnym powietrzu, miał kulturalny -niemal staromodny sposób bycia i arystokratyczny, pseudobrytyjskiV akcent. Chciał rozmawiać z Jonathanem

Millgate'em. Rzecz jasna c Departamentu Stanu nie wchodziło się tak po prostu i trudno się by spodziewać, żeby wpuszczono kogoś, bez wcześniejszego uzgodnienia, do jednego z zastępców sekretarza stanu. Przybysz podał swoje nazwisko, które asystent Millgate'a zapisał na samym końcu

długiej listy. Wyraźnie zawiedziony, poprosił o spotkanie z Anthonym Lloydem. Taka sama reakcja.
Z

jeszcze większym rozczarowaniem zapytał o Eustace'a Gable'a, Winstona Sloane, Victora Standisha.

318

— Wszystkich superdoradców — dodał Pittman.

— I w każdym przypadku reakcja była identyczna. Wpisywano go na koniec listy. Wreszcie stracił cierpliwość, przestał prosić i zaczął wręcz żądać. Przez chwilę wydawało się, że trzeba będzie wezwać

kogoś z ochrony. Ale w tym momencie wyjrzał z gabinetu Millgate, zaniepokojony hałasem... Jak opowiadał mój informator, Millgate pobladł na twarzy. Jego dumny sposób bycia nagle zniknął. Natychmiast zaprosił przybysza do gabinetu, kazał odwołać następne spotkanie i posłać po Anthony'ego Lloyda i resztę. Było to bardzo osobliwe. Nigdy nie zapomnę o tym incydencie. Intryguje mnie po dzień dzisiejszy. Zawsze podejrzewałem, że gdybym wiedział, co za tym się kryje, miałbym najlepsze narzędzie do obrony przed nimi.

— Czy ten przybysz nazywał się Duncan Kline? — zapytał Pittman.

— Niektóre rzeczy pamiętam bardzo dokładnie... Niestety, moja pamięć do nazwisk... Pożar zniszczył notatki. Nie przypominam sobie.

— Dlaczego więc opowiada nam pan o tym?

— Ponieważ pamiętam, że udało mi się ustalić, co łączyło tego człowieka z Millgate'em i pozostałymi. Był jednym z ich nauczycieli w szkole średniej.

— To musiał być Duncan Kline — stwierdziła Jill. — Wspomniał pan, że miał szerokie bary. Kline był wioślarzem. A wioślarstwo rozwija...

— Dlaczego on jest tak ważny dla państwa? — Denning nerwowo wytarł pot z nadwargi.

— Wspominał o nim jeden z moich wcześniejszych rozmówców — odpowiedział Pittman. — Wynikało z tego, że z Kline'em wiązała się jakaś tajemnica, która zagroziłaby reputacji superdoradców, gdyby wyszła na jaw.

— Jaka tajemnica? — Denning wyglądał na poruszonego.

— To właśnie próbujemy ustalić. Mamy podstawy twierdzić, że jako kilkunastoletni chłopcy w Akademii Grolliera wszyscy oni byli wykorzystywani seksualnie przez Duncana Kline'a.

Denning uderzył ręką w stół.

— Gdybym wiedział, mógłbym to wykorzystać i obronić się przed nimi.

319

— Jak? — zapytała Jill. — Byli ofiarami zbrodni, jak mogło to zaszkodzić ich karierom? Czy nie

budziłyby raczej u ludzi współczucia?

— W latach pięćdziesiątych? W czasach McCarthy'ego nie spotykało się wiele współczucia. Winni —

bo byli zamieszani. A jeśli nie byli tylko ofiarami? Jeśli zgadzali się na to? W klimacie politycznym tego okresu zostaliby natychmiast zwolnieni z Departamentu Stanu. — Oddech Denninga był przyspieszony.

— Czy kiedykolwiek zetknął się pan z jakąś aluzją w tej sprawie?

— Ja nie, ale jest pewna osoba. — Denningowi trzęsły się ręce.

— Osoba? — Pittman nachylił się do przodu. — Nie rozumiem kto? O czym pan mówi?

— O niczym. Miałem namyśli, że musi istnieć ktoś, kto mógłby to udowodnić. — Denning mówił z

wysiłkiem.

— Czy pan dobrze się czuje? — zaniepokoiła się Jill.

— Tak, tak. Dobrze. — Denning dużymi łykami pił wodę ze szklanki.

— Być może mógłby pan pomóc nam w jeszcze jednym — zwrócił się do niego Pittman. — Jedne z

ostatnich słów, jakie wypowiedział Jonathan Millgate, brzmiały: „Duncan”. I „śnieg”. Czy ta wzmianka o śniegu kojarzy się panu z czymś?

—> Z niczym. Nawet zakładając, że cała ta historia pozostawiła — przerwał, żeby złapać oddech —

pozostawiła u Millgate'a taki uraz, że próbował powiedzieć coś przed śmiercią...

— Czy na pewno czuje się pan dobrze, panie Denning?

— Ten nauczyciel pojawił się w Departamencie Stanu i wystraszył Millgate'a... pojawił się latem, nie

zimą... Śnieg. Nie mam pojęcia, co by to mogło znaczyć. Ale chciałbym, żeby spotkała ich kara. Przy stoliku pojawił się kelner.

— Naszą specjalnością jest dzisiaj...

— Nie mam apetytu. — Denning starał się podnieść z miejsca. — Nie czuję się dobrze.

Jill zerwała się, żeby pomóc mu wstać.

— To przez te emocje. Millgate, potem Lloyd. Za dużo wrażeń.

Za dużo pytań.

— Czy zawołać lekarza? — szybko zapytał Pittman.

— Nie.

320

— Czy możemy odwieźć pana do domu?

— Nie. — Denning, przejęty, otarł twarz chusteczką. — Już czuję się lepiej. Dam sobie radę. — Potykając się minął kelnera, wpadł niemal na innego, niosącego tacę pełną talerzy i przeszedł obok zatłoczonych stolików.

Pittman i Jill próbowali go dogonić, ale jakieś towarzystwo, które właśnie sadowiło się przy stoliku, zatarasowało im na chwilę drogę. Pittman dostrzegł, jak Denning, mijając kobietę w wieczorowej sukni, dotarł do holu. Korzystając z wolnej już drogi Pittman i Jill pospieszyli w kierunku wyjścia.

21 — Desperackie kroki

11

Na ruchliwym chodniku przed restauracją, w hałasie ulicy, w światłach reflektorów i latarni Pittman wypatrywał Denninga wśród przechodniów po prawej i lewej stronie, podczas gdy Jill próbowała go dojrzeć po drugiej stronie ulicy.

— Co się, do diabła, z nim stało? — złościł się Pittman.

— Miałam nadzieję, że ty mi to powiesz. Wyglądał, jakby się źle poczuł...

— A może zbyt się przejął rozmową?

— Ważne, co zamierza teraz zrobić. Gdzie on zniknął?

— Rozdzielmy się, może go znajdziemy.

— Tutaj są — za nimi rozległ się oskarżycielski głos. Pittman odwrócił się i zobaczył kelnera i kierownika sali,

patrzących na nich groźnie z otwartych drzwi restauracji.

— Musieliśmy upewnić się, czy naszemu przyjacielowi nic się nie stało.

Szef sali wybuchnął.

— Tak to jest, gdy się robi wyjątki dla nieodpowiednio ubranych.

— Mieliśmy zamiar wrócić.

— Być może. Ale skoro już was zatrzymaliśmy, to z pewnością uregulujecie rachunek za drinki, zanim znajdziecie przyjaciela.

— Jill, biegnij do rogu po prawej stronie — rzucił Pittman. — Może będzie na następnej ulicy.

Gdybyśmy się zgubili, spotkamy się przy samochodzie... Ile jesteśmy winni? — spytał pośpiesznie.

322

— Cztery jacki danielsy, heineken i...

— Nie potrzebuję wyliczania, proszę po prostu powiedzieć ile.

— Dwadzieścia dziewięć dolarów.

Pittman wcisnął kelnerowi trzydzieści dolarów i pośpieszył w przeciwnym kierunku niż Jill, krzywiąc się od skurczów w nogach po długim siedzeniu w samochodzie.

Przystanął na rogu ulicy i bacznie przypatrywał się pieszym. Zesztywniał na widok Denninga, który kilkadziesiąt metrów dalej wyłonił się spośród zaparkowanych samochodów, próbując zatrzymać taksówkę. Starszy pan wyglądał na bardzo zaaferowanego, kiedy wsiadał do taksówki, rzucając kierowcy adres.

Pittman rzucił się, żeby ją zatrzymać, ale taksówka odjechała, on zaś, mimo skurczów w nogach, zaczął biec z powrotem do Jill.

— Nie widziałam go. — Czekala na niego przy samochodzie zaparkowanym przed restauracją.

— Ja go widziałem. Szybko, wsiadaj.

Zapalił silnik i ruszył z impetem, ocierając się nieomal o przejeżdżające właśnie BMW. Usłyszał trąbienie, ale nie oglądając się skręcił w lewo, w ulicę gdzie zobaczył wsiadającego do taksówki Denninga.

— Jak sądzisz, dokąd jedzie?

— Nie wiem. Ale ulica jest jednokierunkowa i prowadzi na północ. Denning nie łapałby w tym miejscu taksówki, gdyby nie zamierzał jechać właśnie tam. Jest duża szansa, że go złapiemy.

— Minąłeś już dwie taksówki. Skąd wiesz, w której jest Denning?

— Mam jej numer. Nie widzę ... Cholera, czyżbyśmy go zgubili?

— Tam.

— Tak! To ta taksówka.

Pittman natychmiast przyhamował, by kierowca nie zorientował się, że ktoś za nim jedzie.

Piętnaście sekund po tym, jak ograniczył prędkość do obowiązującej na drodze, wyprzedził ich policyjny samochód.

— Masz dzisiaj szczęście — zażartowała Jill.

— Chciałbym, żeby tak było. Gdzie, do licha, on jedzie?

— Z powrotem do domu?

— Do centrum Georgetown? Nie ma mowy. Nie miałby tyle pieniędzy.

323

Eleganckie budynki mieszkalne ustępowały tu miejsca rezydencjom.

Pittman, nie tracąc z oczu samochodu, skręcił w lewo, w ulicę wyłożoną czerwoną kostką z zagłębionymi w „iej torami tramwajowymi. Taksówka zatrzymała się przed jedną z nielicznych rezydencji położoną z dala od ulicy. Jasno oświetlona willa na szczycie wzgórza otoczona była ogromnym parkiem, a od ulicy oddzielało ją wysokie ogrodzenie z żelaznych prętów.

Denning wysiadł i ruszył kamiennymi schodami w kierunku obszernego ganku z kolumnami przypominającymi Pittmanowi grecką świątynię.

— Zastanawiam się, kto tu może mieszkać — odezwał się Pittman.

— I dlaczego przyjechał w takim pośpiechu. Obserwowali Denninga, pukającego kilkakrotnie do frontowych

drzwi. Otworzył mu służący w liberii. Denning, gestykulując, coś mu tłumaczył. Służący odwrócił się, jak gdyby po instrukcje, po czym wpuścił Denninga do środka.

— Co teraz? — spytała Jill.

— Mam już dość siedzenia w tym cholernym samochodzie. Chodź, złożymy wizytę.

Część szósta

1.

Kiedy Pittman zapukał do drzwi, otworzył mu służący. — Słucham, sir? Był w średnim wieku, dość korpulentny. Nieoczekiwany napływ gości wyraźnie go zaintrygował.

— Przed minutą wszedł tutaj niejaki Bradford Denning — zaczął Pittman.

— Tak, sir? — służący wyglądał na coraz bardziej zaciekawionego.

— Czy wspominał, że spodziewa się nas?

— Nie, sir. — Głęboka zmarszczka pojawiła mu się między brwiami.

— Przyjechaliśmy razem. Musimy się z nim widzieć.

— George? — zapytał z głębi mieszkania kobiecy głos. — Kto tam jest?

— Ktoś twierdzi, że przyszedł z pani gościem.

Pittman dostrzegł w głębi wysoką, smukłą kobietę, bliską sześćdziesiątki. Miała krótkie, przyprószone

siwizną włosy. Ubrana była w elegancką jedwabną sukienkę z prostokątnym dekoltem, której niebieski kolor mienił się w diamentowych kolczykach. Chociaż wyglądała atrakcyjnie, jej twarz, o skórze mocno napiętej na wydatnych policzkach, świadczyła wyraźnie o paru liftingach.

Kobieta podeszła bliżej, stukając wysokimi obcasami po błyszczącej jak lustro podłodze z twardego drzewa.

— Państwo znają Bradforda?

327

— Właśnie dziś wieczorem jedliśmy z nim kolację.

— Nie wyglądał zbyt dobrze — dodała Jill. — Czy wszystko z nim w porządku?

— Rzeczywiście, wygląda koszmarnie. — Jej twarz ściągnęła się jeszcze bardziej. — Ale nic o państwu nie wspominał.

Pittman usilnie przypominał sobie fałszywe nazwisko, jakie podał Denningowi.

— Proszę mu powiedzieć, że Lester King i Jennifer są tutaj.

— Nie słuchaj ich, Vivian. — Denning pojawił się nagle w drzwiach. Pomiętą chusteczką ocierał krople potu z czoła. — To dziennikarze.

Wzrok kobiety pociemniał, w głosie zabrzmiało niezadowolenie.

— Co takiego?

— Nie chcemy sprawiać kłopotów — wtrąciła szybko Jill. —

Przyszliśmy, żeby pomóc.

— W jaki sposób?

— Sądzimy, że Bradford Denning przyjechał, żeby opowiedzieć pani, o czym rozmawialiśmy. Nie wolałaby pani dowiedzieć się o wszystkim u źródła?

Na jej surowej twarzy nie ukazał się najmniejszy cień emocji. Jednak sztywne przechylenie głowy i twardy wzrok wskazywały na podejrzliwość i niepewność.

— Proszę wejść.

— Nie, Vivian — zaprotestował Denning. Kobieta zignorowała go.

— W porządku, proszę wejść.

— Dziękuję — powiedział Pittman.

— Jeśli się jednak okaże, że próbujecie narobić nam kłopotów, każę George'owi wezwać policję. Groźba wywołała kolejny przyływ adrenaliny u Pittmana. Starał się nie okazać zdenerwowania.

Kiedy służący zamknął za sobą drzwi, kobieta podprowadziła Pittmana i Jill do Denninga. Weszli w drzwi po lewej stronie.

Pittman spodziewał się ujrzeć antyki i kolonialną atmosferę. Ku jego zaskoczeniu wielki pokój umeblowany był w nowoczesnym stylu, mienił się szkłem i chromem. Na ścianach wisiały obrazy abstrakcyjnych ekspresjonistów—wielobarwność plam i kłębowisko emocji. Rozpoznał Jacksona Pollocka.

328

— Czy mogę coś państwu zaproponować?

— Nie, dziękuję.

— Dla mnie Jacka Daniela — powiedział Denning.

— Bradford, cały zionąłś alkoholem, kiedy tu wszedłeś. Wiesz, jak nie znoszę nadużywania trunków. Myślę, że masz już dość.

Denning wciąż wycierał rozognioną, błyszczącą twarz.

— Skoro nikt z nas nie ma na nic ochoty, usiądźmy i porozmawiajmy. W jakim celu przyszliście tu wszyscy troje?

— Dobrze — odparł Pittman. — Chciałbym najpierw usłyszeć wersję Bradforda. Czy pani się zgadza., pani...?

— Page.

Nazwisko nie Pittmanowi nie mówiło. Brak zainteresowania na jego twarzy był widoczny.

— Pani Page należy do waszyngtońskiej elity — oznajmił Denning chępliwym tonem, dając do zrozumienia, że i on przez tę znajomość zyskuje na znaczeniu.

— Widocznie nasi goście nadal nie kojarzą mojego nazwiska. Albo też są zbyt mądrzy, by przejmować się tym. — Na jej ustach pojawił się gorzki uśmiech. — Ale może inne nazwisko będzie

miało dla nich znaczenie. Tylko z tego powodu Bradford czasem zagląda do mnie, więc sądzę, że i wasza wizyta ma z tym jakiś związek. Jestem córką Eustace'a Gable'a.

Stwierdzenie, że jest córką jednego z superdoradców, było tak zaskakujące, że Pittmanowi zaparło dech. Wyczuł też, w jakim napięciu słuchała Jill.

— Nie miałem pojęcia — wydobył z siebie.

— Najwidoczniej. Czy teraz możemy kontynuować rozmowę?

— Jak pani uważa, pani Page — stwierdziła Jill. — Niektóre sprawy mogą zabrzmieć dla pani dość brutalnie.

Pittman spojrzał z niechęcią na Denninga, zastanawiając się, dlaczego uznał za konieczne tu przyjechać. Czy jego historyjki

o nienawiści do superdoradców miały na celu wyłącznie pozyskanie zaufania ich wrogów? Czy może

był zaufanym superdoradców

i pierwszą osobą, którą postanowił zawiadomić, była córka Eustace'a Gable'a?

— Każda sprawa, która dotyczy mojego ojca — odparła pani Page — musi zabrzmieć brutalnie.

— Nie bardzo rozumiem — stwierdził Pittman.

— Będę szczerą, jeśli i państwo będą szczerzy. Zmieszany, skinął głową.

— Nienawidzę swojego ojca. Pittman znowu dał się zaskoczyć.

— Pogardzam nim — ciągnęła. — Gdyby było w mojej mocy zaszkodzić mu... tak naprawdę poważnie mu zaszkodzić... zniszczyć go... nie wahałabym się ani sekundy. Jest odrażający. — Furia

w

jej

330

oczach była wprost przerażająca. — Czy to jasne? Czy wystarczająco dokładnie się wyraziłam?

— Całkowicie.

— Przypuszczam, że Bradford sądzi, iż to, o czym rozmawialiście dzisiaj, będę mogła wykorzystać przeciw ojcu. Dlatego poprosiłam państwa do środka. Czy mam rację? Czy jako dziennikarz jest

pan

do niego uprzedzony? Czy uważa go pan za wroga?

Pittman kiwnął głową, niepewny czy nie próbuje go zwodzić.

— To dobrze. — Pani Page zwróciła się do Denninga. — Rozczarowujesz mnie, Bradford. Skoro myślisz, że ci ludzie mogą mi pomóc, dlaczego chciałeś, abym ich odesłała? Wszystkie zasługi chciałbyś przypisać sobie? Po tylu latach zachowujesz się tak, jakbyś był wciąż w Departamencie Stanu?

Zdenerwowany Denning nie odpowiadał.

Mimo wcześniejszego zaproszenia, żeby usiedli, wciąż stali. Wreszcie Pittman zdecydował się usiąść

na oryginalnie wyglądającym krześle o ostrych kątach i krawędziach, wykonanym z drewna osadzonego w błyszczącym metalu. Przypominało mu eksperymentalne meble, jakie oglądał w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Nowym Jorku.

Inni również usiedli.

— Skąd...? — Pittman czuł się niezręcznie, nie wiedział, jak zadać pytanie. — Co sprawiło, że...

— Proszę mówić wprost. Mój ojciec zawsze mnie uczył, aby mówić bez ogródek — w głosie pani Page zabrzmiała gorycz. — Dlaczego nienawidzę mojego ojca? Zabił moją matkę.

Pittman czuł, że serce wali mu jak młotem.

— Skoro zaczęłaś, powiedz im, Vivian... — odezwał się Denning. — Powiedz im wszystko.

Pani Page spojrzała spod przymrużonych powiek.

— Nie jest to historia, którą ktoś z boku patrzący może zrozumieć. Widząc ten imponujący dom trudno nie zadać sobie pytania, jak to możliwe, żeby być nieszczęśliwym, żyjąc w takim przepychu. Ktoś pracujący przy taśmie montażowej w fabryce samochodów w Detroit byłby zachwycony, gdyby

mu zaproponować zamianę. Każda sytuacja ma jednak swoje złe strony. Moja matka była bardzo piękna. Pochodziła z tradycyjnej rodziny z Południa, w której kultywowane były maniery dobrego towarzystwa sprzed

331

czasów wojny domowej. W tym świecie kobiety nie zajmowały się pracą. Mojej matce wpojono, że o

jej wartości decyduje po prostu samo jej istnienie. Wychowywano ją, jakby była orchideą, stworzoną

po to by ją podziwiać. Ojca spotkała podczas jednego z ostatnich rejsów oceanicznych do Europy, przed wybuchem drugiej wojny światowej. Okoliczności były bardzo romantyczne. Zakochała się w

nim bez pamięci. Partia była odpowiednia, pobrali się więc. Ale ku swemu zaskoczeniu, odkryła, że mąż czegoś oczekuje od niej — doskonałości pod każdym względem — by wydawała kolacje w najlepszym stylu, prowadziła zajmujące konwersacje, doskonale się ubierała, sprawiała najbardziej olśniewające wrażenie.

Głos pani Page zdrzął. Zawahała się przez chwilę, ale kontynuowała:

— Ten hipotetyczny robotnik z fabryki samochodów oczywiście nie odczuwałby współczucia dla damy, która byłaby nieszczęśliwa, żyjąc jednocześnie w przepychu. Ale gdyby on miał nadzorcę, który krytykowałby wszystko, co robił, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku... Gdyby ten

nadzorca potrafił odkryć u niego najczulszy punkt, tak by odczuwał każde upokorzenie jak cięcie nożem. System nerwowy tego robotnika zostałby nadwerężony. Jego godność — zraniona. A psychika

— zrujnowana. Oczywiście zawsze można powiedzieć, że robotnik może przecież zrezygnować i znaleźć inną pracę. A jeśli nie miał takiej możliwości, jeśli musiałby znosić zniewagi nadzorcy już na

zawsze? Pani Page przełknęła ślinę.

— Mój ojciec jest najbardziej okrutnym człowiekiem, z jakim kiedykolwiek się zetknęłam. Jego potrzeba dominacji była tak silna, że znęcał się nad matką przy każdej okazji. Poniżał i wyśmiewał ją.

Pomiatął nią. Dorastałam w atmosferze ciągłego terroru. Wszystko, co robiłam, było według niego niewłaściwe. A już na pewno nie było dobre to, co robiła matka. Zasnęłam wyczerpana płaczem z żalu nad nią. Rozwód? Dla zawodowego dyplomaty? Z przerostem ambicji? W tamtych czasach?

Nie

do pomyślenia. Moja matka tylko raz poruszyła ten temat, a reakcja ojca tak ją przeraziła, że więcej do

tego nie wracała.

Pani Page zamyśliła się przez chwilę. Jej zwykle wysoko uniesione ramiona opadły.

— Moja matka zaczęła pić. Ani ojciec, ani ja nie zorientowaliśmy-

332

my się, że ma problemy z alkoholem, dopóki jej uzależnienie nie było już mocno zaawansowane. Z początku piła głównie wtedy, gdy ojciec był w pracy, a ja w szkole. Piła wódkę, która nie była tak wyczuwalna w oddechu. Było to jednak błędne koło. Alkohol uniemożliwiał jej utrzymanie wysokiego standardu, którego wymagał ojciec. Kolacje, jakie wydawała, nie satysfakcjonowały go. Matka stawiała się coraz bardziej apatyczna. Przeszła do udzielania się przy organizowaniu imprez dobroczynnych. Na przyjęciach dyplomatycznych zaczęła okazywać znudzenie, które przedtem ukrywała. Mój ojciec oczywiście ją krytykował. A im bardziej krytykował, tym więcej piła, co oczywiście wpływało na jej zachowanie, wywołując coraz większą wściekłość ojca, a ją z kolei popychając jeszcze silniej do alkoholu.

Niewyraźna mowa zaczęła ją zdradzać coraz bardziej. W czasach kiedy żony osobistości publicznych

nie miały jeszcze odwagi mówić otwarcie o swych problemach z alkoholem czy innymi używkami, mogło to wywołać wielki skandal. Dla takiego człowieka jak mój ojciec — ze sztywnymi zasadami i

bezgranicznie ambitnego — sytuacja była coraz groźniejsza. Nie dlatego że to matka miała kłopoty, ale dlatego że jemu stwarzała kłopoty. Nie mógł pozwolić, by go kompromitowała. Pierwszą rzeczą,

którą robił, było przeszukiwanie domu i odnajdywanie każdej butelki, którą ukryła. Drugą — wy-najęcie kogoś, kogo jedynym zadaniem było niedopuszczenie matki do alkoholu. Taktyka ta okazała

się skuteczna, ale nie w ten sposób, jaki zakładał ojciec. Matka nie wróciła do dawnego sposobu bycia

i nie podtrzymywała swojego wizerunku chodzącej doskonałości. Zamiast tego, czując się osaczona,

pod coraz większą presją, załamała się nerwowo.

Dla mojego ojca było to równie przerażające. Obawiał się, że gdyby w środowisku dyplomatów odkryto, że jego żona jest nieznówważona emocjonalnie i psychicznie, winę przypisywano by jemu.

Niepokoił się, że koledzy uznają, że w tej sytuacji nie jest w stanie wykonywać swoich obowiązków z

maksymalnym zaangażowaniem. Jego kariera mogłaby zostać zrujnowana. Kiedy matce udało się wyrwać z domu i wywołać, jak ojciec określił, pijacką scenę w pobliskiej tawernie, postanowił zabrać

ją z Waszyngtonu.

W tych czasach nie było oczywiście takich miejsc jak klinika

333

Betty Ford czy inne, gdzie zajmowano się problemem otwarcie i wszechstronnie. Były jednak pewne

zakłady, o całkiem odmiennym charakterze, gdzie problemy ludzi zamożnych traktowano z najwyższą

dyskrecją. Wobec mojej matki zastosowano terapię psychotropową. Alkoholizm i jej stan wywołany załamaniem nerwowym zaczęto leczyć środkami uspokajającymi. Uznano, że potrzebuje odpoczynku,

że jej problemy spowodowało po prostu przemęczenie. Bo przecież żadna kobieta z takim majątkiem i

prestżem jak ona nie mogłaby być nieszczęśliwa. Po trzech miesiącach stosowania środków psychotropowych żyła już w całkowitym odrętwieniu i poruszała się jak lunatyczka.

Nawet do łazienki nie była w stanie pójść sama. Nie rozpoznawała mnie, gdy przychodziłam ją odwiedzać. W klinice uznano, że alkohol został całkowicie usunięty z jej organizmu i zaczęto stopniowo odstawić środki uspakajające. Wróciła do domu. Wydawało się, że sytuacja się unormowała.

I wtedy, pewnego dnia, zniknęła. Po gorączkowych poszukiwaniach znaleziono matkę leżącą na podłodze w piwnicy koło pieca, pijaną i mamroczącą coś niewyraźnie. Po tym wydarzeniu ojciec całkowicie zmienił swoje postępowanie. Kiedy była w klinice, jej trzymiesięczną nieobecność tłumaczył waszyngtońskiej elicie rzekomym wyjazdem matki do krewnych w Europie. Teraz wymyślił coś innego. Było to w lipcu 1953 roku. Wynajął letnią posiadłość w Cape Hatteras. Odprawił całą służbę. Kupił kilka skrzynek wódki. Do dzisiaj żywo pamiętam szydery ton, kiedy do

niej mówił: „Chcesz uniknąć odpowiedzialności? Chcesz cały czas pić? Proszę bardzo. Jesteś na wakacjach”.

Nalewał jej drinka, potem drugiego, i jeszcze jednego. Kiedy kończył się zapas wódki, kupował następną skrzynkę. Dbał o to, by jej szklanka była zawsze pełna. Kiedy orientował się, że ma dość picia, poty ją obrażał i poniżał, póki znów nie sięgnęła po kieliszek. Czasem w nocy, kiedy słyszałam

hałasy, wykradałam się z mojego pokoju. Widziałam wtedy, jak moja matka leży w łazience i wymiotuje, a ojciec klęczy obok niej i wyzywając ją od najgorszych, wlewa jej wódkę wprost do gardła. Kiedy uświadomił sobie, że widzę zbyt wiele, postanowił wysłać mnie w odwiedziny do swoich rodziców, do ich letniej posiadłości w Martha's Vineyard. Nienawidziłam być blisko niego, ale

bałam się o matkę i błagałam, żeby mi pozwolił zostać.

334

Do tej pory pani Page cały czas wpatrywała się w feerię barw wiszącego naprzeciwko obrazu. Jej monotony, bezbarwny głos ani na jotę nie oddawał tego wewnętrznego napięcia, jakie widać było w

jej oczach. Teraz przerwała, a jej zazwyczaj wysoko uniesione ramiona opadły, kiedy zwróciła się do

Pittmana i Jill.

— Nigdy więcej nie zobaczyłam mojej matki. Umarła przed końcem lata. Powiedziano mi, że powodem jej śmierci było zatrucie alkoholem. Ojciec ze szczegółami opowiedział mi, jak to się stało.

Próbował wmówić mi, że jego podejście do matki było właściwe. „Twoja matka była bardziej uzależniona, niż możesz to sobie wyobrazić” — powiedział. „Zachęcałem ją do picia, ponieważ miałem nadzieję, że jak się rozchoruje na dobre, przestanie pić. Zmuszałem ją do picia, kiedy wymiotowała, w nadziei, że alkohol będzie jej się kojarzył z mdłościami”. Wynajął nawet eksperta w

sprawach alkoholizmu, który twierdził, że doradził ojcu takie postępowanie.

W pokoju zaległa cisza.

— Bardzo pani współczuję — powiedział ciepło Pittman. Pani Page nie odpowiedziała.

— Ale jest coś, czego nie mogę zrozumieć.

— Co mianowicie?

— Jeśli pani ojciec tak się obawiał skandalu z powodu alkoholizmu pani matki, jeśli początkowo próbował to ukryć, dlaczego nagle zmienił zachowanie i doprowadził ją do śmierci w tak wyrafinowany sposób? To mogło przecież zwrócić uwagę i wywołać skandal.

— Mój ojciec jest niezwykle przebiegły. Uznał, że jeśli przedstawi siebie samego jako ofiarę, zyska

sympatię swoich kolegów. Powiedział im, że sytuacja trwała już od dłuższego czasu, że zrobił dla niej

wszystko co możliwe, że jego życie było koszmarem. Udawał pogrążonego w rozpacz, załamane

po wieloletnich wysiłkach, aby ją ratować. Przekonywał, że uczynił wszystko, co było w jego mocy. I

dypłomatyczny świątek uwierzył mu. A potem, w najwyższym stopniu hipokryzji stwarzał wrażenie,

że swój wielki ból przezwycięża oddając się całkowicie pracy zawodowej. Każdego dnia podziwiano

go za jego siłę woli. Cieszył się coraz większym uznaniem. Został ambasadorem w Wielkiej Brytanii,

a potem w Związku Radzieckim i w końcu sekretarzem stanu. Ale ja

335

wiedziałam, kim jest naprawdę. Zabił moją matkę i nigdy mu tego nie wybaczę.

— Ponieważ nienawidziliśmy go oboje, Vivian i ja, połączyliśmy nasze siły — odezwał się Denning.

— Próbując jej pomóc, udało mi się zdobyć kopię dokumentu, stwierdzającego przyczynę śmierci. Ojciec okłamał Vivian. Rzeczywistą przyczyną śmierci było zatrucie alkoholem w powiązaniu z zażyciem seconalu.

— Seconal? Przecież to środek uspokajający — zdziwiła się Jill. Pani Page skinęła głową.

— Ten sam, który moja matka dostawała podczas trzymiesięcznego pobytu w klinice.

— Chwileczkę — nie zrozumiał Pittman. — Sugeruje pani, że pani matka umierała nie dość szybko i

ojciec pomógł jej dodając do wódki pigułki nasenne?

— Właśnie tak. — Pani Page zacisnęła usta.

— W każdym razie było to morderstwo — stwierdziła Jill. — Ale przecież tabletki nasenne pozwalały to udowodnić.

Pani Page pokręciła głową.

— Mój ojciec w jakiś sposób dowiedział się, że przeczytałam oświadczenie lekarskie. Uprzedził moje

oskarżenie i wyznał, że istnieje pewna tajemnica, której do tej pory nie był w stanie mi wyjawić.

Powiedział, że kiedy matka była w klinice, najwidoczniej ukradła pudełko środków uspokajających. Zostało znalezione po jej śmierci, a etykiетка wyraźnie wskazywała, skąd pochodziło. Tej nocy, kiedy

umarła, zażyła tyle kapsułek, że nie było żadnych wątpliwości co do tego, że popełniła samobójstwo.

— Pani jest przekonana, że kłamał — powiedziała Jill.

— To, o czym ja jestem przekonana, nie ma żadnego znaczenia. Najważniejsze są dowody. Nie ma możliwości podważenia wersji mojego ojca. Ja chcę go zniszczyć, a nie roztrząsać moje własne podejrzenia. Dopóki nie znajdę niepodważalnych dowodów, będzie zasłaniał się po prostu oświadczeniem lekarskim z kliniki i z sekcji zwłok. Żadne moje oskarżenia nie będą traktowane poważnie. Będę miała tylko jedną szansę. Przez większość mego życia bezskutecznie usiłowałam znaleźć sposób, żeby go ukarać za śmierć matki. A teraz, kiedy inni superdoradcy — to ostatnie słowo

wymówiła z wyraźną pogardą — umarli, muszę zacząć brać pod uwagę możliwość, że ojciec również

umrze, zanim osiągnie go moja kara.

336

Denning wstał.

— Właśnie dlatego tu przyjechałem. Chyba znalazłem na niego sposób.

Pani Page popatrzyła uważnie.

— Jest szansa, że możemy udowodnić pani ojcu i całej reszcie, że ich seksualna orientacja kompromitowała ich pracę.

— Orientacja seksualna?

— Czy byli homoseksualistami? Nigdy mi to nie przyszło do głowy, aż do momentu rozmowy z tymi dziennikarzami. Czy miałaś jakieś podejrzenia?

Pani Page szeroko otworzyła oczy.

Dźwięk, jaki wydobyła z gardła, spowodował, że Pittmana przeszły ciarki. W pierwszej chwili pomyślał, że czymś się dławi. Po chwili, kiedy dźwięk stał się głośniejszy, zrozumiał. To był śmiech, pogardliwy, głośny śmiech.

— Bradford, jesteś głupcem. Czy właśnie to wymagało takiego pośpiechu? Jeśli nawet ojciec miał jakieś kontakty homoseksualne, jakie to miałyby dla mnie znaczenie? Tobie się wydaje, że wciąż jesteś w Departamencie Stanu na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych. To były mroczne lata, Bradford. Ale dzisiaj tylko fanatycy religijni przejmują się, że ktoś jest homoseksualistą.

A różne sławy stoją niemal w kolejce, żeby obwieścić, że są gejami.

— Dyplomaci to nie sławy — obruszył się Bradford.

— W ostatnich latach zachowują się, jakby byli sławami. Ale nie o' to chodzi. Ludzi nie ocenia się dzisiaj przez pryzmat tego, co robią w prywatnym zaciszu. Liczy się tylko to, jak ktoś wywiązuje się z

publicznych obowiązków. Jeśli oskarżę mojego ojca i innych

o homoseksualizm, nic mi to nie da i tylko wyjdę na bigotkę. To byłoby niesmaczne i bezsensowne oskarżenie.

— A gdyby to mogło ich skompromitować? — nalegał Denning. — W latach pięćdziesiątych było to poważne oskarżenie. Mogli być szantażowani.

— Przez kogo? Sowieców? Jeśli tak, to taka próba nie udała się. Żadna formacja dyplomatyczna nie

była bardziej niż mój ojciec

i jego koledzy cięta na Sowieców. Ani na kogoś podejrzanego o sympatie wobec Sowieców.

Przede

wszystkim ty sam powinienes to wiedzieć.

22 — Desperackie kroki

337

Twarcz Denninga zrobiła się pąsowa.

— Zresztą gdybym nawet uważała, że oskarżenie o homoseksualizm może kogoś zniszczyć, nie mogłabym o to oskarżyć ojca.

— Dlaczego?

— Ponieważ mój ojciec jest istotą aseksualną. W swoich najlepszych latach nie wykazywał w ogóle zainteresowania seksem. Moja matka wyznała mi kiedyś, że zostałam poczęta podczas jedyne

zblizenia, jak to określiła matka, aktu małżeńskiego, do jakiego doszło między nimi. Jestem pewna, że

ojciec zbyt się przejmował karierą, żeby brać sobie kochankę. A biorąc pod uwagę represyjność owych lat, tym bardziej nie ryzykowałby zblizenia z mężczyzną. Dbał wyłącznie o swoją karierę.

To

ona była jego kochanką. Henry Kissinger wyraził najlepiej to, co sądzą tacy mężczyźni jak mój ojciec:

„Najdoskonalszym afrodyzjakiem jest władza”.

Pani Page spoglądała na Pittmaną i Jill.

— Państwo z pewnością rozumiecie, jak pozbawione jakiegokolwiek sensu byłoby atakowanie mojego ojca z powodu jego zachowań

seksualnych.

— Tak — odpowiedział Pittman. — Wszystko to prawda, ale miał też swój słaby punkt. Wiemy, że superdoradcy mają jakąś tajemnicę i są gotowi zrobić wszystko, żeby nie wyszła na jaw.

— Tajemnicę?

— Chodzi o szkołę, do której chodzili. Akademii Grolliera.

— To jest druga sprawa, o której chciałem ci powiedzieć, Vivian — wtrącił Denning. — Oni sugerują, że jeden z nauczycieli ich napastował.

— Przecież o tym mówiliśmy przed chwilą — ostro ucięła pani Page.

— Nie całkiem — odezwał się Pittman. — Nie jesteśmy całkiem pewni, ale...

— Pani Page, czy słyszała pani kiedyś o człowieku noszącym nazwisko Duncan Kline? — spytała Jill.

— Duncan Kline? — Pani Page zdawała się szukać w pamięci. — Nie, raczej nie.

— Uczył pani ojca i jego przyjaciół w Akademii Grolliera.

Denning przerwał.

— To chyba on, ten Kline, zjawił się w Departamencie Stanu

338

latem 1952 roku. Pani ojciec i pozostali doradcy doznali prawie szoku na jego widok. Spotkali się z nim na osobności, uznając, że sytuacja jest bardzo poważna.

— W jakim sensie poważna?

— Nie wiem, myślałem, że może pani wie.

Pani Page zastanawiała się intensywnie, napinając już i tak naprężoną skórę na twarzy.

— Nie, o ile to ma związek z Akademią Grolliera. Mój ojciec był bardzo lojalny wobec szkoły. W czasie swojej kariery hojnie zasilal fundację absolwentów. Kiedy ten człowiek zjawił się u mojego ojca? Latem 1952? To był ważny rok dla ojca. Dobrze pamiętam jego nastrój. Był przekonany, że Eisenhower, wybrany na konwencji republikanów w lecie, może pokonać Stevensona.

— Już im to wyjaśniałem — powiedział Denning. Pani Page popatrzyła na niego z furją.

— Daj mi skończyć. Mój ojciec i inni skupili całą swą energię na nadszyciu ludziom Eisenhowera. Później, w listopadzie, Eisenhower oczywiście wygrał. A to, że ojciec i jego przyjaciele

już wcześniej deklarowali lojalność wobec niego, dało im przewagę nad pozostałymi. Przez cały listopad i grudzień, aż do inauguracji w styczniu, nie szczędzili wysiłków, aby wyrzucić na nim wrażenie. Ta taktyka powiodła się i przyniosła im szybkie awanse. W ciągu paru lat kontrolowali już

wszystkie wysokie stanowiska w dyplomacji. To był początek mitu o superdoradcach. Dlatego właśnie, biorąc pod uwagę ich zabiegi o wywarcie najlepszego wrażenia na Eisenhowerze po listopadowych wyborach, byłam zaskoczona, że znaleźli czas, by pojechać na grudniowy zjazd absolwentów w Akademii Grolliera. To jest dowód, jak bardzo byli związani ze szkołą. Gdyby jako uczniowie byli tam wykorzystywani seksualnie, z całą pewnością nie chcieliby tam wracać.

— Chyba że zgadzali się na zaloty Kline'a — nie ustępował Denning.

— Bradford, nie życzę sobie więcej tych seksualnych oskarżeń — przerwała pani Page. — Szkoda czasu na roztrząsanie tego. Mój ojciec był tak zręcznym dyplomata, że gdyby ktokolwiek oskarżył go

o coś takiego w szkole przygotowawczej, umiałby to wykorzystać i przedstawić się jako ofiara zboczeńca. Zamiast być obwinianym, zyskałby tylko sympatię.

339

— To właśnie powiedzieliśmy Bradfordowi dzisiejszego wieczoru — powiedziała Jill. — Ale w tym

kryje się jakaś tajemnica, powodująca, że superdoradcy gotowi są pójść na wszystko, żeby ją ukryć,

i

że ma to jakiś związek ze szkołą.

— Na wszystko? — zdumiała się pani Page. — Skąd państwo to wiedzą?

Jill zawahała się.

Pittman odpowiedział zamiast niej.

— Z wiarygodnych źródeł.

— Od kogo?

— Nie jestem upoważniony do ujawniania nazwisk. Rozmówcy chcą pozostać anonimowi.

Pani Page machnęła ręką niezadowolona.

— W takim razie są dla was bezużyteczni. Dla mnie też. Jak mogę dorzucić coś do tego, co już wiecie, i co miałyby pomóc w ukaraniu ojca, skoro nie rozumiem, co go łączyło z waszymi informatorami?

— Czy słowo „śnieg” mówi coś pani? — zapytał Pittman. — Ostatnie słowa, jakie wypowiedział Jonathan Millgate, brzmiały: — „Duncan” i „śnieg”.

— Zanim został zamordowany — dodała pani Page. Pittman przytaknął głową.

— Nie, nie mam najmniejszego pojęcia, o czym mógł mówić Jonathan Millgate. — Pani Page wpatrywała się w całą trójkę. — I to wszystko? To są te ważne informacje, z którymi do mnie przyszlście? Straciłam dla was cały wieczór.

— Millgate! — nieoczekiwanie wykrzyknął Denning. Spojrzeli na niego zaskoczeni.

— Słucham? — zapytała pani Page.

— Millgate. — Denning utkwiał wzrok w Pittmanie. — Powiedział pan „Jonathan Millgate”.

— Bradford, czyś ty postradał zmysły? Denning nagle wskazał palcem na Pittmana.

— Teraz przypominam sobie, gdzie cię wcześniej spotkałem. Pittman poczuł chłód.

— Nie nazywasz się wcale Lester King, czy jak tam powiedziałaś. Jesteś Matthew Pittman.

Spotkałem cię kilka lat temu. Widziałem twoją fotografię kilkanaście razy w gazecie. Ale wtedy miałeś

340

wąsy i... to ty jesteś tym człowiekiem, którego szuka policja za zamordowanie Jonathana Millgate'a.

— Bradford, to niegodziwe. Czy zdajesz sobie sprawę, co mówisz? — zaoponowała pani Page.

— Mówię ci, to jest ten człowiek — zaperzył się Denning. — Czy masz gazetę? Udowodnię ci to. Pokażę ci jego zdjęcia. Ten człowiek zabił Jonathana Millgate'a!

— To absurd — odparł Pittman. — Gdybym go zabił, co robiłbym tutaj?

Otworzyły się drzwi. Pojawił się służący w liberii, głęboko marszcząc brwi.

— Słyszałem podniesione głosy, czy coś się stało, pani Page?

— George, dzwoń na policję! — krzyczał Denning.

— Na policję, sir? — zdumiony George spoglądał na panią Page, czekając na wyjaśnienie.

— Bradford, na co ty sobie pozwalasz? — oburzyła się pani Page.

— Szybko, zanim nas wszystkich pozabija!

Na widok wstającego Pittmana Denning się skulił.

— Bradford, na twoim miejscu przestałbym pić. To zaćmiewa ci umysł. — Zwrócił się do pani Page.

— Muszę panią przeprosić za to wszystko. Proszę wybaczyć, że sprawiliśmy kłopot. Dziękuję, że zgodziła się pani z nami porozmawiać.

Jill również wstała.

— Doceniamy, że znalazła pani dla nas czas. Pittman skierował się do drzwi.

— Nie ma sensu kontynuować tej rozmowy, gdy Bradford jest w takim stanie.

Pani Page wyglądała na zaskoczoną.

— Dobranoc, i jeszcze raz dziękujemy.

— Dzwon na policję, George — upierał się Denning. — Zanim uciekną.

— Nie — powiedziała pani Page. — Nic z tego nie rozumiem. Bradford, u licha, co w ciebie wstąpiło?

Pittman i Jill minęli służącego, wyszli z pokoju, przeszli przez korytarz i otworzyli drzwi na ganek,

którego kolumny rzucały cienie na rosnące niżej krzewy.

Lepiej się pospieszmy — powiedziała Jill. Schodzili z ganku po schodach wyłożonych cegiełkami i kiedy mieli zanurzyć się w ciemności, tam gdzie nie sięgało oświetlenie trawnika, Pittman zatrzymał się chwytając Jill za ramię.

— Kłopoty.

Zesztywniała widząc, co się dzieje.

— Nasz samochód.

Stał zaparkowany przed rezydencją. W świetle latarni widać było, jak dwaj podejrzeni osobnicy w wiatrówkach przypatrują się tablicy rejestracyjnej dusterą. Pittman cofnął się.

— Musieli obserwować dom.

— Skąd mogli wiedzieć...? — Jill również cofała się w stronę ganku. Nagle zrozumiała. — Eustace Gable wie, że jego córka może być dla niego zagrożeniem. Musiał zarządzić obserwację domu, na wypadek gdybyśmy się tu pojawili.

— I tablica rejestracyjna z Vermont. Prawdopodobnie jedyna na tej ulicy. Skojarzenie z naszą wizytą w Akademii Grolliera nasuwa się samo.

Kiedy byli już prawie przy samych drzwiach, jeden z mężczyzn krzyknął. Pittman odwrócił się i zobaczył, że wskazuje na niego ręką. Jednocześnie zza samochodów zaparkowanych przed domem wypadł ciemny oldsmobile, ostro hamując. Wskoczyli z niego jacyś ludzie.

Pittman złapał za klamkę, modląc się w duchu, żeby służący nie

342

zdążył zamknąć drzwi po ich wyjściu. Odetchnął z ulgą, gdy ustąpiła. Pchnął drzwi, wpadli razem do środka, zatrzasnął je i zamknął na klucz.

Ich nagłe wtargnięcie wywołało ożywienie w pokoju po lewej stronie. W drzwiach ukazał się służący, a za nim pani Page i Denning,

— Co tu się dzieje? — spytała pani Page. — Dlaczego państwo wrócili?

— Obawiam się, że ściągnęliśmy na panią kłopoty — odparł Pittman. — Nie czas teraz na wyjaśnienia.

— Jest ich sześciu. — Jill patrzyła przez firankę w wąskim wysokim oknie przy frontowych drzwiach.

— Sześciu? — pani Page przeszła obok Denninga i służącego. — Nie rozumiem, co państwo chcecie...

— Idą tutaj.

Pittman przysunął się bliżej do pani Page.

— Jest pani w niebezpieczeństwie. Co jest z tyłu domu? Jak możemy się stąd wydostać?

— Niebezpieczeństwo? — niepewnym głosem spytał Denning.

— Rozdzielają się. — Jill cały czas była przy oknie. — Dwóch z przodu i po dwóch z każdej strony domu.

— Pani Page, to są ludzie nasłani przez pani ojca — powiedział Pittman.

— Mojego ojca...?

— Tych dwóch przed domem wyciągnęło właśnie broń.

— Proszę pani, sądzę, że chcą nas wszystkich zabić. I upozorować, że ja to zrobiłem.

— Zabić nas? — pani Page była przerażona. — Dlaczego?

— Ponieważ pani ojciec obawia się tego, co mogłaby nam pani powiedzieć. Musimy się stąd jakoś wydostać.

— Kilku idzie na tyły domu — informowała Jill. — Otaczają nas.

— Ojciec nigdy nie mógłby mnie zabić.

— Zamordował pani matkę. Dlaczego nie miałby zabić pani? Pani Page szeroko otworzyła oczy w przeblýsku zrozumienia.

— Dwóch wchodzi na ganek. Pittman zwrócił się do służącego.

— Czy dzwonił pan na policję, jak chciał Denning?

343

— Nie, pani Page powiedziała, żeby nie dzwonić.

— W takim razie niech pan dzwoni teraz.

— Nie ma na to czasu — jęczał Denning. — Nim dojadą... Usłyszeli dźwięk wybijanej szyby z tyłu domu. Denning obrócił się przerażony w tym kierunku.

Pittman sięgnął pod kurtkę i wyciągnął czterdziestkępiątkę, na której widok twarzy Denninga zrobiła się szara.

Na ganku ktoś próbował otworzyć wejściowe drzwi.

— Jill — ostrzegł Pittman — odsuń się. Oskoczyła od okna, kiedy Pittman rzucił służącemu:

— Zgaś światła w korytarzu.

Zrobiło się prawie ciemno, tylko lampy w pokoju, z którego właśnie wyszli, rzucały nieco światła.

Z

tyłu domu znów posypało się szkło.

— Jill, potrafisz użyć swojego pistoletu, gdyby ktoś próbował forsować drzwi?

— Okropnie się boję.

— Ale zrobisz to?

— Jeśli będzie trzeba...

— Dobrze. — Pittman rzucił się w głąb domu, słysząc za sobą głos Jill: „Zobacz, gdzie można się schować”.

— Samochód — powiedziała pani Page.

Pittman skradał się w ciemnościach z pistoletem w dłoni, nasłuchując, czy ktoś nie wchodzi przez okno.

— Tak, samochód — podchwycił Denning. Na ganku ktoś uderzył o drzwi ramieniem.

— Nic z tego — rzekła Jill — są również z tyłu. Zabiją nas, nim dotrzemy do garażu.

— Pani nie rozumie, samochód jest w podziemiach. Ramiona wciąż napierały na drzwi.

— O czym pani mówi? W jakich podziemiach? — głos Jill był ochrypły ze strachu. — Co samochód

robi w podziemiach?

W tylnej części domu Pittman usłyszał chrzęst szkła pod czyimiś stopami. Ścisnął mocniej pistolet, celując.

— Na dole jest garaż. Pod domem — wyjaśniła pani Page. — Jeśli się tam dostaniemy, będziemy bezpieczni.

— Nie — zaproponowała Jill. — Będziemy w pułapce. Jeśli spróbujemy wyjechać, ostrzelają nas.

344

— Nie bądź głupia. Słuchaj, co do ciebie mówię.

Pittman dosłyszał stukanie obcasów pani Page na posadzce korytarza. Otworzyły się drzwi, kroki były

głośniejsze.

— Proszę się zatrzymać! — zawołała Jill.

— Idziemy na dół — upierała się pani Page.

— Idę z tobą — zdecydował Denning.

W korytarzu rozległy się męskie kroki, dołączając do stuku obcasów na schodach, prowadzących w dół.

— Proszę poczekać na mnie — służący szybko podążył za nimi.

— Matt! — krzyknęła Jill.

Pittman znów usłyszał rozdeptywane szkło na tyłach rezydencji. Zamajaczył cień. W uszach zadźwięczało mu od przeraźliwego huku, kiedy wystrzelił. Zachwiał się od siły odrzutu. W ciemności

przed sobą zobaczył iskierkę. Jednocześnie bardziej poczuł, niż usłyszał kulę, która utkwiała w ścianie

tuż obok. Przez ułamek sekundy przeraził się, że od huku broni ogłuchł. Ale przeraził się jeszcze bardziej, kiedy dotarło do niego, że nie usłyszał strzału z przeciwka, ponieważ strzelający używał

tłumika. Mimo dzwonienia w uszach usłyszał przytłumione przekleństwo. Wystrzelił znowu i rzucił się do tyłu unikając na szczęście czterech następnych bezgłośnych kul uderzających o ścianę.

— Matt! — wrzasnęła Jill.

Nie mamy szans — pomyślał wycofując się w panice. — Nie damy rady ich wszystkich zabić.

— Jill, pospiesz się.

— Dokąd?

— Do piwnicy.

Jill zbiegała szybko po schodach w dół. Pittman jeszcze raz wystrzelił w głąb domu, potem w kierunku wejścia i również dopadł schodów zatraskując za sobą drzwi.

Uświadomił sobie, że zamknięcie drzwi nic mu właściwie nie dawało. Miały wprawdzie zamek, ale otwierał się także z drugiej strony. Zatrzymanie napastników nie było możliwe.

Poczuł ze strachu mdłości. W świetle na schodach widać było kamienne stopnie kończące się na betonowej podłodze. Jill była już na dole. Pittman, schodząc tyłem, celował w zamknięte drzwi.

Kiedy

zobaczył poruszającą się klamkę, wystrzelił. Do huku wystrzału dołączył trzask rozłupywanych przez

kulę drzwi i krzyk po drugiej stronie.

345

Tych dwóch od frontu miało tylko odwrócić naszą uwagę — pomyślał. — Walili w drzwi tylko po to,

żebyśmy się wycofali na tył domu, gdzie czekali już na nas inni z pistoletami z tłumikiem.

Niewielkie

zamieszanie na ganku nie zwróciło pewnie niczyjej uwagi. A pistoletów z tłumikiem nie można było

usłyszeć na zewnątrz.

Nikt nie wie, co się tu dzieje — pomyślał. Może służący zadzwonił na policję, ale on tego nie widział.

A może był zbyt przerażony. — Nikt nie wie, że potrzebujemy pomocy. Złapali nas w pułapkę.

Jedyna

możliwość, że ktoś z zewnątrz zorientuje się, że jesteśmy w niebezpieczeństwie, to... huk

czterdziestkiątki. To na

pewno będzie słycać.

Wciąż wpatrywał się w drzwi piwnicy i gdy zobaczył ruch klamki, znów wystrzelił i poczuł ból w uszach od łoskotu, spotęgowanego jeszcze ciasnotą pomieszczenia.

Ktoś na zewnątrz musi to słyszeć — przekonywał siebie samego. Chociaż dzwonienie w uszach było

prawie nie do zniesienia, zamierzał wystrzelić jeszcze raz. Nagle instynkt samozachowawczy podpowiedział mu, że kończy się amunicja. Ile razy wystrzelił? Starał się przypomnieć. Sześć.

Został

mu tylko jeden nabój. Jeśli

nas zaatakują...

Jill — pomyślał. — Ona nie strzelała. Jej magazynek jest pełny. Odwrócił się chcąc wziąć od niej broń

i zamarł bez ruchu na widok samochodu. Jego rozmiary były absolutnie imponujące. Srebrzysty rolls-

royce, jego lakier i chromy błyszcząły od codziennego polerowania. Musiało to być jego stałe miejsce

parkowania. Błoczek i linki zamocowane u sufitu prowadziły do drzwi garażu, prawdopodobnie otwieranych elektronicznie. Jego za*skoczenie dorównało konsternacji, kiedy zobaczył, jak bardzo przerażeni są pani Page, Denning i służący. Siedzieli w zamkniętym samochodzie, najwidoczniej blokując drzwi. Jill starała się otworzyć te od strony kierowcy, podczas gdy pani Page trzęsącymi się

rękami wpychała kluczyk do stacyjki.

— Pani Page, proszę otworzyć drzwi. Proszę mnie wpuścić. Pittman słyszał krzyki Jill stłumione, jakby ktoś nakładł mu waty do uszu.

Ponownie skupił uwagę na szczycie schodów. Zauważył ruch klamki. I znów wystrzelił. Zamek pistoletu pozostał w tylnej pozycji, wskazując, że naboje się skończyły.

346

Wsunął czterdziestkępiątkę do kieszeni i podbiegł do Jill.

— Daj mi swój pistolet.

Była tak zajęta otwieraniem drzwi samochodu, że nawet nie zauważyła, kiedy Pittman zabrał jej broń.

Mieściło się w niej więcej naboju niż w jego armacie. Przez krótką chwilę poczuł się pewniej. Ale zaraz

zdał sobie sprawę, że wciąż jest w pułapce. Jeśli pani Page uruchomi samochód, otworzy drzwi garażu

i wyjedzie, nie będą w stanie razem z Jill stawić czoła sześciu bandziorom.

Drzwi od piwnicy zaczęły powoli się uchylać. Pittman strzelił. Odrzut dziewiątki był zdecydowanie słabszy niż z czterdziestki. To, co zamierzali atakujący, było oczywiste — nie spieszyć się i sprowokować Pittmana do wystrzelania całej amunicji.

Czując mdłości i walenie serca zastanawiał się, dlaczego dotąd nie zjawiała się policja. Sąsiedzi musieli

przecież słyszeć strzały i powiadomić ją. Na co jeszcze policja czeka?

Jill wciąż waliła w drzwi samochodu.

— Wpuście mnie!

Nagle pani Page nacisnęła guzik blokady i zamek z lekkim stuknięciem ustąpił. Otworzyła drzwi.

— Nie mogę uruchomić samochodu.

— Mój ojciec ma taki sam! Daj mi spróbować! Przesuń się! — Jill wcisnęła się obok niej, za koło kierownicy.

Pittman podbiegł do samochodu i zobaczył struchlałego Den-ninga siedzącego obok pani Page i Jill. Szarpnął za drzwi od strony pasażera, wyciągnął go i wepchnął na tył obok służącego.

Wskoczył za nim i wrzasnął do Jill:

— Wyjeżdżaj, do diabła!

Jill trzasnęła drzwiami i przekręciła kluczyk.

— Nie działa!

— Spróbuj jeszcze raz!

— Nie chce się przekręcić! Pittman zerknął w kierunku schodów.

— Pospiesz się!

— Kluczyk! To nie ten kluczyk! — Drżącymi rękami szukała na kółku właściwego.

Mimo przytępionego słuchu do Pittmana docierały odgłosy na

347

schodach. Zobaczył najpierw cienie, po chwili buty. Strzelił. Na buty posypały się odłamki betonu. Napastnik wycofał się.

— Działa! — krzyknęła Jill. Silnik rolls-royce'a zamruczał.

— Szybko! — Pittman jeszcze raz strzelił w kierunku schodów i schował się do samochodu. —

Zablokuj wszystkie drzwi!

Jill przycisnęła guzik blokady zamków. Potem inny. Drzwi garażu zaczęły otwierać się z łoskotem.

Pittman spojrzął w panice do tyłu. Napastnicy zbiegali po schodach.

— Będą strzelali w okna! — wrzeszczał Pittman. — Pochylcie się!

— Nie trzeba! — krzyknęła pani Page.

Kula uderzyła w tylną szybę, odbijając się od niej.

— Mój mąż bał się terrorystów!

— Co?!

Jill nadepnęła na gaz, ruszając z piskiem, gdy drzwi garażu uniosły się do góry. Dach samochodu otarł

się o nie ze zgrzytem. Pokonując stromiznę rolls podskoczył nieco w górę i znalazł się na zewnątrz.

Przez okienko Pittman dostrzegł trzech ludzi skradających się w ciemnej alei za domem. Czekali, celując prosto w samochód. Nie mógł słyszeć huku pistoletów zaopatrzonych w tłumiki, ale szarpany

ruch broni wskazywał, że strzelają. Kule odbijały się od dachu i przedniej szyby.

— Niesamowite!

— Szyby są kuloodporne! — zawołała pani Page. — Cały samochód też! To właśnie usiłowałam wam powiedzieć!

Jill skręciła i zwiększając szybkość przemknęła obok napastników, którzy teraz strzelali w bok samochodu.

Pittman czuł jego drganie, kiedy kule bezgłośnie uderzały o karoserię.

Jill mocowała się z kierownicą.

— Prowadzi się, jakby to był czołg.

— Do tej pory myślałam, że mój nieboszczyk mąż był niespełna rozumu, zamawiając opancerzony samochód.

Przed nimi pojawił się kolejny napastnik. Strzelił prosto w szybę, uskakując przed pędzącym samochodem. Jill skręciła z wąskiej, zadrzewionej alejki, przejechała obok domu, w kierunku wyłożonego

348

kostką podjazdu do ulicy. Nie było czasu na włączenie świateł, ale w blasku lamp rozjaśniających front domu oraz latarni ulicznych widać było, że wyjazd na ulicę był zatarasowany przez ciemnego oldsmobila, którym przyjechali napastnicy. Nie można go było ominąć. Wszędzie wzdłuż krawężnika

były zaparkowane samochody, uniemożliwiając rollsowi wyjazd na ulicę.

— Trzymajcie się!

Jill zacisnęła jeszcze bardziej ręce na kierownicy i nacelowała samochód prosto w przedni błotnik oldsmobila blokującego wyjazd.

— Miejmy nadzieję, że to naprawdę czołg!

Siedząc z tyłu, Pittman przygotował się na uderzenie. Poczuł gwałtowne przyspieszenie samochodu.

Oldsmobil rósł w oczach, wypełniając przednią szybę. Rolls uderzył z taką siłą, że odrzuciło oldsmobila na bok.

Pittman poczuł, jakby go ktoś walnął młotem w pierś. Głowa poleciała mu do tyłu. Obok Denning runął na podłogę. Rolls nie zatrzymał się, spychając jeszcze bardziej na bok pojazd napastników.

Służący jęczał. Pani Page opierała się rękami o deskę rozdzielczą, żeby zamortyzować uderzenie. Chociaż Pittmanowi dzwoniło wciąż w uszach, nie mógł nie słyszeć szczęku zgniatanego metalu i dźwięku roztrzaskiwanego szkła. Odepchnięty oldsmobil już nie zagradzał drogi i rolls przecisnął się

obok niego, ocierając się jednocześnie o zaparkowanego przy krawężniku infiniti. Wyrwał do przodu

na ulicę, przecinając ją w poprzek. Jill wcisnęła hamulec, lecz ciężki opancerzony samochód nie zwalniał łatwo. Kręciła zawzięcie kierownicą, żeby nie uderzyć w auta zaparkowane po drugiej stronie

jezdni. Ale rolls, kto by przypuszczał, że jest taki ciężki, reagował ospale. Jeden ze stojących naprzeciwko samochodów wyrósł nagle przed maską. Rolls walnął w niego, znowu posypało się szkło, zazgrzytała blacha. Rolls odskoczył, jego charakterystyczna figurka skrzydlatej kobiety i

błyszcząca atrapa z grubych metalowych listewek upadła na chodnik.

Pittman, cały poobijany po dwóch kolizjach, patrzył przerażony z tylnego siedzenia, jak Jill wrzuca wsteczny bieg i usiłuje wyprowadzić blokujący oba pasy jezdni samochód z pozycji prostopadłej do krawężnika. Za późno. Pittman raptownie poleciał w bok

349

w wyniku kolejnego zderzenia. Nadjeżdżającemu właśnie samochodowi nie udało się zatrzymać.

Inny

— jadący w przeciwnym kierunku, zdołał wyhamować z piskiem tuż przed nimi.

Nie! — zmartwiał Pittman. — Jesteśmy całkiem zablokowani. Kierowcy wyskoczyli z aut. Z domów

po obu stronach ulicy wybiegali mężczyźni i kobiety, zaalarmowani hukiem. Przechodnie patrzyli w przerażeniu. Chodnik szybko się zaludniał. Samochody, którym wypadek zatarasował drogę, stawały

jeden za drugim w obu kierunkach, trąbiąc klaksonami.

— Co teraz zrobimy? — skamlał Denning.

— Jedno jest pewne, dalej rollsem nie pojedziemy — stwierdziła Jill.

— Wsiadamy — zdecydował Pittman.

— Zastrzelą nas — przeraził się służący.

— Nie możemy tu zostać. Szybko. Wsiadamy. — Pittman pomógł Denningowi pozbierać się z podłogi. — Nic się panu nie stało? A pani, pani Page? — Otworzył drzwi. — Pytałem, czy nic się pani

nie stało? — powtórzył dobitnie.

Oszołomiona pani Page jęczała, osunąwszy się na przednie siedzenie.

Jill pochyliła się nad nią.

Pittman, który już wydostał się z samochodu, szybko otworzył drzwi od strony pasażera.

— Co jej jest?

Kierowcy z samochodów blokujących rollsa tłoczyli się obok Pittmana.

— Co, do diabła, wyprawiacie! — wrzeszczał jeden z nich. —

Wyskoczyliście jak z pod ziemi!

— Jest poobijana, ale nie widzę, żeby krwawiła.

— Musimy stąd uciekać — zawodził Denning.

Pittman odwrócił się w kierunku podjazdu do rezydencji. Korzystając z zamieszania, mężczyźni w wiatrówkach, z ponurymi twarzami, biegli aleją i wtapiali się w tłum.

— Jezu, człowieku! — jakiś facet zmartwiał z przestachu, wskazywał na prawą rękę Pittmana.

Pittman nie rozumiał, co go tak przeraziło. Spojrzał w dół i zobaczył, że wciąż ścisną pistolet, który wziął od Jill.

Cofający się w panice człowiek wpadł tyłem na kierowcę

350

samochodu, który uderzył w rollsa. Ten także zobaczył pistolet i zareagował podobnie, wycofując się

w popłochu.

— Jezu, on ma broń! — ktoś wrzeszczał. Jakaś kobieta zaczęła krzyżeć.

W tłumie zakotłowało się, wszyscy jak szaleni usiłowali jak najdalej uciec od człowieka z pistoletem.

Pittman wciąż wpatrywał się w podjazd i chodnik przy rezydencji pani Page. Ponurych facetów w wiatrówkach nie było już widać. Przyglądał się ogarniętym paniką ludziom wokół siebie w obawie, że

zabójcy mogli się do nich zbliżyć pod osłoną tłumy.

— Z nią wszystko w porządku — nagle usłyszał za sobą słowa Jill.

Odwrócił się i zobaczył stojącą obok niej panią Page.

— Chodźmy stąd! — skamlał Denning.

— Duster. — Pittman pobiegł w kierunku rezydencji, przed którą stał ich samochód. Wyciągnął kluczyki, odblokował drzwi od strony kierowcy, szarpnął je i pochylił oparcie przedniego siedzenia, żałując, że pojazd nie ma czterech drzwi.

Denning już był w środku. Jill i służący pomagali pani Page usadowić się z tyłu, zrzucając torbę Pittmana i neseser Jill na podłogę. Pittman podniósł z powrotem oparcie fotela, wskoczył za kierownicę, zatrzasnął drzwi, zapalił silnik i ruszył spod krawężnika. Na prostopadłej uliczce stało z dziesięć zablokowanych samochodów, z włączonymi światłami, a ich kierowcy i pasażerowie wychylali głowy zdezorientowani. Przed nimi jednak ulica była pusta, rolls i samochód, który w

niego uderzył, tarasowały drogę z tyłu.

— Pochylicie się! — krzyknął Pittman. — Mogą wciąż być gdzieś w pobliżu...!

Przeciął skrzyżowanie, ostro skręcił, z trudem unikając potrącenia jakiegoś przechodnia, aż przeszły go ciarki, i włączył reflektory. W ich nagłym blasku mignęła mu ściana budynków z cegły z zaparkowanymi samochodami.

— Mamy szczęście! — powtarzał Denning. — Wystraszyli się tłumu. .

— Niewykluczone — odparł Pittman.

— Co znaczy „niewykluczone”? — Denning. spojrzął do tyłu. — Nie widać za nami żadnych świateł!

Nikt za nami nie jedzie!

351

— To prawda, chyba nam się udało. Przynajmniej na razie. Ale wcale nie jestem przekonany, że wystraszyli się tłumu.

Denning patrzył pytająco.

— Mam przeczucie, że gdyby to odpowiadało ich planom, zastrzeliliby nas bez skrępowania tam, na ulicy. W ciemności, w takiej panice, kto byłby w stanie ich zidentyfikować?

— To dlaczego tego nie zrobili?

Pittman z piskiem opon pokonał zakręt i pognął Trzydziestą Czwartą na południe.

Zwolnij — przestrzegł sam siebie. — Nie możesz pozwolić, żeby zatrzymała nas policja.

Cały spocony ograniczył szybkość i wtopił się w ruch uliczny.

— Nie odpowiedział pan na moje pytanie — upomniał go Denning. — Jeśli pan nie sądzi, że spłoszył

ich tłum, to dlaczego nie zastrzelili nas, kiedy wysiedliśmy z rollsa? Myśli pan, że to nie odpowiadało

ich planom?

— Sądzę, że nie mieli zamiaru zabijać nas wszystkich. Miał pan rację. Jestem Matthew Pittman i policja poszukuje mnie za zamordowanie Jonathana Millgate'a. Tylko że ja nic mu nie zrobiłem, przysięgam. Próbowałem mu jedynie pomóc.

Krótko opowiedział, co się wydarzyło w posiadłości w Scarsdale.

— Odtąd cały czas uciekam. To, co powiedział mi Millgate, stanowi dla nich wszystkich takie zagrożenie, że usiłują mnie zabić, zanim dowiem się, co się za tym kryje.

Pittman wpatrywał się przed siebie, widząc w dali światła i ruch uliczny na Pennsylvania Avenue.

— Aby temu zapobiec, zabili już kilka osób, do których zwróciłem się po informację. I upozorowali,

że to ja zrobiłem. Dlatego właśnie w gazetach wypisują, że działałem w morderczym szale. Ale ja nigdy

nikogo nie zabiłem. Chociaż nie, to nieprawda. Mówiąc szczerze, zabiłem, i niech mi Bóg wybaczy.

W samoobronie przed napastnikami — w moim mieszkaniu, na ulicy na Manhattanie i w mieszkaniu

Jill.

— Tak właśnie mam na imię. — Jill zwróciła się do pani Page. — Oni myślą, że ja też coś wiem.
— Ale my? — odezwała się pani Page. — Co mogą mieć do nas?
— Ci ludzie pracują dla pani ojca i przypuszczalnie także dla pozostałych superdoradców.

352

Pittman dojechał do Pennsylvania Avenue i skręcił w prawo, w jasno oświetloną M Street. Ruch był tu duży.

— On wie, jak bardzo go pani nienawidzi i że chce go zniszczyć. Było dla niego logiczne, że możemy się zwrócić do pani o pomoc.

Denning zaprotestował:

— Przecież nie mieliście pojęcia o jej istnieniu. Gdyby nie ja...

— Ale Eustace Gable o tym nie wiedział — wyjaśniał Pittman. — Wiedział natomiast, że pracowałem kiedyś jako reporter i bał się, że jeśli moje źródła poinformują mnie o jego córce, natychmiast się do niej udam, co właśnie stało się dzisiaj. A wtedy ten, kto obserwował dom pani Page, zadzwonił po pomoc.

Przed nimi migotały światła Francis Scott Key Bridge. Pittman wjechał na most, włączając się w potok samochodów jadących na drugą stronę Potomacu do Wirginii.

— Tyle już napisano o mojej zabójczej manii, o mojej rzekomej wendecie przeciwko superdoradcom.

Chcieli, żeby wyglądało, że to ja panią zabiłem. Dlaczego? Któż to wie? Władze przecież uważają mnie za obłąkanego. Może nie byłem w stanie dopaść Eustace'a Gable'a i swoją wściekłość zwróciłem

przeciwko jego córce? Dlatego niepokoił się o nią i posłał paru ludzi, żeby zobaczyli, czy jest bezpieczna. Złapali mnie, ale, niestety, zdażyłem już ją zabić. Wywiązała się strzelanina, w której oboje z Jill zginęliśmy. Koniec całej afery. Koniec zagrożenia superdoradców. A policja, wobec braku

innych dowodów, łatwo zadowolili się tym wyjaśnieniem.

, — Policja — zdecydowała pani Page. — Jedźmy na policję.

— Pani może jechać. Myślę, że panią wysłuchają. Z pani pieniędzmi i pozycją może się pani spodziewać, że zrobią wszystko, żeby panią ochronić. Wtedy ojciec zrobi wszystko co w jego mocy,

żeby zdyskredytować pani słowa, żeby i panią uznano za niespełna rozumu. W co władze szybciej uwierzą: w to że ja jestem maniakiem, czy że pani szacowny ojciec jest gotów na wszystko, nawet na

śmierć własnej córki, żeby tylko utrzymać swój sekret?

— Mój szacowny ojciec — powtórzyła z niesmakiem pani Page.

— Poza tym istnieje ryzyko, że może zaaranżować wypadek, który przydarzy się pani tam, gdzie umieszczą panią dla bezpieczeństwa. Siedem lat temu, kiedy badałem sprawę Jonathana Millgate'a, kazał bostońskiej policji aresztować mnie pod zarzutem włamania. Dwaj faceci na jego usługach złamali mi szczękę, kiedy byłem w areszcie.

23 — Desperackie kroki

353

— Dlatego właśnie nie oddaliśmy się w ręce policji — dodała Jill. — Matt obawia się, że jeśli zgłosi

się do nich i wszystko opowie, wcale nie będzie bezpieczny. Na pewno mu nie uwierzą.

— Wszystko świadczy przeciwko mnie. Moje szansę są dużo większe, jeśli pozostanę na wolności, póki nie udowodnię, że jestem niewinny.

— W jaki sposób? — zapytała pani Page.

— Myślałem już o tym. Ale w pojedynkę nie dam sobie rady. Czy pomoże mi pani?

— Czego pan potrzebuje?

— Wciąż nie znam wszystkich szczegółów, chociaż teraz wiem dużo więcej. Widziano mnie z bronią w ręku koło pani domu. Widzieli, jak wpychaliśmy panią do samochodu. Na pewno też zauważyli tablice z Vermont. To wszystko wyglądało na porwanie. Policja będzie nas szukać, co przyjdzie im tym łatwiej, że znają nasze numery rejestracyjne.

Przejechali przez most na drugą stronę Potomacu i wjechali na Fort Myer Drive w Rosslyn, w Wirginii.

— Potrzebny nam jest jakiś duży zajazd z zatłoczonym parkingiem.

— O tak — podchwycił Denning — muszę wypić porządnego drinka.

— Nie to dokładnie miałem na myśli. Chcę ukraść tablice rejestracyjne z Wirginii. Potem odbędziemy rozmowę telefoniczną. Chciałbym, żeby pani zadzwoniła do ojca. Jest kilka rzeczy, które

chciałbym, żeby mu pani powtórzyła.

— Nie znam jego prywatnego numeru. Nie chciał mi go podać.

— Nie szkodzi. Ja go znam.

— Pan? Skąd?

— Dał mi go ktoś, z kim przeprowadzałem kiedyś wywiad.

Budka telefoniczna stała obok jasno oświetlonego sklepu. Przy wejściu panował spory ruch. Pittman

ustawił samochód w rzędzie obok innych i poinstruował panią Page, o czym ma rozmawiać z ojcem.

— Czy zapamięta pani to wszystko? Da pani radę to zrobić?

— Zrobię to z rozkoszą — w głosie pani Page zabrzmiała zawziętość, półmrok w samochodzie podkreślał napięcie na jej twarzy. — To jest dokładnie to, co chciałam mu powiedzieć.

— Chciałbym, aby mnie pani dobrze zrozumiała. To może być dla pani niebezpieczne.

- — Przecież już jestem w niebezpieczeństwie. Muszę się ratować. Ale nie wiem, dlaczego musimy dzwonić z budki? Dlaczego nie weźmiemy pokoju w hotelu i stamtąd nie zadzwonimy? Tam byłoby wygodniej.

— Jeśli pani ojciec ma obsesję na punkcie bezpieczeństwa, a sądzę, że tak, dysponuje na pewno urządzeniem pozwalającym ustalić, z jakiego numeru się dzwoni. Dzisiaj to już nic trudnego.

Identyfikacji rozmówcy można dokonać wręcz błyskawicznie. A wtedy wysłałby swoich ludzi do hotelu i wpadlibyśmy w pułapkę.

— Oczywiście, powinnam była o tym pomyśleć.

— Ale pan o tym pomyślał — odezwał się Denning. Pittman w zakłopotaniu uniósł brwi.

— Przezorność to dla mnie sprawa oczywista.

Pomyślał, że może rzeczywiście ma talent do zacierania za sobą

355

śladów. Poczł pulsowanie w skroniach, kiedy uzmysłowił sobie, jak mało się jeszcze zna.

Jill wróciła ze sklepu i wręczyła Pittmanowi monety z rozmienionego właśnie pięciodolarowego banknotu.

— Niedługo zostaniemy bez pieniędzy.

— Wiem — wziął od niej pieniądze. — Co masz w tej papierowej torbie?

— Kawa i pączki dla wszystkich.

— Nigdy już nie zaczniesz odżywiać się właściwie.

— Mam nadzieję, że będę miała jeszcze okazję.

Pittman dotknął jej dłoni, po czym zwrócił się do pani Page.

— Czy jest pani gotowa? Dobrze. Chodźmy. Podprowadził ją do budki telefonicznej, stojącej w pewnej

odległości od wejścia do sklepu, tak by gwar nie przeszkadzał rozmawiającym. Wyciągnął kartkę z numerami telefonów, które uzyskał z komputera Briana Botulfsona. Wrzucił monetę, wystukał

numer

Eustace'a Gable'a i podał słuchawkę pani Page, która wpatrywała się wzrokiem pełnym nienawiści w

szklaną tafłę, jakby tuż za nią stał jej ojciec. Po chwili zaczęła.

— Eustace Gable... Myślę, że w tym przypadku będzie chciał, aby mu przeszkodzić. Powiedz mu, że

dzwoni jego ukochana córka. — Pani Page stuknęła niecierpliwie długimi paznokciami o szybę. —

Witam, drogi ojczu. Wiem, że się niepokoisz, więc pomyślałam, że zadzwonię i powiem, że mimo tych zbirów, którzy wdarli się do mojego domu, jestem bezpieczna. — Zaśmiała się gorzko. —

Jakich

zbirów? Oczywiście tych, których wynajęłaś, aby mnie zabili. ...Przestań, nie obrażaj mojej inteligencji. Czy naprawdę spodziewasz się, że uwierzę w twoje zaprzeczenia?

Wiem, że pod wieloma względami rozczarowałam cię, choćby dlatego że nie jestem doskonała. Ale z

jednego możesz być dumny. Nie wychowałeś mnie na idiotkę. Wiem, co się dzieje, ojczu, i mam zamiar zrobić wszystko co w mojej mocy, aby cię powstrzymać... O czym mówię? O Duncanie Kline'em, ojczu... O co chodzi? Nagle nie masz nic do powiedzenia? Kiedy byłam mała, zawsze przerywałeś, kiedy chciałam ci coś powiedzieć. Teraz nareszcie zaczynasz słuchać. Coś takiego... Duncan Kline, ojczu. Akademia Grolliera. Śnieg. To ty zamordowałeś Jonathana Millgate, żeby tajemnica się

356

nie wydała. Ale ja zamierzam ujawnić twój sekret. Do diabła z tobą, mam nadzieję, że już przez resztę

życia nie zaznasz spokoju. Za to, co zrobiłaś matce.

Pani Page odłożyła słuchawkę, popatrzyła na nią, westchnęła i odwróciła się do Pittmana.

— To było nadzwyczaj satysfakcjonujące.

— Będzie pani miała jeszcze niejedną okazję. Chcę przycisnąć pani ojca i całą resztę. Teraz jednak musimy wracać do samochodu i ulotnić się, na wypadek gdyby pani ojciec wytropił połączenie.

W dwadzieścia sekund później oświetlony sklep zniknął w tylnym lusterku.

— Przejedziemy kilka mil i skorzystamy z innej budki.

— Dobrze. Teraz moja kolej — powiedziała Jill. — Winston Sloane. Nie mogę się doczekać. Jakże to

przyjemne uczucie tak ich przypierać do muru.

Wreszcie przyszła kolej na Pittmana. Zatrzymał samochód obok automatu na skraju opustoszałego parkingu przy domu handlowym w Fairfax. W świetle kabiny wybrał jeden z numerów ze swojej listy

i wystukał cyfry.

Usłyszał tylko jeden sygnał i zaraz odezwał się męski głos, w którym wyczuwało się napięcie.

— Rezydencja Standisha.

— Chciałbym z nim rozmawiać.

— Kto mówi? — głos zawahał się.

— Proszę go poprosić do telefonu. Jestem pewien, że nie śpi. Przed chwilą dzwonił do niego

Eustace

Gable lub Winston Sloane, a może i obaj.

— Skąd pan to wie, sir?

Służący na pewno nie zadałby mu takiego pytania. Podobnie jak przed chwilą jego rozmówca, teraz on

się zawahał. Jego plan po części opierał się na założeniu, że superdoradcy będą w wyniku telefonów

czuć się coraz bardziej zagrożeni, i że będą się ze sobą kontaktować. Kiedy dowiedzą się, że i do pozostałych dzwonił jacyś ludzie, w każdym przypadku ktoś inny, ich niepokój wzrośnie jeszcze bardziej. To, czego się dowiedzą, będzie proste. Wasz sekret się wydał, coraz więcej ludzi wie, co

dawniej zrobiliście i co teraz robicie, żeby utrzymać wszystko w tajemnicy. Jeśli będzie miał trochę szczęścia, superdoradcy zaczną działać pod presją, popełniać błędy i wtedy...

358

Głęboki, podenerwowany głos przerwał myśli Pittmana.

— Czy pan jest tam jeszcze, sir? Pytałem, skąd pan wie, że pan Standish otrzymał telefony od Eustace'a Gable'a i Winstona Sloane'a?

— Ponieważ chciałem porozmawiać z nim o tym samym co i oni.

— Ale o czym? — w głosie wyczuwało się coraz większe napięcie.

— Wie pan, mam już tego dosyć. Proszę mu powiedzieć tylko „Duncan Kline, Akademia Grolliera”. I

proszę go zapytać, czy woli rozmawiać o tym ze mną czy z policją?

— Obawiam się, że nie rozumiem. Co za Duncan Kline? I Akademia Grolliera?

W słuchawce, z oddali, słychać było inne głosy i jakąś krzątanicę. Co tam się dzieje, do diabła? — pomyślał Pittman.

— Z kim rozmawiam? Kto jest przy telefonie? — nalegał głos.

— Wydaje mi się, że pan wcale nie jest służącym.

— Pan Standish nie podejdzie do telefonu, dopóki się pan nie przedstawi.

Pittman usłyszał, jak ktoś w mieszkaniu powiedział „poruczniku”.

— A więc jest u państwa policja — stwierdził.

— Policja, sir? Dlaczego pan tak sądzi? Jedyne, o co pana proszę, to nazwisko. Poproszę pana Standisha, jeśli...

— Co się, do cholery, tam dzieje?

— Nic, sir.

— Jasne. Dlatego właśnie odbywa się u was zjazd policji.

— Po prostu mamy kilku gości.

— Skończ pan z tymi bzdurami! Chcecie pewnie ustalić, skąd dzwonię. Nie męczcie się.

Rozłączam

się, jeśli natychmiast się nie dowiem, co się tam dzieje!

— Niestety, mieliśmy tu wypadek — odpowiedział głos w słuchawce.

Victor Standish nie żyje?! — Jill przestraszona pochyliła się do niego, kiedy w pośpiechu odjeżdżał sprzed budki na opustoszałym parkingu.

— Jak to się stało? — spytała pani Page ze zdumieniem.

— Tego policjant mi nie powiedział. — Pittman włączył się do ruchu na Old Lee Highway. —

Dziwię się, że w ogóle tyle powiedział. Najwyraźniej chciał przytrzymać mnie przy telefonie, dopóki

nie ustalą, skąd dzwonię i nie przyślą radiowozu.

Z tyłu szybko zbliżał się jakiś samochód na sygnale. Pittman spojrzał we wsteczne lusterko i zobaczył

pulsujące światła wozu policyjnego, przebijającego się między pojazdami.

— Obawiam się, że nie rozłączyłem się dość szybko. Radiowóz zmienił pas, korzystając z luki w ruchu i jeszcze

bardziej przyspieszył. Nagle, niespodziewanie zjechał z autostrady. Ręce Pittmana zaciśnięte na kierownicy były całkiem mokre.

— Chyba mam już dość adrenaliny jak na jeden wieczór.

— Miło mi słyszeć, że nie ja jedna padam ze zmęczenia — westchnęła pani Page. — Dobrze byłoby

się położyć.

— Czyż to nie cudowne?! — wykrzyknął Denning.

— Co mianowicie?

— Trzech nie żyje, zostało już tylko dwóch. — Denning był rozradowany. — Padają jak muchy, Vivian. Tylko o tym marzyłem. Mają w końcu to, na co zasłużyli. Zatrzymaj się. Musimy znaleźć następny automat.

Pittman zupełnie nie wiedział, jak zareagować na jego wybuch radości.

— Rób, co ci mówię — nalegał Denning. — Tutaj, przy stacji benzynowej. Szybko. Hamuj. Pittman, zaskoczony, ulegając jego naciskowi wykonał polecenie. Zatrzymał dusterą obok kompresora. Skonsternowany stał razem z pozostałymi przy budce, podczas gdy Denning telefonował.

— Widzę, że sam ostatnio odbierasz telefony, Eustace. Taki jesteś zdenerwowany, co? ...Twój stary wróg. Dzwonię, żeby ci powiedzieć, jak bardzo ucieszyła mnie wiadomość o śmierci Victora Standisha. Szaleję wprost z radości. Jestem w siódmym niebie. Skurczybyk zasłużył na to. Tak zresztą

jak i ty. Zacząłem nawet wierzyć w istnienie Boga. Powiedz mi, Eustace, czy śmierć Victora ma coś wspólnego z waszym sekretem? Kiedy ludzie dowiedzą się o Duncanie Kline'em, będziesz skończony.

Umrzesz w hańbie. A ja będę tańczył na twoim grobie, sukinsynu.

Denning trzasnął słuchawką. Jego oczy płonęły, w żółtych fluorescencyjnych lampach stacji benzynowej wyglądał jak oblakany. Wszedł człowiek z obsługi, ocierając smar z rąk.

— Chcecie zatankować?

Pittman był tak przejęty nienawiścią pałającą z twarzy Denninga, że przez moment nie mógł wydusić słowa.

— Nie, musieliśmy tylko zadzwonić.

— Pański przyjaciel nie wygląda najlepiej. v — Rzeczywiście.

Nagła bladość na twarzy Denninga zaalarmowała go.

— Muszę odpocząć.

Pod Denningiem ugięły się kolana. Pittman podtrzymał go.

— To zbyt dużo jak dla mnie. Muszę się położyć.

— Czy mam wezwać karetkę? — zapytał pracownik stacji.

— Nie.

W głowie Pittmana kłębiły się myśli. Chciał być pewien, że z Denningiem jest wszystko w porządku.

Jednocześnie musieli zniknąć ze stacji, na wypadek gdyby Gable'owi udało się wytropić, skąd dzwonił

Denning, i gdyby wysłał tu swoich ludzi.

— Moja przyjaciółka jest pielęgniarką. Wsadźmy go do samochodu; zbada go. Jeśli będzie trzeba, zawieziemy go do lekarza.

Posadzili go na tylnym siedzeniu. Po chwili Pittman siedział już za kierownicą i trzasnąwszy drzwiami

włączał się do ruchu.

— Co z nim?

W tyle Jill zajmowała się Denningiem.

— Puls ma szybki, choć słaby. I nierówny.

— Co to znaczy? Czy to atak serca?

— Nie wiem. Mówi, że nie czuje ostrego bólu w klatce ani w lewym ramieniu. Raczej lekki ucisk w

piersi. To może być atak dusznicy. Gdybym miała aparat do mierzenia ciśnienia... Chyba nie możemy

ryzykować. Trzeba zawieźć go do szpitala.

Siedzieli w poczekalni w izbie przyjęć, mrużąc oczy od światła odbijającego się od białych ścian. Pittman osunął się na metalowe krzesło. Bolał go stłuczony bok, nogi miał sztywne od długiej jazdy.

Obok niego siedziała pani Page. Ze zmęczoną, spiętą twarzą wyglądała dużo starzej. Pittman popatrzył na przybite twarze innych ludzi, czekających na wieści o swoich bliskich. Uświadomił sobie, że przyjeżdżając do szpitala w innych okolicznościach na pewno bardziej rozpamiętywałby śmierć Jeremy'ego. Tyle się jednak zdarzyło, tyle miał do „rozwikłania, a Jeremy był tylko jednym z elementów w tej płataninie myśli i uczuć. Sam był zaskoczony, że nie traktuje tego jako zdrady. To, że nie myślał o nim ciągle, nie oznaczało wcale, że już go mniej kocha. Zdawał sobie sprawę, że gdyby sam był martwy, nie mógłby odczuwać tęsknoty za nim. Jeszcze tydzień temu był pogrążony w rozpacz, a teraz rozumiał, że jego najważniejszym obowiązkiem jest pozostać przy życiu, aby ciągle pamiętać o Jeremym i ciągle go kochać. Musi zrobić wszystko, żeby się uratować. Przez obrotowe drzwi obok pokoju pielęgniarek weszła Jill. Jej dżinsy i sweter były pogniecione. W niebieskich oczach widać było zatroskanie, palcami przejechała po długich jasnych włosach.

— I co z nim? — spytał Pittman.

— Wciąż robią badania, ale jak dotąd nie wygląda to na chorobę wieńcową. — Opadła na krzesło obok niego. — Zakładają, że to wynik przemęczenia. Lekarz chce go zatrzymać na noc na obserwacji.

363

— Tutaj będzie bezpieczny. Nikomu nie przyjdzie na myśl szukać go w szpitalu w Fairfas.

— Pod warunkiem że będzie trzymał język za zębami,

— Sądzę, że czuje się na tyle niepewnie, że nie będzie nigdzie telefonował i rozповідаł o sobie. Pani Page podniosła się i stwierdziła oschle:

— Nie tylko on jest wyczerpany. — Zwróciła się do służącego: — George, dziękuję ci bardzo, że zostałeś ze mną. Myślę jednak, że czas, abyś pomyślał o sobie. Powinieneś odpocząć. Twoja rodzina będzie się denerwować. Zadzwoń i uspokój ich. Potem jedź do domu.

George wahał się.

— Sądzi pani, że to rozsądne, madam? Jechać do domu? Ludzie, którzy pani szukają, mogą obserwować moje mieszkanie. Mogą mnie wypytywać, gdzie pani jest.

— Przecież nie będziesz wiedział, dokąd pojedę.

— George ma rację — wtrącił Pittman. — Nawet jeśli nie będzie wiedział, mogą próbowali torturami wydobyć z niego. Będzie tak samo zagrożony jak my.

— Wolałbym zostać z panią, madam. Wygląda na to, że potrzebuje pani mojej pomocy bardziej niż kiedykolwiek.

8

Hotel Holiday Inn znajdował się przy drodze 29, prowadzącej z Fairfax na zachód. Pittman wybrał go, gdyż niedaleko stąd dwaj pozostali superdoradcy mieli swoje posiadłości. Przez chwilę zastanawiał się, jak zapłaci za wynajęte pokoje. Zostało im już niewiele pieniędzy. Nie mogli też wykorzystać karty kredytowej Jill. Podobnie jak pani Page, której nazwisko było znane w okolicach Waszyngtonu i zwróciłoby od razu uwagę. Policja i Eustace Gable mogli już zaalarmować firmy wydające karty kredytowe, aby powiadomili ich, gdyby ktoś posłużył się jej kartą. Trudności wydały się nie do przezwyciężenia, dopóki Pittman nie wpadł na pomysł, żeby wykorzystać służącego pani Page, jedyną osobę, która nie wzbudzi niczyjzego zainteresowania. Może upłynąć sporo czasu, zanim policja i superdoradcy ustalą, jakie George nosi nazwisko. Teraz jednak wszyscy potrzebowali odpoczynku. Czekali w cieniu parkingu, podczas gdy George wszedł do jasno oświetlonego holu i załatwiał

nocleg.

Dostali pokoje w bocznym pawilonie, na drugim piętrze. Pittman, obejmując Jill i wdrapując się ostatkiem sił po betonowych schodach, zwrócił się do pani Page' i George'a:

— Nie powinniśmy pozostawać w jednym miejscu zbyt długo. Musimy ruszyć stąd jutro przed siódmą rano.

Pani Page, zaskoczona takim planem, najwyraźniej nie była przyzwyczajona do tak wczesnego wstawania, ale nie powiedziała słowa i skinęła tylko głową.

365

— Pamiętajcie, nie możemy stąd nigdzie telefonować.

Tym razem zarówno George, jak i pani Page skinęli głowami.

— Dobrej nocy — dodał Pittman.

— Oby tak było — odpowiedziała pani Page. Odprowadzając wzrokiem panią Page i George'a znikających za

drzwiami swych pokoi, Pittman i Jill weszli do tego, który był przeznaczony dla nich. Postawili bagaże na podłodze przykrytej dywanem, zamknęli za sobą drzwi nie dbając o to, czy pokój jest czysty albo wygodny. Obrócili się do siebie, popatrzyli na swe zmęczone twarze i objęli się.

Trwali tak dłuższy czas: Pittman, chociaż niesamowicie zmęczony, czuł, że może tak stać, przytulając

Jill, przez całą długą noc.

Jednak nogi zaczęły odmawiać mu posłuszeństwa. Trzymając Jill za rękę usiadł na krawędzi łóżka pociągając ją za sobą.

— Najgorszą rzeczą w tym wszystkim jest myśl, że może wygrzebiemy się jakoś z tego — powiedział. — Nadzieja. Ostatnim razem, kiedy miałem nadzieję, taką prawdziwą nadzieję, płynącą z

głębi serca, nic z tego nie wyszło.

Jill stuknęła go lekko palcem w policzek.

— Wyjdziemy z tego. Na pewno. Uda się nam.

— Jasne. — Ale ton Pittmana nie brzmiał tak optymistycznie. Pocałował ją lekko w policzek, potem

wstał i zdjął kurtkę. Czterdziestkapiątka, której dotąd nie miał czasu naładować, leżała w torbie. Ale dziewczynkę, którą wziął od Jill, miał wetkniętą z tyłu za paskiem. Wyciągnął ją z ulgą i położył na stoliku obok telewizora. Plecy bolały go od ostrych krawędzi broni wbijającej się w ciało.

Jill wskazała na telewizor.

— Może powinniśmy obejrzeć CNN. Powiedzą chyba, co się stało ze Standishem.

— Dobry pomysł. — Pittman włączył odbiornik i nastawił go na właściwy kanał. Przez pół minuty patrzył na reportaż o dziecku uratowanym z szybu.

— Czuję się tak samo brudna jak ten chłopiec — skonstatowała Jill.

— Może chciałabyś iść pierwsza pod prysznic?

— Ty zawsze wiesz, co powiedzieć.

Chwilę pomasaowała mu kark, po czym wzięła parę rzeczy z nesesera i weszła do łazienki.

366

Pittman słyszał odgłos zaciąganej zasłonki i szum prysznica. Z torby wyjął pistolet oraz pudełko z nabojami i załadował magazynek, nie przestając oglądać CNN.

Zdjął buty i pocierał obolałymi stopami o dywan, czując, że przynosi mu to ulgę.

Musiał zasnąć, bo kiedy się ocknął, leżał na wznak na łóżku, a Jill delikatnie nim potrząsała.

— Przepraszam, że cię obudziłam. — Jill ciałniej owinęła się ręcznikiem. — Ale myślę, że poczujesz

się dużo lepiej, jeśli weźmiesz prysznic przed spaniem.

— Chyba że w tym czasie zasnę i utopię się.

Pierwszy raz od dłuższego czasu w niebieskich oczach Jill pojawiły się iskierki.

— Może ci pomóc?

— To kusząca propozycja, ale założę się, że moglibyśmy się pośliznąć i porozbijać sobie głowy.

— Masz chyba wizję Sądu Ostatecznego przed oczami.

— Zgadnij dlaczego. — Pittman zmusił się, aby wstać, wziął swoją torbę turystyczną i wszedł do łazienki. Usiłował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz się mył.

Rozgrzany ciepłem łazienki, w chłodnej sypialni poczuł na piersiach gęsią skórę. Niespodziewanie jego znużenie przemieniło się w skrępowanie. Nagle dotarło do niego, że w pokoju jest tylko jedno łóżko, że Jill siedzi w nim oparta o poduszki, z naciągniętym po szyję kocem, równie jak on zażenowana. Rzucała nerwowe spojrzenia to na niego, to na telewizor.

— Nic nowego w dzienniku? — Pittman starał się mówić normalnym tonem.

Potrząsnęła przecząco głową.

— Nic nie mówili o Standishu? Ani o nas?

— Nie.

— Dobrze się czujesz?

— Świetnie. — Wpatrywała się w ekran telewizora.

— Na pewno?

— Dlaczego miałyby być inaczej? Pittman usiadł na brzegu łóżka.

— Powiedz coś...

— Ja...

367

— Jeśli nie będziemy ze sobą szczerzy, gwarantuję, że tego nie przetrwamy.

— Głupio się zachowałam, zanim poszedłeś pod prysznic.

— Tak? — Pittman wyglądał na zmieszanego, — Co masz na myśli?

— Zażartowałam, że pomogę ci się wykapać. — Owszem, co z tego?

— To był głupi żart.

— Dlaczego?

— Nie miałam zamiaru cię prowokować ani zachęcać.

— Czuję się nieswojo.

— Nie ty jeden — odparła Jill.

Telewizor brzęczał nieustannie. Z trudem wylapywał głos spikera mówiącego o konferencji ekonomicznej w Genewie. Nie mógł oderwać wzroku od Jill.

— W Bostonie powiedzieliśmy sobie — Kocham cię. — Pittman zająknął się. — Nie mówię tego

ot, tak sobie. Traktuję te słowa poważnie. Są one dla mnie pewnego rodzaju zobowiązaniem.

— Dla mnie również.

— Więc żałujesz, że to powiedziałaś? Wzięłaś za miłość fakt, że potrzebowaliśmy się nawzajem w trudnej sytuacji? Chciałabyś naprawić to nieporozumienie? Chcesz wszystko odwołać?

— Wcale nie.

— Nie rozumiem...

— Nie chcę niczego odwoływać. Kocham cię. Nigdy w życiu nie byłam tak pewna jak teraz.

— Więc o co chodzi? — wykrztusił.

Kiedy dotknął jej ramienia, wyczuł, jak napina mięśnie.

— Ten pokój. To łóżko — głos się jej załamał. — Powiedziałam ci, że nie chcę, byś myślał, że cię prowokuję.

— Zdaję się, że zaczynam rozumieć. Chodzi o seks. Jill wpatrywała się w niego badawczo.

— Jesteś zmęczona, rozumiem.

Nikt dotąd nie przyglądał mu się tak przenikliwie.

— Wszystko stało się za szybko — powiedziała Jill.

— W porządku. Rzeczywiście. Pozostawmy rzeczy własnemu biegowi.

— Tak myślisz?

368

Gdy Pittman przytaknął, Jill wyraźnie się odprężyła.

— Kochanie się nie powinno być jakimś obowiązkiem — powiedział. — Nie powinno się tego robić,

bo akurat wymagają tego okoliczności. Poczekamy. Kiedy będziemy już całkiem pewni, kiedy nadejdzie właściwy czas...

— Chcesz wiedzieć, dlaczego czuję się tak niezręcznie? Pittman nie miał pojęcia.

Ujęła jego rękę i w jednej chwili zrozumiał. Pochylił się nad nią, a ona uniosła się ku niemu. Jego koc

zsunął się w tym samym momencie, kiedy prześcieradło odsłoniło jej nagie ciało. Usta ich zetknęły się. Ciała przywarły do siebie.

Kiedy dotykał jej gładkiej skóry na piersiach, serce jak nigdy dotąd biło mu tak mocno i szybko. Poczul nagle, jak bardzo ją kocha.

Dużo później, kiedy czas znów zaczął biec, do Pittmana dotarło, że leżą obok siebie, spleceni w uścisku, i że miłość nadała sens dalszemu życiu.

Błogi nastrój prysnął, gdy do jego świadomości wdarł się męski głos.

— Telewizor.

— Tak — zamruczała Jill. — Zapomnieliśmy go wyłączyć.

— Nie, to nie to — usiadł gwałtownie. — Posłuchaj. Mówią o Victorze Standishu.

Serce znów zabiło mu mocniej. Tym razem poczul mdłości na widok bezładnych migawek ukazujących nadjeżdżające ambulansy

1 policyjne samochody przed rezydencją. Światła karetki migąły, policjanci torowali drogę sanitariuszom, wnoszącym na noszach ciało w plastikowej torbie.

Przygnębiony głos spikera kontynuował:

— ...potwierdziła się, że wybitny dyplomata Victor Standish zmarł od samobójczego strzału.

24 — Desperackie kroki

Część siódma

1.

Pittmanowi nie udało się zasnąć, chociaż bardzo tego pragnął. Wrażenie, jakie wywarła na nim i na Jill

wiadomość o samobójstwie Standisha, sprawiło, że rozbudzeni oglądali telewizję do drugiej w nocy,

czekając na dalsze szczegóły. Podsumowanie długiej wybitnej kariery Standisha dokumentowane było

zdjęciami jego i innych superdoradców. Widać było na nich najpierw pewnych siebie ambitnych młodych ludzi o stalowym wzroku, później weteranów dyplomacji trzymających się prosto mimo widocznych oznak starości: jedni byli już łysi, inni z przeredzonymi siwymi włosami, z pomarszczonymi twarzami, lecz z oczu ich wszystkich biła jak zwykle pewność siebie i ambicja. Kiedy było już oczywiste, że na dalsze szczegóły trzeba czekać do rana, Pittman niechętnie wyłączył

telewizor. W ciemności hotelowego pokoju leżał z otwartymi oczami, w napięciu wpatrując się w sufit. Spokojny, cichy oddech leżącej obok Jill wskazywał, że przynajmniej jej udało się w końcu oderwać od nawału myśli. Jemu tymczasem cały czas dzwoniły w uszach słowa — „zmarł od samobójczego strzału”.

To samobójstwo w ogóle nie było brane przez Pittmana pod uwagę. Próbował wyobrazić sobie, jakie

mogą być jego następstwa. Superdoradcy zabili jednego ze swoich, Jonathana Millgate'a, w obawie przed ujawnieniem przez niego jakichś informacji. Chcieli to ukryć, między innymi robiąc z Pittmana

kozła ofiarnego, ale wszystko wymknęło im się spod kontroli, w wyniku czego Anthony

Lloyd zmarł na udar mózgu. Teraz trzeci superdoradca, Victor Standish, zastrzelił się, przypuszczalnie ze strachu. Wcześniej Denning oświadczył radośnie: „Trzech nie żyje. Zostało jeszcze dwóch”. Ale Pittman nie podzielał obsesyjnego entuzjazmu Denninga. Co prawda był zadowolony, że w tym pancerzu zdecydowania i stanowczości, za którym się chowali, pojawiła się szczelina. Jednak okazało się, że napięcie jest dla nich zbyt silne i istnieje niebezpieczeństwo, że także pozostali, Eustace Gable i Winston Sloane, mogą go nie przetrzymać.

Cholera jasna, muszę coś z tym zrobić — pomyślał Pittman. — I to szybko.

Tego wieczoru, kiedy razem z Jill przyjechali do Waszyngtonu, pałał tylko gniewem, pragnieniem odwetu za to co mu zrobili. Spotkanie z Bradfordem Denningiem uświadomiło mu, do czego może człowieka doprowadzić chęć zemsty. Uczucie to tak wypaczyło jego podejście do życia, że praktycznie je zmarnował. A dzisiaj doprowadził się do takiej wścieklej nienawiści, że mało go to nie zabiło.

Leżąc nieruchomo w ciemnym hotelowym pokoju, dochodził do wniosku, że zawziętość Denninga i strach superdoradców były lustrzanym odbiciem, że nieświadomie nawzajem się wyniszczają, powodowani obsesją z przeszłości.

Ale ja nie jestem taki — pomyślał. — To, co robię, nie jest wcale zakamuflowanym pragnieniem śmierci. Nie jest rodzajem samobójstwa, jakie próbowałem popełnić tydzień temu.

Rzeczywiście, był poruszony ironią losu, że własne samobójstwo wydawało mu się konieczne i nieuniknione, a gdy popełnił je ktoś inny, stało się dla niego szokiem.

— Ja chcę żyć. O Boże, jak bardzo chcę żyć. Nigdy nie przypuszczałem, że jeszcze kiedyś będę się tak czuł.

Jill poruszyła się obok niego, przerywając tok jego myśli. Usiadła. Widział w ciemności jej sylwetkę.

— Coś mówiłeś?

— Nie, nic.

— Ależ tak. Coś mamrotałeś.

— Mamrotałem?... Myślałem, że śpisz.

— A ja myślałam, że ty śpisz.

— Nie mogę.

374

— Ja też nie. Co ty gadałeś? Coś o tym, że chcesz żyć.

— Widocznie myślałem na głos.

— No cóż, mogę tylko przyklasnąć. W ciągu tygodnia przebyłeś długą drogę, od pistoletu w ustach do pragnienia życia.

— Myślałem o Denningu.

— Powinniśmy zadzwonić do szpitala i dowiedzieć się, jak się czuje.

— Myślałem o tym, jak bardzo był poruszony wiadomością o śmierci trzech superdoradców.

— To właśnie zaprowadziło go do szpitala.

— Właśnie. I nie ma żadnych gwarancji, że pozostali dwaj tam nie wylądują, w szpitalu albo w jeszcze gorszym miejscu, z tego samego powodu. Myślałem też, że jeśli Eustace Gable i Winston Sloane nie przeżyją, to mogą pociągnąć mnie za sobą. Wtedy nie miałbym żadnych możliwości udowodnienia, że jestem niewinny. Wszystko dzieje się zbyt szybko. Nie wiem, czy będę miał dość czasu. Muszę...

— Co takiego?

— Byłem przecież reporterem. To, co umiem robić najlepiej, to rozmawiać z ludźmi. Myślę, że to jedyny sposób, żeby nas uratować.

Gdy tylko się rozwidniło, czując chłód powietrza i obserwując parę unoszącą się z ust, Pittman zaparkował przy budce telefonicznej obok kawiarni. Ruch na szosie był jeszcze niewielki.

Wysiedli razem z Jill z samochodu i weszli do kabiny. Odszukał na kartce właściwy numer, wrzucił monetę i wystukał cyfry.

Męski głos, wyniosły, ale ugrzeczniony, charakterystyczny dla lokajów w bogatych, wpływowych domach, odezwał się już po dwóch sygnałach.

- Tu rezydencja pana Gable'a.
- Poproś go.
- Kogo mam zaanonsować, sir?
- Powinieneś chyba powiedzieć, że jest za wcześnie, żeby mu przeszkadzać.
- Słucham, sir?
- Jest zaledwie szósta rano, ale podniosłeś słuchawkę natychmiast. Wygląda na to, że już pracujesz. Czy coś się tam u was dzieje?
- Naprawdę nie wiem, o co panu chodzi, sir. Jeśli życzy pan sobie rozmawiać z panem Gable'em, musi się pan przedstawić.
- Jestem tym, którego próbował zabić. W słuchawce zapanowała cisza.
- Idź i powiedz mu to.
- Jak pan sobie życzy, sir.

Pittman czekał spoglądając na Jill, której piękna twarz, za-
376

zwyczaj tryskająca zdrowiem, była teraz blada od napięcia i zmęczenia.

Pół minuty później usłyszał drżący, starczy głos, przypominający poruszane wiatrem zeschnięte liście.

— Mówi Eustace Gable.

— Matthew Pittman.

Na linii znów zaległa cisza.

— Słucham? — Wyczuwało się, że Gable ma kłopoty z oddychaniem. — Czytałem o panu w gazetach.

— Nie jest pan zaskoczony moim telefonem?

— W moim wieku nic mnie już nie zaskakuje. Aczkolwiek nie pojmuję, co miał pan na myśli, odzywając się w ten sposób do mojego asystenta.

— Zdaję sobie sprawę, że to mogło pana zdezorientować, zważywszy ilu ludzi próbował pan zabić.

Gable stłumił kaszel.

— Nie wiem, o czym pan mówi.

— Zwłaszcza rozmawiając przez telefon. Mogę to zrozumieć. Tego właśnie się spodziewałem po dyplomacie, sławnym z prowadzenia tajnych narad. Mimo wszystko uważam, że powinniśmy porozmawiać, nie sądzi pan?

— Być może. Ale w jaki sposób, jeśli nie przez telefon?

— Osobiście.

„ — Doprawdy? Biorąc pod uwagę, że zamordował pan mojego przyjaciela i kolegę, nie jestem pewien, czy będę bezpieczny w pana obecności.

— Żywimy takie same obawy. Tyle że pan doskonale wie, że to nie ja go zamordowałem, lecz pan.

— Szczerze mówiąc, panie Pittman, sądzę, że fantazjuje pan, opowiadając o tych wszystkich morderstwach.

— Nikt nas nie podsłuchuje, więc może pan oszczędzić sobie tych makiawelizmów.

— Ja zawsze zakładam, że ktoś może być na linii.

— Czy to uniemożliwia nasze dalsze pertraktacje? Gable znówu zdusił kaszel.

— Jestem dumny z tego, że w całej mojej karierze ani razu nie odrzuciłem propozycji negocjacji.

— W takim razie proszę posłuchać. Najwyraźniej sprawy

377

wymknęły się panu spod kontroli. Nie spodziewał się pan, że pozostanę tak długo przy życiu. Nie przypuszczał pan, że tylu ludzi zostanie w to wplątanych.

Jedyną odpowiedzią był ciężki oddech Gable'a.

— Zniszczył pan moje życie. Ale wiem na tyle dużo, żeby i pana zniszczyć. Powiedzmy, że sytuacja jest patowa. Myślę, że w naszym wspólnym interesie byłoby, gdybym zniknął. Z odpowiednim funduszem emerytalnym. Milionem dolarów i paszportem na nowe

nazwisko.

— To dość pokaźny fundusz emerytalny.

— Taka jest moja cena. I bezpieczny paszport dla Jill Warren.

— Z paszportami mogą być trudności.

— Nie przy pana kontaktach w Departamencie Stanu. Proszę o tym pomyśleć. Ja zniknę. Pan jest kryty. Koniec pańskich kłopotów...

— Zakładając, że przyjmę propozycję spotkania, chciałbym, żeby jasno wynikało, iż nie przyznaję się do żadnych pańskich fałszywych oskarżeń o jakieś zakulisowe działania i morderstwa. Rozmawiamy czysto hipotetycznie.

— Jeśli tak panu wygodniej, panie Gable.

— Potrzebuję czasu do namysłu.

— A moje połączenie trwa już zbyt długo. Zadzwoń do pana o dziesiątej rano.

Pani Page otworzyła drzwi w chwili, kiedy Pittman zapukał. Jej elegancka suknia była pomięta i nie pasowała ani do tego motelu, ani do tak wczesnej pory. Wyglądała na osobę mającą się na baczności i zdecydowaną na wszystko, na jej twarzy malowało się napięcie.

— Oglądał pan poranne wiadomości?

— O samobójstwie Standisha? — Pittman skinął głową.

— Zawsze był najsłabszy z całej piątki. Najsilniejszy był mój ojciec. Musimy cały czas przypierać go do muru.

a — Zacząłem to robić od rana.

— Jak? — spytała krótko pani Page. Wyjaśnił jej.

— Proszę zachować ostrożność. Mój ojciec jest mistrzem manipulacji.

— I jest bardzo pewny siebie. Na to właśnie liczę. Mam nadzieję, że w ogóle nie bierze pod uwagę, że ktoś mógłby go przechytrzyć.

— A pan to potrafi? Podejmuje pan szalone ryzyko.

— Gdybym mógł wymyślić coś innego, zrobiłbym to. Nie możemy się jednak cały czas ukrywać. Trzeba ich przycisnąć. Musimy wrócić do Waszyngtonu. Chcę zajrzeć w kilka miejsc, a przede wszystkim zobaczyć się z dwiema osobami, z którymi kiedyś przeprowadzałem wywiad.

— Z kim?

379

— Z ekspertem od zabezpieczeń i fachowcem od broni. Wyjaśnię to podczas jazdy.

— A jeśli pana zapamiętali? Jeśli skojarzą pana z artykułami w gazetach i reportażami w telewizji?

— Rozmawiałem z nimi co najmniej pięć lat temu. Byłem tęższy i miałem wąsy. Jest więc duża szansa, że mnie nie rozpoznają. Zresztą jeśli nawet byłoby takie ryzyko, muszę je podjąć. Mój plan nie

powiedzie się bez ich pomocy.

Rozmawiając podeszli do następnych drzwi i Pittman zapukał. Pojawił się George i wszyscy zeszli na

dół. Jill czekała już przy samochodzie.

— Poproszę o klucze do państwa pokoi — powiedział George. — Zaniosę je do recepcji i powiem, że

wyjeżdżamy.

— Świetnie. Spotkamy się w restauracji — zaproponowała Jill.

— Restauracji? — Pani Page wyglądała na zbulwersowaną. — To przecież nie jest restauracja.

— Więc bar Roya Rogersa. Proszę potraktować to jako nowe doświadczenie. Nie mamy wiele czasu,

musimy wziąć coś do zjedzenia w drodze.

— Czas. Tak. Ale musimy znaleźć czas na coś jeszcze — nalegała pani Page. — Musimy pojechać do

szpitala i zobaczyć, co z Brad-fordem.

Sala wypełniona była ostrą wonią środków dezynfekujących, świetlówki buczały. Pittman z

niepokojem patrzył na niewyraźną minę Jill, wracającej po rozmowie z pielęgniarką oddziału kardiologicznego.

— Co się dzieje? — poczuł jak lodowacieją mu ręce. — Nie mów mi, że umarł.

— Odszedł.

Pani Page postąpiła krok do przodu ze spopieloną twarzą.

— Nie żyje?

— Miałam na myśli to, że go tu nie ma. Odszedł. Wyszedł stąd —; tłumaczyła Jill.

Pielęgniarka zajrzała do niego o piątej rano. Łóżko było puste. Wyciągnął igłę kroplówki z ramienia.

Wyłączył monitor serca, żeby nie alarmował, kiedy odrywał czujnik przyczepiony do jego piersi. Ubranie miał w szafce w pokoju. Włożył je na siebie i czmychnął.

— To dziwne, że miał tyle siły — stwierdził Pittman. — Co on, do diabła, wyczynia?

George potrząsnął głową.

— Ostatniej nocy był bardzo przemęczony. A jeśli nie będzie uważał, przyprawi się o atak serca.

— Najwyraźniej uważa, że warto podjąć ryzyko — wtrąciła Jill. — Wrócić do nich. Do pozostałych dwóch superdoradców. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby coś innego było powodem tak obsesyjnej reakcji.

381

— Cholera, działa na własny rachunek — zaklął Pittman. — Jest tak nie zrównoważony, że mnie przeraża. Bóg jeden wie, jak może nam pokrzyżować plany.

— Ale nie możemy się przez niego zamartwiać — skonstatowała pani Page. — Musimy robić swoje. Dlaczego pan mi się tak przygląda?

Zamiast odpowiedzi Pittman zapytał:

— Pani Page, czy ma pani jakieś znajomości w „Washington Post”? Myśli pani, że ktoś w dziale nekrologów mógłby wyświadczyć nam małą przysługę?

Osiem godzin później, wczesnym popołudniem, Pittman był już z powrotem w Fairfax. Minął miasto, wyjechał na autostradę numer 29 na zachód, potem na piętnastkę na północ, w kierunku posiadłości Gable'a. Kiedy ponownie zadzwonił do niego z automatu w Waszyngtonie, punktualnie, jak ustalili, o dziesiątej, Gable objaśnił mu, jak dostać się do jego rezydencji. Jadąc na spotkanie spoglądał, mrużąc oczy od słońca, we wsteczne lustro, żeby upewnić się, czy szary mikrobus z Jill za kierownicą nie zgubił się na zatłoczonej szosie. Samochód wraz z wyposażeniem wypożyczyli „na kartę kredytową George'a. Pittman pomyślał sarkastycznie, że służący z pewnością zasłużył na ekstra premię i stara się, żeby wszystkim udało się wyjść cało z kłopotów, gdyż wtedy będzie mógł ją otrzymać. Mijał okoliczne farmy i połacie lasów ozłoczone słońcem, i modlił się, by mógł ich wszystkich jeszcze zobaczyć, by mógł zobaczyć Jill. Myślał o Jeremym, a im bardziej odczuwał tęsknotę, tym bliżej czuł go obok siebie, jakby był przy nim i pomagał mu.

Dodaj mi sił, synu.

Przed nim, zgodnie ze wskazówkami, pojawił się napis EVER-GREEN COUNTRY CLUB, skierował się więc w lewo, w zacienioną drogę wśród drzew. Milę dalej skręcił w prawo, w dębową, wysypaną żwirem aleję. Tym razem, kiedy spojrzał do tyłu, dostrzegł, że Jill zatrzymała mikrobus, zaparkowała go na poboczu, pod osłoną krzewów. Dokładnie tak, jak wcześniej ustalili.

383

Szkoda — pomyślał. Do tej pory nie czuł się tak samotnie.

Minął zakręt. Droga prowadziła łagodnie pod górę wśród bujnej zieleni kwietniowych pól, lecz mimo tej sielskiej okolicy Pittman czuł narastający strach. W miarę zbliżania się do rezydencji Gable'a lęk stawał się coraz silniejszy. Uprzytomnił sobie, jak mało obchodziło go własne bezpieczeństwo zaledwie tydzień wcześniej, kiedy wkładał się do posiadłości w Scarsdale, żeby dowiedzieć się, dlaczego zabrano ze szpitala Jonathana Millgate'a.

Wówczas jednak jedynym powodem działania była chęć napisania artykułu dla Burta Forsytha i

splacenia długu wobec przyjaciela. Owładnięty samobójczą obsesją, Pittman uwolnił się od lęku o życie, kiedy skradał się w ciemnościach, w deszczu, kiedy okrążał posiadłość w Scarsdale i widział Millgate'a, otoczonego przez pielęgniarkę, lekarza i pozostałych superdoradców w zaimprovizowanym pokoju szpitalnym nad garażem. To, co robił, nie wydawało mu się wcale trudne, nie miał poczucia niebezpieczeństwa, ponieważ nie dbał o to, co może mu się stać. Przygotowany na śmierć z własnej ręki, był uodporniony na wszelkie ryzyko. Ale nie teraz. Posiadłość, rozrzucona na dość dużej przestrzeni, odwrócona była tyłem do drogi. Za pomalowanym na biało drewnianym ogrodzeniem biegały konie. Po lewej stronie widać było wysoki kamienny mur. Pittman podjechał do zamkniętej metalowej bramy, tak żeby mogła go ująć kamera zamontowana u szczytu muru. Tak jak ustalili, wychylił się przez okno samochodu. Brama natychmiast otworzyła się z turkotem. Minał ją, zauważył w lusterku, że zamknęła się za nim i pojechał brukowaną aleją pomiędzy rozległymi łąkami. Droga prowadziła pod górę. Po drugiej stronie wzniesienia, u jego stóp, po prawej stronie, przycupnęła charakterystyczna jednopiętrowa budowla, przypominająca Pittmanowi projekty Franka Lloyd Wrighta. Duże wrażenie wywarło na nim wykorzystanie do budowy skały wapiennej, a także tarasy i belkowania, wszystko wspaniale wkomponowane w krajobraz, tonące w bogactwie drzew i krzewów. Siedziby na pewno nie było widać z leżącego poniżej pola golfowego — pomyślał Pittman. Już w chwili gdy otworzyła się brama wpuszczając go na teren posiadłości, zwrócił uwagę na nieobecność ludzi z ochrony. Dla kogoś, kto patrzyłby od strony szosy, nie działo się tu nic specjalnego. Pittman wyglądał na najzwyklejszego gościa, dobrego znajomego Eustace'a Gable'a, którego wpuszcza się do środka bez żadnych ceregieli. W miarę jak przybliżał się do domu, skręcając najpierw w dół, na prawo obok sosnowego zagajnika, coraz bardziej uderzała go kompletna pustka dookoła. Na tak dużym terenie ktoś

25 — Desperackie kroki

385

powinien się przecież kręcić, choćby ogrodnik czy ktoś z personelu, dbający o konie, które widać było na padoku, przy długiej niskiej stajni, również otoczonej sosnami i zbudowanej z wapienia, tak by pasowała do samej rezydencji. Wszędzie jednak było pusto. Nie widać było ani jednego samochodu, wszystkie zapewne zamknięto w garażu po przeciwnej stronie domu.

Może brak ochrony jest po to, abym poczuł się nie zagrożony — pomyślał Pittman. — Żeby przypadkiem nie zmienił zamiarów. Żeby wciągnąć mnie w pułapkę.

Ale jeśli Gable chciał uśpić jego czujność, osiągnął wprost przeciwny rezultat. Zamiast osłabić instynkt obronny, ta niesamowita pustka wyostrzyła uwagę Pittmana, wysłała mu sygnały ostrzegawcze, postawiła ciało i umysł w gotowości.

Kolistym podjazdem dotarł przed front domu, zatrzymał samochód, wysiadł i rozejrzał się po opustoszałej okolicy. Z pobliza dochodził plusk wody, przypuszczalnie fontanny, szum lekkiego wiatru w koronach sosen, rżenie koni.

Drzwi otworzyły się i Pittman, który patrzył na leżącą u podnóża pagórka stajnię, odwrócił się w stronę domu. Przez wypolerowane do połysku drewniane drzwi na kamienny taras wyszedł mężczyzna w podeszłym wieku, o wąskiej, pomarszczonej twarzy, białych włosach, w okularach. Był wysoki i szczupły, ubrany w granatowy trzyczęściowy garnitur, doskonale leżący na jego sztywno wyprostowanej figurze.

Pittman widział go już wcześniej na zdjęciach, a także podczas incydentu w posiadłości Scarsdale. Był to Eustace Gable.

— Dokładnie czwarta po południu. Zawsze cenię punktualność. — Nawet z tej odległości można było zauważyć, jak ciężko oddycha. — Mamy wiele do omówienia. Proszę do środka, panie Pittman.

Pittman jeszcze raz rozejrzał się dookoła i nie widząc, by mu coś groziło, wszedł na taras. Z niechęcią spojrzął na wyciągniętą w geście powitania rękę Gable'a.

— Tak nie można, panie Pittman. Nieuprzejmość to niezbyt dobry początek negocjacji.

— Nie przywykłem do uprzejmości ludzi, którzy chcą mojej śmierci.

CIWi.

— To przecież zwykła formalność. Nawet kiedy pertraktuje się

386

z najbardziej zaciekle wrogiem, należy zachowywać się uprzejmie i z szacunkiem.

— Jasne. Racja. Ale wygląda mi to na hipokryzję.

Gable zakaszłał, zasłaniając usta chusteczką. Zmarszczka bólu przebiegła mu po twarzy i Pittman zrozumiał, ile wysiłku kosztuje tego starca trzymanie się prosto i zachowywanie manier dyplomaty, które kiedyś uczyniły go sławnym.

Gable szybko się opanował i znów wyciągnął do Pittmana rękę.

— Rytuał pozwala zapanować nad emocjami. I wprowadza ład.

— Tym właśnie kierował się pan aranżując morderstwo Jona-thana Millgate'a?

Twarz Gable'a stężała, jego zmarszczki stały się podobne do głębokich pęknięć w powierzchni wyschniętego drewna.

— A Burt Forsyth? I ojciec Dundridge? Nie nazwałbym ich morderstw panowaniem nad emocjami i wprowadzaniem ładu.

Gable oddychał z wysiłkiem.

— Czasem konieczne jest utrzymanie pewnego stylu. Wciąż czekam.

Pittman podał mu w końcu rękę z przesadną obojętnością, lecz błysk w oczach Gable'a zdawał się oznaczać, że zyskał przewagę. Gestem zaprosił go do domu.

Pittman czuł się coraz bardziej nieswojo. Pragnął odwrócić się, zbiec do samochodu i odjechać stąd tak szybko, jak to możliwe. Powstrzymał się jednak, bo gdyby Gable chciał jego śmierci, wyborowy "strzelec mógłby strzelić do niego bez trudu, gdyby wchodził po stopniach na taras przed domem.

A mój plan? Muszę się go trzymać. Nie mogę wciąż uciekać. Nie mam już nic do stracenia. To może być moja jedyna szansa.

— Zna pan moje warunki — powiedział.

— Tak, ale pan nie słyszał jeszcze o moich — wąskie usta Gable'a skrzywiły się w grymasie, który miał być uśmiechem. — Proszę wejść.

Czując, jak krew szybciej zaczyna mu krążyć w żyłach, Pittman wszedł do środka.

Podczas gdy Gable zamykał drzwi, Pittman rozglądał się wokoło. Ściany i belkowane sufity wyłożone

były różnokolorowym tropikalnym drewnem: mahoniem i tekiem. Lampy dawały dużo światła, ale nie

raziły oczu. Było bardzo ciepło. W korytarzu z kamienną posadzką zauważył termostat ustawiony na

27° C. Uznał, że nawet w przypadku bardzo chłodnego zimowego dnia byłoby to zdecydowanie za dużo. A ponieważ był teraz koniec kwietnia i ładny wiosenny dzień, Gable najwidoczniej walczył z chorobą i potrzebował dużo ciepła. Mocne światło mogło wskazywać na fakt, że miał osłabiony wzrok. Nieoczekiwanie Pittmanowi zrobiło się żal starca, ale natychmiast poczuł gniew na samego siebie i stłumił współczucie, wiedząc, że Gable nie zawaha się, by je wykorzystać. Ten nieznośny upał

i jasne oświetlenie najwyraźniej były częścią starannie zaplanowanej scenografii, w której Gable mógł

łatwiej nim manipulować.

Idąc korytarzem skrzywił się w lewo, w kierunku wskazanym przez gospodarza. Słyszał za sobą jego ciężkie kroki. Znaleźli się w obszernym pokoju z przeszkoloną ścianą, ukazującą sadzawki i piaszczyste pułapki pola golfowego u podnóża zbrocza.

Uwagę jego przykuł jednak natychmiast widok dwóch mężczyzn, oczekujących w salonie. Jednego z

nich, kręcącego się nerwowo na sofie, rozpoznał natychmiast. Miał zapadnięte policzki i krótko przystrzyżone białe wąsy, ubrany był w trzyczęściowy garnitur, prawie identyczny jak Gable'a.

Pamiętał go z fotografii; jego

charakterystyczny dołek w brodzie pogłębił się z wiekiem. To był Winston Sloane.

Drugi miał koło trzydziestki, sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, dobrze zbudowany, z ostrymi rysami twarzy, podkreślonymi jeszcze przez krótko przycięte włosy. Jego szary garnitur nie leżał tak

idealnie jak ubranie Gable'a i Sloane'a. Marynarka była zbyt obszerna i wyraźnie odstawała po lewej

stronie. Stał pośrodku pokoju i Pittmanowi wydało się, że jego również gdzieś już widział. To on był

w grupie, która zaatakowała dom pani Page minionej nocy.

— Nie wiedziałem, że nie będziemy sami. — Pittman zwrócił się do Gable'a.

— Negocjacje prowadzi się w obecności wszystkich zainteresowanych stron. Chciałbym przedstawić

mojego kolegę, Winstona Sloane'a.

Sloane z wysiłkiem próbował się podnieść.

— Proszę nie wstawać — powiedział Pittman.

— A to mój asystent, pan Webley.

Pittman skinął głową, nie zdradzając się niczym, że go rozpoznał.

— Chyba nie będzie pan miał nic przeciwko temu, by pan Webley upewnił się co do naszego bezpieczeństwa — kontynuował Gable.

Przez chwilę Pittman nie rozumiał, o czym mówi.

— Ma pan na myśli obszukanie mnie?

— Jesteśmy tu chyba w dobrej wierze i niepotrzebna nam żadna bron.

— To dlaczego pański asystent jest uzbrojony? Oczy Webleya zwięzły się.

— Ponieważ wymagają tego jego obowiązki. Myślę, że nie będziemy z tego robić problemu.

Pittman uniósł ręce do góry.

Webley sięgnął po coś leżącego za nim na krześle, co okazało się wykrywaczem metalu, i zaczął przejeżdżać nim wzdłuż ciała Pittmana.

Zabrzęczało, kiedy detektor znalazł się w dole pleców. Webley wyjął spod kurtki Pittmana czterdziestkępiątkę.

Gable cmoknął.

— Jak możemy prowadzić negocjacje na bazie zaufania, jeśli pan przychodzi na spotkanie z bronią?

389

— Siła przyzwyczajenia. Przez ostatni tydzień cały czas musiałem się bronić.

— Może po dzisiejszym dniu już nie będzie pan potrzebował.

— Też mam taką nadzieję.

Webley kontynuował obszukiwanie Pittmana. Czujnik odezwał się jeszcze kilka razy.

— Klucze i monety, sprzączka od paska, pióro — relagonował Gable'owi.

— Sprawdź pióro. Obszukaj go dokładnie. Upewnij się, że nie ma mikrofonu.

Webley wykonał polecenie.

— Nic szczególnego.

— W porządku. Proszę siadać, panie Pittman. Przedyskutujmy pańską propozycję.

— Po co? — odezwał się Sloane. — Nie widzę, jakiemu celowi miałyby służyć te tak zwane negocjacje. Najlepszym rozwiązaniem jest zadzwonić na policję, żeby aresztowano go za zamordowanie Jonathana.

— Tydzień temu zgodziłbym się z tobą — odpowiedział Gable. — I faktycznie zgodziłem się.

Wszyscy się zgodziliśmy. — Odchrząknął i zwrócił się do Pittmana. — Jak się pan już zorientował, naszym pierwotnym zamiarem było oskarżenie pana o to, co musieliśmy uczynić Jonathanowi. Pana znana wrogość wobec niego i samobójcze skłonności uczyniły z pana idealnego kandydata. Nikt nie uwierzyłby pańskim zaprzeczeniom, nie popartym żadnymi dowodami. Zresztą i tak nie miałyby pan szans na zaprzeczanie. Miał pan zostać zabity, zanim

poliqa zdążyłaby pana aresztować.

— Przez faceta w moim mieszkaniu. Gable skinął głową.

— Przekupiliśmy policjanta, nasz człowiek zajął jego miejsce i czekał na pana.

— Zbyt wiele mu mówisz — policzki Sloane'a poczerwieniały niepokojąco.

— Wcale nie. Jeśli mamy do czegoś dojść, musimy być szczerzy. Czyż nie tak, panie Pittman?

— Dlatego tu jestem. Aby szczerze porozmawiać. Znaleźć z tego jakieś wyjście.

— Właśnie tak.

390

— To, czego nie rozumiem — mówił Pittman — to dlaczego musieliście w ogóle obwinić kogoś za śmierć Millgate'a. Był stary i chory. Potrzebował maski tlenowej. Gdybyście odłączyli go od aparatów wspomagających i pozwolili mu umrzeć, a później znów go podłączyli, jego śmierć wydawałaby się naturalna. Nikt by tego nie odkrył.

— Właśnie ja tak chciałem postąpić — wtrącił z naciskiem Sloane.

— I na początku miałeś rację — cierpliwie ciągnął Gable. — Przypomnij sobie, jak rozwijała się sytuacja. W miarę jak Jonathan stawał się coraz słabszy, coraz bardziej bał się śmierci. Przez ostatnie parę lat nagle stał się religijny. I ten cholerny ksiądz. Nigdy nie mogłem zrozumieć stosunku Jonathana do ojca Dandrige'a. Podjudzał przeciwko nam przez lata wojny w Wietnamie. Organizował demonstracje i zwoływał konferencje prasowe, na których krytykował każdy nasz krok w kwestii wietnamskiej. To za jego sprawą Jonathan usunął się z publicznego życia i to jego wpływ uniemożliwił mu efektywne działanie w rządzie. A na dodatek dwie dekady później ten ksiądz został jego spowiednikiem.

— Ojciec Dandrige domyślał się, że Millgate potrzebuje spowiednika, który by nie czuł się skrępowany jego osobą, doradcy duchowego, który oparłby mu się w sprawach ostatecznych — dodał Pittman.

Gable rzucił mu lodowate spojrzenie.

— Sprawy ostateczne. Zapomniałem, że pan także rozmawiał z księdzem.

— Byłem tam, kiedy go zabiliście.

— Nie powinien był się wtrącać. I przysparzać nam kłopotów.

— Nigdy nie wyjawiał tego, co usłyszał przy konfesjonale.

— To pan tak twierdzi. W mojej karierze znałem dyplomatów, którzy przekazywali różne poufne informacje osobom zaufanym tylko po to, żeby powróciły do nich za pośrednictwem osób trzecich. Bóg jeden wie, z czego Jonathan zdążył wypowiadać się księdzu, ale jestem pewien, że to, co zamierzał wyznać na łożu śmierci, zniszczyłoby nas. Kiedy odwiedziłem go w szpitalu, mówił tylko o tym, że musi zobaczyć się z ojcem Dandrige'em. Że musi oczyścić sumienie i uratować swoją duszę. — Ostatnie słowo Gable wymówił z pogardą. — Wtedy właśnie z Departamentu Sprawied-

391

liwości pojawiły się przecieki o rzekomo prowadzonym śledztwie, dotyczącym tajnego planu zakupu

broni nuklearnej od byłego ZSRR. A o Jonathanie mówiło się, że działał jako pośrednik.

— Pośrednik? Niech pan mówi wprost. Ma pan na myśli to, że Millgate działał jako handlarz broni

— powiedział z niesmakiem Pittman. — Najgorszym rodzajem broni. Jaki powód mógłby to usprawiedliwić?

— Bezpieczeństwo świata — obruszył się Gable.

— Oczywiście, pan i pana kumple zawsze używaliście tej wymówki. Bezpieczeństwo świata.

Wykorzystując tę ideę dla własnych potrzeb, zawsze usprawiedliwiacie się mówiąc, że to dla dobra ogółu.

— A pan jest naiwny sądząc, że upadek komunizmu i rozpad ZSRR oznacza koniec zagrożenia z tamtego regionu.

— Oczywiście, że nie. Krwawa łaźnia w Bośni pokazuje, że wszystko może się tam zdarzyć. Po dziesięcioleciach ucisku prowincje byłego ZSRR mogą popaść w drugą skrajność. I wkrótce,

wszystkie mogą wynikać się spod kontroli.

— Mając za to dostęp do broni atomowej, za którą ani były rząd, ani dawni wojskowi nie są już odpowiedzialni. — Gable gestykułował z emfazą. — A jeśli nowy rząd, czerwony rząd, dojdzie do władzy, istnieje bardzo poważne niebezpieczeństwo, że ta właśnie broń zostanie przezeń wykorzystana do umocnienia swojej siły. Co w tym złego, że próbujemy temu zapobiec?

— Tak jak pan to przedstawia, nic. Ale zbyt długo jestem dziennikarzem, abym nie potrafił czytać między wierszami.

— O czym pan mówi?

— Oskarżenie Departamentu Sprawiedliwości było konkretne: Jonathan Millgate był podejrzany o zakup broni nuklearnej. Nie o zapłacenie, żeby ją w Rosji zniszczono, w czym nie byłoby nic złego, ale o jej nabycie. A co, do diabła, miał zamiar z nią zrobić, kiedy już by ją miał? Przywiózłby do Stanów Zjednoczonych, żeby tu ją zniszczyć? Byłoby to zbyt kosztowne, nie mówiąc już o niebezpieczeństwie podczas transportu głowic. A poza tym kto płaciłby za tę broń? Rząd amerykański? Cholernie wątpliwe. Dla każdego w rządzie, kto zaangażowałby się w tak skandaliczny

interes, byłoby to politycznym samobójstwem. A więc mieliście dwa problemy: jak zapłacić za broń i

co z nią później zrobić. Te

392

problemy nurtowały mnie od momentu, kiedy dowiedziałem się, że Millgate jest podejrzany. I nagle

wszystko stało się dla mnie jasne. Oczywiście. Sposób, w jaki pozbędziecie się tej broni, umożliwi wam przede wszystkim zapłacenie za nią. Sprzedacie ją po prostu komuś innemu.

— Jestem pod wrażeniem, panie Pittman. — Gable spojrzał spod przymrużonych powiek.

— Ten komplement nie brzmi zbyt szczerze.

— Ale ja naprawdę jestem pod wrażeniem. Uchwycił pan sedno sprawy. Zrozumiał pan cały majstersztyk tej operacji.

— Majstersztyk? — zapytał z niedowierzaniem.

— Ze strony byłego ZSRR nie ma już zagrożenia bronią nuklearną — stwierdził pewny siebie Gable. — Jednocześnie istnieje możliwość utrzymania równowagi sił w innych niespokojnych regionach. Na przykład, nie jest tajemnicą, że Korea Północna usilnie rozwija swój potencjał atomowy. A jak pan sądzi, co może się stać, kiedy już jej się uda wyprodukować bombę? Będzie w stanie kontrolować cały region Azji Południowo-Wschodniej. Ale jeśli i Korea Południowa będzie nią

dysponować, wtedy uzyskamy stan równowagi. Zrównoważą się nawzajem.

— Wcale nie. Zniszczą się nawzajem. A może i pociągną za sobą resztę świata.

— Niekoniecznie. — Po Gable'u widać było wyraźnie podniecenie spowodowane dyskusją.

Oddychał

z większym trudem, przygarbił się lekko i zniżył głos. — Czasami, żeby uratować świat, trzeba podjąć

ryzyko.

— I zapełnić swoje konto bankowe. Hipokryci! Udajecie, że działacie wyłącznie dla dobra ogółu, a cały czas, od lat czterdziestych, od powstania żelaznej kurtyny, aż do skandalu Iran-contras, zbijaliście

fortunę na łapówkach od przemysłu zbrojeniowego. Ile pieniędzy dało wam załatwienie amerykańskich funduszy na uzbrojenie Iraku, żeby mógł przeciwstawić się Iranowi? A później, kiedy

doszło do wojny, znów dostaliście krocie od fabryk broni, ponieważ to wy namawialiście do niej. Poirytowany Gable wyprostował się.

— Nie będę dyskutował o zawiłościach polityki zagranicznej ze zwykłym dziennikarzem. Nie miał

pan dostępu do poufnych informacji. A niezliczone rozmowy, które prowadziłem z pomyślnym dla

Stanów Zjednoczonych i świata skutkiem, były tak delikatnej materii, że nie panu je osądzać.

— Stara, dobra wymówka. Zawsze są jakieś tajne informacje, które usprawiedliwiają bogacenie się przez wywoływanie wojen i sprzedawanie broni.

— Tych spraw nie jest pan w stanie zrozumieć. Znalazł się pan tutaj tylko w jednym celu, abyśmy doszli do porozumienia, aby naprawić to całe zło, jakie wynikło z tego, że się pan wmieszał do spraw,

które pana nie dotyczyły: Po przecieku sugerującym, że Jonathan był zaangażowany w zakup rosyjskiej broni, pojawienie się w szpitalu dziennikarzy, liczących na jego oświadczenie w tej sprawie,

było kwestią godzin, a może tylko minut. Musieliśmy go stamtąd zabrać, aby nie dopuścić, by powiedział dziennikarzom to samo, co chciał wyznać księdzu. Kiedy moi ludzie zabierali go, pojawił

się pan. A potem pojechał za nimi do Scarsdale. Do diabła, co pan robił w jego pokoju? Czy musiał pan tam wchodzić?

— Kroplówka odłączyła mu się od ramienia. Rurki tlenowe wysunęły mu się z nosa. Dostał ataku. Byłem pewien, że za chwilę umrze.

— I o to właśnie chodziło — powiedział Gable, z trudem hamując irytację. — Moi koledzy i ja pożegnaliśmy się z nim. Została tylko pielęgniarka i lekarz. To oni odłączyli go od aparatury. Potem wyszli. Miał spokojnie umrzeć. Ale pan musiał się tam wedrzeć i znów go podłączyć. I dzięki temu miał jeszcze okazję, by wyznać to, co go dręczyło. Gdyby pielęgniarka w tym momencie nie wróciła

do pokoju, nigdy byśmy nie wiedzieli, że Jonathan nas zdradził.

— Gdybyśmy wtedy na tym poprzestali — westchnął Sloane.

— Ale nie mogliśmy. Ponieważ ten człowiek — Gable wskazał na Pittmana — widział, że próbowaliśmy pozbawić życia Jonathana. A ponadto uzyskał informacje, które mogły nas zrujnować.

Człowiek z naszej ochrony, który jechał w samochodzie eskortującym ambulans, zauważył taksówkę

podążającą za nami. Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, powiedział mi o niej. Natychmiast go wysłałem, żeby zatrzymał ją, zanim zniknie z pola widzenia. Ale pasażera już nie było. Na szczęście

mogliśmy trafić do niego, ponieważ zapłacił kierowcy czekiem. Proszę sobie wyobrazić nasze zaniepokojenie, panie Pittman, kiedy odkryliśmy, że jest pan dziennikarzem. Co mieliśmy robić? Pozwolić, żeby napisał pan artykuł o tym, jak próbowaliśmy zabić naszego przyjaciela? Z całą pewnością nie. Mieliśmy jednak inne wyjście. Nasze śledztwo wykazało, że już siedem lat temu niepokoił pan Jonathana i że ostatnio był pan psychicznie załamany. Nie było żadnej przeszkody, żeby

właśnie pana obwinić o to morderstwo. Mieliśmy czek, który dał pan kierowcy, pańskie odciski palców na drzwiach prowadzących do pokoju i na aparaturze reanimacyjnej. Zabił pan Jonathana w akcie pokrętej, osobistej zemsty, a potem sam zamierzał popełnić samobójstwo.

— A kiedy pana ludzie dopadli mnie, usiłowali mi w tym pomóc. Gable rozłożył ręce.

— Jeżeli najpierw nie złapałaby pana policja. W takim przypadku miałem możliwości, żeby zaaranżować pana samobójstwo w areszcie.

— Co za niesamowita pewność siebie. Jest pan przekonany, że może manipulować wszystkimi, żeby

cały system działał tak, jak pan chce.

— Jestem dyplomatą. Pomagałem w tworzeniu tego systemu. Gwarantuję panu, że cały plan by się powiódł.

— Więc dlaczego się nie udało? Gable wbił wzrok w podłogę.

— A więc? — powtórzył Pittman.

— Gratuluję panu. Okazał się pan znacznie bardziej pomysłowy, niż mi to przedstawiono. Gdyby nie

był pan taki sprytny, nie zgodziłbym się na tę rozmowę, zapewniam pana. Jak na człowieka zdecydowanego skończyć ze sobą, wykazał pan wybitną umiejętność przetrwania.

— Widzi pan, zmieniłem swoje zamiary. Gable popatrzył zdziwiony.

— Porzuciłem zamiar samobójstwa. I to dzięki panu.

— Proszę to wyjaśnić.

— To, co przez was przeszedłem, tak mnie przeraziło, że zadałem sobie pytanie: po co wciąż uciekam, skoro nie chcę dłużej żyć? Dlaczego nie pozwolić wam wykonać tego za mnie? Przekonywałem siebie, że chcę, aby moja śmierć była moim własnym wyborem, a nie waszym. Prawda jest taka, że zmusiliście mnie do

395

uświadomienia sobie, na jakim właściwie etapie życia się znalazłem. Kochałem mojego syna i bardzo

mi go brak. Ale wy doprowadziliście mnie do tego, że teraz już mogę żyć z moim smutkiem, a nie dać

mu się pokonać.

Gable przypatrywał się mu, jakby nie rozumiejąc wewnętrznych rozterek Pittmana. W końcu westchnął.

— O ileż byłoby prościej, gdyby moim ludziom udało się zastrzelić pana podczas ucieczki z posiadłości w Scarsdale.

Sloane odezwał się zdenerwowany:

— Najpierw Jonathan. Potem Anthony. Teraz Victor. Wystarczy. Trzeba się porozumieć i skończyć z

tym.

— Właśnie po to tu jesteśmy — odparł Gable. — Żeby się porozumieć.

Przez cały czas człowiek, przedstawiony jako Webley, stał oparty o ścianę, po prawej stronie Pittmana, trzymając w ręku jego broń.

— Aby negocjacje były owocne — powiedział Gable — każda ze stron musi coś zyskać. Tak więc, panie Pittman, co my zyskamy za milion dolarów i dwa paszporty, których się pan domaga?

— Poczucie bezpieczeństwa. Spokojne sumienie.

— Wspaniale. Wszystko to brzmi ładnie, ale bardzo mgliście. Jak konkretnie chce pan zapewnić nam

bezpieczeństwo i spokój sumienia?

— Przez moje zniknięcie.

— To znaczy?

— Tak to zaaranżuję, żeby wyglądało, że doprowadziłem swój zamiar do końca i popełniłem samobójstwo. Nie będzie można zidentyfikować mojego ciała.

— A dokładnie jak?

— Myślałem, żeby upozorować, że pana ludzie zwabili mnie na jeden z pańskich jachtów, a ja wysadziłem go w powietrze razem ze sobą. Moje ciało nigdy nie zostałoby odnalezione. Rekiny i inne

drapieżniki szybko rozprawiłyby się ze szczątkami. Oczywiście nie byłoby mnie na jachcie. Pańscy ludzie, obserwujący eksplozję z innego jachtu, mogliby zaświadczyć, że widzieli mnie, jak wchodziłem na pokład.

— To mogłoby się udać. — Głos Sloane'a wyrażał entuzjazm.

— Na jeden z moich jachtów? — Gable spojrzał z niedowierzaniem. — Wymyślił pan dosyć kosztowny sposób zniknięcia.

396

— Tym bardziej byłoby to wiarygodne. Biorąc pod uwagę, jak dużą pan stratę poniósł, policji trudno

byłoby podejrzewać, że miał pan z tym coś wspólnego.

— Trafił w samo sedno — skwitował szybko Sloane.

Gable z niezadowoleniem spojrzał na niego, po czym skierował wzrok na Pittmana.

— Proszę wybaczyć gwałtowną reakcję mojego kolegi. Zapomniał o elementarnej zasadzie negocjacji: „nigdy nie dopuść, by przeciwnik zbyt wcześnie poznał twoją opinię o jego argumentach”.

— Sądziłem, że będziemy wobec siebie szczerzy — powiedział Pittman.

— To dlaczego nie stawia pan sprawy całkiem otwarcie? Spodziewa się pan, że uwierzę, że po tym upozorowaniu samobójstwa zniknie pan na zawsze i nic już nie będzie nam z pana strony groziło?

— Właśnie tak — kłamał Pittman.

— Jakie mamy gwarancje?

— Już mówiłem. Chcę żyć. Nie chcę, żeby wciąż na mnie polowano. Chcę, żeby pozostawiono mnie w spokoju.

— Pod zmienionym nazwiskiem.

— Tak.

— Z panną Warren.

— Tak.

— W Meksyku? Czy dalej na południu? W kraju gdzie milion dolarów ma dużo większą wartość niż tutaj?

— Tak.

— A po tej serii telefonów ostatniej nocy — Gable był wyraźnie poirytowany — jak pan zamierza uchronić nas przed innymi ludźmi, którzy dzięki panu poznali nasze prywatne sprawy?

— Przed pańską córką, na przykład?

— Zwłaszcza przed nią.

— Telefony miały na celu zdenerwować pana. Wywrzeć na pana nacisk, aby zgodził się pan na to spotkanie. Aby zechciał pan to zakończyć, zanim się rozniesie dalej. Prawda jest taka, że pańska córka

nic właściwie nie wie. Jeśli zgodzi się pan na moje warunki, wrócę do niej i...

Gdzieś w głębi domu zadzwonił telefon i coś cicho zabrzączało. Pittman spojrział ponad Webleyem w

kierunku holu, gdy telefon zadzwonił po raz drugi.

397

— To nic ważnego — wyjaśnił Gable. — Faks w moim gabinecie jest na innej linii niż główny telefon. To, co pan słyszał, to właśnie faks. Odbiera po dwóch sygnałach.

Pittman skinął głową.

— Jeśli zgodzi się pan na moje warunki, wrócę do pańskiej córki i zacznę pleść takie nonsensy, że na

pewno przestanie wierzyć w to, co mówiłem poprzednio. Moje rzekome samobójstwo utwierdzi ją w

tym jeszcze bardziej. Będzie zmuszona przyznać, że jej oskarżenia, oparte na moich słowach, są czystym absurdem — tak jak pan to jej powiedział.

— Podoba mi się to — powiedział Sloane skwapliwie. — To ma sens. To pomoże nam wyplątać się z

całego tego bałaganu.

— Winston — w starczych oczach Gable'a pojawił się złowieszczy błysk. — Twoje ciągle uwagi zmuszają mnie do pogwałcenia protokołu. Nigdy dotąd nie uczyniłem tego podczas pertraktacji. Ale nie pozostawiasz mi wyboru. Muszę cię prosić, abyś mi więcej nie przerywał.

— Ale...

— Winston! — Gable oddychał ciężko, emocje wyraźnie go osłabiły.

Sloane, speszony, spuścił wzrok na własne ręce. Oddech Gable'a stopniowo się uspokoił. Opanował się.

— Więc nie powiedział pan mojej córce wszystkiego?

— Nie powiedziałem.

Gable pokręcił głową przecząco.

— Nagle zacząłem mieć co do pana wątpliwości.

— Dlaczego?

— Jeśli chciał pan zapewnić sobie pomoc mojej córki, byłoby nielogiczne coś przed nią zatajać. Żeby

ją przekonać, musiał pan powiedzieć jej wszystko, co pan wiedział. Zaczynam się zastanawiać, czy

to spotkanie jest w ogóle celowe. Co dokładnie pan wie? Co my kupujemy? Co konkretnie warte jest

milion dolarów i dwa paszporty?

— Duncan Kline był wychowawcą w Akademii Grolliera. Gable uniósł krzaczaste białe brwi i skinął

Pittmanowi, żeby

kontynuował.

— Lubił gromadzić wokół siebie najlepszych uczniów. Tworzył z nich małe grupy. Dbał o nich.

— Oczywiście. Dobry nauczyciel zawsze tak postępuje.

— Ale dobry nauczyciel nie wykorzystuje seksualnie swoich uczniów.

Twarz Gable'a stężała, zmarszczki pogłębiły się.

— Duncan Kline starannie przygotowywał swoich kilku wychowanków. To wymagało czasu i poświęcenia, staranności, życzliwości i zaufania. A w końcu stał się tak niezbędny w ich życiu, tak nieodzowny dla ich dobrego samopoczucia, że nie potrafili już zdobyć się na odrzucenie jego zalotów.

Pan i pozostali superdoradcy byliście przez niego wykorzystywani. Pozostawiło to na was ślad na zawsze.

Poorana zmarszczkami twarz Gable'a przypominała Pittmanowi popękana skorupę zeschniętego błota.

— Wykorzystywani? Pan naprawdę sądzi, że posunęlibyśmy się tak daleko po to tylko, żeby ukryć ten fakt? Co, nawiasem mówiąc, jest prawdą. — Gable spojrzął do góry na belkowany sufit i wybuchnął śmiechem. Grdyka mu podskakiwała, a z zaciśniętego gardła wydobywał się dźwięk przypominający przesypywanie żwiru. Przez moment wyglądało, że się udusi od własnego śmiechu. Z

grymasem bólu pochylił twarz i odkaslnął kilkakrotnie w chusteczkę. Błada twarz poczerwieniała mu

z wysiłku. Powoli się opanował. — Oczywiście, że byliśmy wykorzystywani. — Przełknął ślinę i odłożył chusteczkę. — Gdyby pan opublikował tę informację, łatwo mógłbym obrócić to na swoją korzyść, zyskując sympatię mediów. W dzisiejszej Ameryce nie istnieje już takie pojęcie jak wstyd, a

tylko popęd seksualny i współczucie. Pan właściwie nie wie nic, co mogłoby mi zaszkodzić, panie Pittman. Zajmuje mi pan tylko czas.

— Nie pozwolił mi pan skończyć.

— Czyżby? Sugeruje pan, że ma ważniejsze informacje, którymi chciałby się z nami podzielić? Pittman czuł narastający ból w piersiach. Serce biło mu mocniej. Miał nadzieję, że Gable uzna za pewnik, że jego tajemnica została odkryta. Strategia Pittmana opierała się na założeniu, że podczas otwartej dyskusji Gable zdradzi istotne szczegóły, przekonany, że Pittman już je zna. Nie wziął jednak

pod uwagę tego, że Gable, wieloletni negocjator, nie zamierzał udzielić jakiegokolwiek informacji, zanim Pittman uczyni to pierwszy.

przekonywał siebie nerwowo. — Jesteś tutaj, ponieważ uważasz, że twoją najlepszą bronią jest umiejętność przeprowadzania wywiadów. Czas, żeby to wreszcie udowodnić. Zobaczmy, jak sobie poradzisz ze światowej klasy negocjatorem. Chwilę patrzył przez okno, szerokie na całą ścianę, próbując się skoncentrować i zmobilizować myśli. Mrużąc powieki od zagląającego do pokoju słońca, skierował wzrok na widniejące w oddali sosny, zdumiewająco zielone i wyraźne, nieskończenie piękne, podczas gdy on walczył tu o życie. U podnóża porośniętego drzewami zbocza na tyłach domu ktoś grał w golfa, korzystając z ładnego kwietniowego dnia. Jeden z graczy przejechał na wózku golfowym obok piaszczystej pułapki w kierunku muru okalającego posiadłość Gable'a, w pobliżu którego wylądowała jego piłka. Pittman utkwiał wzrok na piaszczystym spłachetku. Gorzką ironią losu wydało mu się, że właśnie obok pola golfowego tydzień temu zaczął się jego koszmar, a teraz, obok innego, zmierza ku końcowi.

— Panie Pittman — odezwał się Gable — jeśli ma pan jakieś istotne informacje, proszę się z nami podzielić. W przeciwnym wypadku Webley spowoduje, że na pewno nie przekaże pan ich dalej.

Pittman, wciąż mrużąc oczy, odwrócił się.

— Jest pan cały spocony — ciągnął superdoradca. — Pot leje się

400

panu z czoła. Chyba to nie z nerwów? Podczas rokowań nie wolno zdradzać swoich emoq'i. A z pewnością ja nigdy tego nie robię.

— To z powodu ciepła w pokoju. Tu jest zdecydowanie za gorąco. — Pittman otarł czoło.

— Mój lekarz zalecił mi, abym cały czas utrzymywał temperaturę około 27° C. Ze względu na moje drobne problemy ze zdrowiem. Proszę zdjąć kurtkę, jeśli jest panu za gorąco. Widzę, że ma pan jeszcze i sweter.

— Wszystko w porządku. — Odwrócił jego uwagę, przyglądając się widokowi za oknem.

Człowiek na wózku golfowym zniknął za murem u podnóża zbocza. — Ten faks, który nadszedł kilka minut temu.

— Co on ma do rzeczy? — zdziwił się Gable. Pittman spojrział mu prosto w oczy.

— Jest do mnie.

Gable zaniemówił przez moment.

— Do pana?

— Co to znaczy? — zapytał Winston Sloane.

— To absurd. — Gable zaprotestował ignorując kolegę — Dlaczego ktoś miałby przysyłać tu do pana faksy? To niemożliwe! Numer faksu jest zastrzeżony.

— Podobnie jak numer telefonu. Mimo to podałem go pańskiej córce, żeby zadzwoniła do pana. Pana numer zaś, Winston, przekazałem Jill. Dzwoniliśmy też do Victora Standisha. Niestety, w tym przypadku za późno. Przeszrzelił sobie głowę, gdyż nie mógł znieść kłopotów związanych z waszą tajemnicą. A jeśli tak łatwo zdobyłem te wszystkie zastrzeżone numery, mogę pana zapewnić, że ze znalezieniem numeru faksu też nie było problemu. Na faksie jest nekrolog Duncana Kline'a. Jestem pewien, że zainteresuje panów.

Gable zmarszczył czoło z niedowierzaniem.

— Panie Webley, proszę dopilnować, żeby mój gość pozostał na miejscu, a ja sprawdzę tę wiadomość w gabinecie.

Webley uniósł czterdziestkępiątkę.

— Proszę się nie martwić. Nie ruszy się stąd.

Pittman popatrzył na Gable'a, który podniósł się z trudem, przeszedł przez pokój i sztucznie wyprostowany, niemal po królewsku, zniknął w korytarzu.

26 — Desperackie kroki

401

Pot zbierał się Pittmanowi między brwiami. Niepokój, spotęgowany nieznośnym gorącem w pokoju,

zaczął przyprawiać go o mdłości. Unikając baczego wzroku Webleya i niespokojnych spojrzeń Sloane'a, popatrzył znów na przeszkloną ścianę. Przez chwilę ponownie przyzwyczajał wzrok do

jasnego słońca. Sosny wydawały się jeszcze piękniejsze. Mimo strachu zauważał, jak niezwykle piękna jest zieleń wiosennej trawy. Sylwetki graczy majaczyły obok drzew w pobliżu sadzawki. Nagły ruch przykuł jego uwagę. Tuż przy zboczu, blisko posiadłości Gable'a. Przy samym murze.

Po

jego wewnętrznej stronie. Człowiek, którego wcześniej widział w wózku golfowym, teraz był w zasięgu jego wzroku. Zmierzał prosto do rezydencji. Pittman nie wiedział, jak przedostał się przez ogrodzenie, ale był to ten sam człowiek, w białej czapce i czerwonej kurtce. Mimo osłaniającego twarz daszka dało się zauważyć, że był w starszym wieku. Podchodził powoli, lecz zdecydowanie,

w

prawym ręką trzymał jakiś przedmiot. Był już na tyle blisko, że można było zobaczyć, ile wysiłku kosztowała go ta wspinaczka. W momencie kiedy zniknął między drzewami, przerażony Pittman rozpoznał go. To jemu stawiał drinka ostatniej nocy. Za nim jechał do posiadłości pani Page. To

jego

zabrali do szpitala, kiedy zasnął. Bradford Denning. Dziś rano Bradford Denning wymknął się za szpitala, a teraz, kiedy znów się ukazał walcząc z pochyłością tuż przy domu, wyglądał jak obłąkany.

Z takim samym przerażeniem Pittman rozpoznał przedmiot w jego prawej dłoni: pistolet.

402

Nie! — pomyślał. — Jeśli Gable go zobaczy albo zauważy Webley, pomyślą, że ich oszukałem, że

nie

można mi ufać, że wszystko wymknęło się spod kontroli. Kiedy spostrzegą, że Denning jest uzbrojony, zastrzelą go. A potem wykończą mnie.

10

Echo nierównych kroków na kamiennej posadzce zaalarmowało Pittmana. Odwrócił się od okna i w nadziei, że nikt więcej nie widział tego co on, skupił całą uwagę na Gable'u. Superdoradca wyglądał teraz o wiele starzej niż przed chwilą, gdy wychodził z pokoju. Z poszarzałą twarzą wskazywał na kartkę papieru, przyniesioną z gabinetu.

— Jak pan to zdobył? Pittman nie odpowiedział.

Tak władczym tonem, na jaki tylko mógł się zdobyć, Gable powtórzył:

— Proszę odpowiadać, jak pan to zdobył?!

Nie znając treści faksu, wiedząc tylko, że był on wynikiem starań pani Page, która użyła swoich kontaktów w „Washington Post”, Pittman starał się, aby jego głos zabrzmiał naturalnie.

— Chyba nie zapomniał pan, że ostatnio pracowałem w dziale nekrologów. — Podniósł się i podszedł do Gable'a, próbując wziąć kartkę z jego zaciśniętej dłoni.

Gable cofnął rękę.

Cholera, jeśli nie zobaczę, co tam jest napisane... — starannie ukrywał ogarniającą go panikę.

Niespodziewanie Gable ustąpił.

Udając, że treść jest mu doskonale znana, Pittman przebiegł niedbale wzrokiem po kartce. Była to strona z nekrologami

404

z „Boston Globe” z 23 grudnia 1953 roku. Zawiadomienie o śmierci Duncana Kline'a.

Czuł, jak krew pulsuje mu w skroniach.

— Przypuszczam, że trudno wam było podjąć decyzję, czy zamieścić małą wzmiankę o odejściu Kline'a, czy też dłuższe wspomnienie, jakie należałoby się wspinałemu nauczycielowi tak wielu znakomitych uczniów. W pierwszym przypadku jego byłym kolegom i uczniom mogłoby wydać się podejrzane, gdyby wydrukowano zaledwie kilka mało znaczących słów. Chcieliby może przeczytać coś więcej. Z drugiej strony mogliby niechętnie dowiedzieć się zbyt dużo o okolicznościach jego śmierci, gdyby pojawiło się dłuższe wspomnienie. Jak widać, poszłście na rozważny kompromis.

W pokoju zapanowała cisza. W umyśle Pittmana przemknął obraz Bradforda Denninga,

wspinającego się po zboczu. Nie był jeszcze na tyle blisko, aby im zagrozić. Jego zaciętość niepokoiła jednak Pittmana. Stał mu przed oczami, z lewą dłonią przyciśniętą do bolącej piersi i z pistoletem w prawej.

— Ta wzmianka o niczym nie świadczy — stwierdził Gable. — Sprawa jest powszechnie znana od ponad czterdziestu lat. Gdyby było w tym coś podejrzanego, już dawno by to odkryto.

— Pod warunkiem że wiedziano by, czego szukać. — Pittman podniósł głos. Im szybciej biło mu serce, tym bardziej zaczynało brakować mu powietrza. Zawładnął nim instynkt dziennikarski, mobilizował do myślenia, układając w całość informacje, już mu znane, z tymi, z którymi zapoznał się dopiero w czasie rozmowy.

— Duncan Kline zmarł w 1952 roku. Było to w lipcu, kiedy pojawił się nagle w Departamencie Stanu, domagając się widzenia z wami. Eisenhower został kandydatem republikanów na prezydenta. Wszyscy byliście wtedy zajęci podkopywaniem reputacji waszych konkurentów, przygotowując się do przeskoczenia od demokratów do republikanów. Wasza konserwatywna, antysowiecka postawa była zgodna z duchem czasów. Przyszłość należała do was. Wtedy pojawił się Kline, wywołując wśród was piekielny popłoch.

W tym momencie Pittman nie miał jeszcze pojęcia, dlaczego superdoradcy obawiali się Kline'a, ale napięcie, z jakim go słuchali, utwierdziło go w przekonaniu, że należy pójść tym tropem.

— Myśleliście, że zniknął już z waszego życia. Aż tu pojawia się nagle, zwracając na siebie powszechną uwagę. Tak, cholernie się go

405

przeraziliście. Tak bardzo, że w najgorętszym okresie przekonywania Eisenhowera i jego ludzi, żeby

zabrali was na pokład, znaleźliście czas wszyscy, cała piątka, aby pojechać na zjazd koleżeński do Grolliera. To było w grudniu. Kline musiał na was bardzo naciskać od lipca. W końcu nie mieliście wyboru. Wszyscy pojechaliście do Grolliera, ponieważ Kline naturalnie też musiał tam być. Nie było

w tym nic niezwykłego, że widziano was razem. Próbowaliście dojść do porozumienia bez zwracania

niczyjej uwagi.

Nerwy Pittmana były na wyczerpaniu, kiedy obserwował reakcje Sloane'a, każdy skurcz mięśni na twarzy, gdy słuchał go w napięciu. Z zachowania Gable'a natomiast nie mógł wyczytać, czy jego wypowiedzi robią na nim wrażenie.

— Duncan Kline był już wtedy na emeryturze. Mieszkał w Bostonie, ale nekrolog mówi, że zmarł w

swoim domku letniskowym w Berkshire Hills. Nie muszę wam przypominać, że jest to na zachodzie

Massachusetts, zaraz przy południowej granicy z Ver-mont. W grudniu. Co, do diabła, mógł porabiać

w domku letniskowym pośród gór, w czasie zimy, starszy pan, mieszkający w Bostonie? Biorąc pod uwagę okoliczności myślę, że najlepszym wytłumaczeniem mógł być krótki wypad do domku po spotkaniu w Grollierze. Ponieważ jego interesy z wami wszystkimi jeszcze nie były zakończone. Ponieważ potrzebowaliście odludnego miejsca, gdzie moglibyście przedyskutować rozbieżności. Pittman przerwał na chwilę, aby uspokoić oddech. Miał nadzieję, że wewnętrzne emocje nie zdradzają

go. Mimo zdenerwowania czuł rodzaj satysfakcji, że ani Gable, ani Sloane nie zaprzeczają jego słowom. Jednocześnie wyobraził sobie Denninga, wspinającego się po zboczu, ale nie śmiał zaryzykować spojrzenia w okno, aby przekonać się, jak blisko już dotarł. Podszedł do półek z książkami, aby odciągnąć uwagę obecnych od tego, co dzieje się na zewnątrz. Pittman wskazał na fragment nekrologu. „Duncan Kline był Anglikiem. Przybył do Stanów Zjednoczonych w początkach

lat dwudziestych, po krótkim okresie nauczania w Cambridge”.

Poczuł skurcz żołądka, kiedy połączył następne ogniwo. Anglik. Gdyby wiedział wcześniej, że był

Anglikiem, że przyjechał z Cambridge.

— Myślę, że dla takiej anglofilskiej szkoły jak Grollier było chlubą mieć wykładowcę z Cambridge. Co za ironia, prawda? Przez

406

lata uczniowie z tej szkoły zostawali kongresmenami, senatorami, członkami rządu, a jeden nawet prezydentem, nie licząc takich wybitnych dyplomatów jak wy. Ale biorąc pod uwagę jej wpływ na amerykański system polityczny, orientacja filozoficzna akademii była probrytyjska i proeuropejska. Oglądałem notatki z jego wykładów. Kline specjalizował się w historii. I naukach politycznych.

Twarz

Winstona Sloane'a poszarzała.

— Tak więc, polityczny teoretyk z Cambridge — kontynuował Pittman — związał się z pięcioma wybitnymi uczniami i przygotowywał ich do olśniewającej kariery dyplomatycznej. Cała wasza piątka

dostarczyła podbudowy filozoficznej dla wszystkich administracji od czasów Trumana.

Wszczepione

w was teorie Duncana Kline'a...

— Nie! Może kiedy byliśmy młodzi — zaprzeczył Sloane. — Ale później nie kierowaliśmy się teoriami Duncana.

— Winstonie, dość! — wybuchnął Gable.

— Nie widzisz, co on nam daje do zrozumienia? To właśnie to, czego się obawialiśmy! Zniszczy całą

naszą reputację. Przecież nigdy nie byliśmy komunistami!

Nareszcie. Właśnie na to liczył, że jeden z nich niechcący się wygada. I tak się stało. Słowo „komuniści” wydawało się odbijać złowieszczym echem. W jednej chwili w pokoju zaległa niepokojąca cisza, jak gdyby każdy z nich zastygł w miejscu.

Eustace Gable powoli wyjął chusteczkę, odkaszlnął, na jego twarzy malowało się cierpienie.

Winston

Sloane wpatrywał się w swoje powykrzywiane dłonie, wyraźnie speszony swoim zachowaniem, zdawał sobie sprawę, jak daleko odbiega ono od jego powściągliwości, tak charakterystycznej w czasach, kiedy był znanym negocjatorem.

Webley nie okazywał żadnej reakcji. Cały czas trzymał wycelowany w Pittmana pistolet.

Gable odchrząknął i schował chusteczkę. Mimo problemów ze zdrowiem i zaawansowanego wieku wyglądał tak dystygnowanie, że z powodzeniem mógł prowadzić rozmowy w Białym Domu.

— Proszę dokończyć pańską myśl, panie Pittman.

— W 1917 rewolucja rosyjska zelektryzowała brytyjskich intelektualistów, przeciwnych panującemu

systemowi. Nastawiona liberalnie kadra uniwersytecka, zwłaszcza w Cambridge, była pod 407

dużym wrażeniem teorii socjalistycznych. Doprowadziło to ostatecznie do tego, że powstały siatki szpiegowskie, rekrutujące się z byłych studentów, zwerbowanych przez swych profesorów z Cambridge, działające na rzecz Sowietów, a na szkodę Anglii i Stanów Zjednoczonych. Guy Burgess, Donald Maclean, Kim Philby. W 1951 roku Burgess i Maclean uciekli do Rosji.

Philby'ego

podejrzewano, że ostrzegł ich przed mającym nastąpić aresztowaniem. A rok później Duncan Kline zapukał do waszych gabinetów w Departamencie Stanu. Myślę, że przyznacie, że tkwił w tym daleko

głębiej niż Philby i reszta. Poza wszystkim, Philby zmienił poglądy w latach trzydziestych, podczas gdy Kline zaczął sympatyzować z komunistami dziesięć lat wcześniej. Musiał być wyjątkowym kusicielem: seksualnym i politycznym. Pan i pana przyjaciele byliście wtedy tacy młodzi, tacy podatni

na wpływy. Skończyliście szkołę w 1933 roku. Później byliście w college'ach, jedni w Harwar-dzie, inni w Yale. W tym czasie Wielki Kryzys pogłębiał się. Komunistyczne teorie Kline'a

przypuszczalnie nadal was fascynowały, biorąc pod uwagę chaos panujący w kraju. Ostatecznie jednak pozostaliście wierni tradycjom kapitalistycznym. Czy właśnie wtedy uświadomiliście sobie, że opowiadając się po stronie Kline'a i działając na szkodę systemu, w gruncie rzeczy będziecie działać na własną szkodę, gdyż mieliście być w przyszłości przywódcami tego systemu?

Pittman patrzył prosto na Gable'a i Sloane'a, ale żaden z nich nie odpowiedział.

— Myślę, że jesteście zwykłymi oportunistami. Gdyby komunizm zwyciężył w Stanach Zjednoczonych, przypuszczalnie znaleźlibyście się na szczytach nowego systemu. Jednak wybuchła druga wojna światowa i komunizm stracił na znaczeniu także tutaj. Sowieci uznani zostali za równie wielkie zagrożenie jak naziści. A wy znaleźliście się na najwyższych szczeblach w Departamencie Stanu. Tam nie tylko wyzbyliście się swoich komunistycznych przekonań, ale umacnialiście swoją władzę, eliminując konkurentów oskarżeniami o prokomunistyczne sympatie.

Pittman pomyślał nerwowo o Denningu, ściskającym pistolet, wspinającym się z trudem po zalesionym zboczu do rezydencji.

— Podczas antykomunistycznej histerii McCarthy'ego w początkach lat pięćdziesiątych zbudowaliście

własne kariery na ruj-

408

nowaniu karier innych dyplomatów. Wtedy pojawił się Duncan Kline i zagroził, że zniszczy was wszystkich. Co takiego zrobił? Szantażował was? Groził, że jeśli mu nie zapłacicie, rozpowie, że byliście równie podatni na idee komunistyczne jak ci, których teraz

0 to oskarżacie? Mam rację?

W pokoju zapadła taka cisza, że wydawało mu się, iż słyszy, jak łomocze mu w skroniach.

Eustace Gable, przybity, pokręcił starczą głową. W jego głosie mieszało się zniechęcenie z rozczarowaniem.

— Wie pan znacznie więcej, niż przypuszczałem. — Westchnął ciężko. — Rzeczywiście błysnął pan

dziennikarskim talentem. Dlatego pozwoliłem tu panu przyjść, żeby ocenić, ile pan wie. Ale jest pan

w błędzie.

— Nie sądzę.

— Duncan nie próbował nas szantażować. Nie chciał pieniędzy.

— Więc czego chciał?

— Abyśmy byli wierni zasadom, które w nas wpałał. Był zatrwożony, że formułowaliśmy tak twardą

politykę rządu wobec Związku Sowieckiego. Chciał, abyśmy zmienili swoje nastawienie i zaczęli propagować współpracę między obu krajami. To był oczywiście nonsens. Zrobiliśmy z Sowietów takie potwory, że nie było sposobu, aby zmienić wobec nich oficjalne stanowisko amerykańskie. Każdy polityk czy dyplomata, który próbowałby to zrobić, popełniłby zawodowe samobójstwo. Żeby budować własną karierę, trzeba było stać się bardziej antysowieckim niż ktokolwiek inny.

— A wasze kariery były dla was najważniejsze.

— Oczywiście. Nic nie można zdziałać, jeśli się jest poza burtą.

— Tak więc poświęciliście Duncana Kline'a dla waszych karier...

— Zabiliśmy go — dodał Gable.

Pittman stał się czujny, instynkt ostrzegał go. Gable nie miał w zwyczaju ujawniać informacji. Dlaczego zrobił to teraz? Aby ukryć niepokój, spojrział na kartkę z nekrologiem. Piszą tutaj, że

Duncan Kline zginął podczas burzy śnieżnej.
Boże drogi! — pomyślał. W końcu zrozumiał.

— Śnieg — wyrwało mu się bezwiednie.

— Właśnie, panie Pittman. Śnieg. Duncan był alkoholikiem. Kiedy spotkaliśmy się w jego domku, pozostał głuchy na nasze argumenty. Groził, że jeśli nie zmiękczymy stanowiska wobec

27 —

Desperackie kroki

409

Związku Sowieckiego, wyda nas jako byłych sympatyków komunizmu. Zapowiadano zamieć śnieżną.

Było późne popołudnie, Śnieg padał, tak gęsty, że nie było widać jeziora tuż za domkiem. Był już dobrze podpity, nim przyjechaliśmy. Pił cały czas, kiedy próbowaliśmy go przekonywać. Może

gdyby był trzeźwy, mielibyśmy więcej cierpliwości. Wykorzystaliśmy alkohol, żeby go zabić.

Zachęcaliśmy

go do picia udając, że pijemy razem z nim, czekaliśmy, aż urznie się w trupa. Przynajmniej na to liczyliśmy. Muszę jednak oddać Duncanowi sprawiedliwość. Po jakimś czasie, nawet w takim upojeniu, zaczął podejrzawać, że coś jest nie w porządku. Przestał pić. Żadne namawiania nie mogły

go skłonić do przełknięcia whisky, którą mu podsuwaliśmy. W końcu zmusiliśmy go do tego. I jeszcze

jedno muszę przyznać. Lata wiosłowania sprawiły, że był niezwykle silny. Mimo że był pijany i miał

już sześćdziesiątkę, stawiał nam zaciekły opór. Lecz nie miał szans z nami pięcioma. Pomagałeś trzymać mu ręce, prawda, Winston? Wlaliśmy mu siłą whisky do gardła. Tak, tak było.

Wymiotował.

A my cały czas

wlewaliśmy w niego.

Pittman słuchał z odrazą. Scena, którą opisywał Gable, przypomniała mu sposób, w jaki Gable zamordował swoją żonę.

— W końcu, kiedy stracił przytomność, podnieśliśmy go, wynieśliśmy na zewnątrz i zostawiliśmy w

zaspie. Jego byli uczniowie i współpracownicy wiedzieli, jak daleko posunięty był jego alkoholizm. Uznali, że sformułowanie w nekrologu było bardzo dyskretne, podczas gdy wielu z nich domyślało się

prawdziwych powodów śmierci. Przypuszczali, że po pijanemu wyszedł na zewnątrz w samej koszuli i zamarł w śniegu. Nikt nigdy nie odkrył, że pomogliśmy mu w tym. Usunęliśmy wszelkie ślady naszego pobytu w domku. Wsiadliśmy do samochodów i odjechaliśmy. Śnieg szybko przykrył

ślady opon. Jego krewny zaczął się niepokoić, kiedy Duncan nie wrócił do Bostonu po zjeździe w Grollier. Policja stanowa, wysłana do domku, znalazła jego samochód i po dokładniejszych poszukiwaniach odkryła jego gołe stopy sterczące spod śniegu. Jakieś zwierzę ściągnęło mu buty i odgryzło palce u stóp.

— A prawie czterdzieści lat później Jonathana Millgate'a zaczęły dręczyć nocne koszmary związane z

tą zbrodnią — dodał Pittman.

— Jonathan zawsze był najbardziej wrażliwy spośród nas — stwierdził Gable. — Dziwne. Podczas wojny w Wietnamie zalecał,

410

aby niszczyć wioski podejrzane o kontakty z komunistami. Dobrze wiedział, że wszyscy mieszkańcy

zginą, i nigdy jakoś nie mąciło to mu spokojnego snu. Ale gdy w tym samym czasie trzeba było

uśpić

jego ulubionego psa z powodu choroby nerek, szlochał nad nim cały tydzień. Kazał go poddać kremacji i wystawił mu kamienny obelisk na tyłach domu. Widziałem go raz, jak przemawiał do tego

nagrobka, a było to dwa lata później. Myślę, że jakoś pogodziłby się z tym, co zrobiliśmy Duncanowi,

z jego bezkrwawą śmiercią, z głębokim zaśnięciem w śniegu jak na poduszce, z ciałem zastygłym na

mrozie, gdyby coś nie odgryzło Duncanowi palców. To okaleczenie zawładnęło wyobraźnią Jonathana. Rzeczywiście dręczyły go koszmary, chociaż myślę, że po jakimś czasie ustąpiły. Jednak parę lat temu, ku mojemu zaskoczeniu, mówiąc najogólniej, znów zaczął o nich opowiadać.

Związek

Sowiecki rozpadł się. Zamiast triumfować, Jonathan zaczął opowiadać, że upadek komunizmu udowodnił tylko, że śmierć Duncana była niepotrzebna. Jego logiczne myślenie uspokoiło mnie.

Ale

pojawiło się zagrożenie. Kiedy Jonathan zaczął odkrywać swą udręczoną duszę przed ojcem Dandridge'em, przestraszyłem się na dobre.

— Więc zabiliście go. I tak doszliśmy do sedna — powiedział Pittman — próbowaliście pogrzebać waszą tajemnicę. Czy rzeczywiście warta była tego wszystkiego, co mi zrobiliście, życia ludzi, którzy

zginęli, żeby ją osłonić? Zestarzeliście się. Staliście się niedołęzni. Umarlibyście na długo przed

tym, zanim sprawa znalazłaby się w sądzie.

Gable potarł chudy podbródek i posłał Pittmanowi spojrzenie, które wydawało się mieć tysiąc lat.

— Pan wciąż nie rozumie. Po tym wszystkim, co pan przeszedł, i po naszej dzisiejszej długiej rozmowie, wciąż jakoś wydaje się pan nie rozumieć. Oczywiście nie żyłbym już, kiedy sprawa trafiłaby do sądu. Nie obchodzi mnie zresztą, czyby mnie ukarano. W rzeczy samej, nie uważam, bym

zrobił coś zasługującego na karę. Jedyne, o co dbam, to moja reputacja. Nie mogłem pozwolić na to,

żeby całe moje życie, poświęcone służbie publicznej, zostało wciągnięte do rynsztoka i sądzone przez

motłoch, ponieważ wyeliminowałem kogoś, kto napastował dzieci, był pijakiem i komunistą.

Duncan

Kline był diabłem. Jako młodzieniec oczywiście tak nie myślałem. Podziwiałem go. Ale z czasem uświadomiłem sobie, jak bardzo był

411

nikczemny. Jego śmierć nie stanowiła dla ludzkości żadnej straty. Moja reputacja warta jest setek tysięcy Duncanów Kline'ów. Nie pozwolę, aby dobro, jakie uczyniłem dla tego kraju, zostało zbrukane tylko dlatego, że chroniąc moją karierę musiałem dokonać desperackich czynów w imię wyższej konieczności.

— Pańską karierę.

— Właśnie — odparł Gable. — Liczy się tylko ona. Obawiam się, że sprowadziłem tu pana pod fałszywym pretekstem. Milion dolarów, dwa paszporty... Przykro mi mówić, ale nigdy nie miałem zamiaru ich panu dostarczyć. Chciałem tylko ustalić, co pan wie. Okazało się, że wiele. Choć bez dowodów, jest to tylko teoria. Dla mojego bezpieczeństwa nie stanowi pan większego zagrożenia.

Ale

dla mojej reputacji — bardzo duże. Zachowanie Winstona tego popołudnia wykazało, że również on

jest zagrożeniem dla mojej reputacji. Nie potrafi utrzymać języka za zębami. Na szczęście oba problemy mają wspólne rozwiązanie. Panie Webley.

— Słucham, sir.

Webley podszedł do Pittmana i stanął za nim. Pittman poczuł falę zimna, kiedy usłyszał szcęk zamka swojej czterdziestkiptki.

— Nie!

Lufa pistoletu nagle pojawiła się obok niego. Huk niemal przebił mu bębenki. Na wprost niego Winston Sloane łapał powietrze osuwając się w tył, krew buchnęła mu z piersi rozbryzgując się na sofie, na której siedział. Starzec zadrżał, a potem upadł, jakby ciało jego składało się z cienkich patyczków, które nie mogły dłużej podpierać się nawzajem. Głowa mu opadła i ciało, tracąc równowagę, osunęło się na podłogę. Pittman był pewien, że słyszy gruchot jego kości.

Wstrząs sprawił, że przerażony Pittman z ledwością mógł sformułować pytanie.

— Dlaczego?

— Powiedziałem panu. Muszę eliminować przeszkody — rzekł Gable. — Panie Webley.

Ochroniarz przeszedł w kierunku drzwi do pokoju. Zatrzymał się, odwrócił, odłożył broń na stolik i spod marynarki wyciągnął inny pistolet.

— Może teraz zacznie pan rozumieć — odezwał się Gable. Pittman w panice chciał uciekać, ale Webley blokował wyjście.

412

Gdyby spróbował się ruszyć, wiedział, że będzie natychmiast martwy. Jego jedyną obroną były słowa.

— Sądzi pan, że policja uwierzy, że przyszedłem tutaj, wyciągnąłem broń, zastrzeliłem Sloane'a, a potem zostałem zabity przez pana ochronę?

— Oczywiście. Ta broń należy przecież do pana. Webley usunie z niej swoje odciski, umieści broń w

pańskim ręku i strzeli tak, żeby proch pozostał na pańskich palcach. Te namacalne dowody potwierdzą tylko naszą relację.

— Pana plan nie powiedzie się.

— Nonsens. Pańskie motywy od dawna są znane.

— Nie o tym myślę — głos Pittmana był ochrypliwy ze strachu. Wpatrywał się w wymierzony w siebie

pistolet. — Nie powiedzie się, ponieważ ta rozmowa jest podsłuchiwana i nagrywana.

Okolone zmarszczkami oczy Gable'a zwięzły się, tworząc wokół jeszcze więcej zmarszczek.

— Co? "

— Miał pan rację co do swoich podejrzeń. Przyszedłem tutaj z mikrofonem.

— Webley!

— Widział pan, jak go dokładnie obszukałem. Jest czysty. Nie ma żadnego mikrofonu.

— Więc zastrzel go!

— Zaczekaj. — Kolana tak mu się trzęsły, że nie wiedział, czy się na nich utrzyma. — Posłuchaj. Kiedy mnie obszukiwałeś, zapomniałeś o czymś.

— Powiedziałem, strzelaj, Webley. Ten się jednak wahał.

— Mój pistolet. Zanim tutaj przyszedłem, odwiedziłem człowieka, z którym rozmawiałem pięć lat temu. Jest specjalistą w dziedzinie elektronicznego podsłuchu. Nie rozpoznał mnie i nie zadawał żadnych pytań, kiedy powiedziałem, że chciałbym kupić miniaturowy mikrofon z nadajnikiem, taki, który można ukryć w rękojeści. Wiedziałem, że pistolet będzie pierwszą rzeczą, którą mi odbierzecie.

Liczyłem na wasze zadowolenie i poczucie bezpieczeństwa. Nie przyszło wam do głowy, że może być

w nim jeszcze jedno zagrożenie. Sprawdziłeś moje pióro, Webley. Ale nie pomyślałeś, żeby sprawdzić

broń.

413

Webley porwał czterdziestkęptkę ze stolika i przycisnął guzik, uwalniający magazynek z

rękojeści.

Pittman mówił cały czas, czując mdłości ze strachu.

— Moja przyjaciółka czeka w mikrobusie zaparkowanym niedaleko. Jest w nim pełne elektroniczne wyposażenie. Wszystko, co mówimy, jest nagrywane. Jest także automatycznie przekazywane na posterunek policji w Fairfax. Na jej sygnał normalne połączenia policyjne są blokowane. Przez ostatnią godzinę jedyne, co posterunek i wozy policyjne w Fairfax mogły słyszeć, to nasza rozmowa. Panie Gable, właśnie poinformowałem pan setki policjantów, że zabił pan Duncana Kline'a, Jonathana Millgate'a, Burta Forsytha i ojca Dandridge'a. Gdybym miał czas, zmusiłbym pana do przyznania się do zamordowania własnej żony.

— Webley! — Wściekłość Gable'a dodała jego głosowi zdumiewającej siły.

— Jezu, on ma rację. Jest tutaj. — Webley był błąd, w rękę trzymał przedmiot o kształcie kuli, który jednak służył zupełnie innym celom.

— Niech cię diabli! — wrzasnął do Pittmana Gable.

— Poczekam w kolejce, dziękuję. Ciebie już diabli wzięli.

— Zabij go! — ryknął Gable na Webleya.

— Ale...

— Rób, co mówię!

— Panie Gable, to nie ma sensu — odparł Webley.

— Nie ma? Nikt nie wystawi mnie na pośmiewisko. — Na ustach Gable'a pojawiła się piana. — Zrujnował moje dobre imię. — Jego twarz przybrała kolor brudnego chodnika.

Kiedy Webley wahał się, Gable podszedł do niego, wyjął mu broń z ręki i wycelował.

— Nie! — krzyknął Pittman.

Kula trafiła go w pierś. Zajączkał z bólu, gdy poczuł siłę uderzenia. Podrzuciło go w górę i zaraz upadł na plecy. W przeszywającym bólu uderzył głową o podłogę, po paru sekundach odzyskał świadomość, próbując odetchnąć za wszelką cenę.

Z miejsca gdzie leżał, oddychając ciężko i nierytmicznie, obserwował w panice, jak Gable kaszlnął, zachwiał się i pochylił się nad nim. Wyszuszone twarz pochyliła się tuż nad nim. Pistolet wycelo-

414

wany był prosto w jego czoło. Sparaliżowany strachem nie mógł wydobyć głosu, kiedy palce Gable'a zaciskały się na spuście.

Grzmot wystrzału wywołał u Pittmana skurcz wszystkich mięśni. Nie pochodził on jednak z pistoletu w rękę Gable'a. Dobięgl z za pleców Pittmana, od strony przeszklonej ściany, gdzie sypało się szkło i powtarzały się kolejne wystrzały. Twarz Gable'a zabarwiła się purpurą, a na dygocącej piersi pojawiały się ohydne czerwone desenie kwiatów. Pięć strzałów. Sześć. Gable oparł się o krzesło. Pistolet wypadł mu z dłoni, z hałasem uderzając o podłogę. Kula przeszła mu tchawicę, tryskała krew i Gable nagle stracił wygląd dyplomaty. Stał się bezwładnym ciałem staczającym na podłogę.

Przez roztrzaskane okno Pittman usłyszał triumfalne okrzyki Denninga.

Groteskowa, obłąkana twarz pojawiła się w otworze najeżonym ostrymi zębami szkła. Skóra napięta na kościach policzkowych przylgnęła do nich, upodabniając ją do szczerzącej się czaszki. Na odgłos z innej strony pokoju, Pittman obrócił się i zobaczył Webleya wstającego z krzesła, gdzie się schronił. Podniósł broń celując w Denninga.

• Pistolet, który upuścił Gable, leżał na podłodze obok Pittmana. Pocąc się, powstrzymując wymioty, pełen determinacji, dosięgnął go i natychmiast wypalił do Webleya, zbyt oszołomiony, by upewnić się, czy dobrze wycelował. Naciskał cyngiel raz za razem, czując siłę odrzutu, koncentrując się, aby nie wypuścić pistoletu. Nagle broń przestała strzelać, stała się zbyt ciężka, aby mógł ją dłużej utrzymać. Upuścił ją, czując, jak ból nie do wytrzymania rozsada mu pierś. Czekał na odpowiedź. Nie było żadnej. Nasłuchiwał jakiegoś odgłosu z jego kierunku. Nic. Z nadludzkim wysiłkiem uniósł się, popatrzył ponad leżącym Gable'em, ale nie widział śladu Webleya.

Co to za różnica? — pomyślał. — Jeśli go nie zabiłem, jestem skończony.

Mimo to chciał wiedzieć. Podciągnął się wyżej, uchwycił się krzesła i dojrzał Webleya leżącego bez ruchu w kałuży krwi.

Pełen bólu spokój trwał zaledwie kilka sekund. Zza roztrzaskanego okna dobiegł go jęk. Odwrócił się mimo paraliżującego bólu i zobaczył Denninga przyciskającego rękę do własnej piersi.

Triumfująca mina starca przybrała ponury wyraz. Oczy, jeszcze

415

przed chwilą promieniujące zwycięstwem, teraz pociemniały ze strachu i niedowierzania. Upuścił pistolet. Oparł się o parapet i zniknął z pola widzenia.

W chwili gdy Pittman doczołgał się do okna, Denning był już martwy, leżał na rabatce kwiatowej z otwartymi oczami i ustami, ręce i nogi dygotały mu przez chwilę, potem uspokoiły się zamierając w przerażającym bezruchu.

Pittman pokręcił głową.

W dali usłyszał dźwięk syreny. Po chwili drugi. Sygnały były coraz głośniejsze, coraz bliższe.

Opadł na krzesło i niezdarnie zaczął rozpinać kurtkę. Kula, która uderzyła go w klatkę piersiową, utkwiła w swetrze. Kiedy Gable zaczął go przekonywać, że jest za ciepło ubrany i dlatego źle znosi wysoką temperaturę w pokoju, Pittman przestraszył się, że nabrał jakichś podejrzeń. Właśnie z powodu swetra musiał się skontaktować z człowiekiem, z którym niegdyś przeprowadzał wywiad, zanim przybył do rezydencji na konfrontację z Gable'em.

Człowiek ten był ekspertem w dziedzinie ochrony. Sweter był w istocie kamizelką kuloodporną, zaprojektowaną tak, żeby wyglądała na zwykłe ubranie.

Stałem się zlepkim tych wszystkich ludzi, z którymi kiedyś robiłem wywiady — pomyślał markotnie,

znów spoglądając przez roztrzaskane okno w stronę ciała Denninga.

Odwrócił się. Z trudem oddychał, grymas bólu malował mu się na twarzy. Jak wyjaśniał ekspert, splot

włókien kamizelki jest w stanie zatrzymać większość pocisków, nie daje jednakże ochrony przed siłą

uderzenia. Siniaki i popękane żebra były czasami nieuniknione.

Wierzę w to — pomyślał, starając się utrzymać na nogach. — Czuję się, jakby mnie koń kopnął.

Syreny wyły coraz głośniej i bliżej.

Pittman chwiejąc się przeszedł przez pokój, ominął ciała Gable'a, Sloane'a i Webleya. W powietrzu unosił się zapach prochu i śmierci. Musiał wyjść na zewnątrz. Musiał zaczerpnąć świeżego powietrza.

Szedł po kamiennej posadzce holu, na miękkich od emocji nogach. Kiedy był przy drzwiach wejściowych, usłyszał pisk opon hamujących na podjeździe. Otworzył drzwi i wyszedł na taras, wciągając świeże, chłodne powietrze. Policjanci wysypywali się z samochodów.

Z pistoletami w dłoniach nawet nie kłopotali się zamknięciem drzwi. Byli zbyt zajęci dopadnięciem Pittmana. Podniósł ręce To góry, nie chcąc, aby pomyśleli, że im zagraża. Wśród nich zobaczył również M, biegnącą w jego kierunku, wykrzykującą jego imię i wtedy już wiedział, że przynajmniej

na razie nie musi się niczego obawiać. Chwyci ją mocno, przycisnął do siebie, zapominając o dokuczliwym bólu w piersiach. Łkała, a on przytulił ją mocniej wiedząc, że nigdy już nie pozwoli jej odejść.

- Kocham cię. Tak się bałam, że cię stracę - powiedziała

- Nie dzisiaj. - Pittman pocałował ją. - Dzięki Bogu, nie

Epilog

Miłość jest aktem wiary — pomyślał Pittman. — Ludzie chorują i umierają, giną w ulicznych

wypadkach albo spożywają niewłaściwie przygotowane jedzenie, zarażają się salmonellą, spadają z drabiny i łamią sobie kark albo są już tak sobą zmęczeni, że nie chcą już się więcej widzieć i nie odpowiadają na telefony, albo biorą ze sobą rozwód. Jest tak wiele sposobów udręczenia człowieka przez miłość. W istocie każda miłość, nawet ta najbardziej prawdziwa i wierna, skazuje tego, który kocha, na męczarnie nie do zniesienia — z powodu śmierci kochanej osoby. Miłość wymaga tak

wiele optymizmu, tak wiele ufności w przyszłość. Człowiek praktyczny mógłby powiedzieć, że ewentualne

doraźne korzyści nie rekompensują późniejszych cierpień. Człowiek ostrożny może zanegować jego

czy jej uczucia, odrzucić pokusę miłości, stłumić ją i przejść przez życie bezpiecznie w emocjonalnej

próżni.

Ze mną tak nie będzie — pomyślał Pittman. — Jeśli miłość wymaga wiary, wierzę...

Te myśli owładnęły nim, kiedy trzymając Jill za rękę szedł między rzędami nagrobków w kierunku grobu ukochanego syna. Znowu był czwartek, tydzień po wydarzeniach, które rozegrały się w rezydencji Eustace'a Gable'a, i dwa tygodnie po tym, jak Pittman próbował uratować życie Millgate'a

w Scarsdale. Po przybyciu policji i znalezieniu ciał w zbryzganym krwią salonie Gable'a Pittman i Jill

osadzeni zostali w areszcie. Ale tak jak przewidywał, cała ta przekłeta rozmowa, przekazywana do sieci policyjnej, okazała się ich wybawieniem. Po złożeniu przez nich długich zeznań, potwierdzonych

przez panią Page co do wydarzeń, w których uczestniczyła, po tym jak policja w Bostonie i w Nowym

Jorku zweryfikowała inne szczegóły (z pomocą policji stanu Vermont, która odwiedziła Akademię Grolliera), zostali nareszcie zwolnieni. Teraz, w Nowym Jorku, zatrzymali się przed grobem Jeremy'ego, a ciepłe wiosenne popołudnie nasycone promieniami słońca spotęgowało ból w sercu Pittmana z żalu po utraconym synu. Było takie straszne, że Jeremy nigdy już nie zobaczy tak cudownej pogody i nie odetchnie świeżym wiosennym powietrzem.

Otoczył Jill ramieniem, czując jej ciepło, i wpatrywał się w zdumiewająco zieloną trawę

pokrywającą grób Jeremy'ego. Przez napływające do oczu łzy przypomniał sobie, co kiedyś napisał Walt Whitman,

że trawa to włosy grobu. Włosy Jeremy'ego. Jedyne jakie mu pozostały. Tylko że to nie jest prawda

—
pomyślał. Być może sto lat temu, gdy trumny robiono z drewna i nie umieszczano ich w betonowym

rękawie z pokrywą. W dawnych czasach trumna i ciało rozkładały się, wtapiając się w ziemię, tworząc

budulec nowego życia. Teraz ciała są higienicznie zapieczętowane w ziemi i śmierć nie ma już nic wspólnego z nowym życiem. Gdyby była żona przystała na jego prośby, ciało ich syna poddane by zostało kremacji, a prochy rozsypane na łące, gdzie wyrosłyby z niego dzikie kwiaty. Ale była tak nieustępliwa, a Pittman tak niezdolny do jakiegokolwiek oporu, że ciało Jeremy'ego pochowano zgodnie z tradycją; to oddzielenie od przyrody wzbudzało w nim chęć do płaczu.

Myśl o śmierci, która go nie opuszczała przez ostatni rok, teraz była jeszcze bardziej przejmująca. Od

chwili ucieczki z posiadłości w Scarsdale widział, jak zabito jego najlepszego przyjaciela oraz ojca Dandridge'a. Myśli te nie dotyczyły jednak tych kilku osób, które sam zabił, ani jatki w rezydencji Gable'a. Im więcej nad tym rozmyślał, tym bardziej wątpił, czy dotyczyć mogą innych superdoradców — Anthony'ego Lloyda, zmarłego na udar, Victora Standisha, który popełnił samobójstwo. I

oczywiście Jonathana Millgate'a. Zaczęło się to od nekrologu człowieka, który jeszcze żył. W toku dalszego ciągu zdarzeń mimowolnie doprowadził do śmierci tego człowieka i wszystkich jego kolegów.

Superdoradcy byli złem. Nie miał co do tego wątpliwości. Ale przecież i tak by wkrótce umarli i może

to byłoby lepsze aniżeli ujawnianie ich ohydnej tajemnicy, która pociągnęła za sobą tak wiele ofiar. Wszystko to mogłoby się nie wydarzyć, gdyby nie był przekonany, że społeczeństwo ma prawo wiedzieć o nadużyciach władzy. Gdyby nie był tak zdeterminowany siedem lat temu, nie podążałby tropem Millgate'a. A Burt nie wybrałby go do tej pracy przed dwoma tygodniami.

Czy ponoszę odpowiedzialność za to, co się stało? Nie mógł w to uwierzyć.

Nie, miałem rację, że ich tropiłem — powiedział sobie z naciskiem. — Te dranie myślały, że są ponad

wszystkimi. Nie dbali o to, kto przez nich cierpiał i umierał, tak długo, jak długo trwały ich kariery. Zasłużyli na karę. Nie na śmierć, to zbyt łatwe, lecz na zdemaskowanie, potępienie, ośmieszenie. W dawnych czasach zamknięto by ich w klatce na głównym placu, gdzie ludzie pluliby na nich z pogardą. I może innych dostojników zniechęciłoby to do nadużywania władzy.

Takie „gdybanie” było typowe dla stanu ducha Pittmana od chwili śmierci Jeremy'ego. Cały czas wyobrażał sobie inną rzeczywistość, w której gdyby nie to lub tamto, wszystko potoczyłoby się w dobrym kierunku. Ale to „gdyby” się nie stało. „Gdyby” — nie liczyło się. Liczyły się realia. A realia

były bolesne.

W rezultacie nie był przygotowany na miłość, którą odkrył w Jill. Stała mu się tak bliska. Strzegł jej jak skarbu.

Tak, każda miłość kończy się bólem — pomyślał — ale zanim do tego dochodzi, jest lekiem na inne

cierpienie, na tragiczne niedoskonałości życia. Wciąż nie mogło do niego dotrzeć, jak bliski był popełnienia samobójstwa dwa tygodnie wcześniej. Pogrążył się w takiej czarnej rozpacz, jego cierpienie było nie do zniesienia. Teraz smutek też nim zawładnął i nie mogły go ukoić łzy płynące po

policzkach, kiedy patrzył na zalany słońcem grób. Był jednocześnie wstrząśnięty, że myśli bardziej o

teraźniejszości niż o przeszłości. Z Jill u boku, dzielącą z nim ciężar jego smutku, wiedział, że będzie

mógł to wszystko znieść. Tak samo jak on będzie dzielił z nią wszystko zło, które by jej dotyczyło. Ale prawdę mówiąc, zdarzyło się również i coś dobrego. Następnego dnia po masakrze w rezydencji

Gable'a gazeta, dla której pracował i która miała wypaść z rynku, znalazła finansowego księcia na białym koniu, który ją uratował. Umierająca gazeta odrodziła się, a popularność, jakiej przysporzyły

jej artykuły Pittmana, skłoniły nowego właściciela do jego ponownego zatrudnienia jako czołowego reportera, w zamian za wyłączność publikacji o tym, cfc mu się przydarzyło i co było tajemnicą superdoradców. Nowa prestiżowa pozycja nie miała jednak dla niego takiego znaczenia jak możliwość

dalszego mówienia prawdy o nadużyciach władzy.

Gdyby tylko Jeremy żył i mógłbym się nim cieszyć.

Gdyby.

Ale „gdyby” było oglądaniem się za siebie, teraz zaś, patrząc na grób syna, mocniej obejmując Jill, wiedział, że jego obowiązkiem wobec siebie i wobec Jill jest patrzeć w przyszłość.

W akcie wiary — pomyślał.

Obrócił się do Jill, która otarła mu oczy i pocałowała go

— Tak mi przykro, że cierpisz — powiedziała.

— Ale przecież żyję. I ty jesteś tutaj ze mną. — Głos mu się załamał. — Łzy nie zawsze oznaczają

smutek.